

PRAWDA CZAI SIĘ
POD SKÓRĄ



W cudzym ciele

PAULA RAWSTHORNE

ZIELONA
SOWA



PAULA RAWSTHORNE

W cudzym ciele

Przekład: Bożenna Stokłosa

ZIELONA
SOWA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1. Żegnaj, Lucy

Rozdział 2. Otwórz oczy

Rozdział 3. Spoczywaj w pokoju

Rozdział 4. Przebudzenie

Rozdział 5. Dziewczyna zza okna

Rozdział 6. Uwięziona w cudzym ciele

Rozdział 7. Rehabilitacja

Rozdział 8. Grając w tę grę

Rozdział 9. Powrót do domu

Rozdział 10. Babcia

Rozdział 11. Nauka w domu

Rozdział 12. Badania kontrolne

Rozdział 13. Kondolencje

Rozdział 14. Perswazja

Rozdział 15. Bailey Heights

Rozdział 16. Poznając siebie

Rozdział 17. Droga donikąd

Rozdział 18. Sprawdzian

Rozdział 19. Stajnia

Rozdział 20. Klip

Rozdział 21. Zbiórka pieniędzy

Rozdział 22. Dziecko Amy

Rozdział 23. Gość

Rozdział 24. Pod kontrolą

Rozdział 25. Kukułcze piskłę

Rozdział 26. Solenizantka

Rozdział 27. Chłopak

Rozdział 28. Ponosząc konsekwencje

Rozdział 29. Spytaj mnie o cokolwiek

Rozdział 30. Kłamczucha

Rozdział 31. Wybieraj

Rozdział 32. Rozwiązania

Rozdział 33. Pogrzeb

Rozdział 34. To my

Rozdział 35. Przejażdżka

Rozdział 36. Robiąc to, co najlepsze

Rozdział 37. Rozmowa telefoniczna

Rozdział 38. Gabinet

Rozdział 39. Drżenie rąk

Rozdział 40. Jedyńy, który może pomóc

Rozdział 41. Odwiedziny

Rozdział 42. To już nie jest ona

Rozdział 43. Twoja wina

Epilog

Podziękowania
O Autorce
Przypisy

Tytuł oryginału: SHELL Przekład: BOŻENNA STOKŁOSA Redaktor prowadzący:
SYLWIA KUREK Redakcja: TERESA ZIELIŃSKA Korekta: MARZENA
KWIETNIEWSKA-TALARCZYK Skład: Studio 3 Kolory Opracowanie graficzne okładki:
Studio 3 Kolory First publisher in the UK by Scholastic Ltd, 2018

Text copyright © Paula Rawsthorne, 2018

© Copyright for the Polish translation by Bożenna Stokłosa, 2018

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Warszawa 2018

All rights reserved Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo
fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy. Wydanie
I ISBN 978-83-8154-063-6 Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl

www.zielonasowa.pl Konwersja: eLitera s.c.

*Dla mojej mamy Veroniki,
najważniejszej osoby w rodzinie Rawtshorne'ów*

ROZDZIAŁ 1

ŻEGNAJ, LUCY

Patrzę, jak Mak szuka czegoś w torebce. Jak miło znowu ją zobaczyć! Musiała wcześniej wylecieć z Houston do El Paso, aby o tej porze dotrzeć do kliniki. To moja najlepsza przyjaciółka, która od czasu nawrotu u mnie choroby stała się również moim guru w sprawach zdrowia, dostarczycielką rozrywki i wizażystką. Jest zaopatrzona w magazyny ilustrowane, „podnoszące na duchu” utwory muzyczne, „inspirujące” książki i wszystkie komedie świata, bo jak mówi: „Trzeba docenić uzdrawiającą moc śmiechu”.

„Ależ tak, Makaylo, właśnie za pomocą śmiechu zamierzam się pozbyć tego pieprzonego guza!” – mam ochotę jej powiedzieć, lecz tego nie robię, bo widzę, jak bardzo stara się mi pomóc.

– Znalazłam coś takiego! – Macha mi przed nosem ozdobnym flakonem perfum. – W tym nowym butik w galerii handlowej. Gdy wrócisz do domu, zabiorę cię tam.

Perfumuje mi poduszkę. Na szczęście robi to ostrożnie, uważając, by nie pokropić mojej cienkiej jak pergamin skóry. Czuję zapach moich ulubionych kwiatów, który chwilowo tłumi nieprzyjemną woń środka dezynfekującego i choroby.

– To zapach frezji. Gdy tylko powąchałam te perfumy, wiedziałam, że są dla ciebie idealne. Podoba ci się? – pyta niecierpliwie.

– Uwielbiam go – mówię słabym głosem, uśmiechając się do niej z wysiłkiem.

Jej twarz się rozjaśnia, jak zawsze wtedy, gdy myśli, że sprawiła mi przyjemność.

Czuję się obolała, kiedy przekłada mi poduszki i mnie podpiera. Trzyma mi kubek, gdy piję z niego przez słomkę wodę.

– Potrafię go utrzymać, wiesz o tym – przypominam jej.

– Wiem – potwierdza z uśmiechem i poprawia mi czapczkę, która ciągle zsuwa się do tyłu z mojej łysej głowy. Następnie wyjmuje z torebki pojemnik z mussem czekoladowym i oznajmia: – Moja mama zrobiła go specjalnie dla ciebie. BTW, przesyła ci serdecznego całusa.

Jak mogę odmówić, gdy łyżeczką wkłada mi mus do ust, jakbym była małym dzieckiem? Gęsta lepka masa zalega w moim suchym gardle.

– Chcą mi założyć sondę do żywienia dojelitowego – wypalam, obserwując jej reakcję.

Twą Mak nieruchomieje. Ale moja przyjaciółka szybko przypomina sobie, że powinna być pogodna.

– Owszem, słyszałam o tym. Na szczęście tak będzie tylko przez krótki czas, Lucy. Chodzi o to, by cię wzmocnić... Odżywić – odpowiada wesoło, biorąc mnie za rękę, a ja spoglądam na nasze splecione palce i w pierwszej chwili nie rozpoznaję swojej dłoni, ponieważ choroba szybko postępuje i nie pamiętam, kiedy moje dłonie zaczęły wyglądać jak u staruszki. Mak drży, jakby robiła to za mnie, i dodaje: – Są lodowate. – Wyjmuje ze swojej czarodziejskiej torebki balsam i zapewnia: – Jest całkowicie naturalny. Nie podrażni ci skóry. – Delikatnie wmasowuje odżywkę w moje dłonie i wychudzone ramiona, sprawiając mi tym wielką przyjemność. Po chwili zmienia temat i oznajmia: – Przed kilkoma dniami widziałam się z twoją babcią. Jej pastor i wszyscy parafianie modlą się o twój powrót do zdrowia.

Uśmiecham się na myśl o babci i potwierdzam:

– Dzięki niej modli się o to pewnie połowa mieszkańców Teksasu. Pisze do mnie codziennie, cytując Biblię. Szkoda, że nie mogę się z nią zobaczyć. Bardzo chce mnie odwiedzić. Niestety, mama się na to nie godzi, bo uważa, że byłby to dla babci zbyt duży wstrząs.

– Dużo osób u ciebie bywa? – pyta Mak.

– Tata kilka razy wyrwał się z pracy, ale głównie jest ze mną mama – odpowiadam, ciężko wzdychając. – Mieszka tu niemal przez cały czas. Chciałabym zobaczyć Arthura. Niestety, w obawie przed infekcją nie wolno tu przyprowadzać zwierząt domowych. Poza tym Arthur cierpi na chorobę lokomocyjną, więc źle zniósłby podróż z Houston.

– Może po powrocie pojedę do twojego domu i nagram filmik z Arthurem, co ty na to? – proponuje moja przyjaciółka. – Jak twój pies macha do ciebie łapą i takie tam...

– Dzięki, Mak. Bardzo chciałabym, abyś to zrobiła – odpowiadam. Na myśl o tym, że mogłabym zobaczyć na nagraniu Arthura, łzy napływają mi do oczu i zaczyna mi drżeć górna warga. Ale nie powinnam płakać.

– Hej, nie krzyw się – przywołuje mnie do porządku Mak, mrużąc oczy. – Tu nie wolno się mazać.

– Och, nie pouczaj mnie – oświadczam żartobliwie. – Lepiej opowiedz mi najnowsze plotki z Bailey Heights.

Ale tylko udaję, że mnie interesują, po prostu chcę, by Mak nie przestawała mówić. Z powodu wyczerpania sama nie mogę mówić za dużo, a ona źle znosi ciszę. Poza tym gdybym trajkotała, musiałaby milczeć i być może wysłuchać czegoś, czego by nie chciała. Tak czy inaczej lubię, jak Mak nie zamykają się usta. Podoba mi się jej melodyjny głos, zwłaszcza teraz, gdy mój jest taki słaby i pozbawiony energii.

Szkoda, że nie mogę być bardziej przytomna i uważna. Wydaje mi się, że przez ostatnie dwa tygodnie na przemian zasypiałam i budziłam się. Za każdym razem gdy otwieram oczy, wpadam w panikę, czekając, aż widniejący przed nimi zmacony obraz rzeczywistości stanie się wyraźny. Ale wciąż tu jestem, w tej klinice na pustyni, za pobielonymi murami, i leżę w łóżku z wkłutymi w zapadnięte żyły igłami.

– No dobra. Byłam wczoraj w Memorial Park i zgadnij, kogo widziałam, jak wpychał język do gardła lasce, która *nie jest* jego dziewczyną? – pyta Mak, szeroko otwierając oczy.

Uśmiecham się w duchu. To jest Mak, którą znam i kocham. Uwielbiam tę gadułę i jej opowieści.

– Nie mam pojęcia – oznajmiam, wruszając ramionami.

– To ktoś ze szkoły, kogo znasz – podpowiada.

Z wysiłkiem przywołuję w pamięci kolegów z klasy, gdy Mak wkłada mi do ust kolejną łyżeczkę musu. Nie widziałam ich od czasu, kiedy znowu musiałam przerwać naukę. Z pewnością żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by mnie odwiedzić. Prawdopodobnie nawet nie zauważyli, że mnie nie ma. Raczej nie chcieliby utrzymywać ze mną kontaktów, nawet gdybym *była* najpopularniejszą laską w szkole, skoro stałam się przygnębiającym przypomnieniem tego, że młodość nie czyni odpornym na śmierć.

– Nikt mi nie przychodzi do głowy – mówię.

– Nie poddawaj się – dopinguje mnie Mak. – To straszny palant. Nie znosimy go obie.

– Chodzi ci o Josha? – domyślam się.

– Tak! – potwierdza.

Krzywię się z niesmakiem. Josh Dartmere! Na myśl o nim czuję się zażenowana. Nie mogę uwierzyć, że traciłam cenny czas na umawianie się z nim w czasie remisji nowotworu. Byłam żalosna. Ale szczerze wierzyłam, że wpadłam w oko zawodnikowi ze szkolnej drużyny futbolowej. Na szczęście szybko się zorientowałam, że chodzi ze mną tylko po to, by inni uważali go za fajnego gościa, skoro umawia się z „dziewczyną chorą na raka”. Kiedy zerwałam z nim pod wpływem apeli Mak do mojego poczucia godności, przyznał się, że spotykał się ze mną z litości. Co za dupek!

Gdy moja przyjaciółka kończy tyradę na jego temat, wracam do rzeczywistości.

– Falszywy drań – oburza się Mak.

– Na samą myśl o nim robi mi się niedobrze – wyznaję z drzeniem. – Lepiej porozmawiajmy o tobie i panu Kendricku. Czy już ci się oświadczył? – Uśmiecham się ironicznie na wspomnienie nieodwzajemnionej miłości Mak do naszego anglisty.

– Kpij sobie z tego, ile chcesz, ale pewnego dnia ja i Bret Kendrick będziemy razem. Zamieszkamy w jednym z tych wielkich nieforemnych domów w Montrose, wśród artystów i pisarzy. A kiedy on będzie zmieniał pieluchy naszej rozkosznej trójce, nie, czwórce niemowlaków, ja będę pracowała nad najnowszym tomikiem poezji.

Boli mnie od śmiechu klatka piersiowa, lecz nie mogę się powstrzymać. Po zjedzeniu musu czekoladowego odczuwam nagły przyływ energii.

– Wiesz przecież, że on mieszka ze swoją dziewczyną – przypominam jej.

– I co z tego? Przypadkiem wiem, że to księżowa! – woła zniesmaczona Mak. – A Bret potrzebuje kogoś, kto będzie dzielił z nim miłość do języka, do literatury. Poza tym jaki facet przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieć w domu sobowtóra Jennifer Hudson? Jestem *stuprocentową* kobietą! – wykrzykuje, płasając po pokoju.

– Przestań go śledzić – mówię, chichocząc. – Bo jak cię zapuszczają, nie będziesz mogła do mnie przyjeżdżać.

Robi minę, ale jest zachwycona tym, że doprowadziła mnie do śmiechu.

– Wystarczy już tego moralizowania, Lucy. Teraz potrzebujesz odmiany wyglądu – oznajmia.

– Nie – jęczę i okrywam się prześcieradłami. – Nie dam rady. Nie dziś.

– Właśnie dlatego jest ci potrzebna odmiana. Nałożymy nieco różu na policzki, choć wygląd wampira nigdy nie wyjdzie z mody – żartuje Mak, puszczając do mnie oko.

Gdy robi mi makijaż, cieszy się z tego jak jakaś wariatka. Szkoda, że nie jest na tyle odważna, by potrafiła skończyć z udawaniem. Nadal mówimy sobie wszystko. Zawsze zwierzałyśmy się sobie nawet z krępujących spraw i gdybyśmy zerwały tę znajomość, żadna nie miałaby nikogo bliskiego. Niestety, obecnie Mak unika rozmowy na jedyny liczący się temat i podobnie jak moi rodzice w kółko powtarza te same frazesy: „gdy twój stan się polepszy”, „to tylko trudny okres”, „spędzimy razem najwspanialsze lato”.

– Dobrze wyglądają! – zachwyca się moimi brwiami, kończąc je rysować ołówkiem. – Pora zrobić selfie. W czapeczce czy bez?

Nasuwam czapeczkę głębiej na czoło i odpowiadam:

– W.

Nie chcę, aby Makayla zamieściła w Internecie moje zdjęcie, na którym wyglądam jak kosmitka z oczami jak spodki. Nie chcę, by ludzie mnie taką zapamiętali. Wybrałam już nawet zdjęcie na swój pogrzeb. Przed kilkoma tygodniami wysłałam je mamie mailem. Ciągle ją pytam, czy je dostała, ale zawsze wtedy zmienia temat. Nie mogę jej przekonać, by wyraziła na nie zgodę. Podobają się jej inne moje fotografie, na których wyglądam jak kompletna kretynka. Wybrałam jedną z szeszcioročního pobytu na Barbadosie. Tata wziął parę dni wolnego i wynajął dla nas cudowny dom na plaży. Codziennie jeździłam konno po piasku. Czułam się wspaniale. Nic mi nie dolegało. Nie myślałam, że nastąpi nawrót choroby. A teraz, gdy spoglądam na szkielet, w jaki się zamieniłam, nie mogę sobie wyobrazić siebie znowu zdrowej. Nie cierpię, jak rodzice udają, że wierzą w poprawę mojego stanu. Czy naprawdę uważają, że mogą mnie uchronić przed tym, co według mnie nieuchronnie nastąpi? Zmuszają mnie do leczenia, choć wszyscy wiemy, że wtłaczanie do mojego ciała jeszcze więcej niż dotychczas trucizny niczego nie zmieni. W ten sposób czynią z mojego życia piekło na ziemi, bez względu na to, ile mi go

jeszcze zostało. Ja jestem przygotowana na koniec tego wszystkiego, nawet jeśli oni nie są.

Mak delikatnie obejmuje mnie ramieniem, jakby w obawie, że inaczej rozlecę się na kawałki, ale jej ciepłe ciało dominuje nad moim. Wyjmuje komórkę.

– Na trzy masz megaseksownie wyduć wargi. Raz, dwa, trzy! – woła i robi zdjęcie, pokazując mi ekran: – Wyglądasz wspaniale!

Wpatruję się w swoją fotografię. Przy pomalowanej brązową bazą twarzy okropnie razi wychudła, niemal przezroczysta szyja, jakby należała do kogoś innego. Mak próbowała za pomocą korektora ukryć sińce pod oczami, ale przez to wydają się jeszcze bardziej zapadnięte. Róż jedynie zwraca uwagę na wklęsłe policzki, a szminka na spękanych wargach wygląda jak warstwa gipsu. Brwi są tak wygięte, że nadają twarzy szokujący wyraz.

Przesuwam wzrok na fotografię Mak i ogarnia mnie niespodziewana zazdrość. Pragnę mieć gęste błyszczące loki, nieskazitelną skórę i pełne gładkie usta mojej przyjaciółki. „Lustereczko, powiedz przecie...”. Mam ochotę dać jej zatrute rubinowe jabłko do ugryzienia i przywłaszczyć sobie tę zdrową rumianą twarz. Przemieniłam się w złą czarownicę. W środku skręcam się ze wstydu.

– Wyglądam jak drag queen – stwierdzam i zanoszę się chrapliwym śmiechem.

– Nie! – protestuje Mak, cmokając, i oznajmia: – Wyglądasz wspaniale.

– Powinnaś mi zrobić makijaż pogrzebowy. Dać ludziom jakiś pretekst do śmiechu, gdy będą przechodzili koło mojej otwartej trumny – ironizuję.

Słyszac to, Mak robi naburmuszoną minę i nakazuje mi:

– Nie mów takich rzeczy. To wcale nie jest śmieszne.

– Myślisz, że ktoś z Bailey Heights przyjdzie na mój pogrzeb? – ciągnę przykry temat.

– Przestań, Lucy – ucisza mnie.

– Jeśli pogrzeb wypadnie w czasie lekcji, to pewnie niektórzy zgłoszą się na ochotnika, byle tylko urwać się ze szkoły – myślę głośno i zwracam się do Mak: – Nie zrozum mnie źle. Wiem, że ludzie nie czują do mnie złości. Żeby kogoś nie cierpieć, trzeba go najpierw zauważyć, a ja nie wywarłam wpływu na niczyje życie, no nie? Nie oczekuję, by nazwali moim imieniem bibliotekę czy coś w tym rodzaju.

– Może byś wreszcie przestała uważać się nad sobą? – warczy Mak.

Znowu przeszukuje torebkę, ignorując mnie, jakbym była nieznośnym, popisującym się małym dzieckiem.

– Przywiozłam ci ten nowy thriller, podobno jest rewelacyjny. – Sięga po mojego laptopa, ale łapię ją za rękę, bo chcę, aby mnie wysłuchała.

Nie mogę już znieść, że wszyscy unikają tematu mojej śmierci, więc mówię stanowczym tonem:

– Musimy o tym porozmawiać. To wkrótce nastąpi. Nie chcę umierać, Mak, ale nie zanoszę się na żaden cud. Wiesz o tym, prawda?

Patrzy w podłogę i nie odpowiada.

– Teraz jest inaczej niż poprzednim razem. Czuję, że moje ciało się wyłącza – tłumaczę jej.

Mak gwałtownie potrząsa głową. Może jestem okrutna, ale skoro już zaczęłam, to nie mogę przestać mówić.

– Mam nietrzymanie moczu. Tracę nad wszystkim kontrolę. Założyli mi cewnik do pęcherza – opowiadam i unoszę prześcieradło, pokazując przymocowany do ramy łóżka worek z ciepłym żółtym płynem. – A to mój nowy najlepszy przyjaciel. – Potrząsam wycelowaną w Mak pompą infuzyjną. – Jedno naciśnięcie i ból zostaje opanowany... na chwilę. Powinnaś spróbować. Naprawdę jest odłotowo. – Chciałabym mówić spokojnym tonem, lecz moje słowa

brzmia agresywnie. – Musisz mnie wysłuchać, Mak. Moi rodzice nie powstrzymają z własnej woli leczenia, ale będą musieli, bo jest bezcelowe. Nie mogę już wziąć więcej chemii. Jestem wyczerpana.

– Nie mów tak! – nakazuje mi Makayla, z której twarzy zniknęła wesołość. – Ty się łatwo nie poddajesz. Musisz nadal myśleć pozytywnie. Masz po prostu zły dzień. Jutro będzie lepiej. Musisz walczyć z tą rzeczą.

Wzbiera we mnie gniew.

– Gadasz bzdury, Mak – nacieram na nią. – „Walczę” z tą rzeczą od trzech lat, ale to jest choroba, a nie jakiś cholerny przeciwnik. Niektórzy ludzie zdrowieją, inni żyją z nią latami, a jeszcze innych, jak mnie, zabija. Nie znaczy to, że nie dość dzielnie *walczyłam*. Nie każ mi się czuć jak ktoś, kto coś lekceważy. – Jestem rozemocjonowana. Pulsują mi pokłute żyły na rękach.

Mak zalewa się łzami. Sprawiliam, że moja najlepsza przyjaciółka się rozplakała, ale jakoś musiałam do niej dotrzeć.

– Przepraszam. Nie chciałam doprowadzić cię do takiego stanu. Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam – wykrztusza.

Nie mogę powstrzymać gorzkiego śmiechu. Ja jestem najdzielniejszą osobą?! Chciałabym dać jej poznać moje przerażenie, które ujawnia się w najmniej oczekiwanych momentach: gdy ludzę się, że nad nim zapanowałam, lub gdy przenoszę się myślami w bezpieczne, spokojne miejsce, z dala od niego, tam, gdzie śmierć jest moją przyjaciółką. Niestety, gdybym zwierzyła się Mak z tego, co czuję, prześladowałoby ją to do końca życia, zepsuło każde szczęśliwe wydarzenie. Nie mogę jej tego zrobić, więc trzymam język za zębami.

– Czuję się taka bezużyteczna, Lucy. Powiedz mi, co mogę zrobić, aby ci pomóc? – pyta zdesperowana.

– Naprawdę chcesz mi pomóc? – upewniam się, wykorzystując szansę, jaką mi dała.

– Oczywiście, że tak! – potwierdza bez wahania.

– To porozmawiaj z moimi rodzicami – proszę ją. – Powiedz im, że dalsze leczenie jest czymś okrutnym wobec mnie. Bo oni nie przedłużają mojego życia, a jedynie moje umieranie.

– Oni wiedzą, co jest dla ciebie najlepsze – mamrocze Mak, zagryzając wargi.

Taka jest jej odpowiedź?! Spoglądam na nią z gniewem i pogardą. Tracę siły. Oblewa mnie gorący pot. Czuję, jak jego krople spływają mi z czoła do oczu. Robi mi się niedobrze. Wymiotuję. Mak wyjmuje spod łóżka miskę, ale jest już za późno. Zwracam na prześcieradło cuchnącą mieszaninę musu czekoladowego i żółci, która piecze mnie w gardło. Mak cofa się, zatykając nos i usta. Podaje mi wodę, która też wywołuje pieczenie w gardle, gdy ją przełykam.

– Zawołam pielęgniarkę – mówi i rusza do drzwi, ale te się otwierają i do pokoju energicznym krokiem wchodzi moja mama.

– Nie ma takiej potrzeby. Posprzątam to – oznajmia z werwą.

Mama jest jak mój cień. Czyżby podsłuchiwała pod drzwiami i słyszała naszą rozmowę? Nie zdziwiłoby mnie to. Ta choroba jest dla mnie jak podwójny cios, bo rak niszczy mnie od środka, a mama zadusza od zewnątrz nadopiekuńczością. Gdy nieustannie się o mnie troszczy, czuję się jak bezwolna szmaciana lalka.

Zwija poplamione wymiocinami prześcieradło i wyciera mi pobrudzoną nimi brodę, jakbym była małą dziewczynką. Przy tym przewraca szaroniebieskimi oczami, udając, że jest sfrustrowana. Dlaczego ludzie traktują mnie jak dziecko? Rak szerzy spustoszenie w moim organizmie, ale umysł nadal mam sprawny.

Patrzę na nią załzawionymi oczami. Wciąż ubiera się tak, jakby szła do pracy: w drogą, szytą na miarę garsonkę i buty na wysokich obcasach, które zostawiają na podłodze ślady. Jednocześnie ma zęby pobrudzone szminką. A gdy pochyla się nade mną, aby okryć mnie

czystym prześcieradłem, dostrzegam w jej gładkim kasztanowym bobie pierwsze siwe włosy. Przed trzema laty nie wyszłaby z domu, nie wyglądając perfekcyjnie, ale to było, zanim zrezygnowała ze świetnej posady radczyni prawnej w firmie i została moją pełnoetatową opiekunką – jej wybór, nie mój. Kiedy miałam remisję, wróciła na kilka miesięcy do pracy, dzięki czemu wszyscy poczuliśmy się o wiele zdrowsi. Bo gdy ma na głowie tylko mnie, robi się nadopiekuńcza. To wszystko z mojej winy, gdyż stała się taka z powodu tej choroby.

Sytuacji nie ułatwia to, że tata całkowicie poświęcił się pracy. Chyba wpadł w obsesję zarabiania pieniędzy, choć zdobył już miliony. Najwyraźniej on i mama są przekonani, że tworzą drużynę marzeń. Ona wyszukuje najnowsze eksperymentalne metody leczenia raka, a on gwarantuje, że zostaną wypróbowane na mnie. Niczym Święty Mikołaj mówi do niej:

– Śmiało, wybierz, co chcesz.

Niestety, problem tkwi w tym, że nie można kupić kuracji, która nie została jeszcze opracowana. Z dotychczasowych nic nie działa, lecz oni oboje nie przyjmują tego do wiadomości. Próbuję rozmawiać z tatą i przekonać go, że wolałabym raczej spędzić czas, jaki mi jeszcze został, z nimi i cieszyć się byciem razem, by mieli co wspominać, gdy mnie już nie będzie. Jednak on tylko patrzy na mnie zdziwiony i mówi:

– Mieliśmy całe lata na to, by zgromadzić wspomnienia, kochanie. Muszę zarabiać pieniądze, abyś mogła wyzdrowieć.

Dzięki pieniądзом z firmy taty zarządzającej funduszem hedgingowym mogłam się znaleźć w klinice na pustkowiu pod opieką jej właściciela, Leonarda Radnora, który chce, by go nazywać doktorem Leo. Wcześniej byłam u tylu lekarzy, że już straciłam rachubę, ilu ich się przewinęło. Ten ostatni jest czarujący i przystojny, w typie atrakcyjnego starszego pana. Wygląda na takiego, który odnosi sukcesy, ale nie rozumiem, dlaczego mama traktuje go jak Boga, podczas gdy w rzeczywistości jest tylko kolejną osobą, która nie pozwala mi mówić o umieraniu.

– Skup się na pozytywach, Lucy – nakłania mnie. – To prawda, że nowotwór atakuje kolejne miejsca, ale mimo to warto podjąć agresywną kurację, gdyż dzięki temu zyskujemy więcej czasu.

Więcej czasu na co? Na mój strach przed tym, że nie zapanują nad bólem, jaki czuję? Na pracę taty przez siedem dni w tygodniu? Na płonną nadzieję mamy, że wyzdrowieję? Podobno doktor Leo jest specjalistą. Skoro tak, dlaczego nie mówi nam całej prawdy? Czy po prostu próbuje wyciągnąć tyle pieniędzy, ile się da, od bogatych i zdesperowanych rodziców?

Gdy mama rozkłada czyste prześcieradło, Mak stoi za nią. Widać, że czuje się niezręcznie.

– Przepraszam, pani Burgess, dałam Lucy trochę musu czekoladowego – wyznaje skruszona.

– Nie ma się czym przejmować. Nic się nie stało – pociesza ją mama z wymuszonym uśmiechem.

– Mak? – zwracam się do niej z błagalnym spojrzeniem, chcąc, by przemówiła mamie do rozsądku.

Niestety, moja przyjaciółka jest zakłopotana. Wierci się, jakby chciała jak najszybciej się stąd wynieść i nie zamierzała mi pomóc.

– Muszę już iść – oświadcza. – Za trzy godziny mam lot, a strasznie długo jedzie się stąd na lotnisko. Jutro wybieramy się na szkolną wycieczkę. Jest obowiązkowa. W przeciwnym razie nie pojechałabym. – Patrzy na mnie ze skruchą, choć nie za to powinna mnie przeprosić, i obiecuje: – Zjawię się tu za pięć dni.

– Za pięć dni?! – powtarzam zatrwożona.

– Jasne.

– Ale ja mogę nie mieć pięciu dni.

Mak wygląda na przerażoną, mimo to mówi:

– Nie bądź niemądra. Daj mi całusa i powiedz *arrivederci*.

Wymyśliła, że jeśli powiemy sobie „do zobaczenia”, a nie „żegnaj”, to nie umrę i będzie mogła mnie znowu odwiedzić. Taką ma strategię mojego przetrwania. Niestety, już nie mogę sobie pozwolić na tę zabawę, więc proszę:

– Nie mów *arrivederci*, tylko „żegnaj”, Mak.

– Przecież nie mówimy sobie „żegnaj”. *Arrivederci*, Lucy... A teraz ty mi to powiedz! – woła przestraszona.

Milczę.

– Proszę! – błaga.

Mama podchodzi do niej, obejmuje ją i unosi jej głowę, aby mogły spojrzeć sobie w oczy.

– Makaylo, skarbie, Lucy nie chce być dla ciebie niemiła – perswaduje jej łagodnym tonem. – Ma rację. Powinnaś jej powiedzieć „do widzenia”.

Jestem zszokowana tymi słowami.

– Nie, pani Burgess – protestuje Mak.

– Tak – odpowiada mama stanowczym tonem.

Łzy napływają Makayli do oczu. Wyrywa się z uścisku mojej mamy i pochyla nade mną, żeby mnie pocałować.

– *Arrivederci*, Lucy. *Zobaczmy się za pięć dni* – zapewnia mnie, zbiera swoje rzeczy, posyła mamie wściekle spojrzenie i pospiesznie wychodzi z pokoju.

– Mamo? – domagam się wyjaśnień.

Nie odpowiada, lecz po raz pierwszy milcząco przyznaje, że jestem umierająca. Desperacko chciałam, aby to potwierdziła, ale teraz, gdy to zrobiła, uderza mnie, że zniknęła dla mnie wszelka nadzieja. Wpadam w panikę. Czuję przypływ dokuczliwego bólu w kruszącym się kręgosłupie. Krzyczę, sięgając na oślep po pompę infuzyjną. Mama bierze ją do ręki i naciska, a następnie w milczeniu ścisną moją dłoń. Jest tyle rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać, o których chciałabym jej powiedzieć. Niestety, nie mogę, bo jestem rozkojarzona.

Coś weszło do pokoju. Jest pozbawione formy, a mimo to coraz silniej czuję jego obecność. Jest nieopisanie piękne. Przepełnia mnie radość. Słyszę, jak łkam ze szczęścia, gdy nagle podnosi się ze mnie jakiś wielki ciężar, a ja przemieszczam się do jego środka. Spoglądam w dół i widzę na łóżku swoje martwe ciało. Nie czuję już ani bólu, ani strachu. Nie ma choroby i cierpienia, jest tylko stan euforii. Jestem wolna.

ROZDZIAŁ 2

OTWÓRZ OCZY

– Otwórz oczy, Lucy.

Rozpoznaję ten głos.

– Lucy, słyszysz mnie? Proszę, otwórz oczy.

To doktor Leo.

– Lucy! – mówi władcym tonem. – Zrób, o co proszę, i otwórz oczy.

Otwieram, ale nic nie widzę. Dlaczego?

– Zmniejszyć sedację.

Do kogo on to mówi?

– Lucy, otwórz oczy – zwraca się do mnie po raz kolejny.

Staram się, lecz nie mogę. Myślę, że wciąż je otwieram. Najwyraźniej nadal są zamknięte. Wyobrażam sobie, że otwieram je tak szeroko jak oczy sowy. Niestety, nie udaje mi się unieść powiek.

Nagle staję się bardziej świadoma, jakbym została wyrwana ze stuletniego snu. Słyszę szuranie nogami, piski i syki aparatury medycznej. Czuję coś twardego wokół ust i nosa.

– Sedacja przestaje działać. Jest ruch gałki ocznej. Podaj mi latarkę – słyszę inny głos, kobiecy.

Nieoczekiwanie otaczający mnie mrok ustępuje miejsca nieprzyjemnej jasności, a pod powiekami zaczynają mi wirować białe plamy.

– Lucy, otwórz oczy! – ponagla mnie doktor Leo.

„Otwórzcie się – mówię błagalnie w myślach. – Muszę zobaczyć, co się ze mną dzieje. No dalej, już, już, już!”. Zaczynam jak szalona mrugać powiekami, niczym zraniony motyl skrzydłami, chcący wzbąć się do lotu. Otwieram oczy i słyszę dookoła podekscytowane głosy.

– Otworzyła! – wykrzykuje entuzjastycznie kobieta, która odezwała się wcześniej.

Niestety, widzę tylko niebieskie rozmazane obrazy oświetlone białym światłem. I wyczuwam obecność zgromadzonych wokół mnie ludzi. Chcę wstać, lecz coś trzyma mnie za głowę.

– Lucy, to ja, doktor Leo. Nie wolno ci się ruszać. – Słyszę dochodzący z tyłu jego głos. – Masz na twarzy maskę tlenową. Zasłania ci usta i nos, ale mimo to powinnaś móc się komunikować. Jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię, powiedz: „Tak”.

Nie mogę. Mam odrętwiałe usta. Zagryzam dolną wargę, lecz niczego nie czuję. Skóra twarzy jest nieprzyjemnie napięta i naciągnięta. Za każdym razem gdy próbuję wydobyć z siebie dźwięk, przeszywa mnie ból, jakbym miała w gardle odłamki szkła.

– Próbuje coś powiedzieć – relacjonuje kobieta.

– Nie spiesz się, Lucy. Po prostu powiedz: „Tak” – zachęca mnie doktor Leo.

Pomimo bólu gardła ponawiam próbę i w końcu udaje mi się chrząknąć. Wszyscy robią gwałtowny wdech.

– Okej, dobra robota, Lucy. Nie martw się. Liczy się to, że wydałaś z siebie dźwięk – chwali mnie zachwycony doktor Leo.

Ale dlaczego? Gdy odzyskałam przytomność po poprzedniej jej utracie, potrafiłam mówić i widziałam normalnie! Co mi się stało? Kiedy zdarzyło mi się to ostatnim razem, czułam, że umieram. Czyżby mnie reanimowali? Dlaczego to zrobili? Mama im kazała?

– Jakie ma ciśnienie i tętno? – pyta doktor Leo.

– Stabilne – słyszy w odpowiedzi.
– Kontrola czasu – wydaje polecenie.
– Czas operacji wynosi trzydzieści sześć godzin i dwadzieścia cztery minuty – słyszy w odpowiedzi.

Operacji? To nie może być prawda. Co oni mi robią? – zastanawiam się.

– Okej. Musimy teraz działać szybciej: sprawdzić podstawowe funkcje i zaznaczyć obszar mózgu odpowiadający za elokwencję. Znaczniki gotowe? – pyta doktor Leo.

– Tak, panie doktorze – słyszy w odpowiedzi.

– To zaczynamy. Lucy, mrugnij okiem, gdy coś zobaczysz – poleca mi doktor Leo.

Z każdą minutą widzę coraz wyraźniej. Rozmazane kształty stają się bardziej bryłowe. Nie dostrzegam szczegółów, jednak widzę, że w sali jest pełno ludzi ubranych w niebieskie stroje operacyjne i maski. Mam uniesioną i zwróconą w bok głowę, ale ponad maską tlenową widzę, że leżę przykryta prześcieradłem na stole operacyjnym. Gdy mrugam okiem, jeden ze stojących przede mną lekarzy wydaje okrzyk radości.

– Proszę was, nie świętujcie przedwcześnie – mówi na to doktor Leo. – Mamy przed sobą jeszcze długą drogę.

Nagle wszyscy znikają i pojawia się przy mnie Mak. Trzyma mnie za rękę i uśmiecha się szeroko. Na jej widok czuję ulgę. Co oni mi robią, Mak? Musisz mi pomóc się stąd wydostać – mówię do niej. Nie odpowiada, tylko zaczyna się histerycznie śmiać. Odchyła głowę do tyłu i łapie oddech, jakbym powiedziała coś najzabawniejszego na świecie. Przestań, Mak! Przestań! Dlaczego nie chcesz mi pomóc?! – krzyczę, ale ona znika i ogarnia mnie ciemność.

– Lucy... Lucy? – mówi do mnie ta sama kobieta i informuje doktora Leo: – Otworzyła oczy. Powróciła do rzeczywistości.

– Utrzymajmy ją w tym stanie. Nie może zapadać w drzemkę. Ogranicz sedację do minimum – poleca jej lekarz.

Gdzie są moi rodzice? – zastanawiam się. Chcę ich zobaczyć. Boję się.

– Lucy, staraj się ze wszystkich sił nie zasnąć, dobrze? – prosi mnie łagodnym głosem doktor Radnor. – To nie potrwa już zbyt długo.

Co nie potrwa już zbyt długo? I co potem nastąpi? – zadaję sobie pytania.

– Okej, kontynuujemy pracę. Zaczynam od ustabilizowania zdolności motorycznych pacjentki – wydaje dyspozycję.

Czuję, że jakaś aparatura bada moją głowę. Na szczęście to bezbolesne, choć drgają mi palce u rąk.

– Jest ruch palców – raportuje jeden z członków zespołu.

– Tak – potwierdza doktor Radnor. – Widzę na monitorze. Znaleźliśmy właściwy obszar, lecz potrzebujemy czegoś więcej niż wywołanie odruchowej reakcji. – Po tych słowach mówi: – A teraz, Lucy, unieś prawą rękę. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Spoglądam na rękę. W miejscu, gdzie igła od kroplówki wbija się w żyłę, skóra jest nabrzmiąta i zaczerwieniona. Próbuję unieść rękę. Niestety, nie reaguje, jakby w ogóle nie była przyczepiona do mojego ramienia. Nie mogę nią poruszyć. Nagle czuję szarpnięcie i nacisk na głowę.

– Spróbuj ponownie – poleca mi doktor Radnor.

Świdruję rękę spojrzeniem, pragnąc to zrobić. Zaczynam czuć w niej mrowienie, jakby powracała do życia. Unoszę ją nieznacznie, mając wrażenie, że lewituje. Dotykam palcami przezroczystego plastikowego prześcieradła, które wydaje się zawieszona wokół mnie. Próbuję sięgnąć dalej. Jednak nie mogę, bo coś ściska mi głowę.

– Wspaniale, Lucy, ale staraj się nie ruszać głową – chwali mnie doktor Leo i pyta: – Czy

teraz odczuwasz coś w stopach?

Gdy to mówi, czuję ukłucia w podeszwy. Próbuję powiedzieć „tak”, ale wydaję z siebie tylko warknięcie.

– Dobrze. Pielęgniarka właśnie ukłuła cię w nie igłą, aby sprawdzić czucie. Teraz zrobi to w okolicy szyi. Chciałbym, żebyś poruszyła palcami u nóg, okej? – wydaje mi kolejne polecenie.

Palce mojej nogi drżą, a po chwili zaczynają podrygiwać. Na bloku operacyjnym rozlega się radosny śmiech.

– Oznaczmy ten rejon. Grzeczna dziewczynka. Dobrze sobie radzisz. A teraz sprawdźmy poruszanie prawą nogą – kontynuuje doktor Leo.

Czym innym jest poruszać palcami, a czym innym nogą. Żeby doszło do tego drugiego, musiałby chyba wydarzyć się cud. Próbuję kilka razy, lecz noga ani drgnie. Dyszę tak, że moja maska tlenowa pokrywa się parą. Może za długo mnie reanimowali i przez to mózg został uszkodzony? Stał się niesprawny? Czy mnie „naprawiają” i dlatego spędzam ostatnich kilka dni na tym świecie uwięziona w pokawałkowanym ciele? Dlaczego moi rodzice im na to pozwalają?

Na bloku operacyjnym panuje wielkie napięcie. Członkowie zespołu niepewnie spoglądają to na monitor, to na moją nogę pod prześcieradłem. Ale doktor Leo się nie poddaje. Po każdej z moich prób pociąga mnie za kark i coś sprawdza, każąc mi wykonać czynność ponownie. Jestem wyczerpana i chce mi się spać, mimo to on domaga się ode mnie działania.

– Spróbuj jeszcze raz – poleca mi chyba po raz setny.

Tym razem mi się udaje i wraz z nogą poruszam prześcieradłem. W sali rozlega się aplauz. Ludzie przybijają piątki. Zastanawiam się, dlaczego są tak podekscytowani. Czyżby doktor Leo mnie wyleczył? Uwolnił od raka?

– Dopóki jej stan jest stabilny, powinniśmy sprawdzić jeszcze inne funkcje – oznajmia Radnor.

Zaczynam się czuć jak małpa w cyrku. Nie chcę już robić nic więcej. Pragnę tylko, by zostawili mnie w spokoju. Bardzo chce mi się spać. Ludzie przybliżają się do mnie, sprawdzając monitory i poprawiając kroplówkę. Dostrzegam stojący obok mojego drugi stół operacyjny. Leży na nim coś przykryte prześcieradłem. Wytężam wzrok, starając się to coś rozpoznać. Od strony głowy prześcieradło jest nasiąknięte krwią, która kapiąc na podłogę, zamieniła się w ciemnoczerwony skrzep. Co się dzieje? – zastanawiam się. Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, z jakiego powodu mnie operują? Gdzie moi rodzice? Muszę się stąd wydostać!

Zmuszam się do pochylenia głowy do przodu, choć to niczemu nie służy, ponieważ nogi ledwie drgają, gdy chcę się rzucić do ucieczki. Pragnę, by ci ludzie przestali się mną zajmować. Krzyczę na nich, lecz z mojego gardła wydobywa się tylko rozpaczliwe kwiczenie, jakbym była prowadzonym na rzeź prosiakiem.

– Jej tętno gwałtownie przyspiesza, a ciśnienie spada. Zaraz wpadnie we wstrząs! – niepokoi się doktor Leo.

Wydaje mi się, że lada moment serce wyskoczy mi z piersi. Wszystko wokół mnie zaczyna wirować. Czuję się jak Alicja wpadająca do króliczej nory. Słyszę wydawane nerwowo polecenia. Na bloku operacyjnym wybucha panika.

– Przeprowadzanie dalszej oceny jest zbyt niebezpieczne. Stracimy ją. Natychmiast wyłączyć jej świadomość i będziemy zamykać – poleca doktor Leo.

Czuję, jak do moich żył włączają jakiś płyn. Nie mogę im pozwolić mnie uśpić. Co jeszcze mi zrobią? Staram się nie zamykać oczu, choć moje powieki są ciężkie jak ołów. Muszę pozostać w stanie czuwania. Muszę... pozostać...

ROZDZIAŁ 3

SPOCZYWAJ W POKOJU

Przed otwartym grobem stoi namiot. W środku tłum siedzących w rzędach ludzi. Wiatr wydyma go tak mocno, że panie przytrzymują dłońmi czarne kapelusze, aby nagły podmuch nie zerwał ich z głów. Zebrani wstrzymują oddech, gdy wiatr potrząsa ogromnym zdjęciem dziewczyny zawieszonym obok zamkniętej trumny. Rozlegają się kościelne hymny.

Z przodu siedzi starsza pani. Wspiera się na ramieniu olśniewającej kobiety w średnim wieku. Po każdej modlitwie pastora mówi „amen” głosem bardziej donośnym niż inni.

Mak stoi z zaciśniętymi ustami z dala od wszystkich. Nie ma ochoty śpiewać na cześć kogoś, kto zabrał jej przyjaciółkę.

Gdy karawaniarze zdejmują trumnę z katafalku i stawiają ją na belkach nad otwartym grobem, pastor mówi o odkupieniu grzechów. Bierze głęboki wdech i wygłasza słowa z modlitewnika: „Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz, z niezawodną i pewną nadzieją zmartwychwstania do życia wiecznego, przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, który przemieni ziemskie ciała, aby były zgodne z jego ciałem niebieskim!”^[1].

Po chwili karawaniarze wyciągają spod trumny belki i powoli opuszczają ją na sznurach do grobu. Makaylą wstrząsa bezgłośnie łkanie. Obserwuje, jak babcia zmarłej dziewczyny szlocha, kurczowo trzymając się córki, a ta wyciąga rękę, chcąc dotknąć swojego męża, lecz on odsuwa się od niej z kamienną twarzą. Wierni powoli przesuwają się w stronę grobu, by ofiarować w intencji zmarłej cichą modlitwę i rzucić na jej trumnę bryłkę ziemi. Śpiewają kolejną pieśń.

Makayla też tam podchodzi, ale zaczyna się wahać.

– Trzymaj się, kochanie! – dodaje jej otuchy mama.

Dziewczyna zagląda do grobu, lecz wieko trumny jest już przysypane ziemią. Dostaje mdłości.

– Nie mogę – mówi i pospiesznie oddala się od namiotu.

ROZDZIAŁ 4

PRZEBUDZENIE

Potwornie boli mnie głowa. Czyżby doktor Leo nadal mnie operował? A może środek znieczulający przestał działać? O Boże, muszę powstrzymać tego człowieka! Otwieram gwałtownie oczy. Wszystko jest rozmazane, ale staram się zachować spokój, licząc na to, że po chwili będę widzieć wyraźnie. Irzeczywiście, powoli ukazuje się moim oczom łagodnie oświetlony pokój z oknem, za którym jest ciemno. Czyżby na dworze panował mrok? Już jest noc? Jak długo byłam nieprzytomna? Ile godzin? Dni? Tygodni?

Jestem teraz w łóżku, lecz nagle przypominam sobie stół operacyjny z leżącym na nim kształtem przykrytym poplamionym krwią prześcieradłem i kałużą zastygłej na posadzce krwi. Zaciskam oczy, żeby pozbyć się z pamięci tego widoku. Czuję się dziwnie, lecz nie powinnam wpadać w panikę. Po prostu muszę porozmawiać z doktorem Leo. On mi wytłumaczy, co się stało. I powinnam przyjrzeć się miejscu, w którym jestem, zwłaszcza że moja głowa nie jest już unieruchomiona. Mogę nią poruszać, choć przy najdrobniejszej zmianie pozycji czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie młotkiem w czaszkę.

Wygląda na to, że nadal przebywam w klinice. Znam ten pokój, tyle że obecnie jestem podłączona do licznych stojących przy łóżku monitorów. Sprawdzam ręce. Nadal nie wyglądają dobrze, choć zniknęły obrzmienia i zaczerwienienia skóry wokół miejsc wkłuc dożylnych, pomimo że wciąż jestem podłączona do kroplówek. Na twarzy nie mam już maski tlenowej, ale gdy wciągam do płuc ciepłe powietrze, czuję ból. Na oparciu stojącego przy łóżku krzesła dostrzegam szal mamy. To dobrze. Czuję wielką ulgę. Mama tu jest, troszczy się o mnie i dba o moje bezpieczeństwo.

Wcisnąm przycisk w ścianie. Niestety, pozostaje nieruchomy... Tylko wyobraziłam sobie tę czynność. Muszę go dotknąć. Koncentruję uwagę na ręce i wprawiam palce w ruch. Skupiam się jeszcze mocniej i zaczynam unosić rękę. Wyciągam ją, chcąc wcisnąć przycisk, jednak z powodu wykonania tego ruchu robi mi się słabo. Zaraz zwymiotuję! Powinnam usiąść. Próbuję się podnieść, ale bołą mnie mięśnie. Czuję się tak, jakby przejechał mnie pociąg. Nie dam rady. Leżę sztywno i patrzę w sufit, starając się nie dopuścić do torsji.

Teraz zauważam mrugające czerwone światło kamery zamontowanej u góry w rogu pokoju. Wpadam w panikę i próbuję krzyknąć, ale z moich ust wydobywa się zaledwie chrząknięcie. Co się ze mną stało? Mam uszkodzony mózg? Jestem po udarze? Czy dlatego prawie nie mogę się poruszać i mówić?

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi doktor Leo, a za nim członkowie jego zespołu i moi rodzice, na których widok zaczynam płakać.

Lekarz uśmiecha się do mnie radośnie.

– Wspaniale, że się obudziłaś! – wykrzykuje i zachęca współpracowników, aby podeszli bliżej i mnie obejrzel: – Zwróćcie uwagę na jej łzy i reakcję emocjonalną. Układ limbiczny funkcjonuje prawidłowo i nie widać oznak uszkodzenia nerwów twarzowych.

Mama wysuwa się do przodu i siada na łóżku. Wygląda strasznie, jakby nie przespała wielu nocy. Porusza drżącą dłonią nad moimi policzkami, ale mnie nie dotyka. Przygląda mi się uważnie, aż zaczynam się bać.

– Czy wiesz, kim jestem? – pyta drżącym głosem.

Dlaczego mnie o to pyta? – zastanawiam się. Oczywiście, że wiem, kim jest.

– Mamą – wydobywam z siebie.

– Tak, tak, jestem mamą – potwierdza i ze łzami w oczach pyta, wskazując dłonią tatę, który stoi z tyłu i wpatruje się w podłogę: – A to kto jest?

– Tata – odpowiadam, brzmi to niewyraźnie.

– Tak, tata. Och, Lucy, moja Lucy! – wykrzykuje mama i delikatnie całuje mnie w policzek.

Na pewno dostrzega malujący się na mojej twarzy strach. Muszę wiedzieć, o co tu chodzi. Powiedz mi, co się stało! – żądam w myślach. Wówczas pochyla się nade mną doktor Leo, uśmiecha się, jakby chciał mnie uspokoić, i mówi:

– Rozumiem, że jesteś zdezorientowana i mocno przestraszona, ale zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Przez jakiś czas byłeś w śpiączce farmakologicznej, aby móc łatwiej powrócić do zdrowia. Rozumiesz, przeszłaś poważną operację... pionierską... lecz wszyscy z optymizmem czekamy na jej rezultaty.

Jak on może tak mówić? Czy mnie nie widzi? Z pewnością jestem w gorszym stanie, niż byłam przed tą operacją.

– Nie martw się – oznajmia łagodnym tonem. – Jestem przekonany, że odzyskasz głos, a także pełną sprawność ruchową. Przeprowadziliśmy operację nie po to, by przedłużyć ci funkcjonowanie zaledwie o kilka tygodni czy miesięcy, lecz aby dać ci nowe życie, a dzięki rehabilitacji będziesz coraz silniejsza.

– Jakim cudem? Mam przecież raka! – stękam ze złością. Doktor Leo kłamie, gdyż moja choroba jest śmiertelna. Czyżby przeprowadził tę bezsensowną operację, aby podtrzymać u moich rodziców nadzieję, że odzyskam zdrowie?

Kręci głową podekscytowany, co widać w wyrazie jego piwnych oczu za okularami bez oprawek, i wyjaśnia:

– Kiedy byłeś w śpiączce i... zdrowiałaś, zrobiliśmy ci USG i inne badania. Dlatego zapewniam, że nie masz już raka. Wszystko poszło doskonale.

Gwałtownie wciągam powietrze do płuc. To nie może być prawda. Patrzę na mamę i tatę w oczekiwaniu, by potwierdzili jego słowa. Mama wygląda na uszczęśliwioną, tata natomiast ma tak poważną minę, jakby doktor Leo przekazał mi złą wiadomość.

– To prawda, kochanie. Nie jesteś już chora – mówi mama z entuzjazmem. – Doktor Radnor dokonał cudu.

Patrzę na niego z podziwem i znowu zaczynam płakać. Nie mogę wydobyć z siebie słowa, choć nawet gdybym *mogła*, nie potrafiłabym wyrazić mojej wdzięczności dla niego. Czuję wielką ulgę, że jestem wolna od choroby, która zabrała mi kilka lat życia, narażając mnie na wielki ból i strach. W jaki sposób podziękuję człowiekowi, który uchronił mnie przed śmiercią?

– W porządku. Nie musisz nic mówić. – Doktor dotyka mojej ręki i dodaje: – Teraz przez chwilę będziesz czuła ból. – Przyciska guzik na jednym z urządzeń.

Pod wpływem podawanego mi leku zapadam w sen.

Mama pochyla się nade mną, całuje mnie i zapewnia:

– Będziemy tu, kiedy się obudzisz.

– Powiedz Mak! Powiedz babci! – proszę z uśmiechem, aby łatwiej było jej zrozumieć moje słowa, ale chyba do niej nie dotarły, ponieważ nagle strasznie posmutniała.

ROZDZIAŁ 5

DZIEWCZYNA ZZA OKNA

Ktoś pociera moją rękę i głaszcze mnie po policzku. To delikatne dłonie mojej mamy.

– Lucy, Lucy – szepcze mi do ucha.

Czyżbym zasnęła do szkoły? Lepiej od razu wstanę. Ale gdy otwieram oczy i rozglądam się dookoła, jestem zdezorientowana. Znajduję się nie w mojej sypialni, lecz nadal w klinice. Zarazem serce mi rośnie na wspomnienie słów doktora Leo, że nie jestem już chora na raka, że odzyskałam zdrowie.

Teraz stoi przy mnie, spoglądając, podobnie jak jego współpracownicy, na piszczące monitory, a mama siedzi na krześle i się uśmiecha.

– Uciełaś sobie długą drzemkę, młoda damo – żartuje.

Straciłam poczucie czasu, choć wydaje mi się, że mama jest ubrana inaczej niż poprzednio. Tak jak wtedy, za oknem panuje mrok.

– Dziś wyglądasz zdecydowanie lepiej – mówi do mnie i zwraca się do taty: – Prawda, Lewis? – Przywołuje go skinieniem dłoni, jednak on nie rusza się z miejsca. Jest jak zwykle doskonale ubrany, lecz ma zaczerwienione oczy i wygląda na spiętego. Wydaje się, że wolałby być wszędzie indziej, byle nie tu.

Wpatruję się w niego, żałując, że nie podszedł. Chciałabym, aby podniósł mnie na duchu. Nie rozumiem, dlaczego jest taki przygnębiony.

Spoglądam na swoją sylwetkę. Wydaje mi się, że jestem... większa niż dotychczas. Najwyraźniej moje wychudzone ciało nabrzmiało z powodu zażywanych leków. Doświadczałam tego już wcześniej, kiedy pod ich wpływem rosło jak balon, a następnie się zapadało.

– Witam ponownie – odzywa się wesoło doktor Leo. – Posadzimy cię. – I każe to zrobić swoim współpracownikom.

Gdy mnie podnoszą, czuję ból, zwłaszcza głowy, jakby ktoś dźgał mnie w czaszkę.

– Nasza fizjoterapeutka, Kate, pracowała nad twoim ciałem, kiedy byłaś w śpiączce. Mówi, że pozytywnie reagowało – informuje mnie doktor Leo.

Krzywię się, gdyż nie podoba mi się pomysł, aby ktoś „pracował nad moim ciałem”, kiedy jestem tego nieświadoma – nie wiem, co ze mną robią, i nie mogę przeciwko temu zaprotestować.

– Czujesz ból? – pyta doktor Leo.

– Ta-ak – wystękuje.

Podnoszę ręce bez specjalnego wysiłku i kładę je na mojej łysej głowie. Badając ją palcami, gwałtownie wciągam powietrze do płuc, gdyż wymacuję tam klamry, także na karku, wzdłuż kręgosłupa. Na myśl, że doktor Leo najwyraźniej dokonał trepanacji czaszki, przesywa mnie dreszcz. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, jak obecnie ona wygląda.

– Dlaczego? – pytam bardziej już ludzkim głosem o powód trepanacji.

Mama się waha i patrzy wymownie na doktora Leo, chcąc, by to on udzielił mi odpowiedzi. Następnie się cofa, a on wysuwa się przed nią.

– To była najważniejsza część operacji – odpowiada lekarz, nalewając wody do kubka i stawiając go na stoliku w zasięgu mojej ręki. – Dostrzegam poprawę twojego głosu, ale powinnaś nawilżyć gardło. Sięgnij po kubek.

Muszę odzyskać głos, zrozumieć, co się stało, więc robię, co mi każe, choć moje ciało stawia opór. Gdy wykonuję tę czynność, lekarz najwyraźniej mnie ocenia. Najpierw nie trafiam

dłonią w kubek, a potem go potrącam, więc przewraca się i woda wylewa się na podłogę.

– Nie przejmuj się tym – mówi, ponownie napełniając kubek. – Prawą ręką będzie ci łatwiej.

Ale ja jestem leworęczna, więc uważam, że będzie mi trudniej. Mimo to skupiam się i chwytam kubek prawą ręką. Rzeczywiście jest łatwiej. Skąd on to wiedział?

Zadowolony kiwa głową. Otwiera szafkę z lekami w rogu pokoju, wyjmując z niej dwie małe pastylki i mówi do mnie:

– Połknij je i popij wodą. To silne środki przeciwbólowe. Uśmierzą twój ból głowy. Po operacji mózgu pacjent może początkowo odczuwać spory dyskomfort, ale dzięki tym pastylkom potrafimy nad nim panować, dopóki sytuacja nie wróci do normy.

Z wahaniem wkładam jedną pastylkę do ust i wypijam łyk wody. Ale tabletkę utyka mi w gardle niczym kamyczek, więc w panice wypijam więcej wody. Gdy udaje mi się ją przełknąć, kaszlę i chrypię.

– Dobrze – mówi doktor Leo. – A teraz zażyj następną. Przekonasz się, że pójdzie ci łatwiej.

Ma rację. Ta druga bez problemów przechodzi mi przez gardło.

Mama patrzy na mnie rozpromieniona i chwali mnie:

– Dobrze sobie radzisz, kochanie.

– Myślę, że powinnaś się przejść – oznajmia doktor Leo. – Kate poddała cię bardzo skutecznej fizjoterapii, ale im dłużej będziesz leżała w łóżku, tym większe prawdopodobieństwo, że w żyłach zrobią ci się zakrzepy.

Chyba nie oczekuje, że bym wstała? Nie jestem jeszcze na to gotowa! Spoglądam w panice na mamę, lecz ona się uśmiecha i kiwa głową.

– Nie ma się czego bać. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie uważał, że dasz radę chodzić – zachęca doktor Leo, pochylając się nade mną, i ostrożnie odłącza mnie od kroplówek, a następnie od monitorów. Ściąga ze mnie prześcieradło i powoli opuszcza moje nogi z łóżka, tak że po chwili znajdują się tuż nad podłogą.

– Okej, stań! Przytrzymam cię, jeśli będzie trzeba – obiecuje.

Gdy ubrana w szpitalną koszulę stawiam stopy na podłodze, wszyscy w pokoju wstrzymują oddech. Odpycham się rękami od materaca i wstaję z łóżka. Po chwili znowu siadam, zlana potem.

Doktor Leo cmoka rozbawiony, widząc, jaka jestem sfrustrowana.

– Nie poddawaj się, zanim jeszcze nie zaczęłaś chodzić – mówi, bierze mnie za rękę i stawia na podłodze. Po długiej chwili mnie puszcza, a gdy pochylam się do przodu, woła: – Wyprostuj się!

Ma rację, gdyż jestem zgarbiona jak staruszka. Odchylam więc ramiona do tyłu i patrzę przed siebie, choć oddychanie staje się bolesne. Ale tak jest lepiej, jakby mój kręgosłup wskoczył na właściwe miejsce. Wow!

– Dobrze. A teraz zrób krok w moją stronę – poleca.

Chcę iść. Niestety, moje stopy stoją w miejscu, więc lekarz mnie podtrzymuje, że bym nie upadła.

– Każ im ruszyć do przodu – mówi.

Patrzę na niego zdeorientowana.

– Musisz w głowie wydać stopom polecenie, by to zrobiły – tłumaczy.

Puszcza mnie i powoli znowu staję prosto. Z czoła spływa mi do oczu pot. Czuję go również pod pachami.

„Potrafię... to... zrobić” – mówię do siebie w myślach i wyobrażam sobie obie stopy, jak

wykonują ruchy. „Prawa stopa krok do przodu”. Podekscytowana patrzę, jak wykonuje ruch. „Lewa stopa krok do przodu”. Również ona wykonuje ruch. „A teraz obie stopy idą!”. Ruszam z miejsca. Chwieję się i łapię równowagę, jakbym znajdowała się w łódce w czasie gwałtownej burzy. Instynktownie wyciągam ręce do przodu, na wypadek gdybym miała upaść, ale nogi stoją sztywno jak metalowe pręty.

Doktor Leo idzie przodem do mnie, cofając się z wyciągniętymi rękami, jak ojciec uczący dziecko chodzić.

– Rozluźnij kolana. Zegnij je. Powiedz im, co mają robić. Przejmij nad nimi kontrolę – instruuje mnie.

„Przejmij kontrolę! Przejmij kontrolę!”. Mówię moim stawom, aby nie były takie sztywne, a mięśniom, aby się rozluźniły. I od razu przestaję szurać, lecz zaczynam odrywać stopy od podłogi. Niestety, nadal się chwieję i wpadam na mamę, ale ona przesuwa mnie z powrotem na moją trasę, jakbym była gokartem. Z każdym kolejnym krokiem moje napięte i obolałe mięśnie stają się bardziej elastyczne. Nawet ból głowy słabnie. Idę coraz pewniej i okrążam pokój, bardzo tym podekscytowana. Skoro tak szybko robię postępy, to łatwo sobie wyobrazić, jaka będę sprawna po zajęciach z fizjoterapii i ćwiczeniach fizycznych. Na myśl o tym zaczynam się śmiać, choć czuję napięcie mięśni klatki piersiowej, a z mojego gardła wydobywa się coś przypominającego gęganie. Mama też zaczyna śmiać się i płakać z radości.

– Lewis! Lewis! Spójrz na nią. To niewiarygodne, prawda? – zwraca się do taty, lecz on nadal jest tak bardzo poważny i spięty, że nie mogę tego znieść.

Muszę go uścisnąć. Powinien wiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Nie będzie już musiał przejmować się moją sytuacją. Było mi przykro, że przez cały czas pracuje, ale robił to dla mnie. Robił to po to, aby było nas stać na tę... cudowną operację. Podchodzę do niego chwiejnym krokiem i padam mu w ramiona.

– Dziękuję, tato – mówię chrapliwym głosem, obejmując go za szyję, jednak on nie odwzajemnia mojego uścisku, tylko sztywnieje. Dodaję więc: – Wszystko w porządku. – Ale wciąż jest smutny, jakby zaraz miał się rozplakać. Zastanawiam się, co jest nie tak.

– Lewis, nie! – krzyczy mama, widząc, że tata zdejmuje z szyi moje ręce i się cofa.

Tracę równowagę i aby nie upaść, przytrzymuję się parapetu okna. Nagle dostrzegam stojącą na zewnątrz w mroku dziewczynę, która zagląda przez szybę do pokoju. Budzi we mnie lęk, bo wygląda jak zjawą, jakby przybyła z innego świata. Jest ubrana w szpitalną koszulę, wyższa ode mnie i długonoga. Ma ogoloną głowę i niebieskie, jak ja, oczy, lecz gęstsze rzęsy na opadających powiekach i małe usta o wydatnych wargach, a twarz w kształcie serca, bladą i posiniaczoną. Wygląda, jakby została pobita. Sprawia wrażenie zdziwionej i zdezorientowanej. Zastanawiam się, co ona tam robi. Macham do niej, a ona odpowiada mi tym samym... Nie... Nie odpowiada, ona robi to w tym samym czasie! Macham ponownie, lecz i tym razem ona robi to... w tym samym czasie. Jak to się dzieje? – zastanawiam się. Dotykam szyby i ona też jej dotyka. Przesuwam po twarzy dłońmi i patrzę przez palce, a ona równocześnie wykonuje każdy mój ruch. To wcale nie jest zabawne. Chyba zaraz zwariuję.

– Przestań! – krzyczę i widzę, że ona krzyczy to samo w tym samym czasie.

Boże, ta dziewczyna jest niesamowita. Jak ona to wszystko robi? Już wiem, jak sprawić, by przestała mnie naśladować. Podnoszę leżącą na parapecie teczkę z informacją medyczną na mój temat i zamykam oczy. Jestem przekonana, że ona nie może powtórzyć tego gestu, bo po jej stronie nie ma teczki. Ale gdy otwieram oczy, widzę, że trzyma w dłoniach tę samą teczkę, z moim imieniem i nazwiskiem na okładce, tyle że odwróconą w drugą stronę. Myślałam, że tym razem ją przechytrzę, ale znowu mi się nie udało. Gwałtownie wciągam powietrze do płuc, wypuszczając z rąk teczkę i zasłaniając usta dłońmi, a ona robi to samo.

– Widzicie ją? – pytam rodziców.

Nie odpowiadają. Tata patrzy na mnie ze współczuciem, a pobladła mama zaciska usta.

Odmawiam bezgłośnie modlitwę, by Opatrzność uwolniła mnie od tej dziewczyny. Niestety, odwracając się do okna, widzę, że ona wciąż tam jest. Wygląda na przerażoną. W tym momencie uświadamiam sobie, co się dzieje, i zaczynam trząść się ze śmiechu, ona też. Mam halucynacje. Zostałam tak nafaszerowana lekami, że nie panuję nad umysłem. To jest nieszkodliwe. Równie dobrze mogłabym zobaczyć w tym pokoju latającego różowego słonia. Pokazuję dziewczynie język, a ta oczywiście robi to równocześnie ze mną. Podobnie z pstryknięciem palcami. Nie mogę powstrzymać śmiechu, choć wszystko mnie od niego boli.

Doktor Leo kładzie mi ręce na ramionach i prowadzi mnie do łóżka, gdzie siadam.

– Proszę nie dawać mi więcej żadnych leków, bo miesza mi się od nich w głowie – wykrztuszam kolejne słowa.

Jednak doktor zachowuje powagę, przykuca naprzeciwko mnie, bierze mnie za rękę i mówi:

– Wyjaśnię ci coś, ale musisz zachować absolutny spokój.

Jego ton głosu sprawia, że natychmiast przestaję się śmiać i ogarnia mnie strach.

– Dobrze – przyrzekam.

Wyjmuję z kieszeni lusterko i przystawia mi do twarzy. Tym razem wyraźnie i w kolorze widzę odbicie dziewczyny zza okna, która ukradła mi oczy. Najeżony klipsami chirurgicznymi szew wokół ogolonej czaszki wściekle pulsuje. Dziewczyna ma duże czerwone usta i błyszczące oczy, a tuż nad prawym okiem starą bliznę, która przecina gęstą ciemną brew. Jej twarz w kształcie serca jest pokryta zanikającymi sińcami.

– To nie jest rzeczywista postać – stwierdzam po chwili. – Istnieje tylko w mojej głowie.

– Nie, nie masz halucynacji. Ona jest rzeczywista. Jest tobą – oznajmia z naciskiem lekarz.

Dziewczyna w lusterku wygląda na wściekłą. Krzywi usta i mruży oczy.

– Pan kłamie! – krzyczę.

Mama podchodzi do łóżka, siada przy mnie i mówi:

– Posłuchaj, Lucy. Wiem, że to dla ciebie niewyobrażalnie trudne, ale bądź dzielna. Wszystko jest w porządku. Nie musisz się niczego obawiać. Doktor Radnor nie kłamie. Dziewczyna, którą widzisz w lusterku, to ty.

Gapię się na tę dziewczynę. Ona patrzy na mnie zszokowana. Ma otwarte z przerażenia usta. Wykrzywia twarz, gdy z jej gardła wydobywa się zduszony krzyk.

ROZDZIAŁ 6

UWIĘZIONA W CUDZYM CIELE

Kiedy tak krzyczę histerycznie, nie mogąc złapać tchu, podbiega do mnie ktoś z personelu i przytrzymuje. Moi rodzice stają w kącie pokoju, a doktor Leo wbija mi w rękę igłę i robi zastrzyk, informując cichym głosem:

– Nie chcemy, żebyś zrobiła sobie krzywdę. Dzięki temu się uspokoisz. Nie martw się teraz.

Moje sztywne ciało powoli się rozluźnia i przestaje stawiać opór, choć wciąż jestem trzymana. Rozum mi podpowiada, że nadal powinnam być w panicznym strachu, mimo to jakoś nie potrafię. Spokój został mi narzucony i nie mogę nic z tym zrobić.

– Grzeczna dziewczyna – chwali mnie doktor Leo i poleca: – Usiądź. – Daje mi znak ręką, abym się odprężyła, i każe członkom zespołu odsunąć się od łóżka. Następnie zachęca mnie do napicia się wody, co robię, bierze głęboki oddech i dodaje: – Wszystko ci wyjaśnię i odpowiem na twoje zapewne liczne pytania, ale teraz po prostu postaraj się mnie wysłuchać i nic nie mów. Musisz wiedzieć, że zostało to zrobione za zgodą twoich rodziców, aby uratować ci życie. Ale zanim ci wszystko wytłumaczę, powinnaś zrozumieć najważniejsze: mimo tego, co się stało, ty to nadal ty.

Zastanawiam się, co on mówi. Dlaczego tak zagadkowo? Co moi rodzice pozwolili mu ze mną zrobić?

Siada koło mnie na łóżku, patrzy mi w oczy i mówi:

– Wiesz, że twój rak był nieuleczalny i w każdej chwili mogłaś umrzeć. A masz dopiero szesnaście lat, o wiele za mało, by się pożegnać z tym światem. Twoi rodzice zgłosili się do mnie, ponieważ dowiedzieli się, w czym się specjalizuję. Zrozumieli, że nikt nie może cię wyleczyć, a ja od dziesięcioleci pracuję nad metodą, która daje ludziom szansę na drugie życie. I obecnie, po latach eksperymentów, odniosłem w twoim przypadku sukces. – Doktor Radnor z trudem ukrywa radość.

– Co pan zrobił? – pytam ledwo słyszalnym głosem.

– Przeszczepiłem twój mózg, nietknięty przez nowotwór, do ciała dawczyni – odpowiada.

Patrzę na niego w osłupieniu. Czuję się otępiała. Słyszałam, co powiedział, ale tego nie rozumiem.

– To uratowało ci życie – tłumaczy. – Wszystko wskazuje na to, że operacja zakończyła się sukcesem. Zdołałem nawet zachować twoje oczy, a oczy, jak się mówi, są zwierciadłem duszy.

„Te niebieskie oczy, które widziałam w lusterku? – zastanawiam się. – Czyżby chciał powiedzieć, że tylko tyle ze mnie zostało?”

– Niewielu uczonych próbowało wykonać tę operację i wszyscy ponieśli porażkę – kontynuuje doktor Leo. – Dlatego w społeczności naukowej przeważają głosy, że nie może się ona udać. Jednym z największych wyzwań jest połączenie mózgu biorcy z kręgosłupem dawcy. Bez tego operacja jest bezużyteczna, gdyż biorca nie może się poruszać, a jego narządy zmysłów nie funkcjonują. Zrobiłem to, czego wcześniej nie udało się zrobić nikomu. – Spogląda na mnie, jakby liczył, że pogratuluje mu sukcesu, a nie doczekawszy się tego, dodaje podekscytowany: – Do stworzenia połączeń między tobą i ciałem dawczyni wykorzystałem twoje komórki macierzyste. Twój ośrodkowy układ nerwowy jest w pełni sprawny. A dzięki rehabilitacji nastąpi poprawa twojej sprawności ruchowej i funkcjonowania.

„Mój mózg znajduje się w ciele innej osoby?” – pytam siebie w myślach i rozchyłam szpitalną koszulę, ukazując nagie ciało.

– Nie teraz, Lucy. Okryj się – mówi na ten widok mama, robiąc gwałtowny wdech i rozglądając się za kocem.

Ignoruję ją i spoglądam w dół. Kształty są zaokrąglone, nie obwisłe, a ciało nie ma szarego, lecz kremowy kolor. Skóra nie jest cienka jak papier, pod którą widać sieć żył. Piersi nie wyglądają jak pęknięte balony, lecz są pełne i jędrne, a brzuch jest twardy i w żadnym miejscu się nie zapada. Włosy łonowe mają czarny kolor i wyglądają zdrowo. Nogi są szczupłe, ale umięśnione, szczególnie uda i łydki. Kości biodrowe nie wystają, a rzepki w kolanach nie sterczą jak muchomory. Zginam ręce w łokciach i pojawiają się małe twarde bicepsy. To ciało nie jest słabe, lecz silne. Nie znajduje się na granicy życia i śmierci.

– Czyje to ciało? – mruczę pod nosem oszołomiona.

– To nie ma znaczenia, ponieważ obecnie jest twoje – odpowiada stanowczym tonem lekarz.

– Nie! Proszę mi powiedzieć – domagam się, spoglądając na cudze wypielęgowane dłonie o długich palcach.

– Dawczyni. Dziewczyny w twoim wieku – informuje mnie.

– Zmarła nagle z powodu tętniaka – włącza się do rozmowy mama. Doktor Radnor patrzy na nią z gniewem, ale ona mówi dalej: – Oczywiście jej rodzice byli zdruzgotani, lecz zgodzili się ofiarować jej ciało, aby pomóc innym. Świadomość, że z tragedii, jaka ich spotkała, wyniknęło coś dobrego, przyniosła im wielkie pocieszenie. Rozumiesz dlaczego, Lucy, prawda?

„Mam ciało dziewczyny w moim wieku? Ofiarowane przez jej rodziców?” – myślę w kółko.

– Jak się nazywała? – pytam.

– Nie mogę ci powiedzieć – oznajmia doktor Radnor, kręcąc głową. – Przykro mi, ale tego rodzaju informacje są poufne. Nie dopuścilibyśmy nigdy do tego, żeby pacjent poznał szczegółowe dane w takiej sytuacji. Gdybyśmy postąpili inaczej, nadużylibyśmy czyjegoś zaufania.

Tracę oddech, bo nagle przypominam sobie nasiąkniętą krwią w miejscu głowy prześcieradło przykrywające jakiś kształt na bloku operacyjnym. Czy to byłam ja? To *musiałam* być ja!

– Gdzie jest *moje* ciało? Co się z nim stało? – pytam.

– Nie było już dla ciebie użyteczne – odpowiada łagodnie doktor Leo.

– Nie ma go już. Zostało pochowane – informuje mnie cichym głosem mama. – Urządziliśmy pogrzeb. Byli na nim wszyscy, którzy cię kochali. Przyszli się z tobą pożegnać.

Pogrzeb? Powinnam znowu wpaść w histerię, jednak oddycham miarowo, ponieważ lekarstwo działa.

– Ale ja nie umarłam. Dlaczego powiedzieliście wszystkim, że tak się stało? – pytam znowu.

– Nie umarłaś, ale... ale... Rozumiesz, Lucy... – Mama nie jest w stanie dokończyć zdania, patrzy błagalnym wzrokiem na tatę i mówi: – Lewis, proszę cię, pomóż mi.

Sztywny z powodu stresu tata podchodzi bliżej i wyjaśnia:

– Wszyscy myślą, że nie żyjesz. Wiedzieli, jak ciężko byłaś chora. Spodziewali się twojej śmierci. Musieliśmy szybko urządzić pogrzeb, aby mieć pewność, że nikt nie będzie o nic pytał.

– Głos mu się łamie.

Doktor Leo patrzy na mnie z powagą i mówi:

– To rewolucyjna operacja, wyprzedzająca swój czas. Nawet przed pierwszymi

przeszczepami narządów istniały moralne obiekcje, podsycane przez ignorancję i podejrzliwość. My, naukowcy, musimy niekiedy czekać, aż społeczeństwo osiągnie nasz poziom. Z chwilą kiedy ludzie dowiedzą się, że dokonałem takiego przeszczepu, uznają, że przyszłość należy do tego rodzaju niesamowitych operacji, że dzięki nim zostanie uratowane życie niezliczonej liczby osób, które umarłyby przedwcześnie. Niestety, nie możemy czekać latami na zgodę komisji medycznych i uregulowania prawne, których końca nie widać, więc to, co zrobiłem, by uratować ci życie, jest w świetle prawa nielegalne.

– Czy musi pan teraz ją tym obciążać? – protestuje mama. – Nie uważa pan, że ma już dość informacji do przyswojenia?

– Najlepiej, żeby od początku wiedziała, w jakim punkcie się znajdujemy – oznajmia doktor Leo, uciszając mamę i zwracając się do mnie: – Pragniesz zrozumieć swoją sytuację, nieprawdaż, Lucy? Nie chciałabyś, żebym zataił przed tobą fakty? Jeśli prawda o tej transplantacji wyjdzie na jaw, twoi rodzice i ja zostaniemy aresztowani i zostaniesz sama. Są na świecie ludzie, którzy chętnie wykorzystaliby cię do swoich celów, ale my będziemy cię przed tym chronić. Zapewnimy ci bezpieczeństwo. Niestety, ze względu na siebie i swoich rodziców nie możesz nikomu powiedzieć, kim jesteś.

Chce mi się płakać, jednak łzy nie napływają mi do oczu.

– Skoro nie mogę być sobą, to kim jestem? – pytam go.

Mama mnie zakrywa i zapina moją koszulę.

– Wszystko jest jak trzeba – stara się mnie uspokoić. – Oczywiście zawsze będziesz naszą Lucy, jednak doktor Radnor załatwił dla ciebie nową tożsamość i nową historię życia. Ale nie myśl o tym w tej chwili.

Jest mi niedobrze.

– A co z babcią i Mak? – pytam. – Nie będą wiedziały, kim jestem?

– Będziesz się z nimi spotykać, ale nie powiesz im, co się stało. Tak mi przykro, lecz to ze względu na ciebie. Nikt nie może poznać prawdy – odpowiada mama, unikając mojego spojrzenia.

– Dlaczego mi to zrobiliście? – chcę wykrzyzczeć, jednak głos zamiera mi w gardle.

– Ponieważ cię kochamy, Lucy, i nie mogliśmy dopuścić do twojej śmierci. – Po tych słowach mama obejmuje ciało tej obcej dziewczyny.

– Ale to nie jestem ja – oświadczam skonsternowana.

– Nie wolno ci tak myśleć – oznajmia stanowczym tonem doktor Leo. – To jesteś ty. Ciało dawczyni to tylko opakowanie, a tym, kim jesteś, czyni cię twój mózg i to, co on zawiera. Ocenę wszystko w czasie twojej rehabilitacji, na szczęście rokowania są pomyślne, gdyż wszelkie twoje myśli, wspomnienia, postawy i doświadczenia życiowe pozostały nienaruszone i to *one* są tym, co nadal czyni z ciebie Lucy Burgess. Wszystkim rządzi twój mózg. Stworzy mapę twojego nowego ciała i przejmie nad nim kontrolę, więc będą funkcjonować jako całość, w sposób harmonijny. Wkrótce twój mózg i to ciało będą współdziałać w sposób tak naturalny, że zapomnisz, że nie jest to twoje oryginalne ciało. Musisz mi uwierzyć: nadal jesteś tą osobą, którą byłeś przed operacją.

Czuję, że wszyscy pozerają mnie wzrokiem, analizują każde moje słowo i zachowanie. Wiem, kim jestem: odmieńcem, fascynującym odmieńcem, którego obserwują z podziwem.

– Wynoście się stąd. Natychmiast – nakazuję im. Chciałabym krzyknąć, ale tylko mówię chrapliwym i załamującym się głosem.

Doktor Leo gestem dłoni wskazuje personelowi drzwi i oznajmia:

– Oczywiście. Potrzebujesz czasu, by to wszystko przetrwać.

– Ja zostaję – oświadcza mama, przysuwając do łóżka krzesło.

– Wyjdź! – wołam, spoglądając na nią z gniewem.

Chyba poczuła się dotknięta, z czego jestem zadowolona.

– Poczekam na zewnątrz, dopóki nie będziesz gotowa. Nie ma znaczenia, jak dużo czasu będziesz na to potrzebowała – zapewnia i pochyla się, żeby mnie pocałować, ale się uchylam.

Za wychodzącymi zamykają się drzwi i zostaję sama, żałując, że ten spokój, który zawdzięczam działaniu leku, kiedyś się skończy. Nie chcę poczuć, jak to jest być uwięzioną w ciele innej dziewczyny.

ROZDZIAŁ 7

REHABILITACJA

Wyglądam przez okno sali do rehabilitacji. Wiatr wieje coraz silniej. Wkrótce zacznie się burza piaskowa i w gorące powietrze wzbiją się tumany kurzu, które będą uderzać w szyby tak gwałtownie, jakby za chwilę miały je rozbić. Podmuchy wiatru podrywają piasek i rozrzucają go po ogrodzie kliniki, który nie jest zbyt imponujący. Ot, parę pustynnych krzewów walczy o przetrwanie w spękanej ziemi, a pod wysokim otaczającym klinikę murem stoi kilka ławek. Jest też wymyślna fontanna, której woda spływa kaskadą z marmurowego posągu jakiejś nagiej bogini. Powracam myślami do Mak i babci. Tak bardzo za nimi tęsknię. I martwię się o nie. Jak muszą się czuć, myśląc, że straciły mnie na zawsze?

– Renee, kontynuujemy? – pyta Tess.

Natychmiast wracam do rzeczywistości i jeżę się, słysząc moje fałszywe imię. Na początku protestowałam za każdym razem, gdy ktoś tak się do mnie zwrócił, ale po czterech miesiącach wiem, że nie przestanę tego robić. W porządku, mogą go używać, ale ja znam swoje *prawdziwe* imię.

– Jasne – odpowiadam.

Właściwie to jestem zadowolona, że mam z nią zajęcia z terapii mowy. Nie mogę się ich doczekać, podobnie jak zajęć fizjoterapii z Kate. Doktor Leo jest zdumiony moimi postępami i każe obu terapeutkom nakłaniać mnie do coraz większego wysiłku. Jedynym ubocznym skutkiem operacji wydaje się nieznaczne drżenie rąk. Na szczęście nie zdarza się to zbyt często i próbuję tę przypadłość bagatelizować. Nie chcę, by doktor Leo trzymał mnie tu miesiącami w celu dalszej rehabilitacji i przeprowadzania badań. Nie znoszę tego miejsca. Wymarłe miasto, w którym znajduje się klinika, działa na mnie klaustrofobicznie. Doktor Leo nie pozwala mi nigdzie chodzić. Nie pozwala mi nawet mieć telefonu komórkowego i korzystać z Internetu. Twierdzi, że to dla mojego dobra, a mama się z nim zgadza.

Byłoby mi lepiej w więzieniu, bo przynajmniej miałabym innych więźniów do rozmowy. A tu jestem skazana tylko na towarzystwo doktora Leo, członków jego zespołu i oczywiście mamy. Jak mogłabym o niej zapomnieć? Zamieszkała w pokoju w innym korytarzu i tak jak przed operacją ani na chwilę nie spuszcza mnie z oka. Tata przeciwnie, nadal mnie unika. Zawsze bardzo przeprosza i mówi, że nie może tu przyjechać, ponieważ ma mnóstwo pracy, lecz wiem, że kłamie. A kiedy już się tu *zjawia*, prawie na mnie nie patrzy. Kiedyś ludzie na mój widok mówili: „Wykapany tata”. W naszej rodzinie urodziwa jest mama. Ani tata, ani ja nie wygralibyśmy konkursu piękności, jednak to dzięki fizycznemu podobieństwu pojawił się między nami szczególny rodzaj więzi. Zawsze byłam córeczką tatusia. Niestety, od operacji on zdaje się *mnie* nie dostrzegać.

– No już, Renee, skup się – wyrywa mnie z zamyślenia Tess, udając, że jest sfrustrowana.

– Spróbuj oddychania torem brzuszny i wraz z każdym wydechem powiedz słowo „och”. Powtórz to dziesięć razy.

Lubię ją. Jest miłą kobietą w średnim wieku, opiekuńczą jak matka i przyjacielską, choć nie mogę powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółkami.

Biorę głęboki oddech i zaczynam powtarzać „och”, skrzeczając jak mała.

– Czy kiedykolwiek będę mówiła tak jak kiedyś? – pytam przygnębiona.

– Posłuchaj, poczyniłaś już wielkie postępy. Każde słowo brzmi wyraźnie. Twój głos stał się chrapliwy, ale to nie jest złe... Brzmi atrakcyjnie – przekonuje mnie Tess i się uśmiecha.

– Doktor Leo twierdzi, że wszystko znajduje się pod kontrolą mojego mózgu, że mogę skłonić to ciało... jej ciało do robienia tego, co chcę, lecz tak nie jest, prawda? – pytam pełną wątpliwości.

– Masz struny głosowe dawczynie, przez szesnaście lat kształtowane przez jej wymowę. Dlatego nigdy nie będą wydawać dźwięków brzmiących tak samo jak twój oryginalny głos. Mimo to potrafisz mówić wyraźnie i to jest ważne – tłumaczy Tess.

Zapewne po tym, co mi zrobił doktor Leo, powinnam być wdzięczna losowi za to, że w ogóle mówię, jednak świadomość utraty na zawsze *swojego* głosu jest przykra.

Mijają kolejne tygodnie, lecz na pustyni trudno określić porę roku. Na dworze cały czas panuje upał, jedynie co miesiąc zmienia się temperatura powietrza. Tęsknię za bujną roślinnością w ogrodzie wokół naszego domu. Wyobrażam sobie, jak gonię Arthura po wybiegach dla koni i jak idę do stajni zobaczyć Moonshine.

W sali do fizjoterapii pomagam Kate rozłożyć maty. Zawsze czuję się tu lepiej niż w innych pomieszczeniach kliniki, a spośród wszystkich znajdujących się tu osób najbardziej lubię właśnie tę kobietę. Wykonywane pod jej kierunkiem ćwiczenia są jak zabawa. Ścigamy się po sali na piłkach gimnastycznych albo rozwiesza siatkę i gramy w siatkówkę. Ale ważniejsze jest to, że wydaje się rozumieć, z jakim trudem odnajduję się w nowej sytuacji. Nie mówi mi, że mam szczęście, że powinnam dziękować Opatrzności za takie zakończenie mojej choroby. Po prostu nie oczekuje ode mnie, bym zaakceptowała swoje uwięzienie w cudzym ciele.

– Myślisz, że dasz radę sprawdzić, jak stoisz? Pomoże ci to zachować prawidłową postawę – przekonuje mnie łagodnie, wskazując dłonią ścianę luster.

– Nie, przykro mi – odmawiam i odwracam się. Nie mogę tego zrobić. Nie chcę jej zobaczyć. Muszę się starać zachować w pamięci obraz Lucy Burgess, a to znaczy, że nie będę patrzeć na tę dziewczynę, aby nie przypominać sobie, co mi zrobili. Poprosiłam doktora Leo o usunięcie z kliniki wszystkich lusterek, lecz jego zdaniem przeglądanie się jest dla mnie dobre, gdyż pomaga mi w „psychologicznym dostosowaniu się” do nowego ciała. Ale jak mogę się dostosować do bycia odmieńcem?

– Jak długo tu jestem? Mam poczucie, że od mojego przybycia minęły lata – skarżę się Kate.

– W piątek będzie sześć miesięcy – mówi ze współczuciem. – Wiem, że dla ciebie to wieczność, lecz rehabilitacja odnosi skutek. Spójrz na siebie! Osiągnęłaś nadspodziewaną sprawność ruchową. Wkrótce zrobisz użytek ze swojej zwinności.

– To nie jest moja zwinność, lecz jej, prawda? – ripostuję. – Nawet nie chodzę tak jak kiedyś.

Od początku było wiadomo, że jej stopy są lekko skierowane na zewnątrz. Stawiając je prosto, czuję ból i od razu same rozchodzą się na boki. Gdy mama to zauważyła, z zachwytem oznajmiła, że chodzę jak baletnica.

– Tego nie można zmienić, ale jest okej – mówi na to Kate. – Po prostu pozwól stopom stać tam, gdzie chcą, ponieważ tak są ułożone ścięgna i mięśnie.

– Nie chcę chodzić tak jak ona, lecz tak jak *ja!* – protestuję.

Jak kiedykolwiek jej ciało może być moim, skoro to ona ma nad nim władzę, dyktując mi sposób mówienia i chodzenia? Poza tym pamiętam, że w miesiącach poprzedzających transplantację podczas chodzenia dostawałam zadyszki i czułam się jak stuletnia staruszka. Czy każda minuta spędzona w bólu nie wydawała mi się długa jak całe życie? Czy każdego dnia nie byłam zbyt wyczerpana, by móc zrobić cokolwiek, być kimś? Miga mi w lustrze jej odbicie. Powinnam być wdzięczna tej dziewczynie. Niestety, nie mogę na nią patrzeć.

Gdy odwracam się od lustra, do sali wchodzi doktor Radnor w towarzystwie dwóch

nieznanych mi mężczyzn.

– Dzień dobry, Renee! Dobrze wyglądasz – chwali mnie z czarującym uśmiechem. – Ci dwaj panowie to moi koledzy. Chcieliby dowiedzieć się więcej na temat tego, co osiągnęliśmy, w czym bardzo im pomoże spotkanie z tobą.

– Nie jestem tego pewna, doktorze Leo – odpowiadam, czując się nagle bezbronna, bo widzę, jak badają mnie wzrokiem, gdy stoję przed nimi w koszulce bez rękawów i spodniach dresowych.

– Nie chcesz, by inni korzystali z tego, co osiągnęliśmy? – pyta zawiedziony moją reakcją.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Czyżbym była samolubna? Jestem po miesiącach badań. Powinnam być do nich przyzwyczajona. Niestety, te oglądziny odbieram inaczej.

– Dobrze się czujesz, Renee? – pyta Kate, ściskając mnie za rękę, jakby w ten sposób udzielała mi wsparcia.

– Nie wiem – odpowiadam drżącym głosem.

Terapeutka spogląda surowo na obcych mężczyzn, a następnie na doktora Leo, lecz on patrzy jej w oczy i prosi:

– Kate, zapewnij Renee, że wszystko jest w porządku.

– Jest okej – mówi do mnie z wahaniem Kate.

Niechętnie potwierdzam to skinieniem głowy.

– Dobrze, tylko się odpręż, Renee. Czy mogłabyś pochylić głowę, byśmy mogli ją obejrzeć? – prosi lekarz.

Gdy zaprasza obcych mężczyzn, by dotknęli blizn na jej czaszce, i szczegółowo objaśnia im przebieg operacji, czuję, jak policzki tej dziewczyny zaczynają płonąć. Ja nie mogę znieść samego widoku jej ciała, a teraz ci obcy mężczyźni je obmacują.

– Udało mi się zachować jej oryginalne oczy – obwieszcza z dumą doktor Leo, a oni z podziwem kiwają głowami.

Zachęca ich, by odwracali mnie w różne strony, a gdy przesuwają palce po jej kręgosłupie, każe mi się pochylić i rozciągnąć. Czuję się jak kawałek mięsa w sklepie rzeźniczym. Podczas tej inspekcji przybysze rozmawiają po cichu i z entuzjazmem coś notują. Doktor Leo obiecuje porozmawiać z nimi o mojej operacji, posiłkując się nagraniami wideo. Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Uważam, że Renee powinna odpocząć – interweniuje Kate, otaczając mnie ramieniem.

– Tak, masz rację. Nie chcę jej męczyć – potwierdza zadowolony lekarz i zwraca się do mnie: – Dziękuję, Renee. To było nieocenione.

Siedzę zgarbiona na krześle, spoglądając na mamę zajmującą miejsce po drugiej stronie stolika w stołówce kliniki. Mam już dość jej ciągłego towarzystwa w ostatnich miesiącach.

– Spróbuj ponownie. Powtarzaj za mną: nazywam się Renee Wodehouse. Urodziłam się pierwszego czerwca dwa tysiące drugiego roku w San Diego w Kalifornii – mówi do mnie zniecierpliwiona.

– Nazywam się Lucy Burgess. Urodziłam się czwartego sierpnia dwa tysiące drugiego roku w Houston w Teksasie – odparowuję.

Mama wzdycha ciężko i powtarza:

– Daj spokój. Nie możesz tego robić bez końca. Żebyśmy mogli ci pomóc, musisz tego chcieć. Nie będziemy mogli zabrać cię z kliniki, dopóki doktor Radnor nie uzna, że jesteś na to gotowa. Nie chcesz wrócić do domu i zobaczyć Arthura?

Spoglądam na nią z pogardą, bo wie, że cierpię, nie mogąc go zobaczyć. To okrutne z jej strony wykorzystywać go w celu wymuszenia na mnie czegoś.

– Nie patrz tak na mnie, Renee – strofuje mnie.
– To nie moje imię. Skoro jesteś moją matką, powinnaś o tym wiedzieć – oświadczam z gniewem.

– Doktor Radnor uważa, że najlepiej, gdy zwracam się do ciebie, używając tylko twojego przybranego imienia – argumentuje. – To pomoże ci przyjąć twoją nową tożsamość.

– Nie chcę żadnej nowej tożsamości – warczę.

– Ile jeszcze razy każesz mi przez to przechodzić? Wiesz, że nie masz wyboru – stwierdza z irytacją.

– Jasne. A czyja to wina? Zrobiliście to, nie pytając mnie o zdanie. Stworzyliście ze mnie odmieńca i teraz oczekujecie, że będę wam za to wdzięczna – wypominam mamie, widząc, że ta dziewczyna uderza palcami o blat stołu i znowu drżą jej ręce.

Mama ukrywa swój niepokój pod promiennym uśmiechem i radosnym głosem, gdy zapewnia mnie:

– Nie martw się. To minie. A teraz ćwicz. Kiedy się urodziłaś, Renee?

Próbuję zapanować nad drżeniem rąk, wypijając duszkiem szklankę coli.

– Widzę, że naprawdę polubiłaś jej smak – zauważa mama.

– Nie polubiłam. To ona go uwielbia. Jej kubki smakowe mają przewagę nad wspomnieniem tego, co lubiłam. Bo z jakiego innego powodu tak przepadałabym za keczupem, hamburgerami i kawą? Dotychczas ich nie znosiłam – protestuję.

– Powtarzam ci to od pierwszego dnia: musisz przestać mówić „ona” i „jej” – przestrzega mnie mama.

– Używałabym jej imienia, gdybym je знаła – warczę.

– Nie jest dobrze myśleć o tym ciele jako należącym do kogoś innego. Obecnie jest twoje. Należy do ciebie – protestuje mama.

– Nie, nie należy i nigdy nie będzie. Po prostu powinniście byli pozwolić mi umrzeć! – krzyczę.

– Zastanów się, co mówisz. *Naprawdę* tak uważasz? Że wolałabyś nie żyć?! – wybucha mama.

Waham się, jestem zakłopotana. Ma rację. Nie chciałabym być martwa, ale jak mogę żyć w taki sposób?

– Nie cierpię was za to, że mi to zrobiliście – syczę.

– Nie zamierzam mieć z tego powodu poczucia winy – odpowiada prowokacyjnie mama.

– Jesteś moim dzieckiem, więc zrobiłam to, co musiałam, aby ci uratować życie. I teraz od ciebie zależy, czy zmarnujesz tę niewyobrażalną drugą szansę, czy też ją wykorzystasz i zaczniesz nowe życie.

Chwytam szklankę po coli i rzucam nią o ścianę. Rozlega się trzask rozbijanego szkła. Patrzę na jej ręce. Są znowu spokojne. Nie mogę się powstrzymać przed czerpaniem przyjemności z siły tego ciała. Przebiegam obok mamy i idę pustymi korytarzami, mijając obszar ograniczonego dostępu, skąd prowadzi droga na blok operacyjny i do laboratorium doktora Leo. Drzę, przechodząc tamtędy pospiesznie. Idąc szybciej, czuję zapach jej ciała. Nie jest nieprzyjemny, nieco chorobliwie słodki, ale nie rozpoznaję go jako mój własny. Zanim mi to zrobili, kiedy leżałam złożona chorobą nowotworową, mój pot miał ostry zapach chemikaliów, jakby leki, które mi podawano w chemioterapii, wydostawały się ze mnie porami skóry, przyprowadzając mnie o mdłości. Próbuję sobie przypomnieć, jaki zapach miało moje ciało, zanim zachorowałam, i nie potrafię.

Wchodzę do mojego pokoju, z trzaskiem zamykam za sobą drzwi i zaciągam żaluzje w oknie, by nie raziło mnie słońce. Następnie udaję się do łazienki, odkręcam kurek w kabinie

prysznicowej i rozbieram się z zamkniętymi oczami, nie świecąc światła, lecz wsłuchując się w szum spływającej po posadzce wody. Gdy wchodzę pod prysznic, ciepła woda strumieniami oblewa jej ciało, smagając mięśnie i przynosząc mi odprężenie. Z plastikowej butelki wyciskam na dłoń lawendowy żel pod prysznic i wmasowuję go dłońmi w głowę. Czuję pod palcami miękkie krótkie włosy, które zaczęły odrastać po operacji. Jej włosy próbują odzyskać jej głowę. Przesuwam opuszkami palców po wystającej ponad powierzchnię czaszki bliznie pooperacyjnej. W tym miejscu jej nie odzyskają, gdyż tu nigdy nie wyrośnie już żaden włos. Z zamkniętymi oczami dotykam tyłu głowy. Górny odcinek kręgosłupa trzeszczy, ale nie boli. Woda spływa strumieniami po jej twarzy. Ignoruję wewnętrzny głos, który bez przerwy mi mówi, że to nie jest moje ciało, i pozwalam, by to doznanie mną zawładnęło. Pokrywam jędrne ciało pieniącym się żelem, przesuwając dłonie po gładkich rękach, piersiach, brzuchu, udach i pośladkach. Moje ciało nigdy takie nie było. Gdy zachorowałam, ledwie zaczęło się u mnie pokwitanie. A od trzynastego roku życia moją sylwetkę kształtował rak oraz lekarstwa, które miały powstrzymać jego rozwój. Moje prawdziwe ciało mogłam zobaczyć tylko w okresie remisji, kiedy pojawiły się obiecujące oznaki zdrowia, zanim znowu zostało mi ono zabrane. Dotykam jej pach, gdzie wyczuwam pod palcami sterczące odrastające włoski, podobnie jak na łydkach. Na palcach u nóg mam dłuższe niż przedtem paznokcie. Jestem przerażona i zatrwożona tym, jak jej ciało nadal żyje ze mną w środku. Otwieram oczy i unoszę dłonie, nagle nie chcąc jej dotknąć. Zakręcam kurek i wkładam szlafrok. Wracam po omacku do pokoju, wchodzę do łóżka i przykrywam się kołdrą. Podciągam jej kolana pod brodę i z zamkniętymi oczami staram się przywołać wspomnienia, aby pamiętać, kim jestem. Przychodzi mi to łatwo.

Czuję zapach wysokiej choinki stojącej w naszym salonie, rozbłyskującej bombkami i lampkami. Na dworze panuje mrok. Mam dziesięć lat. Ubrana w puszystą piżamę stoję wśród prezentów. Tata idzie do mnie, niosąc duże pudełko z czerwoną kokardą, i kładzie je ostrożnie przede mną. Niecierpliwie rozrywam papier i otwieram. Widzę czarny nos. Pudełko zaczyna się przechylać, bo gramoli się z niego szczeniaczek o złocistej sierści i zwisających uszach. Gdy wydostaje się na zewnątrz, skacze na mnie, liże mnie po twarzy i szczeka. Czegoś tak uroczonego jeszcze nigdy nie widziałam. To Arthur.

Mój pierwszy dzień w Bailey Heights. Jestem głupiutkim dzieciakiem z aparatem ortodontycznym na zębach. Mama podwozi mnie do szkoły, ale ja nie chcę wsiąść z samochodu. Przy wejściu kłębi się tłum uczniów. Wyglądają na starszych, wyższych i fajniejszych ode mnie. Jak to się dzieje, że wszystkie dziewczynki są takie ładne? Odgarniają włosy z twarzy i śmieją się wraz z chłopcami. Czuję się przy nich jak gość z innej planety. Mama całuje mnie na pożegnanie i mówi, abym nie była niemądra. Otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Niestety, owija mi się wokół kostek u nóg pasek od plecaka, więc przewracam się na ziemię. Gdy próbuję wstać, słyszę śmiech przechodzących obok dzieci i mam ochotę umrzeć. Ale nagle czuję na sobie czyjeś ręce i ktoś pomaga mi stanąć na nogi.

– Nic ci nie jest? – pyta śliczna pulchna dziewczynka.

– Nic, tylko czuję się głupio – mamroczę pod nosem.

– Nie przejmuj się tym. Przed chwilą wszyscy widzieli, jak moja mama płakała i wołała: „Powodzenia, dziecinko!”. To dopiero jest głupie.

Śmiejemy się i wchodzimy razem do szkoły: ja i Mak, papużki nierozłączki.

Uciekając w świat wspomnień, czuję się szczęśliwa. Odprężona. Ale mój oddech staje się cięższy. Zapadam w drzemkę.

Patrzę na nią. Urosły jej włosy. Opadają na ramiona i plecy jak hebanowa grzywa. Na twarzy w kształcie serca nie ma najmniejszej skazy. Jest w niej łagodność. W wyrazie jej oczu... moich oczu widać spokój i rozleniwienie.

– *Oddaj mi je – proszę, bo nadszedł czas, by zażądać ich zwrotu.*

– *Oczywiście, Lucy – odpowiada głosem pełnym słodyczy.*

Sparaliżowana strachem obserwuję, jak paznokciami wydlubuje sobie oczy i podaje mi galaretowate gałki oczne, a z jej pustych oczodołów płynie krew.

Budząc się, gwałtownie wciągam do płuc powietrze i zrzucam z siebie pościel. Jestem bliska płaczu. Po chwili w zaciemnionym pokoju rozlega się moje łkanie, jakby pękła we mnie jakaś tama.

Do pokoju wchodzi doktor Leo i zapala światło.

– Zasnęłam i przyśniłam się sobie wraz z nią – informuję go, szlochając.

Siada przy mnie na łóżku i mówi:

– Nic się nie stało. Rozumiem, że ten sen cię przygnębił. Ale nie pomagasz sobie, Renee. Musisz przestać traktować swoje ciało tak, jakby nie należało do ciebie. Swoim podejściem tylko wszystko sobie komplikujesz.

– Czy pan nie rozumie, jakie to jest trudne?! – wybucham i sfrustrowana uderzam ręką w łóżko.

W jego piwnych oczach o ciepłym spojrzeniu maluje się współczucie, gdy mi perswaduje:

– Nie możesz tego zmienić. Musisz przestać walczyć, musisz zaakceptować to, co się wydarzyło. Wówczas rzeczywiście będziesz mogła zacząć cieszyć się tym, co dla ciebie zrobiłem.

– Ale pan nigdy mnie nie spytał, czy tego chcę. Po prostu zrobił to pan i uczynił ze mnie odmieńca – mruczę pod nosem.

Kręci głową i tłumaczy:

– Twoi rodzice podjęli decyzję, mając na względzie twoje dobro. A co do bycia odmieńcem... Podchodzisz do tego całkowicie błędnie. Nie jesteś odmieńcem, lecz wyjątkową ludzką istotą, jedyną na tej planecie. Jesteś żywym dowodem na to, że mogę uratować życie niezliczonym młodym ludziom. Znajdujesz się w samym centrum czegoś wspianalego, zmieniającego świat. Ile osób może tak o sobie powiedzieć?

Łzy znowu napływają mi do oczu.

– Ale już nie jestem sobą – wykrztuszam słowa.

Ociera mi łzy wypielęgnowaną dłonią i przekonuje z pasją:

– Owszem, jesteś. Wyrażasz swoje myśli i emocje. One należą do Lucy Burgess i do nikogo innego. Ja tylko dałem ci odpowiednie, zdrowe ciało, zamieniłem zniszczoną przez chorobę cielesną powłokę. Czy bycie wolnym od bólu nie jest cudowne?

Na wspomnienie tego straszego bólu jej ciało drży.

– Zrobił pan już tego rodzaju operację komuś przede mną? – pytam z lękiem.

– Owszem – potwierdza z powagą. – Przed kilkoma laty. Troje moich pacjentów zmarło na stole operacyjnym, a czwarty był sparaliżowany od szyi w dół.

– Co się z nim stało? – drażę temat.

– Zmarł po kilku tygodniach – odpowiada ze smutkiem. – Oni wszyscy byli tacy jak ty. Nie mieli nic do stracenia, decydując się na transplantację.

– To dlaczego tak pomyślnie przebiegła w moim przypadku? – pytam z zakłopotaniem.

– Dzięki postępowi, jaki poczyniłem, i technikom niedostępnym jeszcze przed pięciu laty oraz przekroczeniu przeze mnie granic, by mogło się to stać – odpowiada pogrążony w myślach.

– Jakich granic? – dociekam.

– Takich, które powstrzymują mniej zaangażowanych uczonych. W twoim przypadku byłem zdeterminowany, aby odnieść sukces. A rezultaty przeszły moje najśmielsze oczekiwania – mówi i jego twarz się rozjaśnia. – Wiem, że nie zmarnujesz mojego daru. Gdy tylko uznam, że

jesteś na to gotowa, wypiszę cię do domu. Czy nie tego chcesz?

– Oczywiście, że tego chcę – potwierdzam. Zrobiłabym wszystko, aby móc tam wrócić. Wie, że tu wariuję.

– Więc musisz mi pokazać, że akceptujesz swoje ciało. I że potrafisz żyć z przekonaniem jako Renee – żąda ode mnie.

– Ale jak mogę przebywać z takimi osobami jak moja babcia i Mak i udawać kogoś innego? – protestuję.

– *Musisz* żyć jako Renee – oznajmia z naciskiem. – Wiesz, że ujawnienie tej operacji naraża mnie i twoich rodziców na więzienie, a tym samym ciebie na samotność. To jasne, że nie chcesz, by tak się stało. Zawarłem z twoimi rodzicami umowę, że nie wypuszczę cię z kliniki, dopóki w pełni nie dostosujesz się do swojej sytuacji.

– I co pan zrobi, jeśli się nie dostosuję? – pytam z lękiem. – Przecież nie może pan wiecznie mnie tu trzymać.

– Nie dojdzie do tego, Renee – mówi, uśmiechając się, jakby był pewny tego, jak postąpię.

ROZDZIAŁ 8

GRAJĄC W TĘ GRĘ

– Nie przerywajcie sobie – mówi doktor Leo, wchodząc do sali fizjoterapii.

– Właśnie uczymy się umiejętności motorycznych za pomocą ćwiczeń pisemnych – informuje go Kate.

Gdy podchodzi do mnie, podnoszę wzrok znad biurka.

– Jak się czujesz, Renee? – pyta.

– Wspaniale, dziękuję! – odpowiadam z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Jestem coraz lepsza w udawaniu. Przez ostatni miesiąc bardzo się starałam być wzorową pacjentką. Nie wspominałam o niej i nie zwierzałam się z dręczących mnie koszmarów sennych i strasznych myśli. Nie chcę dawać mu powodu do przetrzymywania mnie w klinice.

– Drżały ci dziś ręce? – pyta dalej.

– Nie. Nie zdarza mi się to już zbyt często. To nie jest jakiś poważny problem – mówię beztrąsko, by uznał, że to prawda.

– Kate, wyniki rezonansu magnetycznego konsekwentnie wskazują, że u Renee wszystko funkcjonuje poprawnie. Występuje tylko nieprawidłowa aktywność pewnych obszarów kory ruchowej, co odpowiada za drżenie rąk. Ale ono ustąpi – informuje doktor Leo moją terapeutkę.

– Zawsze zwracam na to uwagę – zapewnia go Kate.

Mam swoje zdanie co do drżenia, ale nie zamierzam powiedzieć na ten temat słowa doktorowi Leo. Uznałby moje tłumaczenie za nonsensowne i stwierdził, że nie jestem jeszcze gotowa do wyjścia ze szpitala. Ale ja uświadomiłam sobie, że to jest jej metoda walki, oznaka buntu wobec poleceń wysyłanych jej organizmowi przez mój mózg, sposób dawania mi do zrozumienia, że nie kieruję jej ciałem.

– Renee, proszę, nie przerywaj ćwiczenia – zwraca się do mnie lekarz i pochyla się, sprawdzając, co napisałam.

Gdy miałam jedenaście lat, oddano mnie do rodziny zastępczej. Moja mama była narkomanką i zaniedbywała mnie. Nigdy nie poznałam taty. Nie mam rodzeństwa i nie utrzymuję z mamą kontaktów. W wieku szesnastu lat wybrałam częściowo niezależne życie, ale okazało się dla mnie za trudne.

Podczas zbiórki pieniędzy na pomoc opuszczonym rodzinom z problemami miałam szczęście poznać państwa Burgess. Poczulałam autentyczną więź z tymi serdecznymi i wspinałomyślnymi ludźmi. Opowiedzieli mi o swojej córce, Lucy, która zmarła. Bardzo im współczułam.

Jej usta zaczynają drżeć, ale nie będę płakać, nie w jego obecności.

– Wszystko okej, Renee? – pyta.

– Tak – zapewniam go i kiwam głową.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, ale opisanie twojej nowej historii ma działanie oczyszczające. To część twojej drogi do zaakceptowania siebie. Piszesz bardzo dobrze prawą ręką – chwali mnie.

– Kiedyś byłam leworęczna – przypominam, lecz staram się, by w tonie mojego głosu nie było goryczy.

– Oczywiście staraj się pisać również lewą ręką. Nie ma powodu, żebyś nie opanowała tej umiejętności. Mięśnie i palce dawczyni dostosują się do tego – zachęca mnie.

Przekładałam więc długopis do lewej ręki. Niestety, trzymam go niezdarnie i w czasie dalszego pisania swojej nowej historii robię dużo zawijasów:

Przez kilka miesięcy utrzymywaliśmy kontakt mailowy. Gdy nie miałam gdzie się podziąć, zaprosili mnie w odwiedziny do siebie do Houston. Oczywiście zastanawiałam się, czy powinnam tam pojechać, zwłaszcza w sytuacji, gdy tak niedawno zmarła ich córka.

Ale po kilku tygodniach zaproponowali mi, bym została u nich tak długo, jak zechcę. Powiedzieli, że moja obecność przynosi im pocieszenie.

Pocieram jej bolącą lewą rękę.

– Nie jest źle – chwali mnie lekarz. – Im więcej będziesz ćwiczyć, tym łatwiej pójdzie ci nauka. Ciesz się, Renee, że mnie słuchasz. Jestem zachwycony twoim bardziej pozytywnym niż poprzednio podejściem do sytuacji. Mówiłem ci przecież, że gdy w swoim umyśle zaakceptujesz to ciało, wszystko stanie się dla ciebie o wiele łatwiejsze. – Ton jego głosu wskazuje, że jest z siebie zadowolony.

Przypominam sobie, że w tym momencie powinnam się uśmiechnąć i skinąć głową, więc to robię. To wciąż jest mój umysł i nie dam poznać doktorowi Leo, co naprawdę myślę.

– Czy mogłabyś wykonać jakieś ćwiczenia na podłodze? – prosi.

– Jakie? Rozciągające mięśnie i tym podobne? – pytam.

– Nie. Chodzi mi o coś bardziej wymagającego, mającego związek z gimnastyką – zachęca mnie entuzjastycznie.

Śmieję się smutno i oświadczam:

– Zwraca się pan do niewłaściwej osoby. Już nigdy nie będę mogła fiknąć koziołka.

Mama byłaby zachwycona, gdybym została tancerką, gimnastyczką czy cheerleaderką. Niestety, nigdy się w tym nie sprawdziłam. Ona natomiast była flyerką^[2] w zespole cheerleaderek w ostatniej klasie szkoły średniej. Nie przechwala się tym, a jednak trzyma na toalecie oprawione zdjęcie z tamtych czasów. Wygląda na nim niesamowicie, stojąc na jednej nodze na szczycie piramidy utworzonej przez koleżanki z grupy. Aż trudno było mi sobie wyobrazić, jak czuła się rozczarowana, gdy się okazało, że mam złą koordynację ruchową.

– Po prostu mi zaufaj. Wykonaj kilka ćwiczeń rozciągających na rozgrzewkę i zrób przewrót – nalega doktor Leo.

Uważam to za absurdalne. Niestety, muszę robić to, co chce, aby był ze mnie zadowolony.

Kate idzie ze mną do rozłożonych na podłodze mat. Odwracam wzrok od znajdującej się naprzeciwko lustrzanej ściany. Na komendę terapeutki wykonuję ćwiczenia rozciągające nóg, a następnie wymachy rąk. Po chwili Kate każe mi przykucnąć, oprzeć ręce na podłodze i wsunąć między nie głowę.

– Spróbuj – zachęca mnie doktor Leo.

Zaczynam się kołysać na podeszwach jej stóp w nadziei, że popchnie mnie to do przodu, lecz nie mogę przekoziółkować. Kołyszę się jak koń na biegunach, nie ruszając się z miejsca. Zaczyna mi się kręcić w głowie, więc wstaję z podłogi naburmuszona.

– Powiedziałam panu, że nie potrafię tego zrobić! – wołam do lekarza z pretensją.

– To dlatego, że za dużo o tym myślisz. Po prostu powstrzymaj się i pozwól swojemu ciału zrobić to, co przychodzi mu w naturalny sposób – tłumaczy mi spokojnie doktor Leo.

– Słucham? Nie może pan powoływać się na dwie sprzeczne ze sobą teorie – oświadczam poirytowana. – Powtarza pan w kółko, że mój mózg sprawuje kontrolę nad ciałem, a teraz nagle mówi pan, że powinnam pozwolić ciału zapanować nad mózgiem. Proszę się zdecydować!

– Po prostu zrób to! – krzyczy poirytowany.

Jestem zszokowana jego gniewem. Gdy czuję, jak się przewracam na plecy i odbijam od

podłogi z wyciągniętymi rękami, nawet nie rejestruję swoich ruchów.

Zachwycona Kate klaszcze w dłonie, a doktor Leo patrzy na mnie rozpromieniony.

– Przepraszam, Renee, że na ciebie krzyknąłem. Po prostu musiałem cię czymś rozproszyć, żebyś zrobiła to instynktownie – tłumaczy się.

– Ale jak to możliwe? Ja tego nie zrobiłam. Ja nie potrafię tego zrobić – mówię zdumiona.

– Oczywiście, że zrobiłaś. To ciało jest o wiele bardziej elastyczne niż twoje oryginalne. Dobrze wybrałem dawczynię – odpowiada.

Marszczę czoło.

– Okej – mówi pospiesznie. – Nie chcesz jeszcze poćwiczyć? Przekonać się, co poza tym możesz zrobić?

Wbrew woli pragnę zobaczyć, co ona potrafi. Fikam następnego koziołka, a po nim kolejne. Za każdym razem jest zgrabniejszy, a moje ruchy są bardziej płynne i po jego wykonaniu podskakuję wyżej.

– Spróbuj zrobić gwiazdę – proponuje doktor Leo, klaszcząc w dłonie.

Kate staje na środku sali, chcąc mi pomóc, ale ja nie potrzebuję niczyjej pomocy. Podbiegam i obracam się na całej długości maty z wyprostowanymi rękami i nogami. Czuję, jakie są silne. Serce bije mi mocniej i dostaję rumieńców. Ogarnia mnie radość. Mam ochotę na więcej i staję na rękach. Na początku trzęsę się jak galareta, ale po chwili łapię równowagę. Gdy śmieję się, z głową na dole, widzę wchodzącą do sali mamę.

– O mój Boże! – woła dźwięcznym głosem. – Spójrz na siebie, Lucy!

Słyszając swoje prawdziwe imię, przewracam się.

Doktor Leo spogląda na nią z dezaprobatą.

– Przepraszam! To z powodu szoku i podekscytowania – tłumaczy się mama i mówi do mnie: – Renee, kochanie, wspaniale widzieć, jak to robisz. – Przyklęka, chcąc mnie uścisnąć, ale nie pozwalam na to.

– Uważam, że Renee zrobiła dziś wystarczająco dużo – oznajmia doktor Leo. – Nie chciałbym, żeby się przemęczyła. Niech w celu przypieczętowania swoich olbrzymich postępów zrobi jeszcze jedną rzecz. – Stawia mnie na podłodze i prowadzi do lustrzanej ściany.

Patrzę w podłogę, lecz on unosi dłonią jej podbródek i mówi:

– Spójrz na siebie, Renee.

Zerkam na swoje odbicie.

– Nie, przejrzyj się. Chcę, abyś naprawdę się zobaczyła – nalega.

Nie zamierza zostawić mnie samej, dopóki tego nie zrobię. Stoi za mną i obserwuje, jak się przeglądam.

– Kogo widzisz? – pyta.

Widzę ładną dziewczynę w szarym dresie. Ma krótkie, ale gęste włosy. Zakrywają większą część jej głowy niczym wzgórek porośnięty kruczoczną trawą. Jej wyrazistą prawą brew przecina stara blizna, niszcząc symetrię twarzy o kształcie serca. Ma czerwone pełne usta, które uwydatniają się na tle jej zarumienionej twarzy o kremowej cerze. Jej niebieskie oczy o opadających powiekach nabrały już blasku po długim okresie choroby. Są okolone ciemnymi długimi rzęsami.

Nie wiem, co mam myśleć, ale wiem, co powinnam powiedzieć.

– Widzę siebie – oświadczam.

– A kim jesteś? – draży lekarz.

– Jestem Renee Wodehouse z San Diego w Kalifornii. Ostatnio mieszkam u państwa Burgess – recytuję wyuczony tekst.

– Grzeczna dziewczyna – chwali mnie, potakując z zadowoleniem. – Uważam, że jesteś gotowa, by wrócić do domu.

ROZDZIAŁ 9

POWRÓT DO DOMU

W czasie podróży tata prawie wcale się nie odzywa, za to mama przez cały czas trajkocze. Ciągłe powtarza, jak cudownie będzie mieć mnie znowu w domu, jakie wspaniałe rzeczy zrobimy jako członkowie rodziny i jacy doskonali prywatni nauczyciele będą mnie uczyć. Szkoda, że nie może przestać gadać. Gdy opuszczaliśmy klinikę, odczułam taką ulgę, że aż się popłakałam. Mimo to świat zewnętrzny mnie przytłacza. W samolocie z El Paso czułam narastające napięcie, a teraz w samochodzie, kiedy jesteśmy bliżej Houston, z powodu zdenerwowania robi mi się niedobrze.

Doktor Leo uściskał mnie na pożegnanie tak mocno, jakby nie chciał, żebym stamtąd odjeżdżała. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że stałam się bardzo uczuciowa, bo pocałowałam go w policzek i serdecznie mu za wszystko podziękowałam! Chyba nawet miałam szczerą intencję, gdyż pomimo tego, co mi zrobił i jakie zamieszanie wprowadził do moich uczuć, niezaprzeczalnie uratował mi życie.

– Będę za tobą tęsknił, Renee, lecz wkrótce się zobaczymy – powiedział.

– Ale... myślałam, że zostałam wypisana ze szpitala – odparłam zdumiona.

– Niezupełnie. To jest wciąż wczesny okres po operacji. Będę sprawdzał stan twojego zdrowia i robił ci tu badania kontrolne. Musimy zacząć od ustalenia przyczyny drżenia twoich dłoni – wyjaśnił, trzymając mnie za rękę.

– A jeśli nie można jej ustalić? – spytałam nerwowo.

– Do tej pory powinnaś była już się zorientować, że w moim słowniku nie ma wyrażenia „nie można” – odpowiedział ze śmiechem.

Siedzę na tylnym siedzeniu samochodu, pociągając za perukę. Swędzi mnie skóra głowy i jest mi gorąco pod tymi jasnymi włosami o rudawym odcieniu, przyklejonymi do jej głowy. Mama i doktor Leo nalegali, żebym zakryła bliznę po operacji peruką, bo nie chcą, by ludzie zadawali mi w tej sprawie krępujące pytania.

– Mamo, tu nikogo nie ma. Muszę ją zdjąć – proszę, drapiąc się po peruce.

– Nie możesz, kochanie, bo rozerwiesz sobie skórę głowy. Przyzwyczaisz się do niej. Wygląda fantastycznie, bardzo naturalnie – mówi z zachwytem.

– We mnie nie ma nic naturalnego – stwierdzam z goryczą.

– Przestań. Cały czas robisz wielkie postępy. Myśl pozytywnie, Lucy! – przywołuje mnie do porządku.

– Renee. Tak musimy do niej mówić – przypomina jej tata.

– Wszystko będzie dobrze, Lewis. Będę uważać. Ale gdy jesteśmy tylko we troje, możemy mówić do niej „Lucy”. Tak będzie lepiej, nie sądzisz? – zwraca się do mnie konspiracyjnym tonem mama.

– Tak. Naprawdę tak wolę – potwierdzam z uśmiechem i oświadczam z naciskiem: – Nie jestem Renee i *nigdy* nie będę.

– To twój nowy początek, Lucy. Nie będziemy oglądać się za siebie. Od tej pory wszystko będzie dotyczyć naszej przyszłości – szczebiocze podekscytowana mama.

– Tato, ty też czekasz niecierpliwie na nasze nowe wspólne życie? – pytam z lękiem.

Tata się waha. Korzystając z tego, że siedzi za kierownicą, wpatruje się w drogę przed nami.

– Oczywiście, że tak – odpowiada za niego mama.

– Pytałam tatę – przypominam jej.

– Z pewnością z nadzieją patrzę w przyszłość – powtarza za mną tata cichym głosem.

Mama ściska go za rękę w geście aprobaty.

Zapada zmierzch. Gdy kierujemy się w stronę centrum, wzdłuż obwodnicy, zaczynają się włączać latarnie uliczne.

– Zanim dojedziemy do domu, będzie ciemno. Przynajmniej będzie mi łatwiej wśliznąć się do środka – mówię.

Mama cmoka z niezadowoleniem i oznajmia:

– Nie musisz się nigdzie wślizgiwać. Nie mamy nic do ukrycia. Jesteś Renee, dziewczyną, której pomagamy. Mówimy o tobie wszystkim.

– Nie miałam pojęcia, że tak dobrze idzie ci okłamywanie innych, mamó – mówię cierpkim głosem.

Mama udaje, że nie obchodzi jej mój komentarz.

– Ale co ja powiem Marii, gdy przekroczę próg domu? – pytam.

Mama nie odpowiada.

– Mamó? – ponaglam ją.

– Zwolniłam Marię – wyznaje w końcu.

– Dlaczego? – dziwię się. – Przecież od zawsze była naszą gosposią.

– No właśnie. Dlatego uznałam, że najlepiej będzie, jeśli odejdzie. Gdyby została, nie mogłabyś ani przez chwilę się odprężyć. A tak nie będziesz musiała przez cały czas uważać na to, co mówisz. Maria zna cię aż za dobrze. Będę zatrudniać do pomocy osobę dochodzące, dostarczane przez agencję – mówi, odzyskując pewność siebie.

Czuję się okropnie. Czy to moja wina? Czy z mojego powodu Maria straciła pracę? – zastanawiam się.

– A co z Jimem? Jego też wyrzuciłaś? – pytam zaniepokojona.

– Nie – zaprzecza. – W dalszym ciągu zajmuje się końmi. Z nim nie ma takiego problemu. Nie wchodzi za często do domu.

– A Arthur? On też zna mnie aż za dobrze. Pozbyłaś się go tak jak innych? – pytam sarkastycznie.

Mama przewraca oczami i odpowiada z powagą:

– Nie bądź niemądra. Arthur nie będzie sprawiał kłopotów. Od kilku dni opiekują się nim Dawsonowie. Jutro rano go przywiozą.

– Nie chcę czekać tak długo. Dlaczego nie mogę go zobaczyć zaraz po powrocie do domu? – nalegam.

Nie chciałam ci tego mówić w klinice, bo by cię to zasmuciło, ale biedny Arthur cały czas bardzo za tobą tęskni. Nie daje się w żaden sposób pocieszyć. Drapie drzwi do twojej sypialni i szuka cię po całym domu. W końcu tata dał mu twoją starą bluzę sportową ze szkoły i Arthur nosi ją w zębach, jakby dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Ma ją przy sobie w koszyku, gdy śpi. Któregoś tygodnia, gdy przyjechałam z kliniki do domu, próbowałam mu ją zabrać, bo chciałam uprać, lecz nie pozwolił mi się do niej zbliżyć – opowiada mama ze śmiechem.

Na myśl o tym, że tak za mną tęsknił, zaczynam płakać.

– Czy on może spać w moim pokoju? – pytam, bo mama nigdy dotychczas na to nie pozwalała z powodu gubionej wszędzie psiej sierści.

– Owszem, ale pod warunkiem, że nie w twoim łóżku – godzi się teraz.

Uśmiecham się do siebie, kiedy samochód sunie w stronę sąsiedniej posiadłości, ale gdy wjeżdża na wysadzany drzewami bulwar na naszej posesji, jej usta zaczynają drżeć. Wyjechałam stąd ponad osiem miesięcy temu, a wydaje mi się, że od tamtego czasu upłynęło całe moje życie.

Gdy zabierali mnie do kliniki, byłam tak chora, że nie wierzyłam w swój powrót do tego domu. A teraz znowu się tu znajduję, choć towarzyszy mi przykra świadomość, że nie jestem tą samą dziewczyną, która stąd wyjeżdżała.

Automatycznie otwiera się przed nami brama i wjeżdżamy na długi kręty podjazd do garażu. Gdy bierzemy ostatni zakręt, widzimy dom. Jest dyskretnie oświetlony, tak samo jak ogród. Słychać syk zraszaczy do trawnika, który dzięki temu jest zielony pomimo panujących upałów.

– Czy spełniłaś moją prośbę i pozbyłaś się z domu luster? – pytam w panice, bo nie zniosę tu jej widoku. Im bardziej będę mogła żyć swoimi myślami, tym większa szansa, że Lucy nie zniknie.

– Tak – potwierdza mama. – Wszystkie lustra w domu zostały zdjęte. Nie odważyłam się powiedzieć o tym doktorowi Radnorowi, bo nie zaaprobowałby tego.

– A kogo to obchodzi? Jesteśmy poza kliniką. Nigdy się o tym nie dowie – oświadczam triumfalnie.

Tata wyłącza silnik i odwraca się do mnie. Ma poważną minę.

– Nie możesz ignorować niczego, co powiedział lekarz – napomina mnie. – On wie, co jest dla ciebie najlepsze. Teraz musisz być Renee, przez wzgląd na nas wszystkich, okej?

– Okej – potwierdzam z goryczą.

Mama otwiera drzwi frontowe i uroczyście wprowadza mnie do środka.

– Witaj w domu, kochanie – mówi.

Ogromny hol jarzy się blaskiem. Światło żyrandola oświetla marmurową posadzkę. Ozdobna klatka schodowa prowadzi na galerię na półpiętrze, gdzie jest sklepiony sufit. Po pobycie w klinice wszystko wydaje mi się olbrzymie i imponujące. Mama się postarała i ustawiła w różnych miejscach wazon z kwiatami, które rozsiewają wspaniałe zapachy.

– Jak tu uroczo, mamó – zachwycam się.

– Chciałam, żebyś dobrze się tu czuła po powrocie – szczebiocze. – Ale niczego nie zmieniałam w twojej sypialni i w twoim pokoju do relaksu. Jest tam tak samo jak przed twoim wyjazdem, zanim... No wiesz. – Czerwieni się.

– Ma się rozumieć. Dziękuję – mówię z uśmiechem, żeby ją pokrzepić.

Prowadzi mnie do kuchni i zwraca się do taty:

– Lewis, otwórz шампана. Jest w lodówce. Musimy to uczcić.

Gdy strzela korek i tata nalewa płyn z bąbelkami do dwóch z trzech kieliszków, mama klaszcze podekscytowana.

– A ja nie dostanę? – dziwię się.

– Nie, młoda damo. Ty konsekwentnie pijesz napoje bezalkoholowe – odpowiada i nalewa mi colę. Następnie oznajmia rozpromieniona: – Chciałabym wznieść toast za naszą niezwykłą córkę i za nas troje, żebyśmy żyli szczęśliwie przez wiele lat!

– Za naszą córkę! – powtarza za nią tata bez emocji, podnosząc kieliszek.

– Za mnie, kimkolwiek jestem! – szepczę i wypijam łyk coli.

– Pójdziemy do samochodu po bagaże, a ty rozejrzyj się po domu i przyzwyczaj się na nowo do wszystkiego – mówi mama i wychodzi wraz z tatą z kuchni.

Oszołomiona idę do pomieszczenia gospodarczego, gdzie jest koszyk Arthura. Przyklękam przed kocem, na którym widać kłaczkę sierści, i wążam go. Czuję zapach stęchlizny. Zaczynam okropnie kichać i swędzą mnie oczy. W pośpiechu stamtąd wychodzę i od razu katar ustaje. Idę do końca holu, gdzie są drzwi do suterenu. Otwieram je i włączam światło.

Uśmiecham się szeroko na widok mojego oświetlonego pokoju do relaksu. Stół bilardowy jest przygotowany do gry. Obok Xboxa stoją starannie ustawione jedna na drugiej wszystkie

moje gry. Schodzę pospiesznie po schodach i sprawdzam gramofon. Mama nie kłamała: niczego tu nie dotykali. Płyta Springsteena *Born in the U.S.A.* wciąż znajduje się na talerzu obrotowym, czyli tam, gdzie ją zostawiłam. To tata uczynił ze mnie fankę wspaniałych utworów The Bossa. Zainteresowałam się tym artystą po jego pierwszym koncercie, na który tata mnie zabrał. Potem puszczał mi na tym gramofonie wszystkie winylowe albumy Springsteena – prawdziwa stara szkoła. Uwielbiałam spędzać z tatą czas w tym pokoju, zwłaszcza że nie dociera tu sygnał telefoniczny i żadne telefony do niego nie zakłócały nam odpoczynku. To było prawdziwe szczęście.

Biorę do ręki mikrofon od karaoke. Ja i Mak śpiewaliśmy, niemiłosiernie fałszując, arie diw operowych, wyobrażając sobie, że występujemy w Carnegie Hall. Serce mi rośnie na wspomnienie przyjaciółki śpiewającej i tańczącej tu ze mną.

Przechodzę obok skórzanej kanapy i siadam w moim ulubionym fotelu. Dawno temu mama kupiła go na pchlim targu. Jest staromodny, pokryty puszystą tkaniną w kwiatowy wzór. Coś takiego mogłaby mieć u siebie babcia. Może dlatego tak bardzo go lubię. Mogłabym przesiedzieć tu całą noc, ale pragnę zobaczyć również inne pomieszczenia w domu, napawać się urokiem każdego drobiazgu.

Przed kilkoma miesiącami w klinice mama spytała, czy nie byłoby mi łatwiej zmienić miejsce zamieszkania, czyli wyprowadzić się z Houston i zacząć nowe życie gdzieś indziej. Odpowiedziałam jej wtedy, że nie będę stąd uciekać, że dam radę spotykać się ze znajomymi i udawać kogoś innego. Houston jest moim rodzinnym miastem. Tu dorastałam i głównie stąd pochodzą moje wspomnienia. Poza tym mieszkają tu babcia i Mak. Jeśli mam szansę trzymać się tego, kim naprawdę jestem, to muszę tu być.

Idę do salonu. Jest taki, jakim go zapamiętałam, z wyjątkiem ukazującego łąkę dużego obrazu wiszącego nad kominkiem. Zastąpił znajdujące się tu wcześniej lustro w połączanej ramie.

– Dzięki, mamó – szepczę.

Nagle w kącie pokoju dostrzegam inną nową rzecz: oszkloną szafkę. Reflektory punktowe oświetlają w niej różne należące do mnie rzeczy: pierwsze buciki, rysunek przedstawiający moją rodzinę, który wykonałam w przedszkolu, i grafomański wiersz ukazujący moje uczucia, napisany na życzenie szpitalnego terapeuty, gdy po raz pierwszy zachorowałam na raka. Znajdują się w otoczeniu oprawionych w ramki zdjęć, na których zostałam sfotografowana w różnym wieku: jako pucołowaty bezzębny niemowlak o zaróżowionych policzkach, dziecko podczas pierwszego dnia szkoły, dziewczynka siedząca na swoim pierwszym kucyku Elmerze, uczennica w śmiesznym birecie na głowie w dniu zakończenia nauki w podstawówce, solenizantka zdmuchująca świeczki na torcie z okazji trzynastych urodzin, wczasowiczka stojąca między rodzicami na zalanej słońcem plaży w Barbadosie, fanka Springsteena na jego koncercie razem z tatą, zachwycona, zgrzana i spocona, i osoba chora, siedząca wraz z babcią przy naszym basenie na podwieszanym krześle ogrodowym. Babcia trzyma rękę na moich kościstych ramionach i uśmiecha się z wysiłkiem. Na głowie mam szal zakrywający przerzedzone włosy. Wyglądam jak zjawa. To zdjęcie zostało zrobione tuż przed moim wyjazdem do kliniki.

Na ten widok przesywa mnie dreszcz. Mama stworzyła w tej szafce rodzaj ołtarzyka. Czy po to, aby pokazywać go gościom, czy też z powodu żałoby po mnie? – zastanawiam się.

Nie chcę tu dłużej przebywać. Idę szybko po schodach do sypialni. Wszystko wygląda tu tak, jak przed moim wyjazdem. Czuję się tu bezpiecznie, bardziej jako ja. Otwieram drzwi balkonowe i spoglądam na łagodnie oświetlony ogród, wdychając rześkie wieczorne powietrze.

Chodzę po pokoju, dotykając wszystkiego. Mama zakryła lustro toaletki ładnym szalem. Na blacie stoi oparta o ścianę jedna z „inspirujących” kartek od Mak. Ukazuje dwie starsze panie,

jedną białej rasy i jedną czarnoskórą, jak tańczą kankana, migając jasnoczerwonymi pantalonami. Na odwrocie Mak napisała: „Czekam z niecierpliwością na czasy, kiedy będziemy skandalicznymi kuguarzycami! Serdeczności, Mak”. Czuję ucisk w dołku. Kiedy się z nią zobaczę? Co powiem mojej najlepszej przyjaciółce? – zastanawiam się.

Wśród przyborów do makijażu, bransoletek i kolczyków leży moja szczotka do włosów. Podnoszę ją i gładzę zaplątane we włosie miękkie kosmyki mysiego koloru. Ogarnia mnie smutek. Czy to wszystko, co ze mnie zostało? – zadaję sobie w myślach pytanie. Wkładam ten drogi mojemu sercu przedmiot do szuflady toaletki i dla bezpieczeństwa zamykam ją na klucz. Na blacie stoją częściowo opróżnione flakony z balsamem do ciała i perfumami Dawn Dew. Spryskuję nimi nadgarstki i pocieram jeden o drugi. Uśmiecham się, czując znajomy zapach. Wchodzę do garderoby. Są tu ubrania, które sama sobie wybrałam w sklepie, i jakieś idiotyczne, nieporównanie droższe, kupione przez mamę. W tych ostatnich czułam się śmiesznie, ale nie mogłam zabronić mamie robienia mi tego rodzaju prezentów, bo ona to uwielbia.

Przesuwając wieszaki, znajduję moje ulubione dzinsy i fioletowy wyszywany cekinami top. Rozbieram się i próbuję założyć te dzinsy. Niestety, nogawki nie przechodzą nawet przez łydki. Kładę się więc na dywanie i używając siły, chcę podciągnąć spodnie wyżej. Wygląda to jak próba wciśnięcia się w ubranko dla lalki. Zrywam je z siebie i wkładam top, lecz tak ścisła jej biust, że nie mogę oddychać. Gdy staram się z powrotem przeciągnąć go przez głowę, włosy peruki zaplątują się w cekiny, co sprawia mi ból. Szamocę się z nimi sfrustrowana. Zapomniałam, że w czasie choroby, gdy rak wyniszczał moje ciało, zaczęłam nosić ubrania o rozmiar mniejsze. Jej ciało nie mieści się w moich starych ciuchach, bo jest na to zbyt duże i zaokrąglone. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

Mam ochotę posłuchać mojej ulubionej muzyki. Szukam iPoda, otwierając szuflady komody i szafki przy łóżku, i w końcu go znajduję. Wkładam słuchawki do uszu, znajduję właściwe nagranie i reguluję głośność. Słyszę dźwięki harmonijki ustnej i pianina, a następnie zgrzytliwy głos The Bossa. Odlatuję. Zamykam oczy, poruszam w rytm muzyki rękami i śpiewam tak głośno, że zaraz chyba pękną mi płuca. *Hey, it's okay, Thunder Road!* Upajam się swoim szczęściem. Gdy zaczynam poruszać się szybciej, tracę równowagę i upadam na puszysty dywan. Turlam się po nim ze śmiechem, a po chwili siadam i wykonuję solówkę, czyli naśladuję grającego na saksofonie Clarence'a. Dźwięki się natężają i porywają mnie ze sobą. Skaczę na łóżko i fikam koziołka, lądując po drugiej stronie. Tańczę w powietrzu, obracając się i podskakując. Od lat nie miałam w sobie tyle życia.

– Kochanie, dobrze się czujesz?! – woła przez drzwi mama.

Wyjmuję z uszu słuchawki, wyłączam muzykę i odpowiadam zdyszana:

– Jasne! Doskonale.

– Możemy do ciebie wejść? Jest z nami ktoś, kto bardzo chce cię zobaczyć – zapowiada.

– Słucham? Nie! Nie jestem gotowa na spotkanie z kimkolwiek – protestuję, chwytam z garderoby szlafrok i narzucam go na siebie.

– Nie ma się czym przejmować, bo to nie jest człowiek – uspokaja mnie ze śmiechem.

Drzwi się otwierają i do środka wpada Arthur, merdając ogonem jak szalony.

Piszczę z zachwytu, lecz on mnie omija i szuka kogoś po całym pokoju, w garderobie, łazience i pod łóżkiem, przez cały czas węsząc z nosem przy ziemi.

– Arthur! Arthur! Chodź do mnie, piesku! – przywołuję go i przykucam z otwartymi ramionami, ale on zatrzymuje się w pewnej odległości ode mnie i przygląda mi się swoimi wielkimi piwnymi oczami, przekrzywiając głowę. Mówię więc ponownie: – No chodź, Arthur. To ja, Lucy!

Na dźwięk mojego imienia zajadle szczeka.

– Proszę cię, pieseczku, to ja. Chodź do mnie i pozwól się podrapać po brzuszku – zachęcąm go, jak umiem, i pochylam się do przodu, ale on się cofa.

– Arthur, idź do Lucy! – wydaje mu komendę mama.

Mój pies spogląda na nią niepewnie, więc chwyta go za obroźę i popycha do mnie. Wyciągam do niego rękę, a on obwąchuje ją ostrożnie. Na pewno rozpoznaje woń moich perfum, lecz zarazem czuje jej zapach, nie mam co do tego wątpliwości. Sprawia wrażenie dezorientowanego i przestraszonego. Delikatnie głaszczę go po głowie, ale się wzdryga. Próbuję go wziąć za pysk, lecz w ten sposób narażam go na stres, bo drży na całym ciele. Skomli, wrywa się z mojego uścisku i ucieka z pokoju.

– Nie przejmuj się. Daj mu trochę czasu – mówi mama udawanie wesołym głosem.

Moja euforia bezpowrotnie mija. Jestem bliska płaczu.

Tata kręci głową, patrząc na mamę ze smutkiem, i wychodzi z pokoju.

Czuję swędzenie oczu. Przyciskam do nich wierzchy jej dłoni i zaczynam okropnie kichać. Puchną mi powieki, a twarz staje się rozpalona.

– Umyj ręce – mówi mama.

– Co się ze mną dzieje? Kichałam też, gdy przykucnęłam przy koszyku Arthura – informuję ją.

Mama zagryza wargi i oznajmia:

– Wygląda na to, że jesteś uczulona na jego sierść.

– Nie *ja*, lecz jej ciało jest uczulone na sierść Arthura! – krzyczę. – Przez nią mój pies boi się mnie i nawet nie mogę go dotknąć! To nie w porządku! Nie w porządku!

ROZDZIAŁ 10

BABCIA

Arthur jest zamknięty wraz ze mną w białym pokoju bez okien. Drapie pazurami w drzwi, rozpaczliwie chcąc stąd uciec.

– Piesku, chodź do Lucy! – wołam, ale on drapie jeszcze mocniej i szczeka, aby ktoś przyszedł i go uwolnił.

Muszę mu pokazać, że to jestem ja. Wiem, co powinnam zrobić. Rozrywam paznokciami ciało tej oszustki. Ranię jej ręce, nogi i twarz, rycząc jak dzikie zwierzę. Biały pokój zaczyna wyglądać tak, jakby odbywała się tu krwawa rzeź. Arthur przestaje szczekać i podchodzi do mnie. Nie jest już przestraszony, lecz zaciekawiony. I pod jej cielesną powłoką zaczyna dostrzegać mnie. Podskakuje, merda ogonem i szczeka uradowany, że wróciłam. Całuję go w lebek.

– Arthur! – wołam, otwierając oczy. Jestem w mojej sypialni. Oblepia mnie mokry od potu T-shirt i pieką czerwone szramy na jej kremowej skórze, bo w czasie sennego koszmaru podrapałam sobie ręce.

Z wysiłkiem wstaję z łóżka. Jestem roztrzęsiona, jednak muszę się opanować. To mój pierwszy dzień w domu. Mam się z czego cieszyć. Biorę prysznic, ubieram się i schodzę do kuchni.

– Cześć, Lucy, wyglądasz na zmęczoną – wita mnie mama, odwracając smażonego na płycie naleśnika. – Źle spałaś w swoim własnym łóżku?

– Nie, czuję się dobrze – odpowiadam, ignorując jej troskę.

Przekłada skwierczącego naleśnika na talerz, podaje mi i pyta:

– Czy nie jest przyjemnie być znowu w domu, kochanie?

– Jest, jeśli pominąć to, że mój pies się mnie boi, a w salonie stworzyłaś osobliwy ołtarzyk – wypominam jej.

– Masz na myśli tę oszkloną szafkę? To nie był mój pomysł, lecz taty. Prosiłam, aby tego nie robił. Niestety, uparł się – wzdycha.

Co? Nie mogę uwierzyć, że to on wpadł na ten pomysł. Co się z nim dzieje? Prawie nie bywał u mnie w klinice, a tu raptem stworzył mi w domu miejsce czci.

– Gdzie on jest? – pytam zawiedziona.

– Musiał pojechać do pracy, żeby zrobić coś, czego nie mógł komuś zlecić – odpowiada przepraszającym tonem mama.

Krzywię się rozczarowana i stwierdzam z ironią:

– Opowieść o naszej szczęśliwej rodzinie okazała się krótka, no nie?

– Postara się być z nami częściej. Przyrzekł mi to – zapewnia mama.

– Zauważyłam, że prawie na mnie nie patrzy. Nie chce ze mną przebywać – oznajmiam bez owijania w bawełnę.

– Uspokój się, Lucy. Opowiadasz jakieś brednie. Tata naprawdę ma dużo pracy. Nie chodzi o nic więcej – mówi pogodnie, nalewając mi soku.

Kręcę głową. Nie ma sensu rozmawiać z nią o tym, bo nie powie mi prawdy.

– Zamknęłaś Arthura w pomieszczeniu gospodarczym – stwierdzam ze smutkiem.

– Tak, bo uznałam, że najlepiej będzie trzymać go od ciebie z daleka, dopóki nie nauczymy się radzić sobie z twoją alergią – tłumaczy mi.

– Jasne, ale to nie zmieni faktu, że jest mną przerażony – przypominam jej, spoglądając na zwierzaka przez szklane drzwi pomieszczenia gospodarczego, jak leży w koszyku, trzymając

głowę na podłodze. Pukam w szkło, macham do niego i zagaduję: – Jak się masz, Arthurze, mój piesku?

Arthur spogląda na mnie i skomli, sprawiając mi tym przykrość, gdyż sam mój widok działa przygnębiająco na mojego pięknego psa. Nie mogę tego znieść.

– Chodźmy na spacer. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – proponuję mamie.

Wygląda na zadowoloną z mojej propozycji.

– Dobrze, tylko włożę buty za kostkę – odpowiada.

Przechadzka z mamą po ogrodzie i po wybiegach dla koni sprawia mi wielką przyjemność. Wciągam głęboko do płuc wonne powietrze, przechodzę z szelestem przez wysoką trawę i rozkoszuję się porannym słońcem. Mam poczucie, że moje zmysły bardzo się wyostriły, jakbym widziała wszystko po raz pierwszy. Mama zrywa pęk jaskrawych polnych kwiatów i wsuwa je we włosy mojej peruki, robiąc mi na głowie pachnący wianek. Gdy bierze mnie za rękę, widzę, że jest szczęśliwa. Zbliżamy się do stajni i konie zaczynają wystawiać głowy ponad drzwiami boksów. Na nasz widok moja kasztanka Moonshine potrząsa grzywą podekscytowana. W okresie poprzedzającym wyjazd do kliniki byłam zbyt słaba, by móc jeździć konno. Teraz na myśl, że będę mogła galopować na niej przez okoliczne pola, czuję się szczęśliwa. Ale gdy podchodzę bliżej, nastrój koni się zmienia. Wpadają w zdenerwowanie i zaczynają rzucać głowami oraz uderzać kopytami o ziemię. Wyciągam do Moonshine rękę, lecz klacz parska i patrzy na mnie przestraszona.

– Moonshine, to ja, Lucy – mówię zdesperowana, jednak nic to nie daje, bo klacz odsuwa się ode mnie tak daleko, jak tylko może, i kopie w boczną ścianę boksu, jakby próbowała znaleźć drogę ucieczki.

Idę wzdłuż boksów, przywołując każdego konia po imieniu i próbując je uspokoić, gdyż poruszają się nerwowo. Ale lęk jednego wywołuje to samo u kolejnego i w ten sposób wszystkie zaczynają rzeć, parskać i obnażać zęby. Łzy napływają mi do oczu. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Czy wyczuwają, że jestem odmieńcem? Czy instynktownie nie wiedzą, kim jestem?

Mama otacza mnie ramieniem i odciąga stamtąd. Próbuje dodać mi otuchy, choć też wydaje się przestraszona.

– Po prostu muszą się do ciebie przyzwyczaić, to wszystko – tłumaczy i całuje mnie w czoło. – Arthur i Moonshine rozumieją, że jesteś ich panią. Odzyskasz ich.

Chciałabym wierzyć w to, co mówi.

– Posłuchaj, zapomnij na chwilę o zwierzętach. Mam na dzisiaj pewien plan – mówi entuzjastycznie. – Chciałabym, żebyśmy pojechały na zakupy do galerii. Wszystkie twoje dotychczasowe ubrania są na ciebie za małe. Gdy byłaś w klinice, kazałaś sobie kupić tylko dres. Potrzebujesz ładnych rzeczy. Wybierzesz sobie, co zechcesz. Nie będę się wtrącać, naprawdę. – Unosi rękę, jakby się poddawała.

– Ale możemy się tam natknąć na jakichś moich znajomych! Widząc mnie w twoim towarzystwie, będą się na mnie gapić. Nie jestem jeszcze gotowa do wyjścia z domu – oświadczam z łękiem.

– Poradzisz sobie. Ktoś, kogo znasz, może ci się przyglądać tylko dlatego, że jesteś bardzo ładna – mówi z dumą. Te słowa są dla mnie jak cios, bo przed operacją nigdy mi czegoś takiego nie powiedziała.

Patrzę na jej rękę, jak wyjmuje z torebki komórkę, i pytam:

– Co z moim telefonem? Skoro jestem już w domu, to nie ma powodu, by mi go nie dać.

– A po co ci telefon? – dziwi się mama.

Patrzę na nią tak, jakby zadała mi najbardziej idiotyczne pytanie na świecie, i wołam oburzona:

– Bo jest mój! Jest w nim karta SIM ze wszystkimi moimi kontaktami.

– Nie potrzebujesz swojej karty SIM. Nie możesz zadzwonić do żadnej z tych osób. One nie wiedzą, kim jesteś – tłumaczy mi.

Słyszając to, tracę oddech, gdyż na chwilę zapomniałam o tym, co rodzice mi zrobili i jak wygląda moje obecne życie.

– Nie wiedzą, kim jestem – powtarzam za nią jak echo.

Mama spogląda na mnie zaniepokojona i przypomina:

– Nie możesz nikomu zdradzić swojej tożsamości, Lucy. Przysrzeknij, że tego nie zrobisz. Kupię ci nowy telefon, byś mogła dzwonić do mnie i do taty. Na razie tylko do tego będzie ci potrzebny. Tylko *my* jesteśmy ci potrzebni.

W galerii handlowej jest tłoczno, jasno i głośno. Po miesiącach spotykania tylko garstki ludzi w klinice robienie zakupów mnie przytłacza. Trzeba mi kupić różne buty, gdyż ona ma stopę o dwa numery większą od mojej. W damskim dziale Saks mama twierdzi, że „jestem dorosła”, i kupuje mi tony koronkowej bielizny, takiej, o której kiedyś mówiła, że jestem o wiele za młoda, by ją nosić. Ona to po prostu kocha. Zdejmuje z wieszaka kolejną koszulkę, jakbym była dużą lalką, którą ubiera.

– W tej będzie ci ślicznie. Przymierz wszystkie – proponuje i prowadzi mnie do przymierzalni.

– Miałaś mi pozwolić samej wybrać dla siebie ciuchy – odpowiadam naburmuszona.

– Pozwalam, ale ty prawie niczego nie bierzesz do ręki. Po prostu ci pomagam. Poczekam na zewnątrz. Gdy się przebierzesz, wyjdź i pokaż mi się. – Pospiesza mnie, żebym weszła do kabiny.

Tym razem nie wybiera idiotycznych kreacji od projektantów, strojów bardziej odpowiednich dla małej dziewczynki, lecz takie, które odpowiadają image'owi jej nowej córki – odjazdowej hipiski. Przymierzam każdy strój, ale nie przeglądam się w lustrze kabiny. Mama uśmiecha się zadowolona, choć pokazuję się jej w kolejnych niechętnie.

– Doskonale pasuje ci ten styl – chwali mnie i pyta: – Podoba ci się, kochanie?

Wzruszam ramionami.

– Chodź ze mną do kasy. Możesz zostać w tym stroju, który właśnie masz na sobie – proponuje.

– Możemy już wrócić do domu? – proszę. Jestem zmęczona pokazywaniem się jej w każdym kolejnym ciuchu.

– Jasne, ale najpierw zapłacę, a potem pójdziemy na kawę. Wyjście do miasta jest dla ciebie dobre. Jesteś znów wśród ludzi – mówi, prowadząc mnie do kawiarni pośrodku galerii.

Gdy tam siedzimy, otoczone torbami z zakupami niczym zaporą, przepływa koło nas tłum ludzi. Spoglądam obojętnie w dal, lecz nagle widok zasłania mi chłopak, który do nas podchodzi.

– Dzień dobry, pani Burgess! – Zwraca się do mamy, ale patrzy na mnie.

O mój Boże! To przecież Josh Dartmere! Czuję, że się czerwienię. Dlaczego tak na mnie patrzy? Czy mnie poznaje? Nie... nie, nie bądź głupia – strofuję się w myślach. Jak mógłby, skoro nawet ja siebie nie poznaję?

– Witaj – odpowiada mama i pyta go: – Josh, prawda?

– Owszem, proszę pani, Josh Dartmere. Przez jakiś czas spotykałem się z Lucy. Tak mi przykro, że nie mogłem być na jej pogrzebie. Naprawdę chciałem. Wiele dla mnie znaczyła – recytuje formułki grzecznościowe.

Mama zaczyna bawić się filizanką. W końcu przerywa niezręczną ciszę, jaka zapadła po jego słowach, i mówi zdawkowo:

– No cóż, miło mi to słyszeć.

– Cieszę się, że panią spotkałem, pani Burgess – odwzajemnia się Josh i patrząc na mnie, pyta: – Czy to pani kuzynka?

– Nie, to jest Renee, przyjaciółka naszej rodziny. Mieszka u nas – informuje go mama z większą pewnością siebie.

Josh podaje mi rękę z najbardziej ujmującym uśmiechem, na jaki potrafi się zdobyć, i mówi:

– Miło cię poznać, Renee. Na długo przyjechałaś?

– To zależy od ma... pani Burgess – odpowiadam niepewnie i mówię do siebie w myślach: „Lucy, weź się w garść”.

– Nie jesteś stąd, co? – pyta Josh w reakcji na mój dziwnie brzmiący głos.

– Nie – odpowiadam najkrócej jak mogę.

– Chętnie pokażę ci tutejsze widoki – proponuje, wpatrując się we mnie. – Znam wszystkie najwspanialsze miejsca w Houston.

Nie mogę uwierzyć. Ten chłopak mi się narzuca. Co za menda.

Podchodzi do nas ładna dziewczyna o krótkich brązowych włosach i oliwkowej skórze i zwraca się do niego:

– Josh! Gdzie ty zniknąłeś? Czekałam na ciebie pod Macy’s. – Na mój widok bierze go za rękę.

– Przepraszam, właśnie tędy przechodziłem – tłumaczy się przed nią i uśmiecha do nas. – Wspaniale było panią zobaczyć, pani Burgess i... Renee. Może jeszcze kiedyś się spotkamy? – Żegna się z nami z uśmiechem, patrząc na mnie.

Gdy odchodzi, otrząsam się z ulgą.

– Co za dupek – syczę.

Ku mojemu zaskoczeniu mama się śmieje.

– Masz rację. Gdy umawiał się z tobą, zachowywał się jak palant – komentuje i zwraca się do mnie: – Jestem z ciebie dumna! Poradziłaś sobie.

– Z czym? – pytam zdziwiona.

– To był nasz pierwszy sprawdzian. Spotkałaś kogoś, kto cię zna, i zachowałaś zimną krew. Dobra robota! – chwali mnie rozpromieniona, stukając swoją filiżanką o moją.

Wesoły nastrój mamy jest zaraźliwy. W drodze do domu opowiada mi o różnych wydarzeniach z czasów, gdy chodziła do szkoły średniej. Robię wielkie oczy, kiedy przyznaje się, że umawiała się na randki z nieodpowiednimi chłopakami, że wagarowała, by móc jeździć na festiwalach muzyczne, i że po tym jak przekłuła sobie język, dyrektor kazał jej iść do domu. Babcia była przekonana, że jej wzorowa córeczka zamieniła się w młodocianą przestępczynię, i zmusiła ją do wizyty u psychologa! To rewelacje, których nigdy wcześniej mi nie ujawniła. Czuję się tak, jakbym siedziała w samochodzie nie z moją nieskorą do zwierzeń rodzicielką, lecz z rozplotkowaną starszą siostrą. Gy zatrzymujemy się na podjeździe do garażu, wciąż się śmieję i nagle uświadamiam sobie, że w trakcie naszej wyprawy ani razu nie pomyślałam o tej dziewczynie.

Jesteśmy tak obciążone zakupami, że niemal uginamy się pod ich ciężarem, przechodząc przez frontowe drzwi. W holu natychmiast zjawia się Arthur, skacze na mamę i szczeka podekscytowany, a mnie omija. Chwyta ją zębami za rękaw bluzki i próbuje zaciągnąć do salonu.

– O co chodzi, piesku? – niepokoi się mama.

– To tylko ja, Gemmo! Pozwoliłam sobie wejść. Bardzo lubię w domu kwiaty, ale gdzie się podziały wszystkie wasze lustra?! – dociera do moich uszu z salonu znajomy głos babci.

Rzucam torby na posadzkę i biegnę do niej. Jak zwykle jest elegancko ubrana i ma

idealną fryzurę oraz makijaż. Jednak schudła, a poza tym wygląda starzej i delikatniej. Instynktownie ją obejmuję i czuję, jak cała sztywnieje. Gdy przypominam sobie, że ona mnie nie zna, moje ręce opadają.

– Kto to jest, Gemmo? – pyta przerażona.

– Przepraszam, mamó. Myślę, że Renee jest za bardzo podekscytowana! – odpowiada mama, spoglądając na mnie z gniewem.

Odsuwam się i mówię do babci ze skruchą:

– Przepraszam, pani Kendal, za moje idiotyczne zachowanie. Nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy, lecz pani Burgess tyle mi o pani opowiadała, że wydaje mi się, iż panią znam. – „Boże, to brzmi żałośnie!”.

– A więc jesteś tą młodą damą, o której mówiła Gemma? – pyta powoli babcia, jakby uważała mnie za prostytutkę, do której trudno dotrzeć.

– Tak. Nazywam się Renee Wodehouse – potwierdzam, uśmiechając się od ucha do ucha jak jakaś wariatka, nie mogąc się powstrzymać.

– Gemma powiedziała, że pochodzisz z San Diego, jednak nie słyszę u ciebie kalifornijskiego akcentu – dziwi się babcia, spoglądając na mnie badawczo.

– Moja mama i ja często się przeprowadzałyśmy, więc przypuszczam, że wszystkie akcenty mi się wymieszały – recytuję wyuczoną odpowiedź.

– A więc... będziesz tu mieszkać przez jakiś czas? – upewnia się babcia.

– Tak. Państwo Burgess są dla mnie bardzo mili – odpowiadam grzecznie.

– Owszem, przecież widzę! – Babcia z dezaprobatą spogląda na leżące na posadzce torby.

– Renee przyjechała tu w jednym ubraniu. Kupiłam jej parę rzeczy, żeby miała w czym chodzić – informuje ją zdenerwowana mama.

– No cóż, jesteś bardzo hojna, Gemmo – komentuje z surową miną babcia.

– Renee, zanieś wszystko na górę. Opróżnij garderobę ze starych rzeczy i powieś w niej nowe – proponuje mama, żeby rozdzielić mnie z babcią.

– Jakich rzeczy? – pyta babcia. – Chyba nie masz na myśli ubrań Lucy? Nie umieściłaś przecież Renee w pokoju *Lucy*, prawda?

Mama nie może mówić ze zdenerwowania.

– Pani Burgess po prostu uznała, że dobrze będzie wykorzystać ten pokój – tłumaczę się skulona.

– *Naprawdę?* W tym domu jest sześć wolnych sypialni, spośród których mogła wybrać którąś dla ciebie – stwierdza babcia.

– Mamó, nie chcę, żeby pokój Lucy stał się jakimś mauzoleum – odpowiada babci jej nieugięta córka.

Babcia robi obrażoną minę i oznajmia:

– Rób, jak uważasz, Gemmo, ale od odejścia tego biednego dziecka minęło dopiero kilka miesięcy. Ja niczego nie zmieniłam w gabinecie twojego taty, choć nie ma go z nami już osiem lat.

– A może powinnaś pójść do przodu, zanim życie przemknie ci koło nosa? – komentuje szorstkim tonem mama.

Babcia gniewnie marszczy twarz i oświadcza:

– Myślę, że nie powinnyśmy prowadzić tej rozmowy w obecności obcej osoby.

Odbieram to jako policzek, skoro dla własnej babci stałam się obcą osobą.

– Przepraszam, mamó. Po prostu czuję się trochę zmęczona i rozdrażniona – mówi ze skruchą do babci moja mama. – Napijmy się kawy.

– Nie, dziękuję. Myślę, że na mnie już czas. Wpadłam na chwilę, żeby ci powiedzieć, że

poleciałam moim prawnikom powołać fundację dla uczczenia pamięci Lucy. Postanowiłam ją nazwać Fundacją imienia Lucy Burgess. Chciałam z tobą omówić zorganizowanie aukcji na cele dobroczynne, ale najlepiej będzie odłożyć to na inny moment, kiedy okażesz się mniej *zajęta* – mówi babcia, spoglądając na mnie.

– Powołanie fundacji to wspaniały pomysł, pani Kendal. Wiem, że Lucy byłaby tym uszczęśliwiona – włączam się do rozmowy, nie potrafiąc się powstrzymać.

Babcia nie potrafi zapanować nad gniewem, gdy mówi do mnie:

– Przecież jej nie znałaś, prawda? Nigdy nawet jej nie spotkałaś.

– Nie – mamroczę pod nosem zaczerwieniona z powodu zakłopotania, bo uważa mnie za nieszczerą.

– Robisz wspaniałą rzecz, mamó. Dziękuję – mówi mama, przychodząc mi z pomocą.

– Musi to przynieść coś dobrego. – Głos babci się załamuje.

– Mamó, przyrzekam, że zadzwonię do ciebie, żeby omówić sprawę fundacji – zapewnia babcię mama i na pożegnanie całuje ją w policzek.

– Do widzenia, pani Kendal. Mam nadzieję, że wkrótce znowu panią zobaczę! – wołam za babcią.

– Do widzenia, Renee. Życzę ci miłego pobytu tutaj – odpowiada zimno, zamykając za sobą drzwi holu.

Siadam na schodach i zaciskam jej dłonie, gdy zaczynają drżeć.

– Babcia mnie nie lubi – mówię.

– Lubi. Jest tylko bardzo zasmucona...

– ...moją śmiercią – wchodzę mamie w słowo i krzyczę z gniewem: – Powiedz to, mamó, powiedz głośno i uświadom sobie, jakie to wszystko jest pokręcone! Nie mogę okłamywać babci do końca jej dni.

– Nie możemy jej powiedzieć prawdy, bo nas nie zrozumie – broni się mama.

– Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli się zorientuje, że „Renee” stąd nie wyjedzie, będzie mnie nienawidziła jeszcze bardziej – tłumaczę jej.

– Nie, nie będzie. Musi cię poznać. Wtedy cię pokocha – oznajmia z pasją mama.

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Żyje w świecie fantazji.

ROZDZIAŁ 11

NAUKA W DOMU

Siedzimy przy stole w bibliotece. Tak przynajmniej nazywa ten robiący wrażenie pokój mama. Na podłodze leżą perskie dywany, przy ścianach stoją dębowe regały. Jest doskonały do nauki. Tylko że ja nie zamierzam się uczyć. Od sześciu tygodni przychodzą do mnie prywatni nauczyciele i mam już tego dość.

Pani Bentley krzyżuje ręce na piersiach. Widać, że traci do mnie cierpliwość.

– Jak odpowiedziałas na to pytanie o rolnictwo w Teksasie? – pyta.

– Przepraszam, ale w końcu nie odpowiedziałam – oświadczam, wzruszając ramionami.

– Och, wstydź się, Renee. Miałam nadzieję, że przejdziemy dziś do następnego tematu – mówi rozczarowana.

– Naprawdę nie jestem w nastroju do nauki – mrużę pod nosem.

– Przykro mi, ale muszę zauważyć, że często nie jesteś w nastroju do nauki. Pani Burgess płaci mi dobrą pensję za uczenie ciebie, a mnie się wydaje, że nie wykorzystujesz tego w pełni. – Robi mi wyrzuty.

– To może nie powinnam marnować na to czasu – stwierdzam z westchnieniem.

Wiem, że pani Bentley uważa mnie za niewdzięcznego bachora, ale nic na to nie poradzę. Mam nadzieję, że ona i inni nauczyciele powtórzą to wszystko mamie, powiedzą jej, jaka jestem niechętna do współpracy i że w moim wypadku nauka w domu nie zdaje egzaminu. Nie spędzę ani chwili dłużej w tym więzieniu, nie widując nikogo. Oczywiście *przyjmujemy* w domu gości. Niestety, to nie są ludzie, których chcę spotykać. W ciągu ostatnich kilku tygodni odwiedzili nas sąsiedzi oraz przyjaciele rodziców, zaciekawieni dziewczyną, którą mama przygarnęła. Przyszli wyłącznie po to, by mnie zobaczyć. Większość z nich znam od wczesnego dzieciństwa. To takie stresujące musieć ciągle kłamać, choć za każdym razem jestem lepsza w opowiadaniu „mojej” historii. W moim sposobie mówienia jest mniej wahania, a opowieść nie brzmi jak wyuczona. Ludzie raczej wierzą w jej prawdziwość, choć z pewnością uważają za dziwne, że mama sprowadziła mnie do domu tak krótko po śmierci córki.

Gdy skarżyłam się na brak kontaktów z rówieśnikami, mama postanowiła zabrać mnie do swojego klubu tenisowego, żebym poznała tam jakieś dziewczyny. Jednak ja nie chcę ich poznawać, bo nie o takie dziewczyny mi chodzi. Pragnę mieć za przyjaciółkę tylko Mak. Tęsknię za nią tak bardzo, że za każdym razem, gdy o niej myślę, przeżywam katusze. Mama ignoruje moją prośbę, żeby zaprosiła tu Mak w celu przedstawienia jej „Renee”. Jak słyszała, Mak jest oburzona tym, że z moimi rodzicami zamieszkała jakaś nowa dziewczyna. „Nowa” dziewczyna, czyli... ja.

– Przepraszam, pani Bentley, czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy to zostawiły?

– pytam kurtuazyjnie, wstając od stołu i wychodząc z biblioteki bez czekania na jej odpowiedź.

Chcę znowu położyć się do łóżka w moim pokoju, lecz wiem, że przyjdzie mama i będzie mi robiła wymówki. Każe mi wykorzystać dzień w pełni. Co jeszcze mam, według niej, robić? Tylko myśl o powrocie do domu pozwoliła mi przetrwać te wszystkie miesiące w klinice. Niestety, gdy już tu wróciłam, muszę spędzać całe dnie z nauczycielami i wszędzie wychodzić z mamą, bo gdyby mi pozwoliła pójść samej do miasta, za bardzo by się tym denerwowała. Czuję się tak, jakbym zamieniła jedno więzienie na drugie.

Spaceruję po ogromnym trawniku. Jest taki piękny, że powinien poprawić mi nastrój, lecz otacza mnie przygnębiająca szarość.

W oddali Arthur goni za ptakiem, który przefruwa z krzewu na krzew. Okrążam basen i wchodzę na kort tenisowy, skąd zabieram piłeczkę i ostrożnie podchodzę do mojego psa.

– Tu, piesku – mówię i z całej jej siły rzucam piłeczkę na trawnik. – Przynieś ją, Arthur! Przynieś! – Pies stoi znieruchomiały i spogląda na mnie z niepokojem. Klaszczę więc w dłonie i skaczę, próbując w ten sposób pobudzić go do działania i powtarzając: – Arthur, to ja, Lucy! Twoja Lucy. – Ale on wygląda tak, jakby szykował się do ucieczki, i gdy tylko się do niego zbliżam, czmycha.

Zrozpaczona zamykam oczy. Ogarnia mnie mrok. Jej dłonie i usta zaczynają drżeć. Idę w stronę basenu i gdy do niego dochodzę, nie zatrzymuję się. Uderzam w lustro wody i spadam na dno. Kiedy zaczynam wypływać, zmuszam się do pozostania na dnie, wstrzymując oddech, aż zaczynają mnie palić jej płuca. Słyszę stłumione krzyki i plusk wody. Ktoś mnie chwytą, podnosi do góry i wyciąga z basenu. Chlorowana woda piecze mnie w oczy, ale widzę trzymającego mnie tatę. Jest w garniturze, przemoczony do nitki, bo nie zdążył zdjąć marynarki.

– Co ty próbowałaś zrobić? – wykrztusza przerażony.

Szukam odpowiednich słów i rozglądam się oszołomiona.

– Nie wiem – odpowiadam zdyszana, gdyż sama jestem zszokowana swoim zachowaniem.

ROZDZIAŁ 12

BADANIA KONTROLNE

Po incydencie na basenie rodzice uznali, że trzeba mi zrobić badania kontrolne, choć faktycznie chodziło im o to, żeby dzięki doktorowi Leo polepszył się mój stan psychiczny. Jestem zakłopotana tym, co mi się tam przydarzyło. Próbowałam ich zapewnić, że nie myślałam wtedy jasno, lecz nadal są wytrąceni z równowagi. Mama przez cały czas krąży wokół mnie, jakby sprawdzała, czy nie zamierzam popełnić samobójstwa.

W gabinecie doktora Leo wiercę się na krześle. Będąc znowu w klinice, mam poczucie, że nigdy stąd nie uciekłam.

– Uważam, że dopóki Renee nie odzyska dobrego nastroju, pomogłyby jej leki przeciwdepresyjne – mówi do niego mama.

– Nie potrzebuję żadnych tabletek, aby przestać się czuć tak jak obecnie – protestuję. – Po prostu musisz mi pozwolić żyć normalnie, a przynajmniej na tyle normalnie, na ile *potrafię*. Daj mi trochę wolności, pozwól robić to, co mają szansę robić inne nastolatki.

– To nie w porządku – broni się urażona mama. – Wychodzimy przecież do miasta i robimy razem różne przyjemne rzeczy.

– No właśnie: razem. To nie jest normalne spędzać cały czas z mamą – ripostuję.

Doktor Leo słucha w milczeniu naszej rozmowy, wycierając okulary. Po chwili kiwa głową w moją stronę i mówi:

– Zgadzasz się z Renee. Leki przeciwdepresyjne nie są tu właściwe, a poza tym nie chcę, by przyjmowała jakiś środek leczniczy w sytuacji, gdy jeszcze nie rozpoznałam przyczyny drżenia jej dłoni. Powinna pani dać jej więcej swobody, choć w pewnych granicach. Niech spędza czas z innymi nastolatkami i zapisze się do jakichś klubów, a wtedy nauka w domu stanie się dla niej bardziej znośna. Stan jej zdrowia psychicznego może mieć wpływ na fizyczne samopoczucie, a chcemy, by dobrze się czuła, nieprawdaż?

– Z całym szacunkiem... to przez pana tak nerwowo reagujemy na wszystko – wypomina mi mama. – To pan zachęcił nas do izolowania jej od przyjaciół w obawie, że mogłaby nie poradzić sobie z pobudzeniem emocjonalnym.

– Proszę być rozsądną. Renee wie, jaka jest stawka. Będzie uważać – poucza mamę doktor Leo, spoglądając na mnie ciepło i z uśmiechem.

Tak! – wykrzykuję do siebie w myślach. Z radości mogłabym go pocałować.

– Chciałbym, żebyś została tu na noc. Muszę ci zrobić jeszcze kilka badań, aby spróbować rozpoznać przyczynę drżenia dłoni. Opisz mi szczegółowo, kiedy się ono u ciebie pojawia i co się dzieje przed każdym epizodem. Może istnieje jakiś bodziec – tłumaczy mi.

– Okej – godzę się, choć wiem, że traci czas, próbując znaleźć „bodziec”, gdyż jest nim ona.

Jest dwudziesta druga trzydzieści. Siedzę już zbyt długo w pustej stołówce kliniki, próbując sobie przypomnieć wszystkie napady drżenia rąk. Mama sądzi, że pomaga mi w tym, sugerując różne okresy i daty, lecz tylko mąci mi w głowie. Proszę ją, by przywiozła mi z miasta big maca i frytki, bo dzięki temu nie będzie jej tu przynajmniej przez godzinę.

Macham jej, gdy odjeżdża, i patrzę, jak światła tylnych reflektorów samochodu znikają w mroku. Wieczorem na pustyni powietrze jest tak chłodne, że dostrzegam na jej rękach gęsią skórę. Pocieram je, wchodząc do środka. W klinice panuje denerwująca cisza. Nie jest przyjemnie słyszeć odgłosy własnych stóp na szpitalnych korytarzach.

– Hej, jest tu ktoś?! – wołam, ale nikt nie odpowiada.

Przemierzam białe korytarze i zaglądam do ciemnych pomieszczeń. W końcu dochodzę do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do laboratorium doktora Leo i na blok operacyjny. To teren objęty zakazem wstępu dla osób z zewnątrz. Ale ja nigdy nie chciałam tam wejść, zwłaszcza że mam stamtąd koszmarnie wspomnienia. Wciąż palą się tam światła. Jeśli doktor Leo tam jest, to dobrze zrobiłoby mi jego towarzystwo. Teraz żałuję, że wysłałam mamę do miasta, ponieważ to miejsce napęnia mnie lękiem. Popycham drzwi. Niestety, nie otwierają się. Pukam, ale nikt się nie zjawia, by mnie wpuścić.

Odchodzę stamtąd i kieruję się do gabinetu doktora Leo w nadziei, że jeszcze go zastanę. Z rozczarowaniem stwierdzam, że w środku światło jest zgaszone, a drzwi są zamknięte. Jednak gdy naciskam klamkę, otwierają się. Ciekawość sprawia, że wchodzę do środka. Zapalam lampkę na biurku i siadam przy nim na krześle obrotowym. Zastanawiam się, jak to jest być doktorem Leo. Zapewne dzięki temu, że swoimi operacjami oszukuje śmierć, czuje się niezwyciężony jak Bóg. Jego gabinet jest perfekcyjny, jak on sam. Wszystko jest tu na swoim miejscu. Nawet rośliny doniczkowe są podlane! Na stojącym naprzeciwko mnie monitorze miga wygaszacz ekranu. To reprodukcja obrazu ukazującego pięknego młodzieńca przeglądającego się w lustrze sadzawki. Analizowałam ten obraz na zajęciach z plastyki. Jego bohaterem jest Narcyz, który zakochał się we własnym odbiciu w wodzie. Prycham. Czy doktor Leo chce, by przydarzyło mi się coś takiego? Żebym się zakochała w swoim lustrzanym odbiciu? W jej odbiciu? Wie przecież, że obsesja Narcyza na punkcie własnego odbicia w ostateczności doprowadziła go do śmierci.

Wstaję z krzesła, chcąc wyjść z gabinetu, lecz moją uwagę przyciągają trzy dolne szuflady z boku biurka. Ta najniższa jest lekko wysunięta. Korci mnie, by do niej zajrzeć, choć wiem, że nie powinnam tego robić. Wyobrażam sobie, że znajdę tam oznakę jakiejś zgubnej dla doktora słabości: butelkę jacka danielsa lub paczuszkę kokainy. Bo jak bez nich mógłby wykonywać operacje trwające kilkadziesiąt godzin? Spoglądam na drzwi, nasłuchując, czy ktoś nie idzie korytarzem, ale panuje cisza. Popycham szufladę stopą, udając, że otwieram ją przypadkowo. Jestem wstrząśnięta widokiem błyszczącego pistoletu w środku. Czuję przyspieszone bicie serca, lecz nie mogę się oprzeć pokusie wyjęcia tego pistoletu o czarnej rękojeści z szuflady. Jeszcze nigdy nie trzymałam czegoś takiego w dłoni. Jest cięższy, niż się spodziewałam, i zimny w dotyku. Przysuwam go do światła, a wówczas srebrzysta lufa błyszczy. Czy jest załadowany? Czy w ogóle jest zabezpieczony? Napominam się, że nie wolno mi dotykać takich rzeczy.

Gdy zamierzam odłożyć pistolet do szuflady, moją uwagę przyciąga przyklejone do teczki zdjęcie. Ostrożnie odkładam broń na blat biurka i wyjmuję z szuflady teczkę. Dostrzegam pod nią dziewięć następnych, do których również są przymocowane zdjęcia: cztery ukazują chłopców, a sześć – dziewczęta. Wszyscy są w typie króla i królowej balu, piękni i wyglądający jak okazy zdrowia. Mam poczucie winy, ponieważ teczki zawierają poufne dane. Wiem, że powinnam je odłożyć na miejsce, ale nie mogę. Zastanawiam się, czy te wszystkie dzieciaki zachorowały tak jak ja i doktor Radnor chce im pomóc. Zaczynam przeglądać zawartość teczek. Nie ma tam żadnych nazwisk, a jedynie informacja medyczna dotycząca każdej z osób. Ale czego się spodziewałam? Na każdej stronie widnieją wyniki przeróżnych badań lekarskich: rentgenowskich, tomograficznych i innych, których nie potrafię odczytać. Wygląda na to, że tym pacjentom wykonano wszelkie możliwe badania. Zastanawiam się, co jest z nimi nie tak.

– Co ty robisz? – W ciszy rozlega się surowy głos doktora.

Na widok stojącego w drzwiach lekarza gwałtownie wciągam powietrze do płuc.

– O Boże! Bardzo pana przepraszam, doktorze Leo – bełkoczę, cofając się od biurka.

– To *mój* gabinet, a te dane są poufne! – krzyczy na mnie wściekły i pyta: – Jak śmiesz tu

wchodzić bez zaproszenia? Dlaczego wzięłaś do ręki mój pistolet? To nie jest zabawka. Mogłaś się zastrzelić!

Jest mi tak bardzo wstyd, że nie mogę spojrzeć mu w oczy.

– Zostałam... Zostałam zupełnie sama i szukałam pana – dukam. – Pana gabinet był otwarty, dlatego weszłam do środka powodowana niepohamowaną ciekawością. Szuflada okazała się uchylona, więc ja tylko... Nie zobaczyłam niczego, co dotyczy pana pacjentów, naprawdę. Nawet nie znam ich nazwisk. – Wzruszam ramionami, żałując, że nie jestem teraz gdziekolwiek indziej.

Lekarz wkłada teczki i pistolet z powrotem do szuflady i zamyka ją na klucz. Oddycha głęboko i jest już spokojniejszy. Jego srebrzyste włosy są rozczochrane, a na czole ma obwódkę, jakby przed chwilą zdjął z głowy czepkę lekarski. Może przyszedł tu z bloku operacyjnego?

– Powinienem być ze względów bezpieczeństwa zamykać tę szufladę na klucz. Po prostu nie spodziewałem się, że wejdzie tu dziś jakiś intruz – mówi łagodniejszym tonem.

– Po co panu pistolet? – pytam zdenerwowana.

Doktor Leo spogląda na mnie, jakbym była niespełna rozumu, i wyjaśnia:

– Jestem w klinice na pustyni, gdzie znajduje się aparatura medyczna warta miliony dolarów. Byłbym szaleńcem, przebywając tu *bez broni*.

Powoli kiwam głową. Oczywiście, że musi mieć pistolet. Z pewnością uznał mnie za naiwną.

Teraz dostrzegam, że na mankiecie jego koszuli powiększa się plama krwi, jakby pobrudził go nią dosłownie przed chwilą.

– Skaleczył się pan? – pytam z troską.

Spogląda na plamę i mówi:

– Nie. Byłem w laboratorium, gdzie badam twoją krew. Wciąż próbuję poznać przyczynę drżenia twoich rąk.

Po tym wyznaniu robi mi się jeszcze bardziej przykro. Doktor późnym wieczorem pracuje, chcąc mi pomóc, a ja zawodzę jego zaufanie.

– Te teczki, które przeglądałaś...

– Nie musi mi pan o nich mówić – przerywam mu i wyznaję ze skruchą: – To nie moja sprawa.

– Powinnaś o tym wiedzieć. Ci wszyscy młodzi ludzie czekają na operację. Są śmiertelnie chorzy, tak jak ty byłaś, i mają coraz mniej czasu – tłumaczy, masując skronie, jakby był zestresowany.

Przywołuję w pamięci ich fotografie. Wszyscy wyglądali na nich na całkowicie zdrowych i pełnych życia. Najwyraźniej są to zdjęcia sprzed choroby.

– Tak mi przykro – mówię przez ściśnięte gardło i pytam: – Czy jest dla nich nadzieja?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by im pomóc – zapewnia mnie z uśmiechem na zmęczonej twarzy.

Nagle olśniewa mnie myśl, że on przeprowadza kolejne transplantacje. Może to dziwne, ale znajduję pocieszenie w tym, że doktor Leo tworzy inne osoby takie jak ja. Jeśli nie byłabym jedyną, to być może nie czułabym się odmieńcem.

– Posłuchaj, Renee. Nie powiem twojej mamie, że wtargnęłaś do mojego gabinetu. Nie chcę, żebyś miała kłopoty, zwłaszcza teraz, gdy namówiłem ją, aby dała ci więcej swobody. To, co się tu wydarzyło, zatrzymajmy więc dla siebie, dobrze? – proponuje.

– Jasne. Dziękuję – potwierdzam zaczerwieniona z powodu zakłopotania, bo nie zasługuję na jego uprzejmość.

– Czy opisałaś już sytuację, w których drżały ci ręce? – pyta.

– Prawie – zapewniam go, czując, jak jej policzki znowu czerwienią się ze wstydu, że jeszcze tego nie zrobiłam. – Zaraz skończę.

ROZDZIAŁ 13

KONDOLENCJE

Tabletki, które otrzymałam od doktora Leo, chyba jeszcze nie działają. Na szczęście coraz łatwiej rozpoznaję oznaki zapowiadające napad drżenia rąk. Schodzę więc rodzicom z drogi, dopóki nie stanie się widoczne, gdyż nie chcę, aby znowu zaciągnęły mnie do kliniki.

Wyjmuję z garderoby *moje* ostatnie rzeczy, żeby mama zawiozła je do sklepu z używaną odzieżą, gdzie dochód ze sprzedaży przeznaczają się na cele charytatywne. Mama sprawia wrażenie, że robi to z wielką ochotą. Czasami myślę, że chce się pozbyć wszelkich śladów tego, jaka byłam przed transplantacją.

Na końcu wieszaka znajduję dzinsową kurtkę Mak. Pożyczyłam ją od niej w zeszłym roku, kiedy zmarłam na jednej z jej „afirmujących życie wycieczek”. Tym razem zabrała mnie do planetarium. Pewnie miała nadzieję, że dzięki temu otrzymamy głęboki wgląd w życie człowieka we wszechświecie czy coś w tym rodzaju. Niestety, szybko się znudziłyśmy i poszłyśmy do multipleksu na film. Zapomniałam oddać jej tę kurtkę, a ona nigdy się o nią nie upomniała. Wkładam ją teraz i oddycham głęboko, wciągając do płuc zapach balsamu do ciała Tutti Frutti, który wtedy się Mak podobał. Zaczynam ubolewać z powodu naszej rozłąki. Muszę zobaczyć się z moją przyjaciółką! Chcę się dowiedzieć, co u niej słychać.

Rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi mama.

– Cześć, Lucy. Czas na lekcje – mówi, trzymając w rękach laptopa.

Od kiedy pani Bentley i jej następczyni zrezygnowały z uczenia mnie z powodu mojego „braku zaangażowania”, mama znalazła nowy sposób, by zachęcić mnie do przyswajania wiedzy. Otóż pozwala mi używać do „niezależnej nauki” mojego laptopa, choć gdy z niego korzystam, z uporem tkwi w moim pokoju, a gdy kończę lekcję, zabiera go ze sobą.

– Nie mam ochoty – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Och, nie marudź. Możesz sobie wybrać temat. Możemy nawet posiedzieć przy basenie.

Nauka na świeżym powietrzu – proponuje, jakby to był wielki gest z jej strony.

– To może przestań mnie pilnować w czasie nauki? Po prostu połóż laptopa na moim łóżku – oznajmiam poirytowana.

– To nie jest dobry pomysł – sprzeciwia się.

– Mamo, po prostu paranoicznie się boisz, że w mediach społecznościowych ogłoszę, kim naprawdę jestem – oświadczam bez ogródek.

– Nie zrobiłabyś tego – mówi takim tonem, jakby zadawała mi pytanie.

– Oczywiście, że nie zrobiłabym – potwierdzam. – Sądziś, że chciałabym oznajmić światu, że jestem odmieńcem?

– Proszę, nie nazywaj siebie tak – mówi, krzywiąc się.

– Chcesz, żebym się uczyła, czy nie? Potrzebuję do tego swobody. Dasz mi ją? – pytam, starając się wzbudzić w niej poczucie winy.

Mama jest zdenerwowana. Rozważa plusy i minusy tej sytuacji, gdyż dotychczas nic nie przyniosło efektu.

– Czy możesz mi przyrzec, że będziesz używać laptopa tylko do nauki? Że nie zalogujesz się w mediach społecznościowych? – pyta w końcu ze śmiertelną powagą.

– Przyrzekam – potwierdzam zdumiona.

– A więc dobrze – mówi, kładzie laptopa na łóżku i z wahaniem wychodzi z pokoju.

Nasłuchuję odgłosu jej kroków za drzwiami, a kiedy cichnie, podekscytowana otwieram

laptopa i loguję się na swoim koncie na Facebooku. Uważam, że złożenie przyrzeczenia się nie liczy, jeśli jest się zmuszonym wyrazić zgodę na coś, co jest absolutnie nie w porządku. Zresztą chcę tylko tam zerknąć. Klikam tablicę Mak. Od czasu „mojej śmierci” zamieściła tylko jeden post. Jest tam nasze wspólne zdjęcie w kolejce górskiej w wesołym miasteczku podczas festynu z rodeo w Houston. Ze strachu otwieramy szeroko usta i oczy, lecz jesteśmy uszczęśliwione. Mak napisała: „Dziś odeszła moja najlepsza przyjaciółka, niesamowita Lucy Burgess. Żadne słowa nie potrafią wyrazić tego, co czuję”. Dotykam jej twarzy na zdjęciu, rozpaczliwie pragnąc ją pocieszyć.

– Tak mi przykro, Mak – mówię po cichu i klikam moją tablicę.

Zamieniła się w księgę kondolencyjną, ale ostatni komentarz pochodzi sprzed wielu miesięcy. Wygląda na to, że wszyscy poświęcają mojej tablicy bardzo mało uwagi. Łatwo się domyślić dlaczego. Nawet gdy umieramy, o większości z nas mówi się bardzo krótko, dopóki uwagi ludzi nie przyciągnie następna tragedia czy skandal z udziałem jakiegoś celebryty. Serce mi pęka, gdy przewijam w dół kolejne wpisy.

Spozycywaj w pokoju, Lucy. Jestem pewna, że uśmiechasz się do nas z góry. Charlotte

Teraz jesteś z aniołami, Lucy. Claire

Tak mi przykro, że przegrałaś tę walkę, Lucy. Hannah □ □ □

Tylko ludzie dobrzy umierają młodo. Patty

Zabrana zbyt wcześnie. Szkoda, że nie było mi dane Cię poznać. Ruth

W Bailey Heights będziemy za Tobą tęsknić, Lucy. Tina □

Twoja bohaterska walka z rakiem była dla nas wszystkich wzorem, Lucy. Michelle

Modlę się za Ciebie, Lucy. Mary-Sue

Wszyscy za Tobą tęsknimy, Lucy. Z wyrazami miłości, Angie

Nigdy nie zapomnę spędzonych z Tobą chwil. Odmieniłaś mój świat. Josh

Spośród tych osób dobrze znam tylko tego dupka Josha Dartmere. Wszystkie uczęszczają do Bailey Heights. Prawdopodobnie uznały, że wypada zostawić wiadomość zmarłej dziewczynie z ich klasy. Zastanawiam się, czy w ich sytuacji zrobiłabym to samo. Tych komentarzy jest wiele, ale są nijakie, a przez to mogą się odnosić do każdego. Żaden nie mówi nic o mnie. Prawdopodobnie wszyscy uważają, że nie bardzo jest co *powiedzieć*, i mają rację. Nie było mi dane czeokolwiek osiągnąć. Jeśli w ogóle ktoś mnie pamięta, to jako córkę bogatych rodziców, która w wieku trzynastu lat zachorowała na raka i spędziła resztę swojego krótkiego życia na nieudanej walce z nim.

Nie wiem, jak powinnam się czuć, czytając kondolencje dotyczące mojej osoby. To, co mi się przydarzyło, nie ma precedensu. Prawdopodobnie powinnam płakać z rozpaczy, że to wszystko jest tak pokręcone i przygnębiające. Wpadam w depresję i czuję się zakłopotana tym potwierdzeniem, jak mało znaczące było moje życie.

Podchodzę do toaletki i usuwam zasłaniający lustro szal. Zdejmuję dzinsową kurtkę Mak i przeglądam się. Ona wygląda świetnie. Moje nowe ubrania pasują do jej sylwetki. Fatałaszek ze zwiewnej tkaniny lekko odsłania dekolt, a obcisłe dzinsy idealnie przylegają do długich zgrabnych nóg. Odwracam się i patrzę przez ramię na jej sylwetkę z tyłu. Śmieję się, z powodu zadowolenia, ale i z zazdrości, bo nawet z tyłu wygląda dobrze. Stoję wyprostowana. Przeczesuję palcami jasne włosy o rudawym odcieniu mojej peruki, a wówczas ładnie opadają na jej ramiona. Taką sylwetkę się zauważa.

Przyglądając się jej, dochodzę do wniosku, że dłużej nie zniosę beczynnego tkwienia w tym domu. Muszę zacząć żyć naprawdę. Muszę wrócić do Bailey Heights i postarać się o to, by Mak została moją *nową* najlepszą przyjaciółką! Sprawić, by uznała, że „Renee” potrafi zapełnić pustkę, jaka powstała w jej życiu po Lucy. Wiem, jak niebezpieczne byłoby

powiedzenie komuś prawdy o mnie, ale ona nie jest „kimś”, tylko Makaylą. Gdybym się z nią zaprzyjaźniła, to w końcu... być może we właściwym momencie mogłabym jej powiedzieć, co się stało. Myślę gorączkowo. A gdyby udało mi się ją przekonać, kim w rzeczywistości jestem? Wówczas byłoby tak jak dawniej. Nic nie mogłoby nam w tym przeszkodzić.

Jestem podekscytowana tą myślą. Nie widzę powodu, dla którego miałabym nie wrócić do szkoły. Nikt się nie dowie, że jestem odmieńcem. Nikt się nie dowie, kim kiedyś byłam. Może po raz pierwszy w życiu mogłabym zacząć być kimś? Z jej ciałem mam szansę być dziewczyną, którą się zapamiętuje. Byłabym niemądra, gdybym nie spróbowała.

Zakrywam z powrotem lustro szalem, śniąc na jawie o nowym wspaniałym życiu, gdy do pokoju wchodzi mama i patrzy na laptopa, a potem na mnie.

– Co oglądałaś, Lucy? – pyta.

Podchodzę do niej pospiesznie i próbuję zamknąć komputer, ale mi nie pozwala.

– Och, Lucy, przecież przyrzekałaś! To nie jest dla ciebie dobre. Nie możesz oglądać takich rzeczy – poucza mnie i odbiera mi laptopa.

– Chcę wrócić do Bailey Heights! – mówię zdecydowanie.

– Przykro mi, kochanie. To niemożliwe – oświadcza, opierając ręce na biodrach.

– Dlaczego? – domagam się odpowiedzi.

– To będzie dla ciebie zbyt stresujące – przekonuje mnie.

– Co zatem powinnam robić? Nauka w domu się nie sprawdza, więc jak zdam egzaminy?

Jak dostanę się do college’u? – Wskazuję na nią oskarżycielsko palcem i mówię: – Wiesz, jak depresyjnie działa na mnie tkwienie tu w beczyność.

Mama nerwowo przekręca obrączkę na palcu i oznajmia:

– Okej, rozumiem, że potrzebujesz towarzystwa i chcesz przebywać z rówieśnikami.

Porozmawiam o tym z tatą. Może znajdziemy dla ciebie inną szkołę, gdzie nie będziesz nikogo znała.

– Tylko że ja *chcę* przebywać z tymi, których znam – protestuję.

Zdenerwowana mama tłumaczy mi:

– Ale oni nie będą znali *ciebie*, więc jaki to ma sens? Jeśli wrócisz do swojej dawnej szkoły, istnieje większe prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak. Nie chcę, aby ludzie zaczęli się tobą interesować, aby zaczęli węszyć.

– Będę uważać – bronię się.

– Wiem, ale nie możemy ryzykować. Poza tym twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi – oświadcza kategorycznym tonem.

Unoszę brwi, jakby gadała od rzeczy, i mówię pewnym głosem:

– Naprawdę? Zobaczmy. – Jestem strasznie wkurzona, ale dobrze się czuję w takim stanie.

ROZDZIAŁ 14

PERSWAZJA

– Przykro mi, ale to jest absurdalny pomysł! – mówi podniesionym głosem tata. – Nie możemy posłać cię ponownie do Bailey Heights. Uzgodniliśmy z doktorem Radnorem, że będziesz się uczyła w domu. Nie możesz wrócić tam, gdzie wszystkich znasz. Nie możesz ryzykować, że coś ci się wymknie.

– Nie jestem kompletną kretynką – protestuję, siedząc przy kuchennym stole. – Nie zamierzam wkroczyć do szkoły i ogłosić: „Hej, ludzie, jestem Lucy Burgess! Zmartwychwstałam, tyle że teraz jestem odmieńcem. Istnieję w ciele innej dziewczyny!”. Sądziysz, że chcę, by *ktokolwiek* poznał prawdę?

– Ona ma rację, Lewis – mówi spokojnym głosem mama. – Będzie uważać. Nikt się o niczym nie dowie.

Powściągam uśmiech. Wiem, że potrafię przekonać mamę do zmiany zdania.

– Nie możesz tego zagwarantować – odpowiada jej gniewnym tonem tata. – Renee dowie się o tym, jak czuje się w starej szkole, dopiero wówczas, gdy się tam znajdzie, a wtedy może być już za późno. A jeśli przytłoczy ją widok tych wszystkich ludzi? Jeśli nie będzie umiała nad sobą zapanować? Skutek będzie katastrofalny.

– Tato, mów do mnie „Lucy” – proszę go. – Gdy jesteśmy sami, zapomnij o sprawie Renee.

– Jak możesz to nazywać „sprawą Renee”? – dziwi się tata i rozkłada ręce. – Właśnie tym się martwię. To nie jest żadna zabawa. Nie możesz wybierać, kiedy masz na imię Lucy, a kiedy nie. Otrzymałaś nową tożsamość i *wszyscy* musimy o tobie myśleć jako o Renee. Jesteś teraz nią.

– Więc jaki sens miało zachowanie mnie przy życiu, skoro nie możesz nawet myśleć o mnie jako o swojej córce? – warczę.

Tata się czerwieni. Wiem, że dręczy go poczucie winy. Od początku wiedziałam, że to nie on wpadł na pomysł transplantacji. Ale nie pozwolę mu powstrzymać mnie przed zrobieniem tego, co jest mi potrzebne do życia.

Wstaję z krzesła, chcąc mu spojrzeć w oczy, i mówię oskarżycielskim tonem:

– Wy mi to zrobiliście. Nawet nie poprosiliście mnie o pozwolenie. Nie jesteście w stanie wyobrazić sobie, jak się czuję... Uwięziona w cudzym ciele, kiedy nikt nie wie, kim jestem, i nie mam z kim porozmawiać. Nie mogę nawet uścisnąć swojego psa.

Z zadowoleniem obserwuję, jak tata robi się niespokojny.

– Jeśli nie pozwolicie mi wrócić do Bailey Heights, to zapomnijcie o moim kształceniu, bo nie będę uczęszczać do innej szkoły ani uczyć się pod okiem prywatnych nauczycieli. Przysięgam, że całymi dniami będę leżała w łóżku, a wy będziecie musieli obserwować, jak wpadam w coraz większą depresję i tracę chęć do życia. Czy tym chcecie mnie uraczyć? Tato, musiałeś mnie wyciągać z basenu. Już o tym zapomniełeś? – wyrzucam mu, nie przejmując się, że nim manipuluję.

Mama kładzie mu rękę na ramieniu i mówi:

– Powinniśmy pozwolić jej wrócić do szkoły, Lewis. Uważam, że tak będzie dla niej dobrze. Chcemy przecież, aby Lucy była szczęśliwa.

Tata kręci głową w poczuciu porażki i przestrzega mamę surowym tonem:

– Jeśli coś pójdzie nie tak, to odpowiedzialność spadnie na ciebie, Gemmo. To twoja decyzja.

Mama z powagą kiwa głową.

– W porządku – zgadza się tata i z westchnieniem mówi do mnie: – Ale uprzedzam: gdy tylko zauważę, że masz jakieś problemy lub że ludzie stają się zbyt ciekawscy, zabiorę cię stamtąd. Rozumiesz?

Nieoczekiwanie czuję się silna... i uszczęśliwiona. Po tylu latach bycia bezradnym, chorym dzieckiem przyjemnie jest w końcu móc postawić na swoim.

– Jasne – odpowiadam. – Nie musisz się stresować, tato. Panuję nad sytuacją. – Uśmiecham się triumfalnie.

ROZDZIAŁ 15

BAILEY HEIGHTS

Zajęło to mamie dwa tygodnie, ale w końcu czekamy przed gabinetem pani Sanderson, dyrektorki szkoły. Mama ma wielką zdolność przekonywania. Gdy była praktykującą adwokatką, rzadko kiedy przegrywała proces. Toteż nietrudno było jej nakłonić dyrektorkę do przyjęcia do szkoły „pokrzywdzonej przez los” dziewczyny, której pomaga. Mimo to wydaje się bardziej zdenerwowana niż ja. Wierci się na krześle, wygładzając włosy mojej peruki.

– Nie denerwuj się – mówię do niej szeptem i widzę, że przygląda się nam szkolna recepcjonistka, pani Andrews.

– Miło panią widzieć, pani Burgess – odzywa się zza kontuaru, poprawia okulary, patrzy na mnie i dodaje: – Bardzo tu wszyscy pani współczuliśmy z powodu poniesionej straty.

– Dziękuję – odpowiada skrzepowana mama.

To dziwne, jak szybko przyzwyczaiłam się do tego, że ludzie mówią o mnie jako o zmarłej. Nie robi mi się już z tego powodu niedobrze. I nie mam ochoty chwycić kogoś i wykrzyzczyć mu w twarz, że żyję uwięziona w cudzym ciele.

– Bardzo ładnie wyglądasz w mundurku, młoda damo – chwali mnie pani Andrews.

Uśmiecham się z fałszywą skromnością. Czuję się dziwnie w Bailey Heights w mundurku włożonym na jej ciało. Ale ona prezentuje się w nim doskonale. Dzięki temu zyskuję pewność siebie, jakiej nigdy wcześniej w szkole nie miałam. Jest tak, jakbym grała rolę i miała opanowaną przedakcję. W fioletowo-czarnym mundurku jest jej o wiele lepiej niż było mnie, choć przypuszczam, że nawet ubrana w worek na śmieci wyglądałaby ślicznie.

Mama była zachwycona, gdy dziś rano zobaczyła, że przeglądam się w lustrze.

– Grzeczna dziewczyna – stwierdziła uradowana. – Nie powinnaś zaczynać nauki w szkole, nie wiedząc, jak wyglądasz.

Ale prawda jest taka, że za każdym razem, gdy na nią patrzę, coraz mniej czuję się sobą.

Zostajemy zaproszone do gabinetu dyrektorki. Krzywię się na wspomnienie chwili, kiedy byłam tam po raz ostatni, też z mamą, aby poinformować panią Sanderson, że nastąpił nawrót choroby i jestem zbyt słaba, by móc nadal chodzić do szkoły. Mama podziękowała jej za wsparcie, jakiego udzielała mi przez wszystkie lata choroby, kiedy często opuszczałam lekcje z powodu wizyt u lekarza i pobyków w szpitalu. Pani Sanderson uścisnęła mnie i powiedziała, że z niecierpliwością czeka na mój powrót, ale miała łzy w oczach, jakby nie wierzyła, że jeszcze mnie tu zobaczy.

Teraz, gdy wchodzimy do gabinetu, wita się z mamą serdecznie.

– Dziękuję bardzo, pani dyrektor, za przyjęcie Renee do Bailey Heights – zaczyna mama z czarującym uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada pani Sanders i podaje mi rękę, mówiąc: – Miło cię widzieć, Renee.

– Mnie też miło panią widzieć, pani dyrektor – odpowiadam radosnym głosem.

– Proszę usiąść – zaprasza nas, żebyśmy zajęły miejsca na krzesłach stojących przed jej biurkiem, i zwraca się do mnie: – Jak rozumiem, Renee, miałaś przerwy w nauce, ale chcę cię umieścić w jedenastej klasie, jak prosiła pani Burgess. Wiem, że przebywanie z rówieśnikami jest ważne. Jeśli nauczyciele stwierdzą, że sobie nie radzisz, wtedy się zastanowimy, co robić dalej. – Uśmiecha się, chcąc mi dodać otuchy.

– To bardzo sprawiedliwe podejście – mówi mama. – Renee miała przerwy w nauce

z powodu trudnych warunków życiowych, ale jest bardzo zdolna.

– Rozumiem, pani Burgess – odpowiada dyrektorka i znów zwraca się do mnie: – W Bailey Heights interesują nas nie tylko osiągnięcia w nauce, lecz przede wszystkim zadowolenie i szczęście naszych uczniów. Mamy wspaniałych psychologów szkolnych, gdybyś chciała zasięgnąć porady.

– Dziękuję – mruczę pod nosem.

– Rozpatrzyłam pozytywnie twoją prośbę o przydzielenie do klasy, w której jest Makayla Walker – informuje mnie dyrektorka.

– Wiem, że bardzo przyjaźniła się z Lucy. Pomyślałam sobie, że przebywanie z nią pomoże mi się zaaklimatyzować – odpowiadam z entuzjazmem.

– Pani Burgess wyjaśniła powody, więc na tę chwilę *umieszczę* cię w klasie z Makaylą, ale muszę też brać pod uwagę potrzeby tej uczennicy. Bardzo ciężko zniosła... – spogląda na mamę i kończy – ...odejście Lucy. Jeśli więc dotrze do mnie, że stanowi to dla Makayli problem, będziemy musieli rozważyć ponownie.

– Dziękuję! – wołam tak uszczęśliwiona, że mogłabym ją uściskać.

– Czy macie jeszcze jakieś pytania? – pyta dyrektorka.

– Nie, przynajmniej ja nie mam – odpowiadam niecierpliwie.

– To zaprowadzę cię do klasy. Lekcje już się zaczęły. – Pani Sanderson wstaje z krzesła i mówi do mamy: – Do widzenia, pani Burgess. Proszę się nie martwić o Renee. Będzie się tu dobrze czuła.

– Z pewnością – odpowiada mama, ale nie wygląda na przekonaną, gdy mówi do mnie: – Baw się dobrze i przykładaj się do nauki, Renee. Przyjadę po ciebie po lekcjach.

– Nie potrzebuję, aby ktoś po mnie przyjeżdżał! – protestuję zdecydowanie, a widząc, że pani Sanderson jest zaskoczona moją reakcją, dodaję: – Przepraszam, pani Burgess, po prostu nie chcę sprawiać pani kłopotu w sytuacji, gdy mogę wrócić do domu autobusem.

– Nie, Renee. Przyjadę po ciebie – oznajmia mama, spoglądając na mnie surowo.

Dyrektorka prowadzi mnie pustymi korytarzami, starając się objaśnić, gdzie znajdują się różne pomieszczenia w szkole.

– To duży budynek, ale szybko się do niego przyzwyczaisz. Idziemy do sali 11D.

Nie mogę się doczekać spotkania z Mak. Mimo woli wysuwam się przed panią Sanderson, skręcam w prawo i zatrzymuję się przed trzecimi drzwiami w korytarzu. Dyrektorka patrzy na mnie dziwnie, jakby zastanawiała się, skąd wiem, gdzie trzeba pójść. Szybko stamtąd odchodzę, zdając sobie sprawę, że popełniłam błąd.

– Nie idź dalej! To tu, Renee! – woła za mną, puka do drzwi klasy 11D i wprowadza mnie do środka.

Rozglądam się w poszukiwaniu Mak. Widzę, że siedzi w pierwszym rzędzie. Gdy dostrzegam, kto jest nauczycielem, wiem dlaczego.

Pani Sanderson mówi:

– Dzień dobry, panie Kendrick. Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyprowadziłam nową uczennicę. To jest Renee Wodehouse. Będzie uczyła się do Bailey Heights, do tej klasy.

Wszyscy odwracają głowy w moją stronę, chcąc mnie obejrzeć. Hugh Grasso i jego kumple zaczynają trącać jeden drugiego i posyłać mi całusy. Czerwienię się, bo przedtem mnie nie zauważali.

– Witaj, Renee – mówi pan Kendrick z uśmiechem. – Sprawdźmy, gdzie możesz usiąść.

W całej klasie są wolne miejsca, lecz ja bez wahania idę do ławki Mak.

– Mogę? – pytam śmiało.

– Nie chcę, żeby ktoś tu siedział – odpowiada Mak, spoglądając na mnie ze złością.

– Ależ Makaylo. Taka wspaniała dziewczyna jak ty na pewno zechce pomóc Renee – perswaduje jej nauczyciel.

Mak jest zaskoczona tym komplementem.

– Dobrze – mówi ustępliwym tonem.

– A zatem zostawiam was – oznajmia dyrektorka i wychodzi.

Nie mogę uwierzyć, że znowu tu jestem i siedzę obok Mak. Uśmiecham się do niej szeroko i mówię:

– Dziękuję.

Ale ona patrzy przed siebie i nie odpowiada.

Oglądam jej profil. Już nie nosi takiego mocnego makijażu, ma matową skórę i przetłuszczone włosy. Wcześniej nie chciałaby tak wyglądać w obecności pana Kendricka.

– Chcesz fotkę? – syczy do mnie.

– Słucham? – pytam zdezorientowana.

– Ciągle się na mnie gapisz. Czy nie będzie ci łatwiej obejrzeć mnie na jakimś odlotowym zdjęciu? Może zrób je sobie, co? – odpowiada ze złością.

To jest Mak, którą znam i uwielbiam. Znowu uśmiecham się do niej szeroko, choć wiem, że nie powinnam. Niestety, nie mogę się powstrzymać.

– Dlaczego się uśmiechasz? – pyta.

– Bez specjalnego powodu. Po prostu fajnie jest tu być – odpowiadam wymijająco.

– Jak tam chcesz – zbywa mnie, kręcąc głową.

Pan Kendrick wręcza mi książkę i mówi:

– Renee, właśnie przerabiamy powieść Mary Shelley *Frankenstein*. Znasz ją?

– Niespecjalnie – kłamię, czując, jak jej dłonie zaczynają drżeć, więc zaciskam palce na książce i mówię w myślach: „Boże, proszę, nie teraz. Nie przy wszystkich!”

– Nie przejmuj się. Dasz radę nadrobić materiał – pociesza mnie pan Kendrick, ale chyba nie zauważył drżenia moich dłoni, bo zwraca się do klasy: – Czy ktoś z was mi powie, co mogło skłonić dziesiętnastoletnią pisarkę do wymyślenia takiej niepokojącej historii?

– Może była wtedy na haju?! – woła z tyłu klasy Hugh.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Gdy pisała tę powieść, przebywała wraz ze swoim ówczesnym kochankiem, Percym Shelleyem, i osławionym lordem Byronem nad Jeziorem Genewskim, gdzie dużą część lata tysiąc osiemset szesnastego roku spędzili w wynajętych willach, pijąc alkohol i paląc opium, więc twoje pytanie nie jest aż tak bulwersujące, jak się spodziewałeś – komentuje nauczyciel.

– To tak jak moi kumple – popisuje się dalej Hugh, ku uciesze pozostałych uczniów.

– Cóż, dziękuję, Hugh, za twoją odpowiedź – podsumowuje oschłym tonem pan Kendrick i ponownie zwraca się do klasy z pytaniem: – Czy ktoś ma jakąś teorię na temat powodów napisania przez Mary Shelley tej powieści?

Mak podnosi rękę i odpowiada:

– Czy to nie wówczas Mary straciła dziecko i miała koszmarny sen, że pocierając je, przywraca mu życie?

– Miło słyszeć, Makaylo, że starałaś się przygotować do lekcji – chwali ją pan Kendrick i potwierdza: – Owszem, jest prawdopodobne, że jej podświadoma chęć przywrócenia mu życia mogła ją zainspirować, wraz z innymi czynnikami, do napisania *Frankensteina*.

Słyszając to, czuję się, jakbym wpadła do lodowatej wody. Myślę o tym, co mama mi zrobiła, rozpaczliwie chcąc zachować mnie przy życiu. Moje dłonie drżą tak bardzo, że nie da się już tego ukryć. Ściskam książkę jeszcze mocniej i oddycham głęboko, starając się zachować spokój. Rozglądam się dyskretnie po sali, by się upewnić, że nikt na mnie nie patrzy.

– A więc pragnienie Mary Shelley, by przywrócić życie swojemu martwemu dziecku, oznaczało, że napisała powieść o stworzeniu z różnych części ciała potwora, który włóczył się i zabijał ludzi? – powątpiewa Hugh.

– Jak wszystkie wybitne dzieła literackie, jej powieść można różnie interpretować – tłumaczy mu pan Kendrick. – Potwór, którego stworzył Victor Frankenstein, ma groteskowy wygląd, ale Mary Shelley obdarzyła go elokwencją, wrażliwością i inteligencją. Zaczyna się mścić i siać zniszczenie dopiero wtedy, gdy jego twórca go odrzuca, a społeczeństwo trzyma się od niego z daleka. Mówi: „Gdziekolwiek się rozejrzałem, nie widziałem ani nie słyszałem nikogo, kto byłby do mnie podobny. Byłbym tedy potworem, skazą na ciele świata, której wszyscy się wyparli i nie chcieli znać?”^[3].

– Co ty robisz? – pyta Mak, spoglądając na moje dłonie.

Zniżam wzrok i widzę, że wykręcam grzbiet książki pobielałymi z wysiłku dłońmi, jakbym chciała wycisnąć z niej życie. Szybko chowam ręce pod blat i z całej siły zaciskam zęby, starając się zapanować nad drżeniem.

Mak odsuwa ode mnie krzesło, jakbym była szalona.

– Wystarczy na dziś horroru z gotyckiej powieści. Jestem pewny, że wszyscy zjecie pożywny zdrowy lunch, a poza tym niecierpliwie czekam na naszą jutrzejszą lekcję – mówi żartobliwie nauczyciel, gdy dzwoni dzwonek.

Thumię westchnieniem ulgi, czując, że drżenie ustaje i moje dłonie się uspokajają. Wciąż próbuję do siebie dojść, gdy Mak w pośpiechu wychodzi z sali. Po chwili w klasie jestem tylko ja i pan Kendrick.

– Nie podoba ci się wymowa tej powieści? – pyta na widok pogniecionej książki na mojej ławce.

– Bardzo przepraszam. Jestem po prostu zdenerwowana. Wie pan... Bycie nową uczennicą... – kłamię i uciekam na korytarz.

Czuję się wyczerpana i zestresowana z powodu napadu drżenia rąk i wysiłku, jaki musiałam włożyć w to, by nad nim zapanować. Zamykam się w toalecie, starając się uspokoić, a gdy po kilku minutach to się udaje, idę do zatłoczonej stołówki. Rozglądam się za Mak. Jestem bliska mdłości z powodu panującego tu gorąca i zapachów potraw. Jedni wstają od stołów, inni przy nich siadają. Tak samo jak przed moim wyjazdem do kliniki, do poszczególnych stolików są przypisane grupy uczniów. Jak w każdej innej szkole w kraju, odzwierciedlają one ich pochodzenie społeczne. Ja i Mak nigdy nie chciałyśmy należeć do jakiegoś towarzystwa. Nie zależało nam na tym, dopóki miałyśmy siebie.

Mak siedzi przy naszym stole w kącie. Rozpoznaję krążące wokół niej dziewczęta z Houston Christian Fellowship. Jednak nie pozwala żadnej usiąść koło siebie, bo położyła na zajmowanym zawsze przeze mnie krześle swój plecak. Wygląda na to, że chcą się z nią zaprzyjaźnić, ale bezskutecznie. Mak odgania je od tego miejsca jak natrętne muchy. Cieszę się, że nie zakolegowała się z kimś innym. Jestem zdecydowana być tu znowu dla niej, choć świadczy to o egoizmie.

– Witaj znowu! – mówię pogodnie, stawiając tacę z lunchem na drugiej części stołu.

Spogląda na mnie z gniewem i pyta:

– Dlaczego za mną chodzisz?

– Nie chodzę – jąkam się zdenerwowana.

– Wiem, kim jesteś – mówi oskarżycielskim tonem.

Jestem zaskoczona, bo jak może to wiedzieć? Nie widzi przecież pod tym ciałem *mnie*.

– Jesteś zastępczynią Lucy – warczy, krzyżując ręce na piersiach.

– Słucham? – pytam zdumiona, czując, że zaraz się uduszę, jeśli nie rozepnę bluzki pod

szują.

– Jesteś tą dziewczyną, którą przyjęli do siebie państwo Burgess. Nie tracili czasu, co? Moja najlepsza przyjaciółka zmarła zaledwie przed kilkoma miesiącami. Co ty u nich robisz? – pyta z goryczą.

– Oni mi po prostu pomagają – mówię przeproszającym tonem.

– Jasne. Jestem o tym przekonana. Słyszałam, że dali ci pokój Lucy – oznajmia, dźgając nożem jedzenie na talerzu.

– Kto ci o tym powiedział? – pytam, z trudem przelękając ślinę.

– Babcia Lucy. Jest w kontakcie ze mną i moją rodziną. My nie zapomnieliśmy o Lucy, nie tak jak niektórzy! Lepiej nie dotykaj żadnej jej rzeczy – mówi, jakby mi groziła.

– Oczywiście, że tego nie zrobię – zapewniam ją. – Ale w jej garderobie wisi twoja dzinsowa kurtka, jak mi powiedziała pani Burgess.

W oczach Mak pojawiają się łzy. Odwraca ode mnie wzrok, zagryzając wargi.

– Chcesz przyjść po nią do domu państwa Burgess? – pytam z nadzieją. – Z pewnością bardzo ucieszyłyby ich twoje odwiedziny.

– Niech mi odeślą kurtkę pocztą – warczy Mak. – I żebyś niepotrzebnie nie traciła czasu: oświadczam, że nie obchodzi mnie, czy jesteś najzabawniejszą, najbardziej utalentowaną i najcudowniejszą dziewczyną na świecie. Po prostu nie chcę się z tobą przyjaźnić. Może rodzice Lucy uważają, że da się ją zastąpić kimś innym, ale nie ja.

Zostawia niedojedzony lunch i odchodzi od stolika. Ja też straciłam apetyt. Odsuwam od siebie tacę i spoglądam w dal. Wyobrażając sobie ponowne spotkanie z Mak, myślałam, że coś we mnie rozpozna, że od razu poczuje ze mną jakąś więź. To było niemądre, bo ona demonstruje wobec mnie wrogość, która jest bolesna jak fizyczny cios.

Przechodzi obok mnie grupa chłopaków. Gapię się na mnie, jeden nawet puszcza mi oko. Od razu pochylam głowę. Pochlebia mi to, a równocześnie mnie... krępuje. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że się podobam. Przedtem chłopcy nie zwracali na mnie uwagi. Ten rodzaj zainteresowania moją osobą jest dla mnie czymś obcym, choć podoba im się nie mój, lecz jej wygląd.

– Renee, nie możesz siedzieć sama – mówi pani Sanderson, stając przy mnie. – Chodź ze mną. Przedstawię cię kilku uczennicom. Pani Burgess powiedziała, że jesteś dobrą gimnastyczką. Znajdziesz wspólny język z tymi młodymi damami. – Bierze mnie za łokieć i prowadzi do stolika, przy którym siedzą pogrążone w rozmowie dziewczyny. Wiem, kim są. Wszyscy wiedzą.

– Dzień dobry, dziewczęta. Poznajcie Renee. To jej pierwszy dzień w Bailey Heights, więc chciałabym, żebyście się z nią przywitały. Renee interesuje się gimnastyką. Może okaże się cennym nabytkiem dla zespołu cheerleaderek? – mówi, sadza mnie obok nich i odchodzi.

Zastanawiam się, dlaczego mama powiedziała dyrektorze, że lubię gimnastykę. Co ona kombinuje? Niedobrze mi. Gapię się na sześć siedzących tu dziewcząt i nie wiem, co powiedzieć. Nie powinnam z nimi siedzieć. One nigdy nie rozmawiałyby z takimi osobami jak ja i Mak. To Ptasie Mózdzki, jak nazywa je Mak.

– Z jakiej szkoły się tu przeniosłaś? – pyta Ruby Garcia.

Nigdy dotychczas nie znajdowałam się tak blisko niej. Ze swoimi zachwycającymi zielonymi oczami, złocistobrązowymi włosami i nieskazitelną oliwkową cerą wygląda jak uczestniczka programu *Top Model*.

– Z takiej jednej w Kalifornii – odpowiadam.

Dziewczyny zaczynają chichotać, a ja czuję się zakłopotana.

– Wow! Co za głos! – chwali mnie Ruby, jakbym zrobiła na niej wrażenie.

Śmieję się nerwowo i mówię:

– Wiem, że brzmi, jakbym paliła całą paczkę dziennie, ale jestem niepaląca, naprawdę.

– Nie. Jest spoko – oznajmia Laura Compton, uśmiechając się promiennie, a mnie robi się przykro, bo ja i Mak nazywałyśmy ją Barbie, a to miła dziewczyna.

– Dlaczego twoi rodzice przenieśli się do Houston? – pyta Tanya Queenan, pochylając się w moją stronę i obserwując mnie. Jej delikatną twarz o cerze w odcieniu kości słoniowej okalają rubinowe włosy. Podoba mi się, jak dopasowała mundurek do swojej smukłej, umięśnionej sylwetki.

– Nie jestem tu z rodzicami. Mieszkam u państwa Burgess. Jestem przyjaciółką rodziny – odpowiadam ogólnikowo.

– Czy przypadkiem ta dziewczyna, która umarła, nie nazywała się Burgess? – pyta Ruby koleżanek.

– Tak – potwierdzam. – Mieszkam u rodziców Lucy.

– Podobno są bajecznie bogaci. Jak wygląda ich dom? – pyta podekscytowana Laura.

– Jest przyjemny... Duży – informuję lakonicznie.

– Nie obchodzi mnie, jak duży jest ten dom. Musisz czuć się tam dziwnie – mówi Tanya.

– Jej rodzice pewnie przez cały czas płaczą i ciągle mówią o Lucindzie.

– Ona miała na imię Lucy – poprawiam Tanyę.

– Moja mama chyba by się zabiła, gdyby mnie przydarzyło się coś takiego – mówi Ruby.

– Jest okej. Rodzice Lucy są zrozpaczeni, ale zachowują się powściągliwie – odpowiadam, wierząc się niespokojnie na krześle, bo te pytania są dla mnie niewygodne. Staram się wymyślić jakiś pretekst, pod którym mogłabym się stąd oddalić. Może odzyskam Mak?

– No cóż, fajnie, że z nimi mieszkasz. Pewnie pomaga im to radzić sobie z nieszczęściem, jakie ich spotkało. To trochę tak, jak wtedy, gdy jakaś para traci dziecko i zaraz stara się o następne, by zajęło miejsce tamtego – twierdzi Laura.

– Nie znam się na tym – odpowiadam nerwowo, rozpaczliwie starając się wymigać od tej rozmowy.

– Byłaś cheerleaderką w swojej ostatniej szkole? – nieoczekiwanie pyta Ruby, najwyraźniej znudzona tematem „Lucindy” i jej rodziny.

– Nie. Nigdy nie próbowałam – odpowiadam szczerze.

– Dlaczego nie? – dziwi się Ruby.

– Nie jestem wystarczająco dobra – oznajmiam stanowczym tonem.

– Nie bądź taka skromna! Dyrektorka mówiła, że wykonujesz ćwiczenia gimnastyczne. Możesz także spróbować cheerleadingu. Masz właściwą sylwetkę – chwali mnie Laura, spoglądając z uznaniem.

– Jaka jest właściwa sylwetka? – pytam, choć znam odpowiedź.

– No wiesz, długie nogi, ładne, jędrne... – Ruby ujmuje w dłonie swoje piersi i dziewczyny zaczynają się śmiać. – Nie jestem tylko pewna, czy właściwy jest twój naturalny wygląd.

– Słucham? – pytam, czerwieniąc się.

– Chodzi mi o twój twarz. Ty w ogóle się malujesz? – pyta Ruby, tym razem patrząc na mnie z niesmakiem.

– Czasami – odpowiadam, mając świadomość, że z powodu mojego zwycięskiego powrotu do szkoły powinnam była się umalować, ale to wymaga siedzenia przed lustrem, a patrzeć zbyt długo na jej twarz mnie frustruje.

– Wychodząc z domu bez makijażu, mówisz ludziom, że nie określasz swojej wartości. A skoro tak, to jak mają ją określić inni? Czy nie tak, dziewczyny? – poucza mnie Ruby.

Jej koleżanki z entuzjazmem kiwają głowami.

Boże, czy to są jej złote myśli? – zastanawiam się. Żałuję, że nie mogę opowiedzieć o tym Mak. Miałyby niezły ubaw.

– Posłuchaj, jestem kapitanem naszej drużyny. Jeśli chcesz przejść sprawdzian na cheerleaderkę, zgadzam się – proponuje mi Ruby.

Ja? – dziwię się w myślach. To jakiś żart.

– Dzięki, ale raczej nie – odpowiadam zdenerwowana.

– Brakuje ci pewności siebie? – pyta uprzejmie Laura. – Może trochę poćwicz, aby sprawdzić, jak się w tym czujesz?

– Jasne. Dzięki – odpowiadam, dodając w myślach: Nie ma mowy! Nigdy.

ROZDZIAŁ 16

POZNAJĄC CIEBIE

Jestem zaskoczona widokiem taty czekającego na mnie na szkolnym parkingu. Nie mogę uwierzyć, że wyszedł wcześniej z pracy, by mnie przywieźć ze szkoły.

– Cześć, tato – pozdrawiam go cicho, stając przy mercedesie.

Tata krzywi się, a gdy siadam obok niego, mówi:

– Zamknij drzwi. Nie nazywaj mnie w miejscach publicznych tatą.

– Nikt nie słyszał. Nawet nie powiedziałam tego głośno. Nie reaguj paranoicznie – bronię się, bo nie znoszę, gdy mnie w ten sposób poucza, jakby się mnie wyrzekł. I nacieram na niego: – Poza tym co tu robisz? Sądziłam, że będziesz zbyt zajęty, by bawić się w szofera.

– To ważny dzień. Wróciłaś do szkoły. Jak było? Miałaś jakieś problemy? – pyta swobodnym tonem.

Nie powiem mu o drżących rękach. Wykorzystałby je jako pretekst do zabrania mnie ze szkoły.

– Czy przyjechałeś po mnie tylko dlatego, że chciałeś sprawdzić, czy wszystko schrzaniłam? Nie, nie schrzaniłam – odpowiadam zimno.

Z jego twarzy znika napięcie, ale podtrzymuje swoje wątpliwości, mówiąc:

– Mimo wszystko musiało to być dla ciebie stresujące. Czy nie uważasz teraz, że dzięki nauce w domu twoje życie byłoby o wiele łatwiejsze?

– Nie, tato. Dzięki temu *wasze* życie byłoby o wiele łatwiejsze. Ale przyznam, że nie był to dla mnie wspaniały dzień. Mak nie chce mnie znać, choć sądzę, że po prostu potrzebuje czasu, by się oswoić z sytuacją. Bardzo tęskni za Lucy – opowiadam mu rozemocjonowana.

Widzę, że po raz pierwszy po transplatacji tata naprawdę na mnie patrzy, z uczuciem i ze smutkiem.

– Tak mi przykro, kochanie. Niestety, nie mogę zmienić tego, że obecnie musisz być Renee, ale ja zawsze będę twoim tatą. Wiesz o tym – mówi łagodnie.

Nagle staję się pięcioletnią dziewczynką siedzącą na jego ramionach podczas spaceru po lesie w poszukiwaniu leśnych wrózek, które, jak przysięga, mieszkają na najwyższych i najgrubszych konarach drzew.

– Tak, wiem. Dziękuję, tato – odpowiadam cichym głosem.

Gdy podjeżdżamy pod dom, na werandzie stoi zatroskana mama. Ledwie zdążam wysiąść z samochodu, gdy jest już przy mnie i zarzuca mnie pytaniami dotyczącymi mojego pierwszego dnia w szkole. Opowiadam jej o nieprzyjnym potraktowaniu mnie przez Mak.

– Może w tej sytuacji będzie dla ciebie najlepiej, jak poznasz inne dziewczyny – zachęca mnie ostrożnie do nawiązania nowych kontaktów. – Starając się zaprzyjaźnić z Makaylą, wpędzisz się w okropny stres.

– Ale ja chcę, by tylko ona była moją przyjaciółką. I doprowadzę do tego – oznajmiam stanowczym tonem.

– Okej, kochanie – mówi na to bez przekonania mama i pyta: – Co jeszcze się wydarzyło? Jak było na lekcjach? Czy rozmawiałaś z kimś innym?

– Tak. Dyrektorka zaprowadziła mnie do Ptasich Mózdków – odpowiadam tajemniczo i przewracam oczami.

– Ptasich Mózdków? – pyta mama, nic z tego nie rozumiejąc.

– Owszem. To cheerleaderki – wyjaśniam w końcu.

– Uważaj, młoda damo! W szkole średniej byłam jednym z tych... Mózdków – mówi wesoło mama i pyta: – Jak cię potraktowały?

– Szczerze mówiąc, były w porządku – odpowiadam po chwili. – Zaproponowały *mi*, żebym spróbowała dostać się do ich zespołu. – Po tych słowach śmieję się, bo nadal wydaje mi się to absurdalne, i pytam: – Przy okazji, dlaczego powiedziałaś dyrektorce, że lubię ćwiczenia gimnastyczne?

Mama nie odpowiada na to pytanie, lecz podekscytowana wykrzykuje:

– Fantastycznie! Doskonały pomysł! Znakomity sposób zdobycia nowych przyjaciółek.

– Nie, mam – protestuję. – Ja nie chcę być cheerleaderką. Ja chcę tylko, aby Mak mnie polubiła.

– Rozumiem, ale nie zaszkodzi poćwiczyć trochę ze starą matką – zachęca mnie i uśmiecha się pełna entuzjazmu. – Może ci to sprawić przyjemność.

Naprawdę tego nie chcę, jednak wiem, jak ją to uszczęśliwi, więc marudzę:

– No dobra, ale najpierw chcę zobaczyć Arthura.

Idę do pomieszczenia gospodarczego, by jak co dnia obłaskawiać mojego psa. Staram się zdobyć jego akceptację, podsuwając mu pod nos różne przysmaki i zabawki. Zazwyczaj pastylki przeciwhistaminowe i już nie mam alergii. Niestety, w jego reakcji na mnie nic się nie zmienia. Podaję mu na dłoni psie przekąski, ale jak zwykle odwraca łeb, nie chcąc niczego ode mnie przyjąć. Widzę kawałek wystającej spod jego ciała mojej starej bluzy sportowej ze szkoły. Gdybym tylko mogła mu ją zabrać i wcisnęła się w nią, odzyskałabym swój dawny zapach, a wówczas Arthur zaakceptowałby mnie, pomimo cudzego ciała, w którym jestem.

– Podaj, Arthur! – krzyczę, rzucając na drugi koniec pokoju gumową kość.

Mój pies podnosi łeb i obserwuje lot kości, po czym z powrotem kładzie się na legowisku. Na szczęście wiem, jak go zmusić do ruchu. Bądź co bądź wzbudzam w nim niechęć. Głaszczę go po grzbiecie i czuję, jak pod wpływem mojego dotyku zaczyna się trząść. Nie wytrzymuje długo tej pieczyoty, wstaje i wychodzi z koszyka, a następnie odwraca się, chcąc złapać zębami moją bluzę. Wówczas ja ją chwytam i ciągnę w swoją stronę. Na ten widok Arthur zaczyna wściekle ujadać, warcząc i obnażając kły. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Przesuwam się w stronę drzwi, lecz on skacze na bluzę i gryzie ją. Gdy próbuję mu ją wyrwać, warczy na mnie. Puszczam ją przestraszona. Arthur wczepia się w nią zębami. Wycofuję się stamtąd i z trzaskiem zamykam drzwi pomieszczenia gospodarczego.

Do kuchni wbiegają rodzice.

– Ugrzył cię? – pyta tata, spoglądając na moją rękę.

– Nie, tylko na mnie warczał. To przeze mnie, bo próbowałam mu zabrać moją starą bluzę – odpowiadam spokojnym głosem, jakby nie zdarzyło się nic poważnego, ale jestem roztrzęsiona.

Zatroskani rodzice wymieniają spojrzenia.

– Zapomnij na chwilę o Arthurze. Chodźmy na dwór poćwiczyć – proponuje mama. – Minęły lata od mojej świetności jako cheerleaderki, ale może coś jeszcze pamiętam.

Mijamy basen, kort tenisowy i przez ogród angielski przechodzimy na otwarty rozległy teren. Mama zdejmuje żakiet i buty na wysokich obcasach. Jest w swoim żywiole, wykrzykując instrukcje, podczas gdy stoję na rękach i wykonuję skok zakończony przewrotem. Z każdą próbą czuję się coraz pewniej. Odkrywam, tak samo jak wcześniej w klinice, że jeśli nie zastanawiam się nad ruchami, lecz pozwalam ciału działać, robię wszystko instynktownie. Gdy na trawniku wykonuję kolejne przewroty do przodu i w tył, czuję przyływ adrenaliny. Nie mogę uwierzyć, że to takie przyjemne.

Mama podskakuje i boksuje rękami powietrze.

– Tak trzymaj, Lucy! – woła, podbiega do mnie sprintem i obraca mnie dookoła, aż w końcu zaczyna nam się kręcić w głowach i padamy jedna na drugą na ziemię, ciężko dysząc i śmiejąc się.

– Co się tu dzieje?! – dociera do nas głos babci.

Zrywamy się z ziemi, a mama otrzępuje się z kurzu, wyglądając jak uczennica, która coś przeskrobała.

– Cześć, mamó – mówi zdyszana. – Właśnie pomagałam Renee nauczyć się niektórych figur gimnastycznych.

Babcia bierze ją za rękę, odciąga ode mnie i mówi do niej ściszym głosem, sądząc naiwnie, że nie słyszę:

– Co ty wyprawiasz, Gemmo? Czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie powiedziałaś do tej młodej kobiety „Lucy”? – Babcia nie kryje zniesmaczenia.

Mama okropnie się czerwieni i udając nieświadomą tego, dziwi się:

– Naprawdę? O Boże, ale ze mnie idiotka.

– Obejmowałaś ją? Turlałaś się z nią po trawie? Prawie nie znasz tej dziewczyny – wyrzuca jej babcia.

– Ale czuję się tak, jakbym ją znała od bardzo dawna – odpowiada mama przekornie.

Babcia wygładza mamie rozwichrzone włosy i wyraz jej twarzy łagodnieje.

– Moja droga, wiem, jak bardzo tęsknisz za Lucy, ale odpowiedzią na to nie może być próba zastąpienia jej kimś innym. To nie jest zdrowe podejście. I co naprawdę wiesz o tej młodej kobiecie? Pochodzi z rodziny z problemami i sama może je mieć, a ty przyjęłaś ją do swojego domu i obsypujesz pieniędzmi i uczuciami – prawi jej kazanie babcia.

– Nic o tym nie wiesz – odpowiada poirytowana mama. – Renee to dobra dziewczyna. Mając ją tu, czuję się szczęśliwa.

– Myślę, że powinnaś wrócić do pracy, Gemmo. Poświęciłaś swoją karierę, by móc się opiekować Lucy, za co cię podziwiałam. Jednak obecnie powinnaś czymś zapełnić pustkę po niej. Gwarantuję ci, że jeśli wrócisz do zawodu prawniczego, nie będziesz odczuwała potrzeby zapraszania do swojego domu obcej osoby – poucza ją dalej babcia.

– Dlaczego nie starasz się jej poznać? Jestem pewna, że byście się zaprzyjaźniły. Daj Renee szansę – namawia ją mama.

– Dobrze – odpowiada zimnym tonem babcia, przywołując mnie skinieniem dłoni, i proponuje: – Może usiądziemy przy basenie, Renee?

Gdy wszystkie trzy idziemy trawnikiem, panuje niezręczna cisza. A kiedy dochodzimy do basenu, babcia sięga po wiszące przy brzegu krzesło ogrodowe i klepiąc poduszkę, zwraca się do mnie:

– Usiądź ze mną, Renee. Nie gryzę.

Mama przysuwa leżak, siada na nim cała spięta i pyta babcię:

– Dostałaś listę gości? Wysłałam ci ją mailem.

– Dostałam, dziękuję – potwierdza babcia. – Lepiej późno niż wcale. Robi wrażenie. Jeśli wszyscy twoi koledzy prawnicy i znajomi finansisci Lewisa otworzą serca i portfele, to aukcja na cele charytatywne może przynieść małą fortunę. Czy byłabyś tak dobra i przyrzędziła nam lemoniadę?

Mama się waha. Wiem, że nie chce zostawić mnie samej z babcią.

– Zadzwoń do Lewisa. Jest już w domu. Na pewno chętnie zrobi nam lemoniadę i przyniesie – proponuje.

– Nie, Gemmo. Chcę, żebyś ty to zrobiła. Pozwól mnie i Renee porozmawiać – oznajmia stanowczym tonem babcia.

– No dobrze – potwierdza mama nerwowo.

Babcia czeka, aż mama wejdzie do domu, po czym uśmiecha się do mnie wymuszenie i pyta:

– Jak ci tu jest?

– Naprawdę wspaniale – odpowiadam głosem jeszcze bardziej chrapliwym niż zwykle, bo z powodu jej zachowania czuję niepokój, zamiast ekscytować się tym, że wreszcie jestem z nią sama. Po moich słowach zapada niezręczna cisza, więc staram się ją czymś wypełnić, by nawiązać z babcią kontakt, i dodaję: – Pani Burgess powiedziała mi, że gra pani w brydża, pani Kendal. – Mój ton jest zbyt entuzjastyczny, a przez to babcia może uznać, że traktuję ją protekcjonalnie.

– Tak, od lat. Świetnie się bawiłam, starając się nauczyć grać w brydża Lucy i jej przyjaciółkę Makayle – odpowiada, jakby nie czuła do mnie urazy, a w jej głosie dźwięczy smutek.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak opornie szła nam ta nauka, mimo to babcia była nią uszczęśliwiona.

– A ty grasz w brydża? – pyta, jakby nie wierzyła, że to możliwe.

– Troszkę, ale nie jestem w tym dobra – odpowiadam gładko.

– Kto cię nauczył? – pyta zaskoczona. – Brydż nie jest popularny wśród młodzieży.

– Babcia. Niestety, już nie żyje – kłamię zażenowana tymi słowami.

Babcia spogląda na mnie życzliwie i mówi:

– Przyjmij wyrazy współczucia.

– Dziękuję – odpowiadam i znowu zapada niezręczna cisza.

– Jak przypuszczam, Gemma zapisała cię do Bailey Heights. Czyli uważa, że zostaniesz tu przez jakiś czas. – Nieoczekiwanie zmienia temat.

– Sądzę, że tak – potwierdzam przepraszającym tonem, choć powinnam być bardziej pewna siebie.

– I jak rozumiem, Lewis przywiózł cię dziś po lekcjach do domu – ciągnie temat babcia.

– Tak. To było miłe z jego strony – potwierdzam z uznaniem, uśmiechając się.

– Miłe? Raczej nadzwyczajne. To niesłychane, by wyszedł wcześniej z pracy – oznajmia starsza pani ostrym tonem.

– Och, nie wiedziałam – tłumaczę się, widząc, że jest zdenerwowana, i czując się jeszcze bardziej niezręcznie.

– A skąd miałybyś to wiedzieć, moja droga? Gemma nalega, żebyśmy ty i ja poznały się lepiej, więc opowiedz mi o sobie, dobrze? – bardziej mi nakazuje, niż prosi.

– No cóż, jak pani wie, pochodzę z San Diego – zaczynam przekonana, że wszystko będzie okej, bo znam na pamięć swoją wymyśloną historię.

– Ale skąd dokładnie? – przesłuchuje mnie babcia. – Znam to miasto całkiem dobrze. Bywałam tam wraz z moim zmarłym mężem w klubie żeglarskim na przystani jachtowej.

– Mieszkałam z mamą w City Heights – informuję.

– Słyszałam o tym miejscu, lecz nigdy tam nie byłam – oznajmia babcia.

– Nic dziwnego, pani Kendal. To kawał drogi od klubu żeglarskiego – odpowiadam, wiedząc, że po tych słowach poczuje się nieprzyjemnie, ale tylko w ten sposób mogę sprawić, by była dla mnie miłsza.

Jej zdenerwowana mina świadczy o tym, że wprowadziłam ją w zakłopotanie. Zmienia temat, pytając:

– Jak ma na imię twoja matka?

– Maria.

– Nazywa się Maria Wodehouse?
– Tak.
– A masz jakieś rodzeństwo?
– Nie. I nie poznałam mojego ojca. Nie mieszkał w City Heights.
– Twoja matka miała problemy. Jakie? – pyta jak na przesłuchaniu na policji.
– Ona... Brała narkotyki – odpowiadam, wpatrując się w ziemię, zawstydzona, że tak ją okłamuję.

– Przykro mi. To musiało być dla ciebie straszne – mówi babcia z przejęciem i dotyka jej dłoni.

Nie mogę się oprzeć i kładę swoją drugą dłoń na dłoni babci. Jej skóra wydaje się cienka jak papier. Wpatruję się w jej postarzałą twarz. Babcia wygląda na wytrąconą z równowagi, jednak dostrzegam w jej oczach życzliwość.

– Kiedy trafiłaś do rodziny zastępczej? – pyta łagodnym tonem.

– W wieku jedenastu lat. Od tamtego czasu nie widziałam mamy – opowiadam zmyśloną historię.

– I było ci dobrze? Czy ktoś się o ciebie troszczył? – pyta z autentyczną troską.

– Było w porządku. Jakoś sobie radziłam – kłamię dalej, czerwieniąc się ze wstydu.

Babcia z dziwnym wyrazem twarzy w skupieniu patrzy mi w oczy.

– Masz oczy Lucy – mówi nagle.

– Słucham? – pytam, a krew zastyga mi w żyłach.

– Masz oczy Lucy, w kolorze nieba, jakie można zobaczyć w piękny bezchmurny dzień.

To niesamowite! Założę się, że moja córka zauważyła je, gdy tylko się spotkałyście. Być może dlatego zwróciłaś jej uwagę – tłumaczy mi.

– Nie wiem. Nie wspomniała o tym – mamroczę pod nosem zdezorientowana.

– Jak sądzę, poznałaś Gemmę i Lewisa w czasie akcji charytatywnej. Gdzie to było? – drąży temat babcia.

Boże! Gdzie to było? Uciekł mi z pamięci ten szczegół mojej zmyślonej historii.

Patrzę na nią przepraszająco i tłumaczę się:

– To było nie tak dawno temu, ale jakoś nie pamiętam.

– Spróbuj sobie przypomnieć – nalega babcia.

Przeszywa mnie kłujący ból w całym ciele i pocę się.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – pyta, dostrzegając mój niepokój.

– Tak. Jest mi tylko gorąco, pewnie z powodu tego wcześniejszego skakania – zmyślam.

– Nie martw się – pociesza mnie babcia. – Idzie już Gemma z napojami. Lemoniada dobrze ci zrobi.

Na widok zbliżających się do nas rodziców wzdycham z ulgą i informuję ich o brakującym szczególe mojej zmyślonej historii:

– Pani Kendal właśnie mnie pytała, gdzie była ta akcja charytatywna, na której się poznaliśmy. Nie pamiętam.

– Niech pomyślę... – odpowiada swobodnie mama, stawiając na trawniku tacę z napojami.

– Czy przypadkiem nie w ratuszu? To była zbiórka pieniędzy na pomoc opuszczonym rodzinom z problemami.

– Tak, zgadza się – potwierdza tata, zbyt gorliwie kiwając głową.

– Zostałam tam zaproszona jako ich przedstawicielka, wraz z grupą młodzieży korzystającej z tego rodzaju pomocy – mówię i wypijam łyk lemoniady, lecz zaczynam kaszleć i krztusić się, bo ma cierpki smak.

– Nie jest wystarczająco słodka? – pyta mama.

Piję dziś lemoniadę po raz pierwszy od czasu transplantacji. Prawdopodobnie dla mnie jest wystarczająco słodka, ale dla niej za kwaśna, więc mówię:

– Nie. Jest w sam raz. Po prostu odrobina płynu wpadła mi do tchawicy.

– Lucy bardzo lubiła lemoniadę robioną przez jej mamę, prawda, Gemmo? – włącza się do rozmowy babcia, której twarz pod wpływem tego wspomnienia łagodnieje.

– Owszem – potwierdza mama.

– Po raz ostatni widziałam Lucy, kiedy siedziałyśmy razem na tym krześle, tuż przed jej wyjazdem do szpitala – wspomina babcia i odchrząkuje, gdyż wzruszenie ściska ją za gardło.

– Na pewno bardzo pani za nią tęskni – mówię, nie ukrywając wzruszenia.

Gdy potwierdza moje słowa, w jej oczach pojawiają się łzy.

– O tak, bardzo. Była moją cudowną wnuczką, bardzo dla mnie dobrą. Gdy czuła się lepiej, przychodziła tu z Arthurem i miło spędzałyśmy z nim czas w ogrodzie. A kiedy przeżywała trudne chwile, zawsze starała się być uśmiechnięta. Nie chciała, żebym się o nią martwiła. Tęsknię za nią bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami. Od jej śmierci odczuwam silne bóle i pewnie będzie tak aż do chwili, w której do niej dołączę.

Na widok łez na jej policzkach mama podchodzi do niej, chcąc ją objąć, lecz babcia macha na nią ręką, aby odeszła.

– Nie rób zamieszania, Gemmo – mówi, wyjmując z torebki koronkową chusteczkę i ocierając nią wykrzywioną od płaczu twarz.

Nie mogę tego znieść. Chcę, aby babcia przestała cierpieć i czuła radość na myśl, że wciąż żyję.

– A co, jeśli Lucy nie umarła? Jeśli nadal tu z panią jest? – wypalam.

Rodzice są spanikowani. Tata podchodzi do mnie, jakby mnie w ten sposób przestrzegał przed ujawnieniem tego, co mam na myśli.

– O czym ty mówisz? Jak ona może tu być? – zwraca się do mnie rozgniewana babcia.

– Sądzę, że Renee mówi o duszy Lucy – odpowiada jej tata, przeszywając mnie wzrokiem i pytając: – Czy tak, Renee?

– Tak – potwierdzam cichym głosem, spuszczaając głowę.

Babcia z powagą potakuje, ocierając łzy, i mówi do mnie:

– Oczywiście masz rację. Dusza Lucy *jest* z nami. Może po prostu powinnam się żarliwiej modlić, aby móc poczuć jej obecność? Wiem, że dobry Pan pocieszy mnie w moim smutku, jeśli Go o to poproszę.

Mama obejmuje ją ramieniem, a tata mówi do mnie:

– Pozwólmy pani Burgess i jej córce spędzić razem chwilę. Czy mogłabyś mi pomóc w kuchni?

Po tych słowach szybko zabiera mnie do domu.

– Na miłość boską, co ty wyprawiasz? – pyta, rozkładając ręce.

– Powinna wiedzieć! Trzymanie tego przed nią w tajemnicy nie jest właściwe! – krzyczę zła i sfrustrowana.

– Wiem, że to, co mówi babcia, jest dla ciebie bolesne, ale *nie możesz* jej wyznaczyć prawdy! – odkrzykuje. Wygląda tak, jakby nie wytrzymał napięcia, w jakim się znalazł. – Prawda mogłaby ją zabić. Nie widzisz, jaka babcia stała się słabowita? A nawet gdyby zniosła tę prawdę, nie możesz dać gwarancji, że w tym całym szoku nie wyjawisz wszystkiego swojemu pastorowi.

– Nie zrobiłaby tego – mówię bez przekonania.

– Posłuchaj... Babcia nie zrozumie tego, na co się zdecydowaliśmy – tłumaczy mi tata. – Dla niej ważniejsze jest życie po śmierci niż to, jakie mamy tu na ziemi. I uzna, że robiąc ci to, co zrobiliśmy, zabawiliśmy się w Boga. A gdy wyjawisz nasz sekret pastorowi, *wszystko* się wyda.

Zostaniemy aresztowani i stracimy cię. Nie będzie nikogo, kto mógłby cię chronić. Ale przecież ty to wiesz, prawda?

Kiwam głową. Od dłuższej chwili płaczę, wpatrując się w posadzkę.

– Musisz w tej sprawie milczeć. Potrafisz milczeć? Potrafisz, Renee? – Tata domaga się odpowiedzi.

Unoszę głowę i widzę, że na jego twarzy maluje się rozpacz.

– Tak, tat... panie Burgess – wykrztuszam z siebie.

Gdy dociera do mnie, że starałam babcię, zamykam oczy. Od czasu transplantacji rodzice w kółko mi powtarzają, że muszę milczeć w tej sprawie. Jednak dopiero teraz rozumiem, co to znaczy – że już nigdy nie będę mogła być znowu Lucy Burgess.

ROZDZIAŁ 17

DROGA DONIKĄD

Ilekcio w szkole czuję, że zaczynają mi drżeć ręce, idę do toalety i siedzę zamknięta w kabinie, dopóki atak nie przejdzie. A kiedy przydarza mi się to na lekcji, chowam dłonie pod blatem ławki, zaciskam je i powstrzymuję drżenie siłą woli. Te napady są naprawdę stresujące, a przy tym się nasilają. Na szczęście nie pojawiają się codziennie i nikt ich nie zauważył... jeszcze. Jednak w Bailey Heights to nie jest mój największy problem, gdyż za taki uważam swój kontakt z Mak.

Każdego rana od miesiąca mówię sobie, że dziś w naszych relacjach nastąpi przełom, lecz coraz trudniej mi wierzyć, że kiedykolwiek tak się stanie. Staram się siadać obok niej i rozmawiać z nią o rzeczach, którymi się *pasjonuje*, lecz jeśli to ja ją zagaduję, nie jest zainteresowana wymianą poglądów. Robi zniecierpliwioną minę, burczy coś pod nosem i odwraca się ode mnie, a także prosi nauczycieli, by pozwolili jej się przesiąść. W ostatnim tygodniu nawet pan Kendrick zatrzymał mnie w klasie po lekcji i poradził, abym dała Mak „trochę spokoju”.

Gdy ona widzi, że wchodzę do szkolnej stołówki, natychmiast stamtąd wychodzi. Staję wtedy, czując się głupio. Jem więc lunch na dziedzińcu szkolnym w nadziei, że nikt nie będzie mnie niepokoił. Niestety, przed kilkoma tygodniami zauważył mnie pod krzewem bzu Josh Dartmere i od razu się zatrzymał.

– Cześć! – zawołał, uśmiechnął się uwodzicielsko i spytał: – Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się jakiś czas temu w galerii handlowej. Byłaś z panią Burgess.

Nie unosząc głowy, oznajmiłam:

– Jasne. Pamiętam.

– Jak się tu czujesz?

– Całkiem dobrze – odpowiedziałam chłodno.

– Poznałaś jakichś ludzi? Zawsze możesz wpaść na mecz piłki nożnej, jeśli chcesz. Gram w Bailey Bulls – pochwalił się i czekał na słowa podziwu, a gdy milczałam, dodał: – Może nie słyszałaś, ale jestem w *reprezentacji* szkoły.

– Och – skwitowałam tę informację znudzona.

– Skoro futbol cię nie kręci, to może dałabyś się namówić na kino? – nie odpuszczał.

Po złożeniu mi tej propozycji uznałam go za prawdziwego drania, bo w galerii handlowej spotkałam go z *jedną* z jego dziewczyn!

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Dzięki – splawiłam go, nie przerywając jedzenia kanapki.

– Jak uważasz – oświadczył urażony i poszedł sobie, co przyjął z wielką ulgą.

Kilka dni później pomyślałam, że jest cię szansy na polepszenie moich relacji z Mak. Dopchnęłam się do szkolnego autobusu i zajęłam miejsce obok niej. Autobus zapełnił się tak szybko, że Mak została uwięziona na swoim miejscu. Przewróciła oczami, rzuciła mi gniewne spojrzenie i syknęła:

– Oto i moja świrięta stalkerka.

Nic na to nie odpowiedziałam, tylko wyjęłam z plecaka tomik *And Still I Rise* i trzymałam go tak, by Mak zobaczyła okładkę. Gdy czytałam, spoglądała z ukosa na tekst. Widząc, jak jej drżą usta, doszłam do wniosku, że z trudem panuje nad chęcią odezwania się do mnie.

– Lubisz twórczość Mai Angelou? – spytałam niewinnie.

– Lubię – potwierdziła, siląc się na swobodny ton.

„Oczywiście, że lubisz – pomyślałam. – Na ostatnie urodziny podarowałam ci podpisany przez autorkę egzemplarz *I Know Why the Caged Bird Sings*. Powiedziałaś, że to najlepszy prezent, jaki w życiu dostałaś”.

– Uwielbiam jej poezję, a wiersz *And Still I Rise* ma *wielką* siłę ekspresji – powiedziałam zgodnie z prawdą, wiedząc, że jego wydruk Mak powiesiła sobie nad łóżkiem w sypialni.

– Tak, z pewnością ma – odpowiedziała łagodniejszym tonem.

– Hej, masz jakieś plany? Jeśli nie, to może wpadłabyś ze mną do państwa Burgess? W ich bibliotece są wszystkie książki Mai Angelou – zaprosiłam ją ze zbyt szerokim uśmiechem.

– Nie, dziękuję. Ja też już mam wszystkie – wykręciła się.

– Założę się, że chciałabyś zobaczyć Arthura – zaczęłam ją kusić, chyba za szybko zmieniając temat.

– Arthura? Psa Lucy? – upewniła się.

– Jasne. Odwiedź go – namawiałam ją. – Na pewno za nim tęsknisz, Mak. Pani Burgess opowiadała mi, jak ty i Lucy grałyście z nim w piłkę wodną w basenie. Musiało być wesoło.

Rzuciła mi wściekle spojrzenie i oświadczyła:

– Po pierwsze, jestem Mak tylko dla przyjaciół, a po drugie, owszem, ja i Lucy miałyśmy ubaw, grając z Arthurem w piłkę wodną. Dlatego nie chcę grać z tobą.

– Nie musimy. Jest wiele innych rzeczy, które możemy robić – poprosiłam ją w sposób godny pożalowania.

– Dlaczego tak bardzo chcesz się ze mną zaprzyjaźnić? – spytała, patrząc na mnie wilkiem.

– Nie chcę – broniłam się. – Po prostu pomyślałam, że mogłybyśmy miło spędzić czas, skoro byłaś najlepszą przyjaciółką Lucy, a ja mieszkam u państwa Burgess.

Wówczas wstała z miejsca w podskakującym na drodze autobusie i wyrzuciła z siebie z furią:

– Wzięłaś sobie sypialnię Lucy, jej rodziców i psa, więc myślisz, dlaczego by nie wziąć również jej najlepszej przyjaciółki? To coś niebywałego.

– Nie, Makaylo, to nie tak! – zawołałam rozpaczliwie, gdy przeciskała się obok mnie do przejścia, i przypomniałam jej: – To nie jest twój przystanek.

– Skąd wiesz, który jest mój? – warknęła.

Zastanawiałam się gorączkowo nad odpowiedzią i znowu skłamałam:

– Kiedyś przechodziłam tamtędy z panią Burgess i pokazała mi twój dom.

– Och, jak to miło z jej strony – skomentowała sarkastycznie Mak i przestrzegła mnie: – Nie waż się zapukać do drzwi mojego domu. Nie jesteś tam mile widziana.

Jej jad mnie zatruwa. To nie tak miało być.

Teraz siedzę na trawie przy kubłach na śmieci. Panuje tu spokój. Rzadko ktoś tędy przechodzi. Jestem wykończona ciągłym odrzucaniem mnie przez Mak. Mimo to nie chcę się poddać, lecz zastanawiam się, co innego mogę zrobić, by przekonać ją do siebie. Śmieszne, ale jedyną rzeczą, która mi przynosi zadowolenie, jest wykonywanie w ogrodzie pod okiem mamy ćwiczeń gimnastycznych. To niesamowite czuć się tak dobrze i mieć tyle energii po tej całej chorobie i wyczerpaniu. Dzięki jej ciału mogę to wszystko robić. Niestety, drzenie rąk przypomina mi, że to ciało nigdy nie będzie w pełni należeć do mnie.

Przechodzi koło mnie Laura Compton. Platynowe włosy związała w koński ogon, który z każdym jej krokiem zabawnie podskakuje. Laura zwraca na mnie uwagę, choć patrzę w ziemię, gdyż to jest ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Unikam cheerleaderek od pierwszego dnia pobytu w szkole, kiedy zachęcały mnie, abym spróbowała dostać się do ich zespołu.

– Cześć, nieznajoma! Gdzie się ukrywasz? – pyta pogodnie.

- Och, po prostu jestem zajęta – mamroczę pod nosem.
- Renee, dlaczego nie spróbowałaś dostać się do naszego zespołu? – nie ustępuje.
- Cieszę się, że zapamiętała moje imię. Wzruszam ramionami i odpowiadam:
- Bo nie jestem wystarczająco dobra.
- No już, wstawaj! – Uśmiecha się szeroko, podnosi mnie z trawy i pyta: – Możesz zrobić

przewrót w tył?

Potakuję nieśmiało.

- Pokaż – zachęca mnie wesoło.

Waham się. Wbrew sobie odczuwam głęboko skrywaną potrzebę pochwalenia się swoimi umiejętnościami i niewiele myśląc, biorę rozbieg i wykonuję podwójne salto kuczne w tył.

– Wiedziałam! – wykrzykuje dźwięcznym głosem, spogląda na mnie błyszczącymi piwnymi oczami i oznajmia: – Jesteś naturalna. Dość już tej fałszywej skromności. Obiecuj mi, że spróbujesz.

Rumienię się. Jest mi miło, ale to nie ja jestem „naturalna”, lecz otrzymane przeze mnie ciało. Jestem mu za to niemal wdzięczna.

Laura kopie leżącą na jej drodze pustą puszkę i pyta:

– Dlaczego siedzisz sama w tym cuchnącym miejscu? Chodź do nas. Nie gryziemy. – Robi minę wampira.

Śmieję się... szczerze. Jakie to przyjemne być przez kogoś zaproszonym do jego towarzystwa.

ROZDZIAŁ 18

SPRAWDZIAN

Postanawiam skorzystać z rady pana Kendricka i dać Mak „trochę spokoju”. Za bardzo ją osaczyłam, co tylko pogorszyło sprawę. Za każdym razem gdy znajdę się sto metrów od niej, syczy na mnie jak grzechotnik. To dziwne, ale jakoś się trzymam tylko dzięki cheerleaderkom. Jestem mile widziana w ich towarzystwie. Poza tym ich aktywność, wbrew temu, co ja i Mak uważaliśmy, wcale nie sprowadza się do potrząsania pomponami przez Ptasie Mózdzki i chichotów. Obserwuję te dziewczyny na treningu i widzę, że są twardymi zawodniczkami. Na początku wydawało mi się, że jestem oszustką, która nie powinna spędzać z nimi czasu. Tymczasem z dnia na dzień czuję się wśród nich coraz pewniej, jeśli tylko pamiętam, że jestem Renee. Bez wątplenia przebywanie z nimi jest przyjemne, a ja z powodu choroby od bardzo dawna z nikim dobrze się nie bawiłam. Odkrywam, że od kiedy jestem w jej ciele, ludzie traktują mnie inaczej... Lepiej, jakbym była kimś szczególnym. Jest tak, jakby uważali, że bycie ładną dziewczyną to jakiś talent zasługujący na podziw. Nawet nauczyciele nie potrafią się przed tym powstrzymać. Uśmiechają się do mnie częściej niż do innych uczniów i pamiętają moje imię.

Nie powinnam śmiać się z tego, co mówi Ruby, bo to najbardziej złośliwe uwagi, jakie w życiu słyszałam, ale jest wyjątkowo zabawna i chyba wie wszystko o każdym. Powiedziała mi, którzy uczniowie w naszej klasie mają długie fiuty, a którzy szukają miejsc, gdzie mogliby je sobie powiększyć. Przysięga, że Mike Hanson, niedyskretny homofob z drużyny futbolowej, po kryjomu nosi damskie ciuchy, a nasza dyrektorka spotyka się z dwa razy od siebie młodszym facetem, który pracuje w Burger Kingu. Ale czasami w trakcie ataku śmiechu robi mi się niedobrze, kiedy sobie wyobrażę, co Ruby powiedziałyby, gdyby poznała prawdę o mnie; nawet gdyby odkryła tylko tyle, że noszę perukę i mam na głowie blizny. Byłaby przerażona i poinformowała o tym wszystkich. Muszę uważać. Nie mogę tracić czujności.

Gdy dziś rano się obudziłam, poczułam ucisk w dołku na myśl o tym, że mam sprawdzian kwalifikacyjny do zespołu cheerleaderek. Wstałam wcześniej i ćwiczyłam przed śniadaniem. Mama powiedziała, że wyglądało to wspaniale. Zaplotła długie włosy mojej peruki we francuski warkocz, nastawiła mnie pozytywnie i życzyła mi powodzenia.

Czuję się źle na samą myśl o tym sprawdzianie, lecz zarazem odczuwam ulgę, że nie siedzę na lekcjach obok Mak i nie stresuję się naszymi relacjami. Widzę, że jest w klasie, lecz myślę tylko o tym, co przede mną. Przez całe rano niecierpliwie wyczekuję dzwonka na lunch, a gdy w końcu się rozlega, pędzę do szafki w szatni i przebieram się w dres. Po chwili wchodzę do sali gimnastycznej i żołądek podchodzi mi do gardła, gdyż na ławce siedzi połowa cheerleaderek, które będą oceniać moje umiejętności.

Ruby wygląda na rozbawioną, gdy mówi:

– Nie bądź taka przestraszona, Renee. Pokaż nam, co przygotowałaś.

Próbuję sobie przypomnieć układ taneczny. I nagle czuję się głupio, gdy zaczynam klaskać w dłonie i tańczyć, starając się uśmiechać podczas śpiewania: „Zaczynaj, Bailey, jesteś najlepsza, o wiele lepsza niż reszta. Zaczynaj, Bailey, sięgaj Heights, swoich wyżyn! A wy strzeżcie się ciosów Bailey!”. Kończę wykonaniem bez przekonania pajacykiem.

Dziewczyny gapią się na mnie okropnie rozczarowane, a Ruby przewraca oczami i pyta:

– To naprawdę jest twój układ taneczny?

– Taniec nie jest moją mocną stroną. Jestem lepsza w gimnastyce – mówię przepraszającym tonem.

– No dobrze, zobaczmy – godzi się Ruby, wzdychając.

Walczę z myślą, że zaraz się skompromituję. Muszę pamiętać, że to *moje* ciało było niesprawne w ćwiczeniach gimnastycznych, a obecnie mam jej ciało, które potrafi te ćwiczenia wykonać. Muszę po prostu wyłączyć umysł i pozwolić jej zrobić to, co umie.

Idąc na koniec sali, czuję mrowienie w palcach i jej dłonie zaczynają drżeć. „Tylko nie teraz! Nie teraz!” – powtarzam w myślach.

– Ale jaja! Straszna z ciebie nerwuska! – wykrzykuje Ruby. – Spójrz na swoje ręce.

– Rozluźnij się, Renee. Będzie spoko – podtrzymuje mnie na duchu Laura.

Zamykam oczy i mówię do niej w myślach: „Proszę, przestań. Czy nie chcesz im pokazać, co potrafisz?”

– Nie mamy na to całego dnia – narzeka Ruby.

Rozciągając ciało, staram się nie myśleć. Biorę głęboki oddech, biegnę szybko do przodu i wykonuję sekwencję przewrotów z podparciem na jednej ręce i salt w tył, a kończę śrubą. Otwieram oczy i widzę rząd uśmiechniętych cheerleaderek.

– Brawo, Renee! – krzyczy Laura.

– Całkiem nieźle – chwali mnie z ironicznym uśmiechem Ruby i dodaje: – Chyba wszystkie się zgodzimy, że trzeba popracować nad twoimi układami tanecznymi. Ale jeśli nikt nie ma nic przeciwko, chciałabym, jako kapitan zespołu cheerleaderek Bailey Heights, powitać cię w naszym gronie.

Wszystkie dziewczyny klaszczą.

– Dzięki! Wielkie dzięki! – mówię uszczęśliwiona, gdy Ruby wręcza mi strój do cheerleadingu w celofanowym opakowaniu.

Wracam do pustej szatni i wydaję z szafki ubranie, ale nie zakładam mundurka, gdyż nie mogę się oprzeć pokusie rozpakowania tego stroju i przymierzenia go. Zdejmuję dres i wkładam błyszcząca, jedwabista w dotyku, biało-niebieską spódniczkę oraz górę bez rękawów, na której jest naszyte słowo BAILEY. Top ma z przodu dekolt w serek, a z tyłu jest pod szyję, dzięki czemu nie widać wstretnej blizny wzdłuż górnego odcinka kręgosłupa. Nie mogę zapanować nad chęcią zobaczenia jej odbicia w wielkim lustrze.

Gdy stoję przed nim, mam suche usta. Oglądam ją od góry do dołu. Krótka cienka spódniczka eksponuje jej długie smukłe nogi. Top opina jej piersi, płaski brzuch i szczupłą talię. Jej ramiona i ręce są umięśnione, a szyja długa i kształtna. Jedynym dowodem mojego istnienia są niebieskie błyszczące oczy w jej ładnej twarzy. Podchodzę bliżej do lustra i analizuję odbicie jej sylwetki. Jasne włosy peruki o rudawym odcieniu są zaczesane do tyłu, za uszy o małych, delikatnych małżowinach. Na jej policzkach i niedużym zaokrąglonym nosie widać trochę jasnych piegów. Jakoś wcześniej ich nie zauważyłam, więc musiały się pojawić pod wpływem słońca. Rozchylam jej pełne usta i uśmiecham się, a wówczas ukazują się odrobinę nierówne i wystające białe zęby, co nadaje im cechę wyjątkowości, gdyż nie wyglądają jak typowe, ukształtowane przez noszony latami aparat ortodontyczny. Na policzkach pojawiają się dołeczki. Przesuwam palcem po przecinającej brew bliźnie. Wygląda na starą. Zastanawiam się, skąd się wzięła. Najwidoczniej z powodu skaleczenia się w dzieciństwie. Pomimo tej drobnej skazy dziewczyna ma perfekcyjną, uroczą twarz. Założę się, że była popularna wśród rówieśników, może jako gimnastyczka albo sportsmenka w szkolnej drużynie? Czy chciałaby występować w zespole cheerleaderek w Bailey Heights? A może była cheerleaderką? Albo przeciwnie, gotką o gibkim ciele pogardzającą cheerleaderkami o przyklejonych do twarzy uśmiechach?

Dotykam odbicia jej twarzy w lustrze. Ta dziewczyna nie była tylko ciałem, lecz kimś, kto miał osobowość, rodzinę i historię. Nagle ogarnia mnie ciekawość dotycząca jej życia. Czy osierociła jakieś rodzeństwo, przyjaciół, chłopaka? – zastanawiam się. W ułamku sekundy runęły

jej marzenia i plany na przyszłość. Doktor Leo powiedział, że nie wolno mi nic wiedzieć na jej temat, ale ja odczuwam dramatyczną potrzebę dowiedzenia się czegoś o kimś, kogo częścią się stałam. Zawdzięczam jej wszystko. Gdyby nie ona, już bym nie żyła. Razem mogłybyśmy być kimś, tylko powinna mi pozwolić przejąć nad jej ciałem pełną kontrolę.

Po powrocie do domu widzę, że na słupku przy bramie mama wywiesiła na moją cześć amerykańską flagę. Chichoczę na widok powiewającego na wietrze kawałka tkaniny w pasy i gwiazdy. Po chwili dostrzegam na podjeździe mamę idącą mi na spotkanie, podrygującą jak w tańcu.

– Witaj, cheerleaderko! – woła. – Zadzwoiła do mnie pani Sanderson, przekazując mi dobrą wiadomość. – Przybija ze mną piątkę jak *nastolatka* i dodaje: – Jestem z ciebie bardzo dumna!

Miło mi, jednak zastanawiam się, z kogo naprawdę jest dumna – ze mnie czy z niej?

– Dzięki, ale o mało nie zawałam sprawy z powodu drżenia rąk, które zaczęło się w chwili, gdy przystąpiłam do sprawdzianu – mówię bez zastanowienia.

– Słucham? Nie ustąpiło? – dziwi się mama i oznajmia: – Wobec tego musimy niezwłocznie udać się do doktora Radnora.

– Nie! Nie każ mi tam wracać – protestuję, zła na siebie, gdyż tak dobrze sobie radziłam z ukrywaniem napadów drżenia rąk i nagle wszystko zaprzepaściłam.

– Nie musisz tam być długo. Naszym obowiązkiem jest troszczyć się o ciebie. Ciągle jeszcze przystosowujesz się do nowej sytuacji – perswaduje mi mama.

– Wiem, co może mi pomóc „przystosować się” – mówię stanowczym tonem. – Myślałam o tym, mamo. Chcę poznać historię dawczyni. Sądzę, że jeśli się dowiem, jak się nazywała i kim była... to wówczas nie będę odbierała jej ciała jako obcego, nieautentycznego. Może nawet będę mogła zaakceptować to, co mi się przydarzyło. Czy nie tego chcesz?

– Oczywiście, że tego – potakuje, lecz wygląda na zdruzgotaną, gdy oświadcza: – Doktor Radnor powiedział, że to poufne informacje. Nie mogą więc zostać ujawnione.

– Ale możesz mu wytłumaczyć, że to pomoże mi pojąć, co wy wszyscy mi zrobiliście. – Nie ustępuję i spoglądam na nią oskarżycielsko. – Chyba zależy mu na moim zdrowiu psychicznym?

– Oczywiście, Lucy, choć to nie jest takie proste – zamyka temat mama.

– Mamo, proszę, spytaj go o to, a ja rozważę udanie się do kliniki – targuję się z nią.

– Okej, spytam – zapewnia mnie bez entuzjazmu.

ROZDZIAŁ 19

STAJNIA

W drodze do stajni mama rozmawia wesoło z cheerleaderkami. Na jej prośbę zaprosiłam je na przejażdżkę konną i lunch, bo chciała poznać moje nowe koleżanki. Na lekcji historii odważyłam się zaprosić również Mak, choć wiedziałam, że nie przyjdzie. Gdyby nawet się zjawiła, to z powodu swojej niechęci do cheerleaderek byłaby spięta i prawdopodobnie zepsułaby spotkanie.

– Jestem taka podekscytowana tym, że Renee dostała się do waszego zespołu – wyznaje cheerleaderkom rozpromieniona mama i dodaje: – Niespecjalnie się z tego zwierzam, ale w szkole średniej byłam flyerką w zespole starszych cheerleaderek.

– Nie do wiary! – wykrzykuje będąca pod wrażeniem tego Ruby i pyta: – W jakiej szkole?

– Stepton High.

– Wow! Wie pani, że w zeszłym roku zespół z tej szkoły był najlepszy w naszym hrabstwie? – pyta Tanya.

– Aha – potwierdza mama. – W moich czasach zajęłyśmy pierwsze miejsce w kraju, ale to było dawno temu. – Macha lekceważąco ręką.

– Założę się, że nadal pani to potrafi, pani Burgess – oznajmia Ruby, przyglądając się jej sylwetce.

– Och, chciałabym! – wzdycha mama i dodaje: – Ale świetnie się bawiłam, wykonując z Renee te wszystkie układy taneczne.

– Dlaczego nie miałyby pani spróbować? – zachęca ją z uśmiechem Laura. – Poza tym mogłaby nas pani nauczyć jakichś dawnych figur.

– Nie – protestuję gwałtownie. – Pani Burgess jest bardzo zajęta. Nie ma na to czasu.

– Dobrze, Renee. Nie chciałabym cię wprowadzać w zakłopotanie przy koleżankach – mówi mama, chichocząc.

Czeka na nas Jim z czterema osiodłanymi końmi z naszej stajni.

Spoglądam na mamę z trwogą i oświadczam:

– Pani Burgess, przecież pani wie, że nie jeżdżę konno. Przyszłam tu, aby was oglądać.

– Myślałam, że zechcesz dziś spróbować, skoro zaprosiłaś na przejażdżkę koleżanki. To nie jest specjalnie trudne. Po prostu usiądź w siodle i sprawdź, jak się czujesz na koniu. Jim ci pomoże – zachęca mnie mama.

– Nie marudź, Renee! – popiera ją Laura. – Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy wsiadłam na konia, byłam przerażona, ale gdy się przyzwyczaiłam, pokochałam to.

Jim jest zdenerwowany, gdyż widział, jak konie na mnie reagują, kiedy podchodzę do boksów.

– Nie bądź dzieckiem, Renee. Wsiądź na konia – namawia mnie Tanya. – Jaki to ma sens mieszkać tam, gdzie są konie, i nie jeździć?

– Naprawdę nie chcę – oświadczam stanowczym tonem.

– No cóż, jeśli nie spróbujesz, to ja rezygnuję z przejażdżki – mówi na to Ruby i krzyżuje ręce na piersiach.

– Renee, nie psuj koleżankom przyjemności. Proszę cię, spróbuj – nalega mama. – Gdy to zrobisz, poczujesz się o wiele lepiej. – Jest przekonana, że potrafię pokonać moje trudności w kontaktach ze zwierzętami.

Wzdycham. Jest mi niedobrze. Ani mama, ani one nie zamierzają zostawić mnie w spokoju. Będę musiała spróbować. Pocięsam się, że gdy już znajdę się na grzbiecie Moonshine, nawiążę z nią nić porozumienia.

Dziewczyny obserwują, jak Jim prowadzi do mnie oporną klacz, a ja podchodzę do niej z boku. Kiedy chwytam za siodło, kasztanka o jedwabistej sierści parska w proteście.

– No już, Renee, wsiadaj – namawia mnie mama i uśmiecha się zachęcająco. – Jim mocno ją trzyma. Prawda, Jim?

– Tak, pani Burgess – potwierdza stajenny, ściskając cugle silnymi dłońmi. – Ale Moonshine wydaje się dziś trochę przestraszona.

– Boi się mnie – oświadczam categorycznym tonem.

Mama śmieje się nerwowo, ale nie ustępuje.

– Nie bądź niemądra, Renee. Wsiadaj – ponagla.

Gdy wkładam nogę w strzemię, klacz szarpie się i rzuca głową.

– Spokojnie, spokojnie, mała – przemawia do niej Jim i głaszcze ją po pysku.

Moonshine nieruchomieje, ale patrzy na mnie. Gdy podnoszę się w strzemieniu i siadam na siodle, czuję, jak drżą jej umięśnione boki.

– No widzisz! Wiedziałam, że dasz radę – stwierdza podekscytowana mama.

Laura i Ruby biją brawo, a Tanya wyjmuję telefon i zaczyna mnie filmować.

Obejmuję udami boki konia, czując, jak zaczyna mi się udzielać jego strach. Zaciskam dłonie na cuglach.

– Możesz go puścić, Jim – poleca mu mama. – Niech Renee przejedzie się po ogrodzie.

Stajenny wygląda na zatroskanego, gdy mówi:

– Poczekajmy jeszcze chwilę. Niech się do siebie przyzwyczają.

– Na moje oko koń jest w porządku. Puść go – nalega mama.

– Nie! – krzyczę i gwałtownie wciągam powietrze do płuc, ale jest już za późno.

Gdy tylko Jim się odsuwa, Moonshine odrzuca łeb do tyłu, kładzie uszy po sobie, rozdyma chrapy i staje dęba, próbując mnie z siebie zrzucić, jakby dosiadł jej sam diabeł. Krzyczę i kurczowo trzymam się siodła. Na ten widok dziewczyny w popłochu rozbiegają się na wszystkie strony, a pozostałe konie zaczynają rzeć i szarpać za postronki, jakby zaraz miały rzucić się do ucieczki.

– Jim, pomóż jej! – krzyczy mama.

Niestety, stajenny nie może podejść blisko pięciuset kilogramów żywej wagi, kiedy jestem rzucona do tyłu i do przodu, a koń na przemian staje dęba i całym ciężarem opiera się przednimi kopytami o ziemię, wzbijając w powietrze kurz.

– Skocz w tę stronę! – woła, stając z przodu mojej oszalałej kasztanki. – Odbij się i skocz, a ja cię złapię!

Przerażona trzymam się siodła jeszcze bardziej kurczowo i mocniej ściskam udami boki Moonshine. Instykt samozachowawczy nie pozwala mi rzucić się z konia.

– No już, Renee! – ponagla mnie Jim, stojąc z otwartymi ramionami. – Gdy tylko Moonshine stanie na ziemi, odbij się od siodła i skocz w tę stronę.

Muszę zacząć jasno myśleć. Jeśli nie skoczę, to ona lada chwila mnie zrzuci. Skręcę sobie kark i roztrzaskam czaszkę. Muszę spróbować trafić na ręce Jima. Gdy klacz znowu staje dęba, trzymam się siodła i cugli, a kiedy zaczyna walić przednimi kopytami o ziemię, puszczam cugle, wyskakuję z siodła i lecę do przodu ponad jej pochylonym łbem. Wpadam w ramiona stajennego z taką siłą, że powalam go na ziemię. Patrzymy na siebie, uśmiechając się z ulgą, że ten koszmar się skończył. Podbiega do nas mama i pomaga mi wstać. Przytula mnie, a następnie delikatnie otrzepuje kurz z mojej bluzy z kapturem z Bailey Heights i dzinsów.

– Nic ci nie jest? Niczego sobie nie złamałaś? – pyta.

– Nie, nic... jak sądzę – odpowiadam, drżąc.

Jim podnosi się z ziemi i chwiejnym krokiem idzie do Moonshine, która nagle staje się potulna jak owieczka. Również pozostałe konie się uspokajają. W ogrodzie zapada cisza. Jim głaszcze mojego konia po karku i mówi do niego łagodnie:

– Wszystko w porządku, mała.

– Dziękuję, Jim – odzywam się cichym głosem i zagryzam wargi, tłumiąc płacz.

– Nie ma za co – odpowiada, a na jego ogorzałej twarzy pojawia się uśmiech, ale przygląda mi się z zaciekawieniem, bo wie, że konie się mnie boją, choć nie ma pojęcia dlaczego.

– Nie do wiary – odzywa się Tanya, zaciskając kurczowo dłoń na telefonie. – Co, u licha, się stało?

Laura podchodzi do mnie i obejmuje mnie.

– Ten koń jest niebezpieczny. Mógł cię zabić – wykrztusza z trudem.

– Z całym szacunkiem, lecz znam Moonshine. Ona nie jest niebezpieczna. Dla Lucy była łagodna jak owieczka – broni jej Jim.

– Ale to nie była wina Renee. Ona tylko jej dosiadła – protestuje Ruby.

Jim spuszcza wzrok i kopiąc bryłkę ziemi, oznajmia:

– Niektórzy ludzie nie są stworzeni do jazdy konnej. Sądzę, że Renee do nich należy.

– Nie masz racji, Jim. Pewnego dnia Renee będzie galopowała po tym wybiegu. Po prostu musimy znaleźć dla niej odpowiedniego konia – mówi na to mama, nie zgadzając się z nim, co zrozumiała.

– Nie, nie chcę już żadnego konia – jęczę.

– Pani Burgess, chyba powinnyśmy pójść do domu, aby mogła pani zająć się Renee – proponuje zatroskana o mnie Laura.

Nie! Nie chcę, by ich pierwsza wizyta u mnie tak się skończyła, gdyż mogą nie zechcieć przyjść tu ponownie.

– Nie, nic mi nie jest. Tylko przeżyłam lekki wstrząs. Nie ma powodu iść do domu. Przyniosłyście kostiumy kąpielowe, jak was prosiłam? – pytam z desperacją. I nie obchodzi mnie to, że nie potrafię jej ukryć. Po prostu nie mogę ich stracić.

– Jasne – potwierdza z entuzjazmem Tanya.

– A więc popływajcie, a ja zażyję środek przeciwbólowy i usiądę na leżaku. Pani Burgess przygotowała dla was wspaniały lunch, prawda?

– Tak – potwierdza mama i pyta mnie: – Czy na pewno nic ci nie jest, Renee?

– Nie ma powodu do zmartwień. Nic mi nie jest – oświadczam i zwracam się do koleżanek: – Słuchajcie, musicie zostać. Pani Burgess zrobiła ten nowy cudowny sok. Chce, żebyście go skosztowały. Podobno świetnie działa na cerę. Przepadają za nim największe gwiazdy Hollywoodu.

– Wobec tego okej. Skoro dobrze się czujesz – mówi Tanya, idąc w kierunku basenu.

Gdy wracamy do domu, Laura i Ruby biorą mnie pod rękę. Później wyjmują z mojej peruki kawałki słomy i żwiru, a ja z ulgą przypominam sobie, że jest mocno przyklejona do skóry głowy. To dziwne, ale jestem zadowolona. Doprowadziłam Moonshine do szaleństwa i czuję się obolała, lecz Laura mówi, że zachowałam się wspaniale i odważnie, a Ruby zapewnia mnie, że wszystko, co tu się dzieje, jest znacznie bardziej ekscytujące niż jej zwykłe sobotnie zakupy i opowieści jej chłopaka o meczach piłki nożnej. Dzięki temu nieoczekiwanie mam poczucie, że ta wizyta nie wypadnie źle.

W weekend próbuję jakoś do siebie dojść. Ale gdy w poniedziałek rano wchodzę po schodach do budynku szkoły, czuję sztywność stawów i mięśni rąk i nóg. Uczniowie tłoczą się

przy drzwiach jak rój pszczół powracających do ula.

Nagle, pomimo panującego gwaru, słyszę, jak ktoś gwizdże i entuzjastycznie woła do mnie:

– Ale dałaś czadu!

Rozglądam się dookoła, aby sprawdzić, co się dzieje. Moją uwagę zwracają miny przechodzących obok uczniów. Na mój widok wszyscy znacząco uśmiechają się od ucha do ucha.

– Hej, Renee! Wybierasz się w tym roku na rodeo? – pyta mijająca mnie dziewczyna i chichocze.

– Szacun, kaskaderko! – krzyczy do mnie jakiś chłopak.

Co się, u licha, dzieje? O czym oni wszyscy mówią? – zastanawiam się.

Podbiega do mnie Hugh Grasso i pokazuje mi ekran komórki. Na widok chaotycznego nagrania ukazującego, jak Moonshine próbuje zrzucić mnie z siodła, stając dęba i waląc przednimi kopytami o ziemię, czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Renee, pewnego dnia zostaniesz moją dzidzią kowbojką – oznajmia rozbawiony.

O mój Boże. To nie może dziać się naprawdę. Co ludzie sobie o mnie pomyślą? – martwię się.

Gdy wreszcie przekraczam drzwi szkoły, zatrzymuje mnie pani Sanderson i mówi:

– Renee, cieszę się, że widzę cię całą i zdrową. Przeleciałaś spory kawałek, wyskakując z siodła.

Co? Czyżby już wszyscy na całej planecie widzieli ten film? – zastanawiam się.

– Tak, pani dyrektor, ale nic mi nie jest – potwierdzam i przyspieszam kroku, unikając spojrzeń uczniów.

– Wyglądasz dobrze nawet w powietrzu – szepcze mi do ucha Josh Dartmere.

Zaczynam biec korytarzem, żeby uwolnić się od tego natręta.

– Renee! – woła Laura, stojąc z Ruby i Tanya, która wygląda na bardzo z siebie zadowolona.

– Co to, u diabła, znaczy, Tanya? – nacieram na nią, bliska płaczu. – Dlaczego mnie sfilmowałaś, a potem zamieściłaś wideo w Internecie, aby każdy mógł je obejrzeć?

– O co ci chodzi, Renee? Najpierw przeczytaj komentarze. Ludzie uważają, że ten filmik wymiata. Dzięki mnie stałaś się celebrytką – żartuje Tanya i klepie mnie po plecach.

– Nadałaś mu tytuł *Dzidzia kowbojka*, jakbym była gwiazdą porno! – wykrztuszam.

– Owszem. Trudno się dziwić, że ma tyle wejść – broni jej ze śmiechem Ruby.

– Posłuchaj, Renee, ta scena była za dobra, żeby nie chcieć podzielić się z innymi jej nagraniem. Nie zostałaś ranna i nie przydarzyło ci się nic złego. Gdybyś skrzyła kark, nie zamieściłabym żadnego filmu – tłumaczy mi Tanya.

– Co za troska – stwierdzam z ironią, kipiąc ze złości.

– Uspokój się, Renee. Owszem, Tanya najpierw powinna była spytać cię o zgodę, ale musisz przyznać, że to wideo jest odlotowe... Wszyscy tak uważają – wstawia się za nią Laura, robiąc zdziwioną minę, jakby chciała w ten sposób zmusić mnie do kapitulacji.

– Ale Tanya nie mogła przewidzieć reakcji ludzi. I zdawała sobie sprawę z tego, że każdy uczeń tej szkoły może wykorzystać to nagranie, by zamienić moje życie w piekło – nie ustępuję.

– Cześć, Renee! Powiedz temu starszemu gościowi, który złapał cię w locie, że chcemy go na bramkarza w naszej drużynie futbolowej – odzywa się ktoś z tyłu. Gdy się odwracam, widzę, że uśmiecha się do mnie Dan Woods, największy przystojniak w Bailey Heights. Zatyka mnie, więc tylko chichoczę.

– Widzisz? – mówi zadowolona z siebie Tanya. – Nie musisz mi dziękować.

Mam ochotę wymierzyć jej policzek. Ale gdy pomyślę o tych wszystkich ludziach, którym filmik się spodobał... uważających mnie za kogoś szczególnego i nadskakujących mi, czuję się podekscytowana. I zmuszam się do zrobienia rozgniewanej miny, gdy jej odpowiadam:

– Okej, ale przysięgnij, że usuniesz to z Internetu... zaraz!!! Nie chcę, by ktoś jeszcze zobaczył ten klip.

Tanya macha mi przed nosem małym palcem i zapewnia:

– Uroczyście przysięgam.

ROZDZIAŁ 20

KLIP

Chłopak klika zamieszczony na YouTube link zatytułowany *Dzidzia kowbojka*. Film przedstawia dziewczynę siedzącą na kasztanowym koniu, który wpada w szal i usiłuje ją zrzucić. W tle widać kobietę krzyczącą ze strachu piskliwym głosem i starszego mężczyznę w typie kowboja, desperacko próbującego podejść do rozszalałego zwierzęcia. Koń wzbija kopytami kurz, to stając dęba, to waląc kopytami w ziemię. Trudno rozpoznać rysy dziewczyny w sytuacji, gdy zwierzę szarpie ją w tył i w przód. Ale ona nie pozwala zrzucić się na ziemię, trzymając się mocno siodła i cugli jak jeździec rodeo. Mężczyzna woła do niej „Renee” i każe jej skoczyć. Po chwili dziewczyna przelatuje ponad głową kasztanki, zostaje złapana przez kowboja i oboje przewracają się na ziemię.

Gdy opada kurz, widać nastolatkę z jasnymi włosami o rudawym odcieniu. Kiedy kamera ukazuje zbliżenie jej twarzy, chłopak włącza stopklatkę i otwiera szeroko oczy ze zdumienia. Wprawdzie dziewczyna ma niebieskie oczy, lecz on rozpoznaje piegi na twarzy w kształcie serca, zaokrąglony nos, uśmiech ukazujący białe nierówne zęby i dołeczki w policzkach, a także opadnięte powieki i gęste długie rzęsy. Przysuwa się bliżej do ekranu i wpatruje w tę twarz. Na widok nieznaczej blizny przecinającej prawą brew gwałtownie wciąga powietrze do płuc. Dotyka twarzy dziewczyny drżącym palcem i szepcze:

– Hayley.

ROZDZIAŁ 21

ZBIÓRKA PIENIĘDZY

Siedzę przy stoliku i uśmiecham się do Ruby zabawnie opowiadającej o tym, jak musiała leżeć na podłodze, aby mama mogła wciągnąć na nią sukienkę, którą ma dziś na sobie. Przez cały czas recytuję w głowie słowa listu przekazanego przed kilkoma dniami mamie przez doktora Radnora. Jest napisany ręcznie, staromodnym atramentem. Litery są zgrabne i wytworne, a jasnoniebieski papier listowy jest gruby i gładki. Traktuję ten list jak prawdziwy skarb. Przeczytałam go już tyle razy, że pamiętam każde słowo:

Dzień dobry,

bardzo się ucieszyliśmy, gdy doktor Radnor poinformował nas, że chcesz się dowiedzieć czegoś więcej na temat naszej córki Amy.

To była wspaniała młoda kobieta, która napawała nas dumą. Wiele osób ją uwielbiało. Żyła pełnią życia. Miała licznych przyjaciół, z którymi lubiła się spotykać na mieście.

Ale poświęcała czas także na udzielanie pomocy tym w naszej społeczności, którym wiodło się w życiu gorzej. Miała wielkie serce i była wrażliwa na cudze cierpienie. Stale organizowała kiermasze z żywnością i sponsorowane eventy w celu zbierania pieniędzy na cele dobroczynne. Była osobą szczęśliwą i cieszyła się dużą popularnością w szkole.

Bardzo przykładała się do nauki. W szkole średniej była cenioną członkinią zespołu cheerleaderek. Nigdy nie opuszczała treningów.

Najbardziej lubiła zajęcia plastyczne i chciała studiować historię. Mike i ja byliśmy pewni, że pewnego dnia zostanie wspaniałą nauczycielką. Była życzliwa, cierpliwa i nad wiek dojrzała. Oczywiście jesteśmy zdruzgotani tym, że nasze kochanie odeszło.

Ale wielkie pocieszenie przynosi nam świadomość, że nasze jedyne dziecko nie umarło na próżno, że dzięki Amy Ty zyskałaś szansę na nowe życie. Wiemy, że Amy chciałaby móc pomagać innym, nawet poprzez swoją śmierć.

Jesteśmy pewni, że w pełni wykorzystasz ten najcenniejszy z darów, czcąc pamięć naszej ukochanej córki. Jesteśmy zawsze z Tobą w naszych modlitwach i myślach.

Niech Bóg Cię błogosławi,

Hazel i Mike

Dzięki temu listowi czuję się bardziej pogodzona z tą dziewczyną i jej bliższa. Myślę, że ona czuje się podobnie, jeśli chodzi o moją osobę. To nie może być przypadek, że od czasu otrzymania tego listu nie miałam napadu drżenia rąk. I wspaniale jest znać jej imię. To dziwne, ale obecnie drobne sprawy czynią mnie szczęśliwszą, jak na przykład to, że ta dziewczyna zaakceptowała by moją przynależność do zespołu cheerleaderek i nie traktowała by takiej szarej myszki, jaką dawniej byłam, jak powietrze, choć była w szkole popularna i wyróżniała się urodą. I jest dla mnie oczywiste, że ofiarowanie ciała Amy do transplantacji przyniosło jej rodzicom wielką ulgę w cierpieniu po stracie córki. Obecnie czuję się tak, jakbym miała również zgodę tej dziewczyny na używanie jej ciała. Dzięki temu zmniejszyło się moje poczucie winy, że skorzystałam na jej śmierci. Mam wrażenie, że obie możemy sprawić, by wszystko było okej. Czuję się dobrze.

Obserwuję zmierzającą do naszego stolika mamę. Wygląda olśniewająco w swym wytwornym stroju. Trzyma w ręce kieliszek szampana.

– Witajcie, dziewczęta! Jak miło znowu was zobaczyć. Wyglądacie zachwycająco – mówi.

Wiem, że chce dotknąć mojego gołego ramienia, ale się powstrzymuje. Cieszy się, że mam na sobie dopasowaną suknię koktajlową i buty na wysokich obcasach, w których nie bardzo umiem chodzić. W ten sposób przemieniłam Amy z ładnej uczennicy szkoły średniej w szykowną młodą kobietę, ale lubię myśleć, że odpowiadałoby jej to. Nikomu, kto na mnie patrzy, nie przyszłoby do głowy, że ma do czynienia z dwiema osobami.

– Dobrze się bawicie? – pyta mama cheerleaderki.

– Tak, pani Burgess. To bardzo miło z pani strony, że zaoferowała nam pani stolik. Jedzenie jest pyszne, a miejsce wspaniałe – zachwyca się Laura, rozglądając się po lśniącej sali balowej, pełnej mężczyzn w smokingach i kobiet w sukniach wyszywanych cekinami.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada mama. – To skromne podziękowanie ode mnie za to, że tak miło przyjęłyście do swojego grona Renee. Nowej osobie zawsze jest trudniej.

– Och, już ją jakoś znosimy – żartuje Ruby, uśmiechając się do mnie.

– Mam nadzieję, że zbierze dziś pani dużo pieniędzy dla fundacji – mówi uprzejmie Laura.

– Dziękuję, Lauro. Oczywiście ta impreza temu służy, ale chcę także, aby wszyscy czuli się podniesieni na duchu. I z niecierpliwością czekam na wasz późniejszy występ na tej scenie – odpowiada z uśmiechem.

Obserwuję ją, jak sunie do następnego stolika i gawędzi z gośćmi. Jej zabawowy nastrój mnie denerwuje. Pewnie dlatego jest taka radosna, że uwielbia, jak przebywam w towarzystwie moich nowych przyjaciółek. A przecież prowadzi zbiórkę pieniędzy na rzecz fundacji imienia jej zmarłej córki. Powinna sprawiać wrażenie przygaszonej.

Mak siedzi przy stoliku z rodzicami po drugiej stronie sali. Oczywiście przyszli tu ze względu na Lucy. Mak lustruje mnie wzrokiem, ale kiedy macham do niej, szybko odwraca głowę.

– Hej, twoja przybrana mama jest spoko! A jaka *zgrabna!* – oznajmia z podziwem Ruby.

– Oficjalnie nie jest moją przybraną mamą – prostuję.

– Jej córka w niczym nie przypominała Renee, prawda? – mówi z dezaprobatą Tanya, wskazując ruchem głowy wiszące nad sceną wielkie zdjęcie.

Wzdrygam się na widok fotografii osoby, którą kiedyś byłam. Moje włosy w mój czas kolorze przylegają do czaszki, okalając bladą, niezbyt ładną twarz o słabo zarysowanym podbródku. Mam na sobie okropną kwiecistą sukienkę z kołnierzykiem obszytym aksamitną lamówką.

Laura w zamyśleniu wpatruje się w to zdjęcie, a po chwili komentuje:

– Trudno doszukać się w tym jakiegoś sensu. Dlaczego kobieta tak stylowa jak pani Burgess ubierała swoją córkę w *takie* ciuchy?

Nagle to pojmuję. Po tak długim okresie zaczynam rozumieć mamę. Mam łzy w oczach.

– Gdy Lucy zachorowała, pani Burgess próbowała sprawić, by jej córka pozostała małą dziewczynką, dlatego tak ją ubierała – mówię cichym głosem. – Może myślała, że w ten sposób zatrzyma ją przy sobie?

– Och, pani Burgess zwierzyła ci się z tego? Jakie to smutne – komentuje Laura.

– Powiem wam, co jest smutne – włącza się do rozmowy Ruby. – To, że w tej sali jest tyle starszych osób. Zapewne średni wiek wynosi tu pięćdziesiąt lat!

– To przecież zbiórka pieniędzy, więc zaprosili ludzi z forszą – mówię w obronie rodziców.

– Nie przebrniemy przez to wszystko bez małej pomocy – oznajmia Ruby, otwiera pod stolikiem torebkę, wyjmując małą butelkę wódki i rozkazuje nam: – Podajcie kieliszki,

dziewczyny.

Waham się, rozglądając się wśród przyjaciół moich rodziców i różnych osobistości z Houston.

– Pospiesz się, Renee. Piłaś już wódkę, no nie? – ponagla mnie.

– Jasne – kłamię i dodaję: – Ale państwo Burgess nie chcieliby, bym piła.

– No i co z tego? – odzywa się Tanya. – Nie są twoimi rodzicami, nie mogą ci mówić, jak masz postępować. Nie marudź. Rozluźnij się. Wyglądasz na spiętą.

– Nie, naprawdę nie mogę, ale wy się nie krępujcie – odmawiam, gdyż dotychczas zdarzyło mi się wypić tylko kieliszek wina z okazji Święta Dziękczynienia. Chcę, by cheerleaderki mnie lubiły, lecz nie mogę ryzykować utraty kontroli nad sobą w sytuacji, gdy mam tak wiele do ukrycia.

Widzę, że na podium zmierza babcia. Boże, zaraz wygłosi przemowę. To będzie nie do zniesienia.

– Szanowne panie, szanowni panowie! – zaczyna. – Dziękuję wam z całego serca, że tu dziś przyszlście. Mam nadzieję, że racycie się tym wybornym jedzeniem, a potem będziecie tańczyć przy dźwiękach muzyki granej przez najwspanialszy big-band w Houston. – Wskazuje dłonią siedzących z tyłu za nią muzyków i rozlegają się gromkie brawa. – Ale za chwilę odbędzie się najważniejsze wydarzenie tego wieczoru – aukcja charytatywna na rzecz Fundacji imienia Lucy Burgess. Zebrane dziś pieniądze zostaną przeznaczone na badania nad środkami do walki z rakiem, straszną chorobą, która pozbawiła życia moją wnuczkę. A także na utrzymanie hospicjów dla osób z chorobą nowotworową w naszym hrabstwie. Chciałabym też wybudować hospicjum naszej fundacji, zapewniające opiekę i wsparcie chorym młodym ludziom oraz ich rodzinom. – Znowu rozlegają się gromkie brawa. – Teraz opowiem wam trochę o mojej wnuczce Lucy. – Pokazuje dłonią zdjęcie i mówi łamiącym się głosem: – To było kochane, urocze dziecko, które nigdy nie miało szansy żyć pełnią życia. Rak zabrał jej młodość i przyszłość, tej najbardziej czarującej i najmilszej ze wszystkich wnuczek, córce Gemmy i Lewisa. Kiedyś usłyszała, jak powiedziałam do Gemmy, że muszę odwołać lunch w kościele przygotowany dla bezdomnych, gdyż wolontariusz się wycofał. Natychmiast włożyła płaszcz i szalik i powiedziała: „Idziemy, babciu. Ja ci pomogę”. Była taka delikatna, taka... słaba, ale cała ona – chętna do pomocy.

Spuszczam głowę. Pamiętam tamto popołudnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że moja decyzja tyle dla babci znaczyła.

– Dzielność i godność, z jaką Lucy znosiła chorobę, stanowiły dla mnie inspirację. Chcąc uhonorować moją zmarłą wnuczkę, założyłam tę fundację mającą pomagać innym chorym na raka. Więc proszę was, bądźcie dziś wieczorem tak hojni, jak tylko możecie, aby za jakiś czas już żaden młody człowiek nie umarł na tę chorobę. – Po tych słowach babcia schodzi ze sceny, a ludzie wstają z krzeseł i nagradzają jej wystąpienie hucznymi oklaskami.

Kulę się na krześle, z trudem powstrzymując łzy. Laura odwraca się do mnie, wachlując twarz dłońmi, jakby w ten sposób próbowała zapanować nad emocjami.

– Przemawiała pięknie, co? – mówi w napięciu. – Wydaje się, że Lucy była bardzo dzielna.

Czuję się straszną oszustką. Nie mogę słuchać jej słów współczucia dla rodziny.

– Zaraz wracam – mówię, wstając z krzesła.

Idąc do stolika Mak, przechodzę obok taty, który stoi zamyślony, trzymając w ręce szklaneczkę whisky.

– Jak pan się miewa, panie Burgess? – pytam zatroskana.

– Niezbyt dobrze, ale przynajmniej pani Burgess wydaje się zadowolona – mówi

z goryczą i pyta: – A ty jak się czujesz, Renee?

– Dobrze – odpowiadam lakonicznie.

Tata ścisza głos i oznajmia:

– Nie powinnaś była tu przychodzić. To nie w porządku, że musisz w tym wszystkim uczestniczyć.

– Potrzebowałam tego. Chcę wesprzeć bab... panią Kendal. Swoją obecnością pomagamy jej. Przeprowadzamy ją przez okres żałoby. Robi wspaniałą rzecz – argumentuję.

– Jasne. Wszystko dla uczczenia pamięci wnuczki – odpowiada ponuro tata i pociąga z kieliszka.

Gdy podchodzę do Mak, widzę, że zastanawia się, jak by tu odejść od stolika.

– Cześć, Makaylo – mówię z szerokim uśmiechem.

– Cześć – mamrocze pod nosem.

– To twoi rodzice? – pytam i spoglądam na nich rozpromieniona. Miło ich zobaczyć.

– Tak. Mamo, tato, to Renee, dziewczyna, która mieszka u rodziców Lucy – przedstawia mnie.

– Witaj, młoda damo – mówi pan Walker i podaje mi rękę, a ja ściskam ją mocno, po czym bez zastanowienia cmokam zaskoczoną panią Walker w policzek.

– Cieszę się, że mogłam państwa poznać – mówię z entuzjazmem. – Makayla i ja chodzimy do tej samej klasy. Wspaniale jest z nią przebywać.

Mak przewraca oczami.

– Ślicznie wyglądasz w tej sukience, Makaylo – podtrzymuję rozmowę.

– Dziękuję – odpowiada zimnym tonem, jakby nie mogła znieść nawet komplementu ode mnie.

– Cieszysz się z wizyty u rodziców Lucy? – pyta pani Walker.

– Tak, są bardzo mili – odpowiadam zdawkowo.

– To jest coś więcej niż wizyta, mamo – wyjaśnia jej córka. – Renee wprowadziła się do nich. Wiesz, że zajęła sypialnię Lucy? – Mak jest zniesmaczona.

– To nie nasza sprawa, Makaylo – zwraca jej uwagę surowym tonem pan Walker.

Na sali rozlega się śmiech mamy.

– Przypuszczam, że przebywanie w towarzystwie młodej osoby pomaga Gemmie – mówi pani Walker, spoglądając na córkę sceptycznie.

– Masz rację. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej – komentuje uszczypliwie Mak radosny nastrój mojej mamy.

– Mylisz się. Pani Burgess bez przerwy opowiada mi o Lucy. *Bardzo* za nią tęskni. Po prostu przy ludziach próbuje stwarzać wrażenie, że dzielnie znosi jej stratę – kłamię.

– Wszyscy kochaliśmy Lucy. Cieszymy się, że pani Kendal założyła fundację jej imienia – mówi na to pani Walker.

– Czy nie powinnaś już wrócić do swoich przyjaciółek? – pyta lodowatym tonem Mak.

– Z pewnością powinnam. Zobaczymy się później? – proponuję.

Mak milczy.

Gdy dochodzę do mojego stolika, czuję skurcz w brzuchu, więc oddycham głęboko i siadam. Moje koleżanki są tak głośne, że bez wątplenia wypity już tę wódkę.

– Co ci jest? Nie wyglądasz dobrze – odzywa się Laura.

– Nic mi nie jest. Po prostu trochę boli mnie brzuch. Pewnie zjadłam coś nieodpowiedniego – zbywam ją.

– Renee, widziałam, jak rozmawiałaś z tą Makaylą. W szkole obserwowałam, jak starałaś się być dla niej miła. Dlaczego tak się wysilasz? Widać, że ona nie chce cię znać – stwierdza

brutalnie Tanya.

– Bardzo przyjaźniła się z Lucy, więc uznałam, że dobrze byłoby się do niej zbliżyć – odpowiadam, jakby nie chodziło o nic wielkiego.

Ruby spogląda na Mak i mówi:

– Wiecie, co? To byłaby niezła laska, gdyby tylko zgubiła kilkanaście kilogramów.

– Co, Makayla? Ale przecież jest seksowna... ponętna – bronię jej.

– Och, proszę cię – odzywa się Laura. – Kulturalnie określasz kogoś, kto jest po prostu gruby. Nie wyświadczasz ludziom z nadwagą żadnej przysługi, nie mówiąc prawdy o ich tuszy. Daję słowo, że gdyby ta dziewczyna wykazała samokontrolę, wykonywała ćwiczenia fizyczne i zrzuciła zbędne kilogramy, jej życie by się odmieniło.

– A może lubi siebie taką, jaka jest? – bardziej pytam, niż stwierdzam, choć właściwie po co, skoro Mak nigdy nie przejmowała się swoją wagą.

– Renee, osoby, które mówią, że ich tusza im nie przeszkadza, są zbyt leniwe, by móc pozbyć się nadmiaru tłuszczu – robi mi wykład Ruby.

Ruby nie ma racji! Tusza nigdy nie odbierała Mak pewności siebie. Chyba nie byłaby szczęśliwsza, gdyby miała ciało jak cheerleaderki... Jak ja...

– Szybko, spójrzcie! Ona wpycha sobie do ust kolejny kawałek ciasta! – woła Tanya.

Laura wymierza jej klapsa w rękę i przywołuje ją do porządku słowami:

– Przestań!

– Tak, zamknij się, Tanya! – zwracam jej uwagę ostrym tonem, ale jestem zażenowana łakomstwem Mak. Powtarzam w myślach: „Mak, przestań obżerać się ciastem! Przestań się obżerać!”. I zastanawiam się, co się ze mną dzieje. Nie mogę uwierzyć, że czuję się zakłopotana zachowaniem mojej najlepszej przyjaciółki.

W tym momencie na scenę wchodzi licytator i rozlega się głośny aplauz. To znany gospodarz programu radiowego, choć ja o nim nie słyszałam. Przypuszczam, że pracuje w jednej ze stacji radiowych, których słucha babcia. Okazuje się, że ludzie ofiarowali na aukcję dużo atrakcyjnych, robiących wrażenie rzeczy. Z podziwem obserwujemy, jak kupujący proponują za nie tysiące dolarów. Uśmiecham się na widok zachwyconej miny babci, gdy pieniądze płyną strumieniem na konto fundacji.

Ruby uparcie chce mi nalać pod stolikiem kieliszek wódki, lecz odmawiam. Nie wiem, dlaczego dostawałam bólu brzucha, gdy wracałam od stolika Mak. Staram się, jak mogę, by nie było tego po mnie widać, gdyż nie chcę wstawać od stolika w trakcie aukcji.

Czuję wielką ulgę, kiedy licytator oznajmia:

– Szanowni państwo, to koniec naszej aukcji. Dziękuję za waszą nadzwyczajną hojność. Zapraszam do tańca!

Zaczyna grać big-band i ludzie zapełniają parkiet.

Czuję się kiepsko, lecz Tanya już wstała z krzesła i nalega:

– Ruszmy się.

– Ale oni grają jakieś staromodne kawałki. Nie potrafimy tego tańczyć – oświadcza zdenerwowana Laura.

– Po prostu poruszajmy się zgodnie z rytmem – zachęca ją Tanya i pstryka palcami.

Ruby podnosi mnie z krzesła i toruje mi drogę wśród par tańczących walca. Gdy zatrzymuje się na parkiecie, kładzie mi jedną rękę na ramieniu, a drugą obejmuje mnie w talii.

– Ja poprowadzę – mówi, naśladowując wymowę piękności z Południa.

Zaczyna szybko przesuwać mnie po parkiecie i przeprosza, kiedy wpadamy na jakąś parę.

Obok nas pojawia się tańcząca z licytатorem Tanya. Stoi na palcach i się śmieje.

Gdy wirujemy w walcu, wyczuwam, że babcia patrzy na mnie gniewnie.

Nagle czuję, że po wewnętrznej stronie ud sływa mi coś ciepłego. W panice spoglądam w dół i dostrzegam na stopach czerwone plamy. Odwracam głowę i widzę w lustrze na mojej kremowej sukni szkarłatną plamę w okolicy pośladków. Gwałtownie wciągam powietrze do płuc.

– Co ci jest? O co chodzi? – niepokoi się Ruby.

Ściskam w dłoni suknię z tyłu, starając się ukryć plamę, i mówię:

– O nic. Po prostu zachciało mi się siusiu... Zaraz wracam.

Spuszczam głowę i próbuję wydostać się z parkietu. Niestety, gdziekolwiek się obrócę, natykam się na wirującą w walcu parę. Jestem nimi otoczona. Ogarnia mnie panika i zaczynam się przepychać. Gdy udaje mi się wydostać z tłumu, wpadam prosto na stojącą przy parkiecie Mak. Wyczerpana przechodzę obok niej, truchtając do toalety. Wchodzę do najbliższej kabiny i zamykam drzwi. Słyszę kroki kilku wychodzących kobiet i zapada cisza. Jestem tu sama. Podciągam suknię i widzę, że po nogach sływa mi krew, a figi w kroczu są od niej mokre. „To nie może się dziać” – mówię do siebie w myślach. Sięgam po papier toaletowy, lecz zostało tylko kilka listków. Spoglądam zatrwożona na ręce, czując w nich mrowienie i widząc, jak zaczynają drżeć. Po upływie kilku sekund trzęsą się jak nigdy dotąd. Zaciskam je i uderzam nimi w ścianę kabiny, z trudem powstrzymując łzy i szepcząc do tego zdradzieckiego ciała:

– Przestań. Nie rób mi tego!

Rozlega się skrzypnięcie, otwierają się drzwi toalety i słyszę znajomy głos:

– Renee, jesteś tam? To ja, Mak!

Milczę, bo nie chcę, aby ktokolwiek zobaczył mnie w takim stanie.

– Renee, widziałam krew na twojej sukni – odzywa się znowu Mak.

– O Boże, czy wszyscy to widzieli? – pytam, nie potrafiąc się powstrzymać.

– Nie, nikt nic nie zauważył. Czy mam zawołać twoje koleżanki, aby pomogły ci się ogarnąć? – proponuje Mak.

– Nie! Nie mogę stąd wyjść! Jestem w strasznym stanie! – krzyczę spanikowana, dodając w myślach: „Tanya rozgłosiłaby to w całej szkole. Wszyscy śmialiby się ze mnie i stroili sobie niewybredne żarty. Byłabym pamiętana tylko z tego, a nie z urody, a nawet nie z filmu *Dzidzia kowbojka*”.

Mak podaje mi ponad drzwiami zmoczone ręczniki papierowe.

– Wytrzyj się. Zaraz dam ci podpaski. Masz numerek do szatni? Przyniosę ci płaszcz, żebyś mogła zakryć suknię – proponuje.

Otwieram drzwi kabiny i patrzę na moją przyjaciółkę, wybuchając płaczem i rozmazując tusz do rzęs.

– To nie może się dziać. Nie chcę tego – mówię.

– A kto chce? – odpowiada, spoglądając na moje drżące dłonie. – Mnie też się kiedyś przydarzyło coś takiego w autobusie szkolnym, gdy byłam w ósmej klasie. Ja i Lucy Burgess dojechałyśmy do najbliższego przystanku i przebiegłyśmy obok kierowcy, zasłaniając twarze. Może to nieco poprawi twoje samopoczucie.

– Owszem, to było okropne – potwierdzam bez zastanowienia.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta zdezorientowana.

– Chcę... Chcę powiedzieć, że to musiało być okropne – poprawiam się.

Drzwi toalety otwierają się i do środka wchodzi jakaś kobieta.

– Przepraszam, ale ta toaleta jest chwilowo nieczynna – sływia ją Mak. Nie odrywając wzroku od moich drżących dłoni, pyta: – Potrzebujesz lekarza? Może powinnam przyprowadzić tu panią Burgess?

– Nie. Po prostu chcę, aby mi to przeszło – mówię błagalnie i dodaję: – Myślałam, że jesteśmy ze sobą pogodzone. Niestety, ona nadal sprawuje nade mną kontrolę. To moja pierwsza

miesiączka. Rozumiesz, co to znaczy? Ona pokazuje mi, że ja, że to ciało może wydać *nowe* życie. – Z powodu stresu zapominam się i przemawiam do Mak tak, jakby mogła dostrzec we mnie Lucy.

Mak rozkłada ręce, kręci głową i oznajmia:

– Jejku! To dla mnie trochę za ciężki temat. Jeśli chcesz przeprowadzić z matką naturą dyskusję filozoficzną o swoim cyklu menstruacyjnym, to proszę cię, zrób to beze mnie.

– Sorki, nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem tak roztrzęsiona, że nie wiem, co mówię – kłamię, splatając drżące dłonie.

– Posłuchaj, pójdę teraz po twój płaszcz i powiem pani Burgess, że musisz pojechać do jej domu, dobrze? – proponuje i patrzy na mnie, jakbym była osobą nie zrównoważoną psychicznie.

– Nie powiesz o tym nikomu? – błagam ją.

– Nie, oczywiście, że nie! Nawet jeśli cię nie lubię, Renee, nie zrobiłabym tego.

ROZDZIAŁ 22

DZIECKO AMY

Leżę w sali balowej na stoliku. Mój rozciągnięty brzuch wznosi się przede mną jak głaz. Jestem tak spocona, że włosy peruki przyklejają mi się do twarzy. Trzymają mnie mężczyźni w smokingach i kobiety w sukniach balowych. Krzyczę na nich i próbuję ich gryźć, ale przytrzymują mnie jeszcze mocniej. Z boku podchodzi do mnie doktor Radnor. Ma na sobie nieskazitelnie czysty biały strój chirurga, a usta i nos zakrywa mu maska. Jego piwne oczy są roześmiane, gdy unosi zimny stalowy skalpel i nacina nim skórę poniżej mojego rozdętego brzucha. Czuję się tak, jakby mnie przepołowił. Wyję z bólu, gdy pociąga i szarpie moje ciało w miejscu nacięcia, aż w końcu je rozrywa. Z wysiłku marszczy czoło. Gdy wyjmuje to ze mnie, słyszę jakieś szokujące odgłosy. Dostrzegam usta tego w chwili, kiedy wydaje z siebie nieludzki dźwięk. To zaczyna się wiercić i piszczeć. Jest monstrualne.

– Proszę to ode mnie zabrać! – krzyczę, gdy doktor Radnor wciska mi to w ramiona.

– To cud! – mówi z zachwytem. – To jest dziecko Amy!

ROZDZIAŁ 23

GOŚĆ

Mama wzdycha ciężko, podając w jadalni kolację.

– Lucy, przez cały dzień słucham tego, co mówisz, i nie widzę końca. Jak już ci powiedziałam chyba ze sto razy: to, że dostałaś okres, jest czymś najbardziej naturalnym na świecie. Mówiąc szczerze, podsycasz w sobie histerię i potem śni ci się taki koszmar – tłumaczy mi.

Łapię się za głowę, ponieważ mama traktuje mnie jak małą dziewczynkę. Nie chce nawet przyznać, co to znaczy i jakie ma konsekwencje. Bo skoro to ciało miesiączkuje, to znaczy, że jest płodne, czyli może się rozmnażać. Nie potrafię przestać myśleć o tym, jaki byłby *rezultat* tego ostatniego. Co za stworzenie urodziłoby się w sytuacji, gdy to, co naturalne, zostało w moim wypadku tak radykalnie podważone? Przeraza mnie sama myśl o tym. Czemu więc mama nie rozumie, dlaczego tak paranoicznie boję się tego, że zaczęłam miesiączkować? Czy nie pojmuję, dlaczego stanowi to dowód, że ciało Amy nigdy naprawdę nie będzie do mnie należeć?

Tata odsuwa talerz z jedzeniem i oznajmia:

– Straciłem apetyt. Idę do gabinetu.

– Trochę za późno okazujesz taką wrażliwość, tato – oświadczam z gniewem.

– Posłuchaj, Lucy, musimy pojechać do doktora Leo w sprawie drżenia rąk – mówi mama. – Ma wszystkie wyniki twoich ostatnich badań i chce je z nami omówić. Gdy będziemy w klinice, spytasz go o swoje... zmartwienia. Jestem pewna, że dzięki temu odzyskasz spokój.

Chcę zaprotestować, ale w holu Arthur na kogoś czeka, więc rezygnuję.

– Ktoś dzwoni. Jest przy bramie – informuję rodziców, podchodząc do wideodomofonu i odskakując na widok policjantki wychylającej się przez okno radiowozu. Dodaję cichym głosem: – To glina.

– W jakim celu zjawia się tu ktoś taki? – dziwi się tata, wstając pospiesznie od stołu.

– Dzwoni ponownie. Co mam zrobić? – pytam, czując, jak przyspiesza mi puls.

– Wpuść ją – każe mi mama, ze zdenerwowania przekręcając na palcu obrączkę. – To nie może mieć z tobą nic wspólnego. Pewnie były jakieś włamania do domów sąsiadów czy coś w tym rodzaju. – Ponagliła mnie gestem dłoni, żebym otworzyła bramę.

– Witam! Czym mogę służyć? – mówię w napięciu do wideodomofonu.

– Dobry wieczór. Jestem Jane Parnell z wydziału policji w Houston. Chcę porozmawiać z państwem Burgess. Mogę podjechać pod dom?

– Tak, oczywiście – potwierdzam.

Wciskam guzik, otwierając jej bramę, i czekam na zewnątrz. Na widok wjeżdżającego na podjazd radiowozu ze strachu zaczynają mi się skręcać wnętrzności.

– Dzień dobry – pozdrawia mnie funkcjonariuszka, wysiadając z samochodu. Staje przede mną, wysoka i dobrze zbudowana. Poprawia zatknięty za pas pistolet i mówi: – Och! Co za upalny dzień. – Z uśmiechem pokazuje mi policyjny identyfikator, przypominając: – Jak informowałam, chcę porozmawiać z twoimi rodzicami. Mogę wejść? – Po tym pytaniu wchodzi do domu, nie czekając na odpowiedź, i rozgląda się dookoła.

– Panie Burgess, pani Burgess! Chce się z wami spotkać policjantka! – wołam, starając się zachować obojętny ton.

Mija długa chwila i wciąż żadnego z nich nie widać.

– To wielki dom. Może powinnaś krzyknąć trochę głośniejsze? – sugeruje policjantka.

– Państwo Burgess, w holu czeka na was policjantka! – krzyczę.
Wchodzą do holu z kuchni. Mama uśmiecha się blado i mówi:
– Dzień dobry, pani oficer. Czym możemy służyć?
– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałabym najpierw zamienić parę słów na osobności z państwa córką, a następnie porozmawiać z panią i pani mężem. Po prostu muszę wyjaśnić pewną sprawę – proponuje policjantka.
– Renee nie jest naszą córką – odpowiada jej szybko tata. – To przyjaciółka rodziny. Można powiedzieć, że nieoficjalnie wzięliśmy ją na wychowanie.
– Czy to prawda? – pyta mnie policjantka.
Na potwierdzenie zbyt energicznie kiwam głową.
– Jest jakiś problem, pani oficer? – odzywa się mama, rasowa prawniczka.
– Chodzi o ustalenie tożsamości tej młodej damy – odpowiada policjantka. – Jak powiedziałam, chcę najpierw zamienić z nią parę słów. Czy możemy udać się gdzieś tylko we dwie?
Dostrzegam na twarzy mamy panikę, ale maskuje ją uśmiechem, wskazując nam gestem dłoni drzwi do kuchni.
– Oczywiście – zaprasza policjantkę i zwraca się do mnie: – Renee, podaj pani oficer coś do picia.
Gdy policjantka rusza do kuchni, mama rzuca mi gniewne spojrzenie, jakby mówiła: „Po prostu przedstaw jej swoją opowieść”.
Wyjmuję z lodówki mrożoną herbatę, nalewam nam obu, siadam przy stole naprzeciwko policjantki i zaczynam się bawić swoją szklanką.
– A więc powiedz mi wszystko o sobie, młoda damo – zwraca się do mnie ciepłym tonem funkcjonariuszka.
– Dobrze. Nazywam się Renee Wodehouse. Niedługo skończę siedemnaście lat. Urodziłam się w San Diego w Kalifornii – recytuję.
– Nie podróżowałam zbyt dużo po kraju, lecz jestem pewna, że nie masz kalifornijskiego akcentu – komentuje z przelotnym uśmiechem.
– Zgadza się. Wszyscy tak mówią – potwierdzam, wznosząc ramionami, i zaczynam opowieść, którą znam na pamięć. – Często przenosiłam się z miejsca na miejsce. Mój akcent rzeczywiście jest dziwny. Widzi pani, od jedenastego roku życia wychowywałam się w rodzinie zastępczej... Moja mama była trochę stuknięta. Poznałam państwa Burgess podczas zbiórki pieniędzy na pomoc opuszczonym rodzinom z problemami. Byli uroczy... Szybko się polubiliśmy. Przeżywali wtedy trudne chwile, gdyż ich córka Lucy zmarła na raka. Jakiś czas po jej śmierci zaproponowali mi, żebym u nich zamieszkała.
– To miło z ich strony – mówi policjantka, wypija łyk herbaty i pyta: – Jesteś tu szczęśliwa? – Przez cały czas obserwuje moją twarz.
– Jasne. A kto by nie był? To wspaniali ludzie – potwierdzam, kurczowo zaciskając palce na szklance.
– Dobrze wiedzieć. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zobaczyć dokument potwierdzający twoją tożsamość – kończy przesłuchanie.
Wówczas do kuchni energicznie wchodzi rodzice, jakby przez cały czas stali pod drzwiami, i mama wręcza policjantce mój paszport.
– Zapewne chodzi pani o ten dokument – mówi.
Policjantka ogląda go dokładnie.
– Dziękuję pani, nie budzi zastrzeżeń – oświadcza po chwili i nieoczekiwanie pyta mnie:
– Renee, farbujesz włosy?

Patrzę na nią zdziwiona. Z trudem powstrzymuję się przed dotknięciem peruki. Czyżby zauważyła, że to nie są moje naturalne włosy? – zadaję sobie w myślach pytanie. A może zastanawia się, dlaczego przy ciemnych brwiach i rzęsach mam jasny kolor włosów. Co, u licha, powinnam jej odpowiedzieć?

– Owszem, lubię eksperymentować z kolorem włosów. Moje naturalne są ciemne, lecz uznałam, że w jasnych o rudawym odcieniu będzie mi do twarzy – odpowiadam i nagle zaczynają mi drżeć usta.

– Zgadza się – potwierdza policjantka, zapisuje coś w notatniku i znowu pyta: – Jeśli pozwolisz, chciałabym jeszcze wiedzieć, czy nosisz barwne szkła kontaktowe.

– Nie... nie noszę – odpowiadam z wahaniem.

– Renee, pozwól pani oficer spojrzeć ci w oczy – podpowiada mi mama i zmuszając mnie do tego, mówi podniesionym głosem, bo jest zbyt zaniepokojona sytuacją, choć nie powinna się wtrącać do naszej rozmowy: – To oczywiście, że nie nosi kontaktów.

Policjantka patrzy mi w oczy i po chwili oznajmia:

– W porządku. Już daję państwu spokój. Cieszę się, że wszystko jest okej. Dziękuję za współpracę. Nie widzę potrzeby niepokojenia państwa ponownie.

Idzie do holu, a mama szybko otwiera jej drzwi frontowe i odprowadza ją do radiowozu. Gdy próbuję wyjść za nią na dwór, zamyka mi je przed nosem.

Cisną mi się na usta różne pytania. Domyślając się tego z mojej miny, tata kręci głową.

– Niech najpierw ta policjantka odjedzie – szepcze mi do ucha.

Czekając na mamę, krążę po holu.

– Chodź i dokończ kolację – proponuje w napięciu tata, głaszcząc Arthura, który usiadł na pierwszym stopniu schodów.

Ignoruję jego prośbę.

Po chwili rozlega się warkot silnika i radiowóz odjeżdża z naszej posesji. Jednak mama nie wchodzi od razu do holu, a gdy się zjawia, omal się nie przewraca, bo w butach na wysokich obcasach ślizga się na marmurowej posadzce. Jest biała i ma rozbiegane spojrzenie. Ale szybko odzyskuje panowanie nad sobą. Splata palce dłoni.

– Co ci powiedziała? – pytam niecierpliwie.

– Nic – odpowiada obojętnym tonem.

– Z pewnością nie – protestuję. – Byłaś z nią naprawdę długo.

– Po prostu wymienialiśmy uprzejmości. Powiedziałam jej, że jesteś wspaniałą dziewczyną. Chcemy przecież, by uważała, że wszystko jest w porządku, prawda? – odpowiada władcym tonem mama.

– I nie chcesz wiedzieć, dlaczego musiała sprawdzić moją tożsamość? – dziwię się.

– Oczywiście, że chcę, ale nie mogłam sprawiać wrażenia szczególnie tym zainteresowanej. Nie chcemy wzbudzać najmniejszych podejrzeń – tłumaczy mi.

Spoglądam z niepokojem na tatę i mówię:

– Ale to mogło mieć coś wspólnego z Amy. A może doktor Leo załatwił mi fałszywy paszport?

– To możliwe – odpowiada pogrążony w myślach tata.

– Nie ma sensu się tym martwić – oznajmia ostrym tonem mama. – Słyszeliście, co powiedziała policjantka. Była zadowolona, że wszystko jest w porządku. Bez względu na to, z *jakiego* powodu się tu zjawiała, nie stanowi on *już* problemu.

Nie rozumiem, jak mama może to ignorować. Funkcjonariuszka pytała mnie przecież o kolor włosów... i oczu. Najwyraźniej policja o czymś wie. Spoglądam uważnie na trupio bladą twarz mamy i pytam:

- Skoro to nic takiego, to dlaczego wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha?
 - Może dlatego, że musiałam okłamać przedstawicielkę władzy państwowej – warczy. –
- A teraz wracajmy do stołu, jak przystało na *prawdziwą* rodzinę, która je *prawdziwą* kolację.

ROZDZIAŁ 24

POD KONTROLĄ

Doktor Leo czeka na nas przy wejściu do kliniki. Gdy ja i mama wysiadamy z taksówki, podchodzi do nas, by się przywitać.

– Renee! Witaj ponownie – mówi ciepło.

Wprowadza nas do gabinetu i zaprasza do zajęcia miejsc.

– Czy pan wie, że wczoraj przyszła do nas do domu policjantka, by sprawdzić moją tożsamość? – zaczynam bez żadnych wstępów.

– Tak. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie w tej sprawie twoja mama. Uważamy, że nie ma się czego obawiać – odpowiada beztrąsko.

– Ale policjantka pytała mnie, czy noszę kolorowe soczewki... i czy farbuję włosy. Czy mogło to dotyczyć Amy? – nie ustępuję.

– Amy? – powtarza za mną zaskoczony.

– Tak, Amy – odpowiada mu mama. – W liście od jej rodziców do Renee, który pan uprzejmie nam przekazał, jest podane imię tej dziewczyny. Zawiera on kilka informacji na jej temat. Oczywiście nie podali swojego nazwiska, ale jesteśmy wdzięczni za to, że zwrócił się pan do nich, by napisali do Renee. Bardzo ją podniosło na duchu, gdy się dowiedziała czegoś więcej na temat dawczyni i stosunku jej rodziców do przekazania ciała do transplantacji.

– Powinam była podziękować panu za ten list – mówię przepraszająco. – Zachował się pan wspaniale, naprawdę. – Uśmiecham się do niego, jednak on wpatruje się w mamę, wyraźnie rozzłoszczony. Spoglądam więc zdezorientowana to na niego, to na nią, w końcu zwracam się do niego, chcąc przyciągnąć jego uwagę: – Doktorze Leo?

Patrzy na mnie zimno i odpowiada:

– W porządku, Renee. W tym wypadku byłem gotowy odstąpić od przyjętych reguł postępowania i cieszę się, że to pomogło.

– Czy więc wizyta policjantki mogła mieć związek z Amy? – pytam ponownie.

– Nie – oznajmia dobitnym tonem. – Tylko jej rodzice wiedzą o tym, że została dawczynią ciała, a oni przecież nie chcieliby angażować w tę sprawę policji, nieprawdaż? Dostałaś od nich list. Wiesz, że ofiarowanie ciała córki do przeszczepu było dla nich pozytywnym doświadczeniem.

– Wobec tego ta wizyta musiała dotyczyć mojej fałszywej tożsamości, czyli Renee Wodehouse. Ktoś mógł powiadomić policję, że pojawił się ktoś taki – drążę temat.

– Ale jak to możliwe, skoro nikt poza nami nic o tej fałszywej tożsamości nie wie? – pyta mama, jakby rozmawiała z idiotką.

Nagle uderza mnie pewna myśl i odpowiadam jej pytaniem:

– A co, jeśli ktoś, kto mnie nie lubi, zasugerował policji sprawdzenie mojego dokumentu tożsamości, żeby przysporzyć nam kłopotów?

– Kto niby mógłby to zrobić? – pyta sceptycznie mama.

– Babcia... Mak... A może zrobiły to razem? – mówię z goryczą. – Byłyby uszczęśliwione, gdyby znalazły jakąś niekorzystną informację na mój temat i w ten sposób zmusiły cię do pozbycia się mnie z twojego życia.

Mama milczy, jakby ważyła w myślach moje słowa. Po chwili odpowiada:

– Posłuchaj, nie wierzę, by któraś z nich to zrobiła. A jeśli nawet, to ich plan się nie powiódł, więc przestań się tym martwić.

– Zgadzam się z twoją mamą. Policja nie ma powodu, by cokolwiek podejrzewać. Musimy się skupić na tym, co ważne, czyli na twoim samopoczuciu i zdrowiu – mówi doktor Leo. Siedzi na krawędzi biurka, przeciera ściereczką okulary i je zakłada, a ja się zastanawiam, czy nadal trzyma w dolnej szufladzie pistolet, co rozstraja mnie nerwowo. Po chwili dodaje: – Zanim omówimy wyniki twoich ostatnich badań, chciałbym cię uspokoić w sprawie okresu. – Wzdrygam się i siadam głębiej na krześle, a on oznajmia: – Wiem od twojej mamy, w jaką rozpacz wprawiała cię pierwsza miesiączka. Chcę cię więc zapewnić, że pojawienie się jej u ciebie należy świętować, a nie obawiać się tego. Pokazuje to, że współpraca twojego mózgu z ciałem dawczyni przebiega bardzo harmonijnie. Oznacza wielki postęp w funkcjonowaniu organizmu. – Uśmiecha się do mnie szeroko, niezdolny ukryć zachwyty takim rozwojem sytuacji.

Jego postawa wprawia mnie w gniew, więc oświadczam z pretensją:

– Doktorze Leo, pan wie najlepiej, że skoro to ciało miesiączkuje, znaczy to, że jest płodne. Że mogę zajść w ciążę i urodzić dziecko.

Lekarz kiwa głową i odpowiada:

– Czy to nie jest niezwykle, jeśli rzeczywiście jesteś płodna? Masz możliwość urodzenia dziecka. Wiem, że obecnie jest to ostatnia rzecz, jakiej pragniesz, ale gdy przekroczysz dwudziestkę czy trzydziestkę, to kto wie?

– Żartuje pan? Ja nie chcę urodzić odmieńca – stwierdzam z niesmakiem.

– Nie powinnaś nazywać żadnego dziecka odmieńcem – zwraca mi szorstko uwagę mama.

– A kim ono będzie? Żadne dziecko, które powstałoby w tym ciele, nie byłoby moje, lecz Amy. Każde dziecko, które urodziłabym, wyglądałoby jak ona, chyba że z powodu tego, co mi zrobiliście, byłoby potwornie zdeformowane – ripostuję.

– Absolutnie nie ma powodu, by uważać, że twoje dziecko będzie zdeformowane – odpowiada mi kategorycznym tonem lekarz.

– Ale bawił się pan naturą i mną i stworzył coś nienaturalnego, niesprawdzonego. Nie wie pan, jakie będą tego konsekwencje. To nie może być moje dziecko, skoro będzie miało naturę Amy, jej DNA. Nie będzie miało nic ze mnie. Kim byłabym dla niego? Nie byłabym jego matką... ani nawet surogatką – mówię napiętym z powodu stresu tonem.

– Rozumiem, że czujesz się dezorientowana, lecz nie masz racji – oświadcza z naciskiem lekarz. – Uznałbym każde dziecko, które urodziłabyś, za w stu procentach twoje. Byłabyś w stanie je wychować i ukształtować jak każda inna matka. To, jak je uformujesz, jakie stworzysz mu warunki i możliwości rozwoju, będzie miało na nie większy wpływ niż DNA.

Nie mogę znieść myśli o tym. Nie chcę go dalej słuchać.

– Nie! – krzyczę. – Nie byłoby w porządku urodzenie takiego dziecka. Będę pierwszym i ostatnim odmieńcem!

– Sądzę, że za jakiś czas zaczniesz myśleć inaczej – odpowiada mi łagodnym tonem.

Krzyżuję ręce na piersiach i oświadczam:

– Proszę posłuchać, panie doktorze. Paranoicznie boję się tego wszystkiego. Jednak nie ma sensu o tym rozmawiać, bo nigdy się to nie zdarzy. Zaczniemy od tego, że nigdy nie będę miała chłopaka! Kto chciałby ze mną być... uprawiać seks, gdyby się dowiedział o transplantacji? – Ogarnia mnie taki smutek, że smętnie zwieszam głowę. Miałam tyle powodów do stresu, że dotychczas nie było w moim życiu miejsca na chłopaka.

Doktor Leo pochyla się i głęboko zagląda mi w oczy.

– Rozwiązanie tego problemu jest proste: nie mówić nikomu o transplantacji, tak jak ci nakazaliśmy. Nie wolno ci tego zrobić. Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć – przestrzega mnie.

– A więc każdy związek z mężczyzną, jaki mogłabym mieć, musi być oparty na kłamstwie dotyczącym tego, kim... czym jestem? – protestuję.

– W każdym związku są jakieś sekrety i ten musi być twój – oznajmia mama i bierze mnie za rękę. – Nie będzie to znaczyło, że twój partner cię dobrze nie pozna i nie będzie naprawdę cię kochał. Po prostu będziesz siebie chronić przed najgorszym i obojgu wam będzie się żyło łatwiej.

Odsuwam się i patrzę na nią z gniewem, ponieważ zawsze przedstawia to, co złe, jako akceptowalne. Ale jak może mieć rację? Podłością byłoby zrobić komuś coś takiego. Jednak skoro to jedyny sposób, żebym zdobyła miłość, to czy w ogóle potrafiłabym funkcjonować w takim związku? Żyłabym w kłamstwie, lecz gdy trwa się w nim dostatecznie długo, z pewnością w końcu uznaje się je za prawdę.

– Posłuchaj, Renee, nie musisz się zadręczać swoimi miesiączkami i płodnością. Jeśli za jakiś czas rozpoczniesz życie seksualne, to zapewnimy ci najbardziej skuteczny rodzaj antykoncepcji – uspokaja mnie lekarz, a ja nerwowo wiercę się na krześle. – Nie musisz mieć dziecka. Rozumiesz? Nie ma potrzeby, żebyś w ogóle myślała o ciąży i jej skutkach.

Nieoczekiwanie ten jego wywód przynosi mi sulgę. Wiem, że doktor Leo ma rację. Po prostu tak mnie przeraziła myśl, że mogę urodzić dziecko Amy, że zaczęłam wariować, straciłam dystans do całej sprawy. Dlaczego tego rodzaju myśl miałyby niszczyć moje nowe życie, skoro ciąża w ogóle nie musi być problemem?

Podskakuję na dźwięk dzwonek komórki lekarza.

– Proszę wybaczyć – zwraca się przepaszająco do mamy i do mnie, a następnie mówi do słuchawki: – Witam... Tak. Wytlumacz jej to. Zaraz tam przyjdę. – Kończy rozmowę i pyta mnie: – A więc... jak uważasz, Renee? Rozumiesz, dlaczego nie musisz się tym wszystkim martwić? – Uśmiecha się uspokajająco.

– Być może – odpowiadam i opanowana kiwam głową.

Mama z ulgą gładzi mnie po ręce i mówi:

– Grzeczna dziewczyna. Wiedziałaś, że doktor Radnor pomoże ci dostrzec w tym sens.

Lekarz zbiera się do wyjścia.

– Omówimy wyniki badań Renee po krótkiej przerwie, dobrze? – proponuje. – Pani Burgess, może chciałaby pani pójść do naszej stołówki po jakieś przekąski dla siebie i Renee? A ty, Renee, wyglądasz tak, że przydałby ci się łyk świeżego powietrza. Może wyjdiesz na parę minut do naszego ogrodu?

Ma rację. Musi mi się rozjaśnić w głowie. Dziękuję mu i idę do otoczonego murem pustynnego ogrodu. Siadam na ławce, zamykam oczy, chroniąc je przed ostrym słońcem, i wsłuchuję się w szum wody w fontannie. Nagle odnoszę wrażenie, że jestem przez kogoś obserwowana. Otwieram oczy i rozglądam się dookoła. W panoramicznym oknie dostrzegam patrzących na mnie doktora Leo i jakąś starą kobietę wspartą na balkoniku. Nikt nawet nie powinien zakładać, że jestem teraz w tej klinice. Zastanawiam się, co to za kobieta i dlaczego tak mi się przygląda. Impulsywnie wbiegam do środka, by skonfrontować się z nią i doktorem.

– Renee! – mówi na mój widok lekarz, jakby dręczyło go wobec mnie poczucie winy.

– Kto to jest? – pytam go, wskazując podbródkiem zgarbioną kobietę.

Jej skóra jest rozciągnięta, jakby zbyt wiele razy miała robiony lifting twarzy, usta ma zatrwająco zaokrąglone, a oczy zbyt szeroko otwarte, jakby ciało wokół nich zostało przypięte szpilkami. Uśmiecha się, ukazując perfekcyjne zęby. Pożera mnie wzrokiem.

– Witaj, moja droga – mówi i podaje mi pomarszczoną rękę. – Czuję się zaszczycona, że mogę cię poznać. Widziałam cię na wideo, ale to nie to samo, co na żywo.

– Słucham? – pytam z niedowierzaniem. Czyżby doktor Leo zaprosił ją tu po to, by się na

mnie gapiła, jak ktoś zwiedzający gabinet osobliwości?

– Ta pani jest moim gościem – odpowiada lekarz. – Właśnie wychodziła.

Próbuje ją stąd wyprowadzić, ale ona dotyka mojej twarzy i widać, że jest pod wrażeniem.

– Doktor Radnor powiedział mi, że poczyniłaś niesamowite postępy. To niezwykle, że zaczął ci się cykl menstruacyjny – oznajmia.

Gwałtownie wciągam powietrze do płuc, przerażona jej bezpośredniością.

– To moja sprawa. Myślałam, że to informacje poufne – wykrztuszam słowa, spoglądając na lekarza z wyrzutem.

– Przepraszam. Nie chciałam ci sprawić przykrości – tłumaczy się kobieta, najwyraźniej zdenerwowana moją reakcją. – Spotkanie z tobą jest dla mnie po prostu fascynujące. Jeśli będę miała takie jak ty szczęście do dawczyni, to urodzę dziecko. Zawsze tego pragnęłam.

Otwieram usta ze zdziwienia. Ta stara kobieta będzie miała transplantację i... chce urodzić dziecko?

– Miło było cię spotkać, Elizabeth, ale muszę już iść – mówi doktor Leo, ruszając z nią korytarzem i wołając do mnie: – Zaczekaj tu chwilę!

Gdy do mnie wraca, wciąż stoję osłupiała w tym samym miejscu.

– Renee, przepraszam cię za tę sytuację. Elizabeth dała się ponieść emocjom. Nie miałyście się spotkać – tłumaczy się.

– Zamierza pan dać *jej* nowe ciało? – pytam wzburzona.

– Być może – odpowiada zdawkowo.

– Ale po co? Jest stara! – krzyczę zdegustowana.

– Właśnie dlatego chce mieć nowe – odpowiada logicznie. – Jej ciało nie będzie już zbyt długo funkcjonować.

– A ja myślałam, że celem transplantacji jest ratowanie życia młodym ludziom – stwierdzam zawiedziona. – Co z tymi wszystkimi nastolatkami, których teczki z dokumentacją medyczną pan przechowuje? Dlaczego proponuje pan operację bogatej starej kobiecie, kiedy są do uratowania dzieciaki? – Na myśl o tym, że może mu chodzić tylko o pieniądze, robi mi się niedobrze.

– Te nastolatki traktuję priorytetowo, jednak Elizabeth ma jeszcze dużo do zaoferowania światu. Pomyśl, ile będzie mogła osiągnąć, jeśli dostanie drugie życie – przekonuje.

– Ale to te dzieciaki potrzebują dawców, a nie kobieta, która już przecież przeżyła swoje życie. Będzie panu raczej trudno znaleźć takich ludzi jak rodzice Amy, którzy ofiarują ciało swojego dziecka dla Elizabeth. Gdyby rodzina dawczyni wiedziała, że ciało ich ukochanej córki ma otrzymać osiemdziesięcioletnia staruszka, nie chciałyby go panu oddać! – argumentuję zawzięcie, coraz bardziej podnosząc głos.

– Posłuchaj, Renee... Kim ty jesteś, aby oceniać, którzy ludzie *zasługują* na transplantację, a którzy nie? Elizabeth zgłosiła się do mnie po pomoc i jeśli będę mógł, to jej pomogę – oświadcza lekarz stanowczym tonem.

– Jasne. I zapłaci panu miliony dolarów za tę „pomoc” – odpowiadam zjadliwie.

– Tak jak zrobili twoi rodzice – oświadcza prowokacyjnie. – Wielka szkoda, że obecnie mogę zapewnić taką operację tylko nielicznym uprzywilejowanym, takim jak ty. Ale wierzę, że kiedyś będzie inaczej.

Tracę argumenty i czerwienię się ze wstydu. Doktor Leo ma rację. Gdybym nie miała takich bogatych rodziców, już od wielu miesięcy bym nie żyła. Było ich stać na kupienie mi nowego życia. A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy nie mogą sobie pozwolić na to, by oszukać śmierć?

– Renee – mówi i kładzie mi rękę na ramieniu, przejmując nade mną kontrolę. – Chyba zgodzisz się ze mną, że nie ma potrzeby kontynuowania tej rozmowy? Wróćmy do gabinetu i porozmawiajmy z twoją mamą o wynikach badań.

Doktor Leo przegląda papiery, a ja i mama siedzimy naprzeciwko niego w napięciu. Powiem jej o staruszce później, gdy będziemy same, bo chcę wiedzieć, co myśli na temat jej operacji, nie słysząc argumentów wytoczonych przez lekarza.

– Miałem czas na ocenę wyników wszystkich badań i z zadowoleniem stwierdzam, że większość sytuacji się znacznie powyżej przeciętnej – informuje nas po chwili. – Bardzo się cieszę z twoich postępów, Renee. Niemniej są też pewne problemy. Oczywiście uczulenie na sierść zwierząt jest niepomysłne, ale możesz mieć z nimi kontakt dzięki zażywaniu leków antyhistaminowych.

– Owszem, tyle że one nie chcą mieć ze mną żadnych kontaktów, bo się mnie boją – ripostuję.

– Absolutnie w to nie wierzę – oświadcza lekceważąco doktor Leo. – Zwierzęta reagują na twój niepokój. Jeśli nauczysz się być w kontaktach z nimi bardziej odprężona, przekonasz się, że potrafią zachowywać się wobec ciebie inaczej.

Przewracam oczami, gdyż uważam, że on nie chce poznać prawdy.

– A co z drżeniem rąk? – pyta z niecierpliwością mama.

– No cóż – odpowiada łagodnie. – W tej sprawie nie mam zbyt dobrych wiadomości.

O Boże, znam ten ton. Mówili nim lekarze, gdy informowali mnie, że rak dał przerzuty. Co mi powie doktor Leo?

– Odkryłem, że drżenie rąk ma, jak się wydaje, podłoże neurologiczne – wyjaśnia. – Poziom dopaminy w korze ruchowej mózgu Renee jest niski, co zaburza neuroprzewodność.

Co? Myślałam, że wywołuje je u mnie Amy, pokazując mi w ten sposób, że nadal w pewnym zakresie sprawuje nade mną kontrolę. Tymczasem on twierdzi, że mają podłoże neurologiczne, że wywołuje je mój mózg... Nie mogę w to uwierzyć.

– Co dokładnie ma pan na myśli? – Zaczynam się bać.

– Objasniając to laikowi, można powiedzieć, że mózg nie wysyła do rąk prawidłowych sygnałów, co skutkuje drżeniem – tłumaczy mi.

– Może pan to naprawić? – pytam z niepokojem.

– Będę szczerzy: przy braku właściwego podejścia drżenie rąk może się znacznie nasilić. Ma cechy stanu poważnego, który bez przyjmowania odpowiedniego leku będzie się pogarszał – przestrzega mnie.

– Nie! – krzyczy mama, gwałtownie wciągając powietrze.

Biorę ją za rękę, bo ze strachu skręcają się we mnie wnętrzności.

– Nie ma potrzeby wszczynać alarmu. Potrafię nad tym panować. Z chwilą gdy ustalę właściwy skład leku, drżenie rąk powinno ustać, umożliwiając ci życie osoby całkowicie zdrowej – oświadcza doktor Leo z wielką pewnością siebie i uśmiecha się krzepiąco.

– Czyli będzie można je kontrolować, ale nie da się go pozbyć? – pyta mama drżącym głosem.

– Właśnie tak – potwierdza lekarz. – Jednak proszę pamiętać, że miliony ludzi żyją z chorobami, które, jeśli są pod właściwą kontrolą, nie wpływają niekorzystnie na ich życie. Będę monitorował stan zdrowia Renee i w celu zapobiegania jego pogorszeniu zapewnię wam odpowiedni lek.

– A więc muszę zażywać to lekarstwo do końca życia? – pytam ponuro.

– Tak, bo jeśli nie będziesz, symptomy się nasilą i konsekwencje tego będą straszne. Ale powiedziałbym, że zażywanie leków do końca życia jest niewielką niedogodnością, biorąc pod

uwagę to, jak wielkim sukcesem okazała się transplantacja – oznajmia zadowolony.

Mama obejmuje mnie mocno i stara się przekonać do słuszności takiego podejścia nas obie, mówiąc:

– Nie martw się, kochanie. Twój stan zdrowia znajdzie się pod kontrolą. Będziesz się dobrze czuła.

Niestety, nie uspokaja to moich obaw, więc zwracam się do doktora Leo:

– Ale załóżmy, że nie uda się panu dobrać odpowiednich leków, że mój stan się pogorszy...

– Nie dopuszczę do tego – zapewnia. – Po prostu mi zaufaj, Renee. Twoje zdrowie jest dla mnie najważniejsze.

ROZDZIAŁ 25

KUKUŁCZE PISKLE

Na moje życzenie tata odwozi mnie dziś wcześniej do szkoły. Jestem z nim sama po raz pierwszy od powrotu z kliniki. Podtrzymuje mnie na duchu, mówiąc, że nie powinnam się martwić drżeniem rąk, gdyż doktor Radnor będzie nad tym panował. Zapewne nie pozostaje mi nic innego, jak wierzyć w zapewnienia lekarza. Ale w klinice wydarzyło się jeszcze coś, o czym nie mogę przestać myśleć. Staram się nie wpaść w paranoję, jednak nie daje mi spokoju to, jak doktor Leo wydawał się dezorientowany, gdy wymieniłam imię Amy. I w jaki sposób spojrział wtedy na mamę – jakby był na nią *wściekły*. Co więc złego zrobiła? Poza tym oboje próbowali mnie przekonać, że nie ma powodu martwić się wizytą policjantki. Tymczasem to na pewno Mak lub babcia zgłosiły na policję potrzebę sprawdzenia mojego dokumentu tożsamości.

Po raz ostatni widziałam Mak w czasie aukcji na cele dobroczynne, kiedy w toalecie pomogła mi doprowadzić się do porządku po tym, jak niespodziewanie dostałam okres. Jest więc dla mnie szczególnie przykre podejrzenie, że za wizytą funkcjonariuszki w naszym domu kryje się powodowana nienawiścią do mnie moja przyjaciółka. Z tego powodu jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, by dziś się z nią skonfrontować.

Gdy zbliżamy się do szkolnego parkingu, opowiadam tacie o jeszcze jednym incydencie z kliniki, który nie daje mi spokoju – spotkaniu z Elizabeth. Próbowałam rozmawiać o tym z mamą. Oświadczyła, że to nie nasza sprawa, kogo doktor Radnor decyduje się operować.

– Czy uważasz tak samo jak ja, tato? – pytam. – Doktor Leo powiedział, że nie powinnam zbyt łatwo oceniać takiej sytuacji, ale to nie jest słuszne podejście. Tego rodzaju operacje powinny być przeprowadzane tylko u młodych ludzi, w celu ratowania im życia. – Jestem o tym przekonana.

– Owszem – potwierdza z powagą, a ja czuję ulgę, choć byłam pewna, że się ze mną zgodzi.

– Tak czy inaczej przypuszczam, że Elizabeth nie doczeka się transplantacji, gdyż żadna rodzina nie odda ciała na przeszczep dla starej osoby, prawda? – mówię, a widząc, że tata pobladł, pytam wzburzona: – O co chodzi, tato? Sądzisz, że doktor Leo nie powie o tym rodzinie? Że oświadczy, że ciało jest potrzebne dla dziecka?

– Nie wiem – mruczy tata pod nosem. – Miłego dnia w szkole! I nie przejmuj się Radnorem.

– Masz dziś wolny wieczór? Może pójdziemy do kina? – pytam z nadzieją.

– Przykro mi, Renee, ale wyjeżdżam na kilka dni w interesach – odpowiada ku mojemu rozczarowaniu.

– Właśnie wróciłam z kliniki – protestuję. – Nie chcesz spędzić ze mną trochę czasu?

– Bardzo chcę. Niestety, to musi być inny dzień – zapewnia mnie, jednak jego odmowa działa na mnie zabójczo.

– Prawie na mnie nie patrzysz – stwierdzam ze smutkiem. – Uważasz mnie za odmienca, prawda? – Po tych słowach wstrzymuję oddech, czekając na jego odpowiedź.

– Nie, oczywiście, że nie! Kocham cię – mówi łamiącym się głosem. – Chodzi po prostu o to... Chodzi o to, że ilekroć na ciebie patrzę, czuję się zawstydzony z powodu cięgłych przykrości i stresujących sytuacji, na jakie cię narażamy...

– A ja myślałam, że to z mojego powodu... Że *nie potrafisz* mnie kochać, bo jestem taka, a nie inna – wyznaję z ulgą i wzruszeniem.

– Nie wolno ci tak myśleć – oświadcza z bolesnym grymasem twarzy.

– To proszę, zacznij znowu być moim tatą. Powiedziałeś kiedyś, że zawsze nim będziesz, więc zacznij chodzić ze mną do kina, wybierzmy się na koncert Springsteena... Po prostu przestań przede mną uciekać, lecz *bądź* ze mną.

Kiwa głową, powstrzymując łzy.

Całuję go w policzek i wysiadam z samochodu, czując się silniejszą i będąc przekonaną, że odzyskałam tatę.

Zatrzymuję się przy kamiennych schodach prowadzących do bramy Bailey Heights. Po chwili widzę idącą ze spuszczoną głową przez parking Mak.

– Cześć, Makaylo! – witam ją radośnie i dołączam do niej, gdy wchodzi na schody.

– Cześć – bąka pod nosem i spogląda na mnie z ukosa.

– Chciałabym ci podziękować za pomoc, jakiej mi udzieliłaś podczas zbiórki pieniędzy w ubiegłym tygodniu. Przepraszam, jeśli byłam trochę...

– Dziwna? – sugeruje Mak.

– Zestresowana – poprawiam ją.

– Z pewnością. Rozumiem – potwierdza, wzruszając ramionami.

– Przyniosłam ci tę dżinsową kurtkę, którą znalazłam w garderobie Lucy. Wiem, że chciałaś ją odzyskać – mówię, wyjmując ciuch z plecaka.

– Dzięki – odpowiada z półśmiechem, ale idzie dalej.

– Poczekaj, Mak! – wołam za nią.

– Mówiłam ci, żebyś nie zwracała się do mnie w ten sposób – przypomina mi.

– Sorki. To dlatego, że chciałam cię o coś spytać – oznajmiam, wpatrując się w nią.

Wykrzywia usta zniecierpliwiona i mówi:

– O co chodzi?

– Czy wiesz coś o tym, że niedawno w domu państwa Burgess zjawiała się policjantka i zażądała dokumentu poświadczającego moją tożsamość? – pytam, obserwując jej twarz w poszukiwaniu oznak poczucia winy, lecz dostrzegam tylko autentyczne zdziwienie.

– Nie – odpowiada i zaintrygowana pyta: – A co się stało?

– Nic. Pokazałam jej dokument i poszła sobie – odpowiadam zimnym tonem.

– To dlaczego pomyślałaś, że ma to coś wspólnego ze mną? – pyta z gniewem.

Czuję się zakłopotana. Nie powinnam była jej podejrzewać.

– Bez powodu. Przepraszam, że cię o to spytałam. Posłuchaj, Makaylo... Wiem, że mnie nie lubisz, ale może dałabyś mi szansę? Gdybyś mnie poznała, pewnie mogłybyśmy się zaprzyjaźnić... naprawdę zaprzyjaźnić – mówię pospiesznie.

Mak wzdryga się i oświadcza z pogardą:

– Nie wiem, w co pogrywasz, ale nigdy się z tobą nie zaprzyjaźnię. Jesteś kukułczym pisklęciem!

– Co przez to rozumiesz? – pytam.

Opiera ręce na biodrach i wyrzuca mi:

– To, co *powiedziałam*: jesteś kukułczym pisklęciem, kupując sobie komfort, w jakim żyła Lucy, i przywłaszczając sobie jej pokój, rzeczy oraz rodziców. Każesz jej mamie i tacie obsypywać cię różnościami i traktować jak *córkę*. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze! – Po czym odchodzi.

Czuję, jak zaczynają mi drżeć usta. Nie wiem, jak kiedykolwiek mogłabym sprawić, by polubiła „Renee”. I mam już dość tego ciągłego odrzucania mnie przez nią i jej gniewu. Zaczynam uważać, że będzie lepiej dla nas obu, jeśli przestanę zabiegać o jej przyjaźń. Próbuję więc pozbyć się jej z moich myśli. Po prostu nie mogę tak stać i użalać się nad sobą. Muszę się

skupić. Lekcje zaczynają się dopiero za piętnaście minut.

Idę do pracowni komputerowej. Jest tam mnóstwo uczniów ostatniej klasy odrabiających zadania domowe. Siadam w kącie przed wolnym komputerem i się loguję. Wiem, co chcę sprawdzić, choć jest to strzał w ciemno. Wpisuję do wyszukiwarki różne kombinacje słów: „Amy”, „szesnaście”, „Ameryka”, „tętniak mózgu”, „Mike”, „Hazel”. Nie jestem zaskoczona, gdy w wynikach wyszukiwania nie otrzymuję żadnej użytecznej informacji. Po prostu nie ma wystarczającej liczby danych: ani nazwiska, ani miejscowości. Zerkam przez ramię, czy nikt mnie nie podgląda, i dopisuję dwa słowa: „transplantacja ciała”. Nie pojawia się nic na temat Amy, na co zresztą byłam przygotowana. Pomijając wszystko inne, doktor Leo na pewno zadbał, by po takiej operacji nie pozostał żaden dokument. Linki prowadzą głównie do artykułów o „nieuczciwych” uczonych twierdzących, że za kilka lat przeszczep ciała będzie możliwy. Chyba wszystkie kończą się komentarzami innych uczonych odrzucających te twierdzenia jako „fantastykę naukową”. To dla mnie smutne przypomnienie, że gdyby ktoś odkrył prawdę na mój temat, stałabym się słynną na cały świat osobliwością. Ale dziwne w tych wszystkich artykułach jest to, że w żadnym nie ma nawet wzmianki o doktorze Radnorze, choć od lat bada on możliwość dokonywania tego rodzaju transplantacji i eksperymentalnie je przeprowadza.

Zdezorientowana wydymam policzki. Jestem ciekawa, czego z Internetu można się dowiedzieć na temat doktora Leonarda Radnora. Wpisuję więc jego imię i nazwisko i wciskam enter. Jestem podekscytowana widokiem linków do artykułów. Klikam je kolejno. Czytam, że jest wybitnie uzdolniony, dzięki czemu ukończył szkołę średnią w trybie przyspieszonym. Dowiaduję się też, że na studiach medycznych był najlepszym studentem na roku, a później otrzymał liczne nagrody w dziedzinie neurochirurgii. Mam dostęp do jego publikacji na temat badań nad komórkami macierzystymi i mogę obejrzeć na wideo wystąpienia na konferencjach naukowych poświęconych uszkodzeniom mózgu. W jednym z artykułów wymienia się nawet jego klinikę w El Paso, gdzie, jak piszą, wykonuje większość operacji neurochirurgicznych. Jest też wzmianka o granicy, który otrzymał na założenie kliniki w Yorkshire w Wielkiej Brytanii w celu prowadzenia badań nad tym, jak stan zdrowotny nastolatków wpływa na ich rozwój neurologiczny. Jeśli chodzi o jego życie osobiste, to dowiaduję się, że jest rozwiedziony i bezdzietny, a w czasie wolnym uprawia triathlon. Ale w Internecie nie ma słowa o tym, czym zajmuje się *naprawdę*, żadnej wzmianki o badaniach w dziedzinie transplantacji ciała, o nieudanych próbach dokonania tego rodzaju przeszczepu i oczywiście o odniesionym sukcesie.

Moją uwagę przykuwa pewien artykuł sprzed sześciu lat. Jest to krótki raport, który łatwo przeoczyć w obszernym czasopiśmie naukowym. Informuje on, że komisja dyscyplinarna oczyściła doktora Radnora z zarzutu nieetycznego zachowania. Zarzut taki zgłosiły pielęgniarki, twierdząc, że bezprawnie wywierał presję na rodziców chłopaka, który zmarł z powodu tętniaka mózgu, aby oddali jego ciało na badania naukowe. Komisja orzekła, że „wprawdzie doktor Radnor był w namawianiu rodziców nadgorliwy, ale działał w granicach dopuszczalnych przez etykę, choć w przyszłości powinien postępować w sposób łagodniejszy i odznaczający się większą wrażliwością”.

Po tej lekturze opieram się na krześle i analizuję zachowanie doktora Radnora. Zastanawiam się, czy tak właśnie stało się w przypadku Amy. Czy za pomocą presji zmusił rodziców tej dziewczyny do oddania jej ciała? Zaczyna mnie boleć głowa, więc masuję skronie, kiedy rozlega się dzwonek. Wszyscy wstają i wychodzą z pracowni. Ja też muszę pójść do klasy. „Oceniaj uczciwie, Lucy – mówię do siebie. – Nie wyciągaj pochopnych wniosków”. Żadna z tych informacji nie dowodzi, że doktor Leo nie jest tym, za kogo go uważam: wybitnie utalentowanym chirurgiem, który postanowił złamać obowiązujące zasady, aby uratować mi życie.

Dzięki Laurze i pozostałym cheerleaderkom udaje mi się jakoś przebrnąć przez lekcje. W czasie lunchu ćwiczymy w sali gimnastycznej, nie mam więc czasu rozmyślać o Mak i doktorze Leo.

Gdy dzwoni ostatni dzwonek, Laura bierze mnie pod rękę i całą grupą opuszczamy Bailey Heights, a następnie każda udaje się do domu.

– Urządzasz przyjęcie urodzinowe? – pyta mnie, gdy idziemy do bramy.

Wzruszam ramionami. Żałuję, że im powiedziałam o moich zbliżających się urodzinach.

– Ojej, Renee. Możesz mieć najlepsze przyjęcie, jakie zostało wydane w domu państwa Burgess – zachęca mnie Tanya, dając mi kuksańca.

– Stałabyś się legendą! – oznajmia Ruby. – Mogłabyś wynająć tego didżeja, który gra w najgorętszych klubach w Teksasie. A ja mogłabym ci pomóc ułożyć listę gości. Byłoby super, Renee! – Tańczy przede mną.

– Hej, poczekajcie. Jeszcze nie poprosiłam o to pani Burgess – studzę ich zapał.

– Ona jest spoko. Też będzie miała na to ochotę. Myślę, że da ci wszystko, o co poprosisz – stwierdza Tanya, unosząc brwi.

– Dlaczego tak uważasz? – pytam zakłopotana.

– Widziałam przecież, jak cię traktuje: jak córkę. Zrobiłaby dla ciebie wszystko – podtrzymuje swoje zdanie Tanya.

Czuję, że się czerwienię. Ciekawe, ile jeszcze osób tak myśli? – zastanawiam się.

Uczniowie tłoczą się w szkolnej bramie. Gdy przechodzimy przez nią wraz z innymi, miga mi przed oczami stojący na trawniku wysoki, postawny chłopak o gęstych czarnych włosach i piwnych oczach. Chyba zauważył mnie w tłumie. Na jego twarzy maluje się rozpacz, gdy woła w moim kierunku:

– Hayley! Hayley, zatrzymaj się!

Kiedy docieramy do chodnika, wykręcam szyję, chcąc zobaczyć tego chłopaka, ale gdzieś znikł. Jeśli nawet wciąż woła, to go nie słyszę. Czuję ucisk w dołku. Przystaję i zastanawiam się, kto to jest i czy rzeczywiście zwracał się do mnie. Uczniowie wpadają na mnie, klnąc pod nosem. Laura chwyta mnie za rękę i odciąga stamtąd.

– Co ty wyprawiasz, Renee? Chcesz, żeby cię stratowali? – mówi, popychając mnie do autobusu.

Gdy siadamy, koleżanki nadal planują moje przyjęcie urodzinowe, a ja milczę, zdenerwowana tym, co przed chwilą mi się przydarzyło. Ale zanim wysiadziemy na przystanku przy centrum handlowym, uznaję, że się pomyliłam. Nie jestem już nawet pewna, że ten chłopak w ogóle do mnie mówił. Mógł przecież wołać kogoś innego w tym tłumie. Muszę przestać tak paranoicznie reagować na wszystko i wszystkich. Jeśli nie zapanuję nad nerwami, to drżenie rąk się nasili.

ROZDZIAŁ 26

SOLENIZANTKA

Połykam tabletki i popijam je wodą. Ta mieszanka leków przepisanych mi przez doktora Leo jest bez dwóch zdań skuteczna. Jeśli tylko zażywam je co sześć godzin, drżenie rąk nie występuje. Czuję ogromną ulgę, nie musząc się nim stresować, zwłaszcza dziś. Nic nie zepsuje mojego przyjęcia. Zamierzam przyjemnie spędzić czas.

Spoglądając przez okno sypialni na stojące na podjeździe bmw w kolorze metalicznego błękitu, nie mogę powstrzymać radości. Gdy dziś rano mama wręczała mi kluczyki, było dla mnie jasne, że tata nie pochwała tego jej zakupu. Ale nic nie mówił, lecz starał się być pomocny.

Przeglądam się w lustrze toaletki. Zgodnie z zaleceniem Ruby zrobiłam się na wampa. Moja koleżanka uznała, że na to przyjęcie powinnyśmy obie mieć makijaż typu *smoky eyes*, sztuczne rzęsy, krwistoczerwone usta i odpowiednie do tego tipsy. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze, nie dopuszczając do siebie żadnych przykrych myśli. Czuję się seksowna, pewna siebie. Szczęśliwa.

– Dam radę – mówię i posyłam mojemu lustrzanemu odbiciu całusa.

Schodzę do ozdobionego balonami holu, gdzie zabiegana mama wydaje polecenia firmie cateringowej:

– Zanieście całe jedzenie do jadalni, a napoje postawcie na stole przy jacuzzi. Gdzie jest lód? Są nam potrzebne kubelki z lodem!

– Pani Burgess, proszę się tak nie denerwować! – wołam do niej.

Na mój widok jej twarz się rozjaśnia.

– Pięknie wyglądasz, młoda damo! – chwali mnie.

– Dziękuję, ale czy mogłaby pani przestać stresować się tym przyjęciem? – proszę ją, uśmiechając się z wdzięcznością, bo miło jest widzieć mamę podekscytowaną z mojego powodu.

– Lada chwila zaczną przybywać twoi goście, a nic nie jest gotowe – martwi się.

– Proszę posłuchać: jest tu basen, największy dmuchany zamek, jaki w życiu widziałam, i jeden z najbardziej superowych didżejów w Teksasie, więc nie sądzę, by ludzie zawracali sobie głowę lodem – próbuję ją uspokoić.

– Po prostu chcę, żeby na twoich urodzinach wszystko było bez zarzutu – odpowiada z naciskiem.

– To nie są moje urodziny, lecz Renee – mówię ściszym głosem.

– Owszem, lecz twoje prawdziwe siedemnaste urodziny także uczymy, ja, ty i tata – zapewnia mnie i tłumaczy: – Dzisiejsza uroczystość to wspaniała okazja do ugoszczenia wszystkich twoich nowych przyjaciół. – Po tych słowach ściska mnie serdecznie.

Z kuchni wychodzi tata, trzymając w dłoni drinka, a za nim drepcze Arthur.

– Cześć, Arthur! – witam psa i pochylam się nad nim, lecz na mój widok kuli się ze strachu za tatą.

– Lewis, może wyprowadzisz Arthura na spacer? Zabierzesz go z domu? – proponuje mama.

– Nie, zostanę na przyjęciu – oświadcza sztywno tata i pociąga ze szklaneczki łyk burbona.

– Nie ma potrzeby się denerwować – uspokaja go mama, poprawiając mu krawat. – Będzie wspaniale. Widziałeś już swoją córkę? Czy nie wygląda pięknie?

Zestresowany tata robi jej wyrzuty:

– Na litość boską, Gemmo, uważaj, co mówisz! Czy nie sądzisz, że nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi, zamiast prezentować Renee ludziom?

– Nie! Chcę, aby przeżyła radosne chwile – ripostuje mama.

– Ile osób zaprosiłaś? – pyta mnie tata.

– Hm... dużo? – odpowiadam niepewnie.

– Będzie Makayla? – dopytuje się.

– Nie uwzględniłam jej na liście gości – informuję go zgodnie z prawdą.

– Słucham? Nie uwzględniłaś swojej najlepszej przyjaciółki? – dziwi się.

– Próbowałam ją zaprosić, naprawdę, ale ona była najlepszą przyjaciółką *Lucy* – odpowiadam z naciskiem. – Mak nie chce znać Renee. Mówiąc szczerze, jestem już zmęczona jej ciągłym odtrącaniem mnie.

Prawda, że straciłam Mak, jest dla mnie bolesna, lecz w trosce o swoje zdrowie psychiczne muszę się z tym pogodzić i pielęgnować znajomość z nowymi koleżankami.

Tata ze smutkiem kręci głową.

– Doskonale cię *rozumiem*, kochanie – oznajmia mama. – Makayla nauczy się z tym żyć, tak jak ty. – Bierze mnie za rękę i dodaje: – Jestem z ciebie bardzo dumna. Wiem, że jest ci niewiarygodnie trudno, ale spójrz tylko, gdzie się obecnie znajdujesz. Dyrektorka szkoły mówi, że się świetnie zaaklimatyzowałaś. Jest zadowolona z twoich ocen i cieszy się, że wstąpiłaś do zespołu cheerleaderek. Uznała cię za cenny nabytek szkoły. Czy to nie wspaniałe?

– Chyba tak – potwierdzam niepewnie, ale uśmiecham się szeroko.

– Powiedz, że już się na mnie nie gniewasz. Że postąpiłam słusznie – domaga się mama akceptacji jej decyzji dotyczącej przeszczepu.

– Nie wiem, mammo. Wiem tylko, że w tej chwili czuję się szczęśliwa, naprawdę – zapewniam ją rozpromieniona.

Mama zarzuca mi ręce na szyję i mówi:

– To wszystko, co chciałam usłyszeć.

Rozlega się dźwięk dzwonka.

– Idź przywitać gości – szebiocze.

Pędzę do drzwi. Okazuje się, że to babcia! Nie widziałam jej od czasu aukcji na cele dobroczynne. Tak się cieszę, że zechciała przyjść na moje przyjęcie urodzinowe.

– Witam, pani Kendal! Wspaniale, że pani przyszła! – wołam i przysuwam się do niej, żeby ją pocałować w policzek, ale odwraca głowę, więc muskam ją umalowanymi ustami w ucho.

– Gemma bardzo na to nalegała – oznajmia i dodaje: – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Renee. Czy rzeczywiście masz dziś urodziny?

– Tak – potwierdzam z uśmiechem.

Ona też się uśmiecha, ale wymuszenie, i wręcza mi kopertę.

– Dziękuję, pani Kendal – mówię, otwieram ostrymi tipsami kopertę i wyjmuję z niej pospolitą kartkę okolicznościową z fotografią kwiatka. Na jej odwrocie jest napisane: „Dla Renee, najlepsze życzenia urodzinowe od pani Kendal”.

– Uznałam, że nie potrzebujesz podarunku. Dostałaś już tyle wszystkiego. Jeśli wolno spytać, czy ten nowy samochód przed domem to twój prezent urodzinowy? – pyta ze skwaszoną miną.

Szukam właściwych słów, aby jej odpowiedzieć, gdyż wygląda na bardzo niezadowoloną, że otrzymałam coś takiego.

– Owszem! Jest odlotowy, prawda? Dziś rano pan Burgess pozwolił mi przejechać się nim po pustym parkingu. Było niesamowicie – relacjonuję zachwycona.

Babcia patrzy na mnie z pogardą, niezdolna zapanować nad wyrazem twarzy.
– Szczerze mówiąc, pani Kendal, nigdy o nic nie prosiłam państwa Burgess. Po prostu są dla mnie nieprawdopodobnie hojni – usprawiedliwiam się.

Babcia pochyła się w moją stronę i oświadcza tonem, w którym wyczuwam groźbę:
– Renee, widzę, że moja córka jest tobą uszczęśliwiona, za co jestem ci wdzięczna. Ale wiele przeszła. Nadal boleje po stracie Lucy. Jest bezbronna, więc muszę się o nią troszczyć. Nie mogę znieść, że cierpi. Rozumiesz to?

Kiwam głową, gdy rusza z miejsca.
– Gemmo! – woła do mamy. – Czy napisałaś ten tekst na stronę internetową Fundacji imienia Lucy? Trzeba podziękować wszystkim za hojność, jaką okazali w czasie aukcji.

Mama posyła jej buziaka i odpowiada rozkojarzona:
– Jeszcze nie skończyłam. Nadal nad nim pracuję.
– Mogę zobaczyć, co napisałaś? – domaga się babcia.
– Nie teraz. Jestem zajęta. Są urodziny Renee. Odpręż się i weź drinka – proponuje jej mama i w pośpiechu idzie do kuchni.

– Witaj, Charlotte – pozdrawia babcię tata i pyta, wyręczając mamę: – Czego się napijesz?

Podbiega do niej Arthur, zarazem uciekając przede mną.
– Pies Lucy chyba cię nie lubi, Renee – stwierdza babcia. – To dla niego bardzo nietypowe, bo jest przyjacielski niemal wobec każdego. Ciekawa jestem, co mu w tobie tak przeszkadza?

Z satysfakcją obserwuje, jak się rumienię z powodu zakłopotania. Zawsze miała charakterek, ale nie sądziłam, że potrafi być taka jędzowata!

Tata nerwowo przełyka whisky i prowadzi babcię do barku.
Gdy ponownie dzwoni dzwonek, staram się uspokoić. Nie pozwolę jej i nikomu innemu zepsuć mi przyjęcia. Z przyklejonym do ust uśmiechem otwieram drzwi. W progu staje tłum gości. Są hałaśliwi, jakby już coś wypili, co potwierdza unoszący się wśród nich zapach alkoholu. To cheerleaderki i członkowie drużyny futbolowej. Całują mnie, ściskają i obsypują prezentami.

Ruby podchodzi do mnie dumnym krokiem, mocno obejmując Neila Coopera, swojego chłopaka, który jest kapitanem Bailey Bulls.

– Wszystkiego najlepszego, ślicznotko! Wyglądasz niezmiernie – chwali mnie i całuje w policzek ustami lepkimi od szminki w czerwonym kolorze. – Dzięki, że zaprosiłaś chłopaków. Bez nich przyjęcie by się nie udało.

Patrzę ze złością na wchodzącego za nimi Josha Dartmere. Nie miałam nic przeciwko zaproszeniu członków drużyny futbolowej, wiedząc, że dziewczyny będą z tego zadowolone. Ale nie życzę sobie w moim domu tego chłopaka, choć wiem, że one tego chcą. Niestety, nie znalazłam wystarczająco dobrego powodu, by powstrzymać Ruby przed zaproszeniem go tutaj. Co jej mogłam powiedzieć? Że to palant, bo go znam, gdyż się z nim spotykałam?

Josh pochyła się, chcąc mnie pocałować. Jego oddech cuchnie alkoholem, więc odwracam się, udając, że porządkuję prezenty.

– Później to zrobimy! – krzyczy, zmierzając do stołu bilardowego.
Dzwonek dzwoni bez przerwy. Wygląda na to, że zjawili się niemal wszyscy zaproszeni: popularne w szkole odlotowe dzieciaki, których nie ośmieliłam się zagadnąć, kiedy byłam dawną mną.

Gdy witam kolejnych gości, Ruby mówi do mnie z szerokim uśmiechem:
– Cieszę się, że zaprosiłaś wszystkich ze sporządzonej przez nas listy. Ale będzie ubaw!

Widząc wychodzącą babcię, tracę serce do tych urodzin. Nie spędziła tu nawet godziny. I nie podeszła do mnie, by się pożegnać. Mówię sobie, że nie chciała mi przeszkadzać, ale przecież nie mogę oszukać samej siebie – ona mnie nie znosi.

Mama stoi wśród cheerleaderek, śmiejąc się i żartując. Wydaje się, że ją uwielbiają. A ona jest w swoim żywiole, otoczona przez rozchichotane dziewczyny.

– Czy ma pani jakieś zdjęcia z czasów, gdy była pani w zespole cheerleaderek w Stepton High? – pyta Laura.

– Prawdę powiedziawszy, niewiele – odpowiada rozpromieniona. – Ale ich oglądanie zostawmy na inną okazję, bo to jest przyjęcie Renee, a nie moje.

Podchodzę do niej dyskretnie i proponuję cichym głosem:

– Jeśli państwo mieliby ochotę wybrać się do miasta, aby miło spędzić tam czas, to bardzo proszę. Będę miała na wszystko oko.

Mama żartobliwie grozi mi palcem i oświadcza:

– Nie ma mowy, młoda damo. Pamiętam przyjęcia, na których *bywałam*. Nie chcę, by nasz dom został zdemolowany.

– To przynajmniej możecie państwo pójść na górę i obejrzeć jakiś film – nie ustępuję.

– Okej. Nie chcesz, żebym ci przeszkadzała. Rozumiem to – odpowiada ze śmiechem.

Prowadzę ją do wylegującego się na leżaku taty, który pije drugą szklaneczkę burbona. Przykucam obok niego i proponuję:

– Pani Burgess idzie na górę, żebyśmy mieli trochę swobody. Może poszedłby pan z nią?

– Wymagasz nadzoru – oświadcza, a ja przewracam oczami.

– Rozluźnij się, Lewis. Nie pamiętasz, jak byłeś młody i dobrze się *bawileś*? Chodź ze mną – namawia go mama, ściągając go z leżaka.

– Dziękuję – mówię do niej.

– Zadbaj o to, żebyście wspaniale spędzili czas. Gdybyś nas potrzebowała, wiesz, gdzie jesteśmy – oznajmia mama, obejmując mnie i całując w policzek.

Przyglądająca się nam Tanya odzywa się scenicznym szeptem do Ruby:

– Nie mówiłam? Pani Burgess szybko znalazła sobie nową córkę.

Odsuwam się od mamy, odprowadzając ją.

Po zapadnięciu zmroku rozbłyskują wiszące na drzewach sznury lampek. Część gości hałaśliwie gra na basenie w siatkówkę wodną, a w postawionym w ogrodzie dmuchanym zamku słychać piski i krzyki, gdyż jedni próbują zrzucić stamtąd drugich. W namiocie rozlega się rytmiczna muzyka.

Nagle obok zamku dostrzegam znajomą postać. Przyglądam się jej uważnie, nie chcąc jej pomylić z kimś innym, ale widzę długie kręcone włosy, dzinsową kurtkę i wytartą dzinsową spódnicę. Mak! To z pewnością ona. Nie mogę w to uwierzyć, bo uznałam, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Stoi naprzeciwko chłopaka, którego nie widzę dobrze. Sprawiają wrażenie pogrążonych w rozmowie. Bezszelestnie podchodzę bliżej i przeszywa mnie dreszcz, gdyż to jest ten sam chłopak, który stał przy szkolnej bramie i wołał do mnie: „Hayley”.

Postanawiam tam podejść i porozmawiać z nimi, lecz ktoś mnie przytrzymuje. To Laura, która szczebiocze:

– Hej, solenizantko! Skoro zaczęli grać, to może zatańczymy? – Wyjmuje z torebki butelkę wódki i częstuje mnie.

– Napij się. Ja wolę tego nie robić. Muszę być trzeźwa i pilnować, żeby nikt nie zwymiotował do basenu – odmawiam. Nie odrywając wzroku od Mak, dodaję: – Poza tym muszę się z kimś zobaczyć.

Laura robi nadąsaną minę i oświadcza z wyrzutem:

– Och, nie marudź, Renee. Nie zostawiaj mnie samej. Prawie cię dziś nie widziałam. Miałaś mnóstwo czasu na pogawędkę. Teraz pora *zatańczyć!*

Spoglądałam na Mak, która usiadła z tym chłopakiem koło basenu. Nie wyglądają na takich, którym się gdzieś spieszy. Postanawiam przez parę minut potańczyć z Laurą, aby jej sprawić przyjemność, a potem do nich podejść.

Laura nalewa dwa shoty.

– No już! Tylko ten maluch – namawia mnie do wypicia. – To wspaniałe przyjęcie. Chcę, żebyś się odprężyła i miała z niego jakąś przyjemność. – Unosi dłonie z kieliszkami i proponuje: – Za nasze zdrowie?

Patrzę na kieliszek wypełniony przezroczystym płynem. Jest taki kuszący. Jasne... Dlaczego nie? To mój wieczór! Moje przyjęcie! To jestem nowa ja! Przestałam być udręczonym przez raka bogatym dzieciakiem, zbyt chorym i przerażonym, aby mógł się bawić.

– Okej, ale tylko ten jeden! – zgadzam się i wypijam piekący płyn, który wykrzywia mi twarz i ma wstrętny smak.

Laura chichocze, pociera mnie dłonią po plecach i ciągnie do namiotu, po drodze zbierając większość członkiń naszego zespołu cheerleaderek.

W środku podłoga taneczna już się zapełniła.

Didżej salutuje mi i zapowiada:

– Ten utwór jest dla Renee, dzisiejszej solenizantki!

W głośnikach rozlega się niski przeszywający bas, do którego dołącza funkowa solówka na gitarze. Słyszając muzykę, ludzie napływają do namiotu, lecz nie widzę tu Mak i tego chłopaka. Wszyscy wydają radosne okrzyki i trzymają ręce wysoko w górze. Chyba tylko ja nie słyszałam wcześniej tej melodii, jednak nie ma to znaczenia. Jestem wśród tańczących ciał i czuję się wspaniale, tak radośnie.

Ruby chwyta mnie w talii i krzyczy:

– Dawaj, Renee! Zaczynaj kołysać biodrami!

Kręci swoimi, ja również i mocno się trzymamy, wirując w tańcu i śmiejąc się do rozpuku.

W namiocie robi się coraz ciasniej.

– Mogę wam przerwać? – pyta Josh Dartmere, odsuwając ode mnie Ruby. Staje przede mną i mówi: – Tu jest zbyt gorąco. Przyniosłem ci coś do picia. – Podaje mi dużą szklankę soku pomarańczowego.

Wbrew woli jestem mu za to wdzięczna, bo zaschło mi w gardle.

– Dzięki – mówię i wypijam sok duszkiem, zanim uświadamiam sobie, że ma dziwny smak. Pytam: – Co to... Co w tym soku było?

– To tylko napój pomarańczowy z dodatkiem wódki, aby nabrał mocy – odpowiada ze złośliwym uśmiechem.

– Odczep się! – prychem ze złością i toruję sobie w tłumie drogę do wyjścia.

Muszę wyjść na dwór, bo zrobiło mi się okropnie gorąco. Mija trochę czasu, zanim docieram na zewnątrz, ponieważ ludzie mnie zatrzymują, chcąc ze mną zatańczyć albo powiedzieć, że przyjęcie jest super lub że ładnie wyglądam. W większości mówią tak, bo się upili, lecz nie obchodzi mnie to. Kręci mi się w głowie, mimo to czuję się fantastycznie. Jednak gdy wychodzę na chłodne wieczorne powietrze, zaczyna mnie boleć głowa, a na gołych rękach i nogach pojawia się gęsia skórka. Zaciskam skrzyżowane ręce na ramionach i w poszukiwaniu Mak kieruję się do dmuchanego zamku. Chwieję się na nogach – nie wiem, czy dlatego, że wypiałam drinka przyniesionego mi przez Josha, czy z powodu butów na wysokich obcasach. Zrzucam je z nóg i idę przez ogród boso.

– Hej, Renee, poskacz ze mną! – woła do mnie Hugh Grasso, gdy przechodzę koło dmuchanego zamku!

Wprosił się na przyjęcie? – zastanawiam się. W sumie nieważne. Chcę, aby dziś *wszyscy* dobrze się bawili. Macham do niego i mówię niewyraźnie:

– Później!

Hugh i dziewczyna, której nie znam, zeskakują z dmuchanego zamku i ciągną mnie do środka. Krzyczę, żeby mnie zostawili w spokoju, a zarazem się śmieję. W dmuchanym zamku ma się poczucie, że stoi się na galaretkach. Chcę przesunąć się w bok. Niestety, kołyszę się jak łódka na wodzie w czasie burzy. Nieznajoma dziewczyna podskakuje, a ja upadam na plecy i spoglądam w rozgwieżdżone niebo. Zaczynam odczuwać panikę, gdyż wydaje mi się, że gumowa powierzchnia mnie wciąga.

– Pilnujcie, żebyśmy się nie zagłębiała! – wołam.

– Nie zagłębiasz się – odpowiada mi ze śmiechem Hugh.

– Ależ tak! Zapadam się w dmuchany zamek! – krzyczę.

Śmieją się aż do ochrypnięcia.

– Szybko! Wstań – mówi Hugh, podnosząc mnie i w trakcie skakania trzymając za ręce, dzięki czemu odrywam stopy od powierzchni. Ale kiedy odsuwam ręce, upadam na pośladki i odbijam się od gumy.

– Nie stawaj tu, bo dmuchany zamek cię pochłonie – przestrzega mnie złowieszco Hugh.

On i ta dziewczyna śmieją się histerycznie, odbijając się od boków budowli, a ja mam zawroty głowy i robi mi się niedobrze. Muszę się stąd wydostać.

– Renee, wykonaj dla nas jakiś układ taneczny cheerleaderek – prosi ona.

Co z nią nie tak, że nie zna nawet mojego imienia? – zastanawiam się.

– Mam na imię Lucy – mówię do niej poirytowana.

– Słucham? To jest twoje prawdziwe imię? – pyta zdziwiona.

– Jasne. Oczywiście. Jak sądzisz, na czyje przyjęcie przyszłaś? Jestem Lucy Burgess – brnę dalej.

Oboje nieruchomieją, a gumowa powierzchnia się wygładza. Z ulgą opieram się o boczną ścianę zamku.

– Dlaczego to powiedziałaś? – pyta dziewczyna, wpatrując się we mnie, podobnie jak jej towarzysz.

Słyszę w jej głosie gniew i zastanawiam się, z jakiego powodu.

– Co powiedziałaś? – pytam, przytrzymując dłońmi głowę w nadziei, że dzięki temu świat wokół mnie przestanie wirować.

– To taki żart? Bo zabrzmiało trochę makabrycznie – mówi Hugh, krzywiąc się.

– A co by było, gdyby rodzice Lucy dowiedzieli się, że opowiadasz takie brednie? – warczy dziewczyna.

O mój Boże... Co ja palnęłam? Myśli mi się płaczą.

– Nie mówiłam poważnie. Piłam alkohol. Nie jestem do tego przyzwyczajona – usprawiedliwiam się.

– Ale żeby twierdzić, że jesteś zmarłą dziewczyną? – dziwi się Hugh i kręci głową.

– To dlatego, że tu mieszkam, z rodzicami Lucy, otoczona jej rzeczami. Ciągłe o niej myślę. Po prostu tak zareagowałam na tę sytuację. Przepraszam. Nie powiecie nikomu? – proszę.

– Cokolwiek to było, powinnaś tu trochę posiedzieć i wziąć się w garść – mówi zimnym tonem Hugh i dodaje: – Idziemy obadać tego didżeja.

Zawstydzona kiwam głową. Nie mogę uwierzyć, że jestem aż tak nierozsądna. Odprowadzam Hugh i jego koleżankę spojrzeniem. Jestem pewna, że rozmawiają na mój temat.

Powtórzą wszystkim moje nierozważne słowa. Muszę się napić wody. Musi przestać kręcić mi się w głowie. Może powinnam poprosić mamę, by miała na wszystko oko? Mogłabym się wówczas położyć. Postaram się jutro zadzwonić do Mak, aby jej podziękować za przyjście. Wszyscy dobrze się bawią. Nikt za mną nie tęskni. Jeśli Hugh powtórzy ludziom moje słowa, obrócę wszystko w żart. Po pijanemu ludzie wygadują niestworzone rzeczy. Próbuję się podnieść. Niestety, zaraz osuwam się na gumową powierzchnię.

Kątem oka dostrzegam chłopaka, który był z Mak. Stoi w pobliżu pod drzewem i przygląda mi się.

– Hej, Renee, dobrze się czujesz?

A niech to cholera! Podskakuję na dźwięk tego głosu, bo to znowu Josh Dartmere. Ostatnia osoba, którą chciałabym zobaczyć.

– Tak, dobrze. Dziękuję – odpowiadam lodowatym tonem.

– Wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje pomocy – oświadcza.

– Nie! – krzyczę i macham na niego, by sobie poszedł. – Po prostu odpoczywam, zanim znowu pójdę potańczyć.

– Mogę się przysiąść? – pyta i nie czekając na odpowiedź, wskakuje na dmuchaną powierzchnię. Siada obok, dotykając mnie ramieniem, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę z tequilą, wypija łyk i proponuje: – Napijesz się?

– Nie – odmawiam stanowczo.

– Nie wyglądasz za dobrze. Nie chodzi mi o to, że źle. Taka jak ty dziewczyna nigdy nie wygląda źle – komplementuje mnie, szczerząc w uśmiechu swoje doskonałe zęby.

Żołądek podchodzi mi do gardła, więc próbuję wstać i mówię:

– Nie czuję się najlepiej. Naprawdę muszę stąd iść.

Bierze mnie za rękę, jak się okazuje nie po to, by pomóc mi się podnieść z dmuchanej powierzchni, lecz by z powrotem mnie na niej posadzić.

– Jesteś taka ładna, Renee. *Podobasz* mi się – wyznaje bełkotliwie i odgarnia mi włosy z twarzy.

– Co robisz? – protestuję i odsuwam jego dłoń.

– Po prostu cię poznaję, nic więcej – odpowiada bezczelnie, jedną rękę kładąc mi na policzku, a drugą na karku. Zaraz wyczuje palcami moje blizny i wszystkim o nich powie!

Wpadam w panikę, odsuwam się gwałtownie i wbijam mu w twarz swoje długie sztuczne paznokcie.

Krzyczy i zszokowany przysuwa dłoń do krwawiącego policzka.

– Nie życzę sobie, żebyś mnie dotykał – cedzę przez zęby.

Josh z gniewem chwyta mnie za ramiona, potrząsa mną i bluzga:

– Dlaczego mi to zrobiłaś, ty świrnięta suko?

– Zostaw ją! – woła chłopak, który czekał na mnie pod szkołą, i odciąga go ode mnie. Jest wyższy i mocniej zbudowany od Josha.

– Po co się wpięprzasz? – warczy Josh, ale jego głos wcale nie brzmi pewnie.

– Odejdź stąd, bo rozkwaszę ci nos – mówi nieznajomy z obcym akcentem. Może brytyjskim?

Chcę mu się przyjrzeć, ale dwoi mi się w oczach.

Josh Dartmere zeskakuje z dmuchanego zamku i odchodzi, miotając groźby pod adresem nieznajomego:

– Zaraz tu wrócę i spuszczę ci straszny łomot, chyba że wcześniej dasz nogę.

Chłopak wybałusza na mnie piwne oczy, w których maluje się gniew, i woła:

– Hayley! Hayley, czy to ty?

Wciąż kręci mi się w głowie. Zastanawiam się: co on mówi? Dlaczego tak mnie nazywa?

– Hayley! – woła po raz trzeci, gdy milczę.

No nie... Muszę stąd odejść, zanim zwymiotuję.

– Hayley! – woła po raz kolejny udreńczonym głosem, a jego urodziwa twarz jest blada i zmęczona.

To chyba jakiś szaleniec. Nie mogę znowu wszystkiego schrzanić. „Ogarnij się, Lucy!!!” – strofuję się w myślach.

– Nazywam się Renee Wodehouse. Przykro mi, ale nie znam Hayley – odpowiadam w końcu drżącym głosem.

– A twój głos? Czyj to jest głos? – domaga się odpowiedzi. – No, Hayley, powiedz, kim jestem. Kim jestem?

Czuję, że zaraz puszczę pawia.

– Nie wiem, kim jesteś – mamroczę pod nosem.

– Jestem twoim bratem! – krzyczy.

Gdy ujmuje moją twarz w dłonie i wpatruje się w moje oczy, jakby rozpaczliwie szukał w nich czegoś znajomego, gwałtownie nabieram powietrza.

– Co robisz? – pytam cicho, ale się nie odsuwam, bo coś mnie przyciąga do tego dziwnego chłopaka.

Po chwili zwiesza ręce z miną człowieka, który zaraz się rozplacze. Odsuwa się ode mnie i zdesperowany kręci głową.

– Przepraszam, pomyliłem się. Naprawdę przepraszam – mówi i znika w mroku, jakby nigdy się tu nie pojawił.

Próbuję wstać i go odszukać, lecz zaczynam wymiotować i obryzgiwać żółtą treścią pokarmową dmuchany zamek.

Siedzę pobrudzona wymiocinami, gdy gromadzi się wokół mnie tłum gości. W środku stoi Josh i wskazuje mnie ręką.

– Powinienem wezwać gliny i oskarżyć cię o napaść! – wrzeszczy.

Cheerleaderki miotają się wokół niego, sprawdzając zadrapania na policzku. Jest tu stanowczo za dużo ludzi. Czuję się kompletnie zdezorientowana. Zastanawiam się, czego chciał ten chłopak? Dokąd poszedł?

– Dlaczego to zrobiłaś, Renee?! – krzyczy Ruby.

Nie chcę się zajmować tą sprawą – ani teraz, ani kiedykolwiek indziej, więc odpowiadam niepewnie:

– Bo mnie dotykał, a ja nie chciałam, by to robił.

Laura wchodzi do dmuchanego zamku i siada obok mnie, uważając, by nie pobrudzić się wymiocinami.

– Gdzie cię dotykał? W miejscach intymnych? – pyta cicho.

– Dotknął mojej twarzy i chciał dotknąć mojego karku – odpowiadam zgodnie z prawdą.

W tłumie rozlegają się chichoty.

– O co ci chodzi?! – wrzeszczy Neil.

– Chciał mnie pocałować – odpowiadam.

– Wcale nie. Tylko dotknąłem twojej twarzy, a ty mnie zaatakowałaś, nie pamiętasz? – naciera na mnie Josh. – Jeśli nie powiesz prawdy, to wezwę policję i skieruję sprawę do sądu.

– Okej, racja, zareagowałam przesadnie. Przykro mi, ale nie czuję się dobrze – zbywam ich, chcąc, by sobie poszli, bo nie radzę sobie z tą sytuacją.

W tłumie rozlegają się okrzyki dezaprobaty.

– Zaprowadzę cię do domu, żebyś się ogarnęła – proponuje łagodnym tonem Laura.

- Nie, Lauro! Nie waż się jej pomagać – powstrzymuje ją Neil. – Zaatakowała Josha.
- Hugh rozpowiada wszystkim, co powiedziałaś: że jesteś Lucy Burgess! – woła wkurzona Ruby i pyta: – Czy to prawda?
- Mogę to wyjaśnić – dukam. – Po prostu nie jestem przyzwyczajona do picia alkoholu.
- Nie! – protestuje Ruby, grożąc mi palcem. – Nie obchodzi mnie, czy jesteś przyzwyczajona, czy nie. Takie zachowanie nie jest w porządku.
- Przepraszam – bełkoczę. – Zostawcie mnie samą, żebym doszła do siebie, a wy idźcie potańczyć.
- Nie ma mowy! – oznajmia Neil, wkłada dwa palce do ust i gwizdże, zwołując wszystkich. Następnie wrzeszczy: – Wszyscy wracamy do domu!!! Przyjęcie skończone!!!

ROZDZIAŁ 27

CHŁOPAK

– Lucy! Lucy! – woła wzburzona mama.

Rzuca się na mnie jak sęp na padlinę i budzę się z pulsującym bólem głowy, zbierając siły, by móc usiąść na łóżku.

– O co chodzi? – pytam niewinnie, jakby nic się nie stało.

– O to, że przed chwilą zadzwoniła do mnie matka Josha Dartmere. Powiedziała, że jest podrapany na twarzy, bo wczoraj wieczorem go *zaatakowałaś* – wyrzuca mi, opierając ręce na biodrach.

– Och. – Wzdrygam się, gdyż miałam nadzieję, że to wszystko tylko mi się przyśniło.

– Okłamałaś nas. Powiedziałaś, że przerwałaś przyjęcie, ponieważ zabawa stawała się coraz bardziej szalona. Spójrz na siebie! Nie miałam pojęcia, że byłaś w takim stanie – naciera na mnie z furją.

– Proszę, porozmawiajmy o tym później – jęczę i zakrywam twarz poduszką.

Zrywa ze mnie poduszkę i oświadcza:

– Nie odważyłam się powiadomić o tym twojego ojca, bo miałby do mnie pretensje, że w ogóle urządziłam to przyjęcie. Dlaczego podrapałaś Josha? Jego matka żąda, żebyśmy cię ukarali, inaczej tak tej sprawy nie zostawi.

– Bo dotykał mnie wbrew mojej woli. Mało brakowało, a położyłby rękę na moich bliznach na karku. Nie chciałam, żeby wszystkim o nich powiedział i naraził mnie na niewygodne pytania – wyjaśniam.

– Nie byłoby prościej powiedzieć mu, żeby sobie poszedł? – zastanawia się mama, już łagodniejszym tonem.

– Próbowałam – zapewniam ją. Zasłaniam twarz dłońmi i dodaję: – O Boże... Nie mogę w poniedziałek pójść do szkoły.

Nie zamierzam jej powiedzieć, co ogłosiłam na przyjęciu: że jestem Lucy Burgess. Gdyby się o tym dowiedziała, chyba dostałaby szału. Zastanawiam się, jak spojrzę ludziom w oczy. Jakże bym chciała, by do poniedziałku to, co wydarzyło się na moim przyjęciu urodzinowym, przestało być newsem. By tematu do rozmów dostarczyła jakaś inna katastrofa w którymś życiu towarzyskim.

– Posłuchaj, powiem matce Josha, że cię ukaraliśmy. Ale *nie możesz* z powodu tego palanta opuszczać szkoły – oznajmia z naciskiem mama.

Gdy masuję skronie, by złagodzić ból głowy, przypominam sobie chłopaka, który podszedł do mnie na przyjęciu.

– Czy powiedział, jak ma na imię? – mówię głośno.

– Kto? – pyta mama.

– Chłopak, który był tu wczoraj. Myślę, że przyszedł z Mak. Zachowywał się bardzo dziwnie – odpowiadam ogólnikowo.

– Była Mak? Nigdzie jej nie widziałam. Musiała się zjawić później, gdy ja i tata poszliśmy na górę – snuje domysły mama, zbierając z podłogi ciuchy, które nosiłam na przyjęciu.

– Mówił do mnie „Hayley” – kontynuuję wcześniejszy wątek.

Mama nieruchomieje i w pokoju zapada cisza.

– Mamo, czy ty w ogóle mnie słuchasz? – pytam, chcąc wyrwać ją z zamyślenia.

Wydycha powietrze, jakby ktoś na nowo tchnął w nią życie, i potwierdza drżącym

głosem:

– Oczywiście, że cię słucham.

– Całe przyjęcie było bardzo dziwne, a poza tym trochę wypiłam – wyznaję ze skruchą, wstaję z łóżka i otwieram drzwi na balkon w nadziei, że świeże powietrze pomoże mi rozjaśnić umysł. – Zaraz... Co to on powiedział? – Pomimo bólu głowy próbuję odblokować pamięć i dodaję: – No już... Myśl. – Staram się przypomnieć sobie jego słowa i... twarz. Teraz do mnie dociera, jaki był zdesperowany. – Myślał, że jestem Hayley, i powiedział, że jest moim bratem... Ale po chwili zrobił się smutny, oznajmił, że się pomylił, i po prostu zniknął mi z oczu.

Mama stoi odwrócona do mnie tyłem, bawiąc się stojącymi na toaletce flakonami perfum.

– Okej, to nieco *dziwne*. Może się upił? – komentuje zestresowana.

– Ale dlaczego wziął mnie za swoją siostrę? I dlaczego tak posmutniał? – zastanawiam się.

Mama odwraca się do mnie. Na jej twarzy maluje się napięcie. Mówi zniecierpliwiona:

– Skąd mam wiedzieć? Może nie widział jej od jakiegoś czasu? Może stracili ze sobą kontakt?

– To nie może mieć nic wspólnego z dawczynią ciała, prawda? – pytam cichym głosem, gdyż nagle przyszła mi do głowy ta myśl.

– Ciebie rzeczywiście męczy kac, młoda damo – stwierdza mama i z dezaprobatą kręci głową. Uspokaja mnie: – Jak to może mieć coś wspólnego z Amy? Czy nie nazwał cię „Hayley”? Poza tym Mike i Hazel napisali, że Amy była ich jedynym dzieckiem. Nie miała więc brata. Ten chłopak był po prostu pijany i coś mu się pomyliło.

Jęczę. O Boże, to zbyt skomplikowane. Ciągłe kręci mi się w głowie.

– Zadzwoń później do Mak – mówię. – Może mi udzieli jakichś informacji na jego temat.

– Sądziłam, że Mak nie jest już twoją przyjaciółką – oznajmia surowym tonem mama. – Nie powinnaś do niej dzwonić, bo wzbudisz w niej jakieś podejrzenia. Skąd wiesz, że w ogóle będzie chciała z tobą rozmawiać?

– Przecież przyszła na moje przyjęcie – odpowiadam pełna nadziei, gdy nagle przypominam sobie siebie, jak w dmuchanym zamku twierdziłam, że jestem Lucy Burgess. Zaciskam powieki, chcąc, aby ta scena zniknęła z mojej pamięci. Mam nadzieję, że Mak tego nie słyszała, bo jeśli tak, to pogrzebałam swoją ostatnią szansę zdobycia jej przyjaźni.

– Cześć, Makaylo. Tu Renee – mówię najbardziej pogodnym tonem, na jaki potrafię się zdobyć.

W słuchawce panuje cisza, więc zastanawiam się, czy przypadkiem nie wyłączyła telefonu.

– Skąd masz mój numer? – odzywa się po chwili lodowatym tonem.

– Dała mi go pani Burgess. Bardzo ci dziękuję, że przyszłaś na moje przyjęcie. To wiele dla mnie znaczyło. Najmocniej przepraszam, że z tobą nie rozmawiałam, ale może chciałabyś spotkać się ze mną jutro? – pytam i wstrzymuję oddech.

– Nie, nie spotkamy się ani jutro, ani kiedykolwiek indziej – odpowiada z wyższością, jakbym budziła w niej wstręt.

– Okej. Jak się domyślam, słyszałaś, że *robiłam i mówiłam* na przyjęciu dziwne rzeczy, ale byłam ubzdryngolona. Zachowywałam się idiotycznie. Przepraszam za to. Mam nadzieję, że sobie z tym poradzimy – nie poddaję się.

– Co ty pierniczysz o „nas”? Nie ma żadnych „nas”. A teraz spadaj! – wrzeszczy na mnie do słuchawki.

– Nie! – wołam dramatycznym tonem. – Proszę. Nie będę ci zawracać głowy.

Chciałabym tylko spytać, czy wiesz coś na temat tego chłopaka, z którym rozmawiałaś na przyjęciu. Chodzi mi o tego... prawdopodobnie Brytyjczyka o kruczoczarnych włosach... Tego przystojnego. Pamiętasz go?

– Chcesz, abym *ja* coś o nim powiedziała *tobie*? – pyta z naciskiem. – Przecież to jest twój przyjaciel, a nie mój!

Czy ona chce mi namieszać w głowie? – zastanawiam się i odpowiadam:

– Nie jest moim przyjacielem. Kiedyś czekał na mnie pod szkołą, a teraz zjawił się na przyjęciu, ale ja nie wiem, kim on jest.

– Słucham? Nie znasz go? – Jest zdziwiona... Jest zła.

– Nie znam, serio.

W słuchawce zapada cisza. Tym razem Mak się rozłącza.

ROZDZIAŁ 28

PONOSZĄC KONSEKWENCJE

Wiadomość o tym, co się wydarzyło na przyjęciu, rozchodzi się w Bailey Heights lotem błyskawicy. Przez całe rano na korytarzu wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie. Gdy przechodzę, szeptem wymieniają informacje na mój temat. A kiedy wchodzę do klasy na angielski, uczniowie się na mnie gapią. Szybko siadam z tyłu i udaję, że czytam. Niestety, Hugh Grasso woła do mnie:

– Cześć, Renee... albo Lucy, albo może powinniśmy cię nazywać tygryscą?! – Po tych słowach zamachuje się ręką, jakby to była zwierzęca łapa z pazurami.

W klasie rozlega się gromki śmiech. Mak zachowuje powagę, lecz odwraca się i patrzy na mnie z pogardą. Wygląda na to, że myśli o mnie jak najgorzej. Nie mogę tego znieść. Odwracam się, żeby stąd uciec, ale do klasy wchodzi pan Kendrick i zamyka drzwi.

– Cóż to za koszmarna atmosfera? – pyta w reakcji na komentarze pod moim adresem i wydaje polecenie: – Proszę wszystkich o spokój. – Następnie klaszcze w dłonie, by nas uciszyć.

Teraz nie mogę wyjść. Mam na bluzce plamy potu i czuję mrowienie w palcach, które szybko rozprzestrzenia się na ręce. To nie do zniesienia. Muszę się podrapać. Próbuję robić to delikatnie, przesuwając paznokcie po skórze w zgięciu łokcia. Przynosi mi to taką ulgę, że nie mogę się powstrzymać i jak szalona wbijam paznokcie w skórę. W końcu na bluzce pojawia się plama krwi i zamiast ulgi czuję pieczenie.

Wszyscy mi się przyglądają, a pan Kendrick podchodzi do mnie, przykuca i delikatnie bierze mnie za rękę.

– To musi boleć, Renee – mówi. – Coś podrażniło twoją skórę. Może idź do szkolnej pielęgniarki? Dam ci przepustkę.

– Jej nie jest potrzebna pielęgniarka, lecz psychiatra – odzywa się Hugh i wszyscy wybuchają śmiechem.

– Właśnie zapracowałeś na naganę, Hugh – oświadcza nauczyciel, spoglądając na niego z gniewem.

Chwytam plecak i z pochyloną głową pospiesznie wychodzę. Kieruję się do toalety, bo nie zamierzam pójść do pielęgniarki. Mogłaby zadzwonić do mamy, a ja już mam dość problemów z nią i z tatą. Krzywię się, zmywając pod bieżącą wodą krew z ręki. Do końca lekcji jest jeszcze czterdzieści minut, ale nie ma szans, abym wróciła do klasy. Zamykam się w cuchnącej kabinie i ciężko siadam na sedesie. Chciałabym tu zostać do końca zajęć, jednak wewnętrzny głos zaczyna mnie pouczać na temat moich powinności. Nakazuje mi wziąć się w garść i nie zachowywać się jak mięczak. Podpowiada mi, żebym stąd wyszła i ratowała sytuację.

Gdy dzwoni dzwonek na lunch, mam poczucie, że przebywam tu dopiero od kilku minut. Staję, otrząsam się i podskakuję jak zawodnik niemogący doczekać się wejścia na ring. Czymkolwiek ten głos jest, ma rację. Siedzenie tu w niczym mi nie pomaga. Muszę wyjść i stawić wszystkim czoło.

W stołówce podchodzę pewnym krokiem do stolika, przy którym siedzą Ruby, Laura i Tanya. Po prostu powinnam zachowywać się normalnie, usiąść i zapytać, kiedy mamy najbliższy trening cheerleadingu. Cieszę się, widząc, że Laura macha do mnie nieśmiało. Chcę usiąść, lecz Tanya kładzie nogi na wolnym krześle.

– Sorki, ale to miejsce jest zajęte – oświadcza lodowatym tonem, patrząc na mnie z gniewem.

– Co dziś ćwiczymy na treningu? – pytam, siląc się na swobodny ton, choć w środku cała się trzęsę.

Zapada niezręczna cisza, bo dziewczyny wymieniają spojrzenia.

Tracę pewność siebie.

Po chwili Ruby bierze głęboki oddech i mówi:

– Posłuchaj, Renee, ludzie są trochę wkurzeni na twoje zachowanie na przyjęciu.

– Palnęłam tę straszną głupotę tylko dlatego, że się upiłam! – bronię się rozpaczliwie. – Przecież nie mogłam tego powiedzieć poważnie.

– Tak, no cóż... Rozmawialiśmy o tym i uznałyśmy, że dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli odejdiesz z naszego zespołu – oświadcza Ruby. – Neil jest na ciebie wściekły z powodu tego, co zrobiłaś Joshowi, a ten grozi, że zrezygnuje z naszej drużyny futbolowej, jeśli cię nie wyrzucę. Jesteś wspaniałą gimnastyczką, ale masz jakieś problemy osobiste, które musisz rozwiązać. – Patrzy na mnie z odrazą.

– Przepraszam, to była jednorazowa sytuacja. To się więcej nie powtórzy. Uwielbiam występować w tym zespole. To najlepsza rzecz w moim życiu. Ruby, proszę, daj mi jeszcze jedną szansę – mówię błagalnym tonem, przysuwając się do niej.

– Nie proś. Miej trochę godności – ironizuje, odsuwając się ode mnie. – Po prostu odejdz. Zostaw strój do występów przy mojej szafce.

– Laura? – zwracam się do niej zdesperowana, błagając ją w myślach, żeby się za mną wstawiła, ale zaczerwieniona wpatruje się w podłogę, ignorując mnie.

Staję prosto i szukam wzrokiem najbliższego wyjścia ze stołówki. Gdy ruszam pospiesznie do drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść na dziedziniec, ktoś podstawia mi nogę. Dostrzegam to zbyt późno. Potykam się i chwytam dłońmi krawędź stołu, żeby złagodzić upadek. Strącam na podłogę tacę z jedzeniem i się przewracam. Wszyscy milkną i wyciągają w moją stronę szyje, aby mnie lepiej widzieć.

Josh Dartmere chowa nogę pod stół i patrzając na mnie, mówi szyderczym tonem:

– Ojej, ale z ciebie niezłoda.

Niektórzy śmieją się zażenowani.

Czuję w palcach mrowienie i po chwili na oczach wszystkich zaczynają mi gwałtownie drżeć dłonie. Niektórzy z zakłopotaniem odwracają wzrok. Z pewnością wyglądam żałośnie. Gdy po policzkach spływają mi łzy, zamykam oczy. Chciałabym zapaść się pod ziemię, ale ktoś chwyta mnie w pasie i podnosi z podłogi.

– No już! Wstawaj.

To głos Mak! Mak!

Z surową miną wyprowadza mnie ze stołówki, pstrykając na Josha palcami.

– Dziękuję – mówię cichym głosem, gdy jesteśmy na dziedzińcu.

– Tylko nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nadal cię nie lubię, gdyż jesteś okropna i świrnięta, ale jeszcze bardziej *nie lubię* Josha – oświadcza z naciskiem. – Zapewne zasłużył na to, co mu zrobiłaś na przyjęciu.

– A jakże – mówię i desperacko kiwam głową, wydostając z plecaka pojemniczki z pastylkami przepisany przez doktora Leo i wyjmując po jednej z każdego. Na mojej drżącej dłoni uderzają jedna o drugą.

– Dużo tych lekarstw – zauważa Mak, podając mi butelkę wody mineralnej.

– Owszem, ale powstrzymują drżenie rąk. Za chwilę ustanie – zapewniam ją, połykając tabletki. Widząc, że Mak się odwraca, jakby chciała odejść, pytam ją o coś, co nagle przychodzi mi do głowy: – Kim jest ten chłopak, o którego zagadnęłam cię w rozmowie telefonicznej? Jak go poznałaś?

Mak kołysze się na boki, jakby czuła się zakłopotana, i mówi:

– Przedstawił się jako Ben. Poznałam go, gdy kiedyś kręcił się koło szkoły. Powiedział...
– Wzdycha zdesperowana i oznajmia z naciskiem: – *Powiedział*, że jest twoim przyjacielem. Mówiąc szczerze, zabrałam go na twoje przyjęcie tylko dlatego, że chciał, jak mi powiedział, namówić cię do wyjazdu z nim stąd.

Marszczę brwi.

– Myślał, że jestem jego siostrą. Nazywał mnie „Hayley”. Ale po chwili oznajmił, że się pomylił, i szybko ode mnie odszedł.

– Wszystko jedno... – mówi Mak i lekceważąco macha ręką. – Zmarnowałam przez niego czas... – Spoglądając na moje dłonie, dodaje: – Chyba już się uspokoiły, więc pójdę.

– A co z lekcjami? – dziwię się.

– Co z lekcjami? – powtarza za mną, wzduszając ramionami. – Muszę odpocząć od tego miejsca pełnego dupków!

Idzie przez dziedziniec, nie oglądając się za siebie. Czekam do chwili, w której zaczynam ją tracić z pola widzenia, i zaczynam iść za nią. Nie mogę zmarnować tej szansy. Mak właśnie dowiodła, że nie żywi wobec mnie nienawiści. Jest więc nadzieja, że się zaprzyjaźnimy. Przechodzi na drugi koniec boiska, rozgląda się i przeciska przez płot z drutu kolczastego, odsuwając od siebie kawałki drutu. Patrzę, w którą stronę skręca, i ruszam za nią.

ROZDZIAŁ 29

SPYTAJ MNIE O COKOLWIEK

Podążam za Mak w pewnej odległości. Zmierza w stronę dzielnicy muzeów. Gdy wchodzi do kwaciarni, czekam po drugiej stronie ulicy, obserwując drzwi. Po kilku minutach wychodzi z wielkim bukietem fioletowych i różowych frezji. Są piękne. Idzie na przystanek tramwajowy. Kiedy kupuje bilet w automacie, śledzę ją zza kiosku z gazetami. Po chwili nadjeżdża tramwaj i Mak wsiada. Może powinnam ją zawołać, ale coś mnie powstrzymuje. Chcę zobaczyć, dokąd zmierza, czy ma jakieś sekrety, o których nie wiem. Możliwe. Może nawet udaje się na spotkanie z tym Benem? Brak czasu sprawia, że nie kupuję biletu.

Wślizguję się do tramwaju za wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną. Zastania mnie przed Mak, która stoi zaledwie kilka metrów przede mną. Ale ona skupia całą swoją uwagę na ochronie bukietu, aby przypadkiem nie zniszczyli go stojący zbyt blisko niej inni pasażerowie. Miga mi przed oczami podczas przesuwania się jadących w stronę drzwi. Jest tak pogrążona w myślach, że nie zwraca uwagi na krople potu, które spływają jej z czoła, bo słońce mocno praży przez szyby.

Po przejechaniu siedmiu przystanków rusza do otwartych drzwi tramwaju, trzymając bukiet wysoko w górze, jak przewodniczka turystyczna starająca się nie zgubić nikogo ze swojej grupy. Przepraszam współpasażerów, przeciskając się do wyjścia, bo nie chciałabym utknąć w środku i stracić Mak z oczu. Wsiadam i stwierdzam, że nie znam tej części miasta. Nie bywałyśmy tu razem. Przechodzi na drugą stronę i idzie ulicą pod górę. Z oddali obserwuję, jak wchodzi przez masywną bramę z kutego żelaza do parku. Przyspieszam kroku, lecz na widok napisanej na bramie ozdobnymi literami nazwy tego miejsca nieruchomię. Przeszywa mnie dreszcz. Wiem, dlaczego Mak tu przyszła. Powinnam zawrócić i pojechać do domu. Jednak kiedy dostrzegam ją w oddali, nie potrafię stąd odejść. Biorę głęboki oddech i wchodzę przez bramę.

Mak idzie zwirową ścieżką, nie zwracając uwagi na mijane po obu stronach nagrobki. Jest ich mnóstwo, jakby ludzie nawet po śmierci musieli się tłoczyć w ciasnych pomieszczeniach. Nie mogę pójść za nią tą ścieżką, bo drobne kamyki chrzęszczą pod stopami, co mogłoby zdradzić moją obecność, więc z ostrożności podążam wśród grobów. Nie mogę stracić Mak z oczu, ale nagle moją uwagę przyciąga większy od innych nagrobek w kształcie pluszowego misia stojący na grobie czteroletniej dziewczynki imieniem Lilly. Czytam inskrypcję: „Naszemu ślicznemu aniołkowi, zabranemu nam za wcześniej, zawsze pozostającemu w naszych sercach”. Na myśl o tym, że jej życie się skończyło, kiedy ledwie się zaczęło, wzbiera we mnie gniew. Zastanawiam się, czy rodzice Lilly zdecydowaliby się na transplantację ciała, gdyby dzięki temu mogli jej uratować życie. Rozumiem, dlaczego mama zwróciła się do doktora Leo, aby to zrobił w moim przypadku. Żaden rodzic nie chce przecież, by jego dziecko umarło przed nim. Doktor Leo potrafi do tego nie dopuścić. Powinien skupić się na udzielaniu pomocy dzieciom. Jeśli podda transplantacji ciała więcej osób takich jak ja, to może nie będziemy się uważali za wybryki natury? Może kiedyś wzbudzimy podziw świata? I zazdrość, że potrafiliśmy oszukać śmierć? Głaszczę zimny nagrobek Lilly.

Idę wśród platanów i dębów po lekko wznoszącym się terenie. Widok tych drzew o rozłożystych koronach jako oznak życia w przytłaczającym krajobrazie śmierci przynosi ulgę, ale przecież widać, w których miejscach ich korzenie wyrastają spod trumien, niszcząc groby, przez co powstaje wrażenie, że umarli próbują się z nich wydostać. Słońce przygrzewa tak mocno, że zaczyna mnie swędzić skóra pod peruką o gęstych włosach.

Szkoda, że Mak idzie tak szybko – myślę zmęczona, gdy nagle zbacza ze ścieżki i przemierza trawnik. W końcu zatrzymuje się przed nagrobkiem z białego lśniącego marmuru. Muszę jakimś sposobem podejść bliżej. Naprzeciwko wznosi się mauzoleum, za którym mogę się ukryć. Biegnę tam, okrążając Mak, skradam się wzdłuż porosłej bluszczem bocznej ściany i wyglądam ostrożnie, przycupnięta za rogiem. Mak stoi odwrócona do mnie tyłem. Zasłania nagrobek, pochylając się i wydając z wazonów zwędłe kwiaty, i zastępuje je tymi, które przyniosła. Grób jest schludny i dobrze utrzymany. W przeciwieństwie do starszych, płaskich, wciąż ma formę usypanego z ziemi kopczyka.

Kiedy Mak przykuca, odczytuję wyrytą na nagrobku inskrypcję: „Lucy Burgess (2002-2018). Ukochana córka Gemmy i Lewisa. Spoczywaj w pokoju, kochanie”.

Widząc własny grób, czuję się tak, jakby ktoś wymierzył mi potężny cios w brzuch. Przytrzymuję się ściany. Nigdy nie spytałam mamy, gdzie mnie pochowali, bo nie chciałam tego wiedzieć. Na nagrobku znajduje się małe, oprawione w złotą ramkę zdjęcie – jedno z tych idiotycznych, które mama wybrała, choć prosiłam ją o umieszczenie innego. Na dole pod ramką zebrała się skroplona para, a zdjęcie zaczęło się już związać i przebarwiać. Założę się, że po pogrzebie mama nigdy tu nie była, by sprawdzić, jak ono wygląda. Bo dlaczego miałaby przychodzić na mój grób, skoro dla niej liczy się tylko życie i wygody? Czuję wielką gorycz.

Mak całuje swoje palce i przyciska je do zdjęcia, szepcząc:

– Bardzo za tobą tęsknię, Lucy. Bez ciebie wszystko jest takie beznadziejne. – Jej ciałem zaczyna wstrząsać łkanie. Dodaje drżącym głosem: – Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek była jeszcze szczęśliwa.

To dla mnie nie do zniesienia. Jak mogę dopuścić, by tak cierpiała, skoro tu jestem? Wiem, że nie jest gotowa na moje wyznanie, ale przecież nigdy nie będzie. Po prostu muszę to zrobić. Wybiegam zza mauzoleum, obejmuję ją i mówię:

– Wszystko w porządku, Mak. Jestem tu. To ja, Lucy. Wszystko będzie dobrze.

Mak piszczy, odpycha mnie, wstaje i krzyczy:

– Co z tobą?! Jesteś kompletną wariatką. Jak śmiesz twierdzić, że jesteś Lucy?

Wyciągam ręce w górę, chcąc, by się uspokoiła, i mówię drżącym głosem:

– Mak, wysłuchaj mnie. Powiem ci coś, w co nie uwierzysz, ale przysięgam, że to prawda.

– Nie chcę nic od ciebie usłyszeć i *przestań* mnie nazywać Mak! – krzyczy wzburzona. – Wiem, że nie powinnam była ci pomagać. Teraz już nigdy nie zostawisz mnie w spokoju.

– Słyszałam, co powiedziałaś przed chwilą. Nie chcę, żebyś tak cierpiała – mówię zdesperowana.

– Śledzisz mnie. Odczep się, bo wezwę gliny! – grozi mi.

Waham się, czując się tak, jakbym miała za chwilę wyskoczyć z samolotu bez spadochronu. Jednak muszę pokładać wiarę w Mak.

– W grobie spoczywa ciało Lucy Burgess, ale bez mózgu – wypalam.

– Co to za...

– Wysłuchaj mnie, proszę – przerywam jej. – Lucy *nie umarła*. Była w stanie krytycznym, o czym wiesz, bo widziałaś ją w klinice, lecz nie pozwolili jej umrzeć. Zrobili jej operację, z gatunku tych, które, jak wszyscy myślą, zdarzają tylko w filmach fantastycznonaukowych. Wyjęli z głowy umierającej dziewczyny mózg i włożyli go do głowy innej dziewczyny – tej! – Uderzam dłońmi w klatkę piersiową.

Zastygła w bezruchu Mak spogląda na mnie z odrazą.

– Jestem Lucy Burgess, choć mam cudze ciało, bo mój jest mózg i moje są oczy. Spójrz w nie, Mak. Nie widzisz, że mówię prawdę? – pytam z rozpaczą.

Mak patrzy na mnie jak na wcielonego diabła, lecz muszę kontynuować tę opowieść. Muszę przekonać moją przyjaciółkę, że mówię prawdę.

– Jak sądzisz, dlaczego państwo Burgess wzięli mnie do swojego domu zaledwie kilka miesięcy po śmierci ich córki? Wszystko zaplanowali. Niestety, nie wiedziałam o niczym, dopóki nie obudziłam się w ciele tej dziewczyny.

Mak rozgląda się dookoła, jakby szukała pomocy, i wolno cofa się w stronę ścieżki.

– Nie odchódź! – wołam. – Mogę to udowodnić. Spytaj mnie o cokolwiek, o czym wiedziała tylko Lucy.

– Nie zbliżaj się do mnie – przestrzega mnie drżącym głosem.

– Pamiętasz, jak mi przysłałaś SMS-em rozwiązania zadań z algebry w arkuszu egzaminacyjnym na lekcji z panią Hopkins? Kiedy pisałaś tego SMS-a, ciągle przechodziła koło twojej ławki i niczego się nie domyśliła.

Mak jest wyraźnie zmieszana.

– A kiedy zachorowałam i mnie odwiedzałaś, nie mówiłaś „Żegnaj, Lucy”, lecz *arrivederci*, bo uważałaś, że dzięki temu będę żyła.

Otwiera usta ze zdumienia.

– A tę dżinsową kurtkę, która wisiała w mojej garderobie, pożyczyłaś mi na wycieczce do planetarium. Kiedy zrobiło mi się zimno, okryłaś mnie nią. Znudziła nas ta naukowa wystawa, więc poszliśmy na film do multipleksu. A poznałyśmy się pierwszego dnia w Bailey Heights, kiedy wysiadając z samochodu mamy, potknęłam się i upadłam, a ty pomogłaś mi wstać, tak jak dziś w szkolnej stołówce. Zawsze mnie wspierałaś, Mak. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką. – Łzy napływają mi do oczu. Rozpaczliwie pragnę ją uścisnąć i usłyszeć, że mi wierzy.

– Kto... ci to wszystko... powiedział? – pyta, jękając się.

– Nikt mi niczego nie powiedział. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Spytaj mnie o cokolwiek! – wołam wzburzona.

Podnosi z grobu granitowy wazon i przestrzega mnie:

– Nie zbliżaj się do mnie nawet na krok, bo rzucę nim w ciebie.

– Okej – mówię, starając się zapanować nad drżącym głosem, i znowu przemawiam do niej żarliwie: – Rozumiem cię. Jest ci trudno przyswoić sobie to wszystko, ale powinnaś znać prawdę. Nie chcę, żebyś uważała mnie za zmarłą, bo to cię wykańcza. Opanuj się, Mak, i powiedz mi, co chcesz wiedzieć. Może to, jak zadurzyłaś się w panu Kendricku?

– O czym ty mówisz? – pyta, gwałtownie wciągając powietrze.

– Od początku nauki w Bailey Heights jesteś zakochana w naszym nauczycielu angielskiego. Napisałaś na jego cześć sonet miłosny i kazałaś mi wsunąć kartkę z nim pod wycieraczkę samochodu pana Kendricka. To było na szkolnym parkingu. Okropnie się bałam, że ktoś mnie zobaczy i uzna za autorkę jakiegoś głupiego wierszydła. Schowałyśmy się za boczną ścianą zadaszonego parkingu dla rowerów, bo chciałaś zobaczyć minę pana Kendricka, gdy przeczyta ten wiersz. Czekaliśmy tam strasznie długo, zanim wyszedł ze szkoły. Kiedy w końcu wziął tę kartkę do ręki i rzucił na nią okiem, zaczerwienił się jak burak. Wtedy szepnęłaś mi do ucha, że jeśli nie zemnie kartki i jej nie wyrzuci, będzie to znaczyło, że sonet mu się podoba. I że w głębi duszy będzie wiedział, od kogo jest. Gdy zobaczyłaś, że wkłada kartkę do kieszeni, omal się nie posusiałaś ze szczęścia. Powiedziałam ci wtedy: „On nie zatrzymał jej dlatego, że spodobał mu się wiersz, lecz jako dowód dla policji, potrzebny, by móc przyjść do ciebie i oskarżyć cię o stalking”. – Po tym monologu z trudem łapię oddech.

– Skąd to wszystko wiesz? – pyta cichym głosem Mak.

– Bo tam byłam. Bo jestem Lucy Burgess, twoją najlepszą przyjaciółką – oświadczam entuzjastycznie.

– Nie! Spadaj stąd. Najwyraźniej Lucy opowiedziała o wszystkim mamie, a ona tobie. Wyciągnęłaś od pani Burgess wszystko, co się dało, na temat Lucy, żebyś mogła mi to zrobić? Kręci cię to?! – krzyczy Mak.

– Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, że powiedziałam mamie o panu Kendricku? – pytam urażona. – To była nasza tajemnica. Kazałaś mi przysiąc na życie Arthura, że nikomu o tym nie powiem. Gdybym się wygadała, wszyscy odsunęliby się ode mnie.

Mak gwałtownie kręci głową i oświadcza:

– Bredzisz. Oglądałam takie rzeczy w telewizji. Zachowujesz się jak czytająca w myślach mentalistka, która ingeruje w umysły nieznanym, albo oszustka zdobywająca wszelkie możliwe informacje na temat życia osobistego obcych osób, o czym, jak sądzi, nie mają one pojęcia. Dlaczego mi to robisz? Dlatego, że nie chciałam się z tobą zaprzyjaźnić? W ten sposób się za to mścisz?

– Nie chcę cię zranić, Mak. Mówię ci prawdę. Gdybyś zobaczyła moje pochowane ciało, przekonałabyś się, że brak w nim mózgu i oczu, ponieważ są tu! – krzyczę, wskazując dłonią moją głowę i oczodoły. – Pokażę ci, co mi zrobili. Patrz. – Chwytam za włosy peruki i ciągnę. Zaciskam z bólu zęby, odrywając ją od głowy wraz z kępkami znajdujących się pod nią odrośniętych włosów, do których została przyklejona. Po chwili mi się to udaje. Rzucam ją na ziemię, a następnie zdejmuję bluzkę. Odwracam się do mojej przerażonej przyjaciółki tyłem i dodaję: – Spójrz na mnie, Mak. Spójrz na tę bliznę na karku wzdłuż kręgosłupa i na ślad po wycięciu otworu w czaszce dawczyni, której usunięto mózg i oczy i zastąpiono je moimi. To właśnie mi zrobili. Byłam gotowa na śmierć. Ale rodzice uwięzili mnie w ciele tej dziewczyny, bo nie mogli znieść mojego odejścia. – Zalewam się łzami.

Rozlega się huk wypadającego z bezwładnych rąk Mak granitowego wazonu. Moja przyjaciółka pochyla głowę i wymiotuje. Ocierając drżącymi dłońmi usta, zaczyna płakać. Wyciągam do niej ręce. Niestety, odsuwa się ode mnie. Cała się trzęsie.

– Jesteś w szoku, Mak. Usiądź, aby ochłonąć – radzę jej.

Jej oddech staje się szybszy i głośniejszy, a źrenice się rozszerzają. Robię w jej stronę krok, ale odwraca się i ucieka z cmentarza przerażona, potykając się o korzenie drzew i wpadając na nagrobki.

ROZDZIAŁ 30

KLAMCZUCHA

Otwierając mi drzwi, mama bierze głęboki oddech i woła:

– Lucy, co ci się stało?! Masz rozczochrane włosy i do połowy rozpiętą bluzkę. Czy ktoś cię napadł?

– Nie. Wszystko w porządku, mamó – uspokajam ją, po czym wchodzę do holu i poprawiam przekrzywioną perukę.

Mama ujmuje moją twarz w dłonie i mówi:

– Płakałaś. Co się stało, kochanie? Czy Josh Dartmere zrobił ci w szkole coś złego?

– Wyznałam prawdę Mak – odpowiadam i zagryzam wargi.

Odsuwa dłonie od mojej twarzy.

– Jaką prawdę? – pyta, choć się domyśla.

– O transplantacji. O tym, kim rzeczywiście jestem – oznajmiam.

Mama blednie.

– Musiałam. Byłyśmy na moim grobie. Ona jest w depresji... głębokiej depresji. Musiałam powiedzieć jej prawdę – tłumaczę.

– Jak na to zareagowała? – pyta mama, przysuwając drżące dłonie do ust.

– Była przerażona. Uciekła stamtąd – odpowiadam i zaczynam szlochać.

Podchodzę do niej, chcąc, żeby mnie objęła, ale ona chwyta za komórkę.

– Muszę zadzwonić do twojego ojca – mówi. – Chcę, aby tu zaraz przyjechał. Ty idź na górę i doprowadź się do porządku. Nie dzwoń do Mak i nie odbieraj telefonu. Potrzebuję czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić.

Tata chyba przekroczył obowiązującą w mieście prędkość, bo już po trzydziestu minutach usłyszałam ryk silnika jego samochodu na podjeździe.

– Gdzie ona jest?! – krzyczy tak, że słychać go w całym domu. Kiedy zaniepokojony Arthur zaczyna szczeekać w kuchni, woła do mamy: – Gemmo, ucisz tego psa!

Przeglądam się w lustrze toaletki, aby się upewnić, że moja wyszczotkowana peruka jest dobrze przymocowana do obolałej skóry głowy. I jestem już przebrana w strój domowy, którym zastąpiłam wygnieciony mundurek. Chcę, by tata nie stresował się przynajmniej moim wyglądem. Idę na dół, żeby się z nim skonfrontować.

Gdy schodzę po schodach, przeszywa mnie spojrzeniem i mówi drżącym głosem:

– Dlaczego to zrobiłaś, Lucy? Dlaczego? Zabiorą cię nam! Musisz być Renee, żebyśmy mogli cię chronić.

– Nie sądzę, by Mak mi uwierzyła – szlocham. – Próbowałam ją przekonać, że mówię prawdę. Pokazałam jej blizny. Powiedziałam o różnych rzeczach, o których wiemy tylko ja i ona. Mimo to uznała, że jestem mentalistką czytającą w cudzych myślach lub oszustką, która dowiedziała się wszystkiego na jej temat od was.

Tata idzie do barku i nalewa sobie whisky.

– To w niczym nie pomoże, Lewis – przestrzega go mama. – Musimy jasno myśleć. – Głos jej się załamuje.

Tata patrzy jej w oczy i wypija alkohol jednym haustem.

Dzwoni telefon mamy. Na ekranie wyświetla się ikona matki Mak.

– Nie odbieraj – nakazuje jej tata.

– Musimy się z tym zmierzyć. Ten problem sam nie zniknie – oznajmia mama i mówi do

sluchawki: – Cześć, Monico. Co się stało? Jesteś zdenerwowana... Tak, Renee jest w domu... Oczywiście... Jeśli uważacie, że powinniście poinformować nas o tym osobiście, przyjdźcie, ale dajcie mi godzinę. Jestem w trakcie załatwiania czegoś bardzo ważnego... Tak, Lewis też będzie... Okej. Do zobaczenia. – Wyłącza komórkę i odwraca się do nas. Staje prosto, splata palce dłoni, zapewniając nas w ten sposób, że panuje nad sytuacją, i mówi spokojnym tonem: – Przyjdzie tu Makayla z rodzicami. Lewis, proszę, zachowaj trzeźwy umysł. Lucy, powtórz nam to, co powiedziałaś Makayli, i zgódź się na *wszystko*, co polecę ci zrobić. Mamy godzinę na uporządkowanie tego, co im przekazemy. Poradzimy sobie.

Gdy w bramie dzwoni dzwonek, tata podchodzi do wideodomofonu i mówi:

– Cześć, Barry, wjeżdżaj.

Mama nakazuje mi surowym tonem:

– Lucy, idź do swojego pokoju. Zejdiesz na dół, gdy cię zawołam. Nie możesz popełnić żadnego błędu! Rozumiesz?

Potulnie kiwam głową i idę do siebie. Na schodach obserwuję, jak zaniepokojony tata stoi pod frontowymi drzwiami.

Zostawiam moją sypialnię otwartą, więc słyszę, jak Mak i jej rodzice wchodzą do holu. Witają się z moimi w napięciu. Tata jest spięty i formalny, choć dotychczas on i ojciec Mak po męsku ściskali sobie dłonie i klepali się po plecach.

– Zapraszamy do salonu – mówi mama. – Lewis i ja jesteśmy zaniepokojeni tym, co usłyszeliśmy.

Gdy zamykają za sobą drzwi, nic nie słyszę. Krążę po pokoju, wyobrażając sobie przebieg ich rozmowy, ale nie mogę znieść tego, że nie wiem, o czym mówią. Postanawiam zejść na dół, aby się tego dowiedzieć. Zdejmuję buty, ostrożnie schodzę po schodach i frontowymi drzwiami wychodzę na dwór. Idę pod boczną ścianą domu do miejsca, gdzie jest salon. Przez otwarte okno słyszę ich rozmowę. Klękam i zaglądam do środka. Wszyscy są poważni. Mak i jej rodzice siedzą po jednej stronie stolika do kawy, a moi rodzice po drugiej. Z powodu panującego napięcia atmosfera w salonie jest duszna. Wydaje się, że nie ma tam czym oddychać, jak latem przed burzą.

– Powiedziała nawet, że leżące w grobie ciało Lucy jest pozbawione mózgu i oczu, bo to *ona* je ma! – oznajmia wzburzona mama Mak i pyta: – Czy nie tak, Makaylo?

Mak w milczeniu kiwa głową. Wygląda na zdruzgotaną. Ma opuchnięte od płaczu oczy i czerwone plamy na twarzy.

Tata przesuwa dłonie po policzkach, ciężko wzdycha i odpowiada jej:

– Powiedziałem Renee, że przeznaczylimy niektóre organy Lucy na badania medyczne. Straciliśmy naszą córkę, ale chcieliśmy zrobić wszystko, co było w naszej mocy, by wspomóc walkę z tą chorobą. Nie mogę uwierzyć, że Renee wykorzystwała to w jakiejś swojej chorej fantazji.

– A co z bliźniami, które mi pokazała? – pyta stłumionym głosem Mak, jakby wciąż była w szoku. – Skąd je ma?

– Najwyraźniej pochodzą z wypadku samochodowego, który miał miejsce, kiedy znajdowała się jeszcze pod opieką matki. Jej matka wzięła jakieś narkotyki i go spowodowała. Renee wypadła przez przednią szybę. Była bliska śmierci – wyjaśnia tata, odpinając górny guzik koszuli, bo jest gorąco i na materiale pojawiają się plamy potu.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi mama, roniąc łzę. – To dla mnie szokujące, że Renee tak potwornie okłamała Makaylę. Wiedzieliśmy, że wiele w życiu przeszła. Niestety, nie mieliśmy pojęcia, że ma aż tak tak zaburzoną psychikę.

Przyglądam się jej w osłupieniu, bo nie wiedziałam, że potrafi kłamać po mistrzowsku.

Ma tak przekonujący ton głosu i wyraz twarzy, jakby wierzyła w każde wypowiedane przez siebie słowo.

– Kiedy się u was pojawiła, Monica i ja nie chcieliśmy jej osądzać – włącza się do rozmowy Barry. – Mieliśmy nadzieję, że jest uczciwa. Jednak obecnie staje się jasne, że was wykorzystuje. – Patrzy na moich rodziców ze współczuciem.

– Wykorzystuje? – powtarza za nim mama.

– Tak, Gemmo – odpowiada jej z powagą Monica. – Wygląda na to, że ta młoda kobieta jest manipulatką. Gdy was poznała, bez wątpienia zauważyła, jacy jesteście zrozpaczeni po stracie Lucy, i wykorzystała to. Wykorzystała waszą żalobę do tego, by wkraść się do waszych serc i waszego życia. Spójrzcie tylko, jak szybko się u was zadomowiła i poczuła się zachęcona do przeniesienia się tutaj. Nakłania was do kupowania jej różnych rzeczy i wydawania dla niej wielkich przyjęć urodzinowych. Wiedziała, że Lucy zostawiła w waszym życiu straszną pustkę. Że chcieliście jakoś poradzić sobie z tą stratą, udzielając pomocy innej młodej osobie. Wykorzystuje was do swoich celów.

Mama z niedowierzaniem kręci głową i obraca na palcu obrączkę.

– Ale skąd Renee dowiedziała się tego wszystkiego o mnie i Lucy? – pyta po cichu Mak, krzyżując dłonie na piersiach.

– A co wie? – pyta tata.

Mak z zakłopotaniem patrzy w podłogę i mówi:

– Wszystko o panu Kendricku.

– O tym, że zadurzyłaś się w angiłście? – pyta łagodnie mama, spoglądając na nią ze zrozumieniem.

– Wie pani o tym? – dziwi się zaczerwieniona Mak.

– Owszem. I o wierszu, który kazałaś Lucy wsunąć pod wycieraczkę jego samochodu – odpowiada cichym głosem mama.

– Lucy to pani powiedziała? – pyta Mak ze łzami w oczach.

– Tak. Rozmawialiśmy o wszystkim – potwierdza mama.

– A przysięgała, że nikomu o tym nie powie – mówi Mak. Z przejęcia drżą jej usta.

Nie mogę tego znieść! Mam ochotę krzyknąć, że nigdy nikomu nie zdradziłam jej sekretów.

Mama pochyla się ponad stolikiem i głaszcze ją po ręce, zapewniając:

– Nie wyśmiewała się z ciebie, Makaylo. Ona cię kochała. Po prostu uwielbiała opowiadać o tym, co wam się przydarzało.

– I ty powtórzyłaś Renee te wszystkie historie na temat Makayli i Lucy? – dziwi się Monica.

– Niestety, tak – wyznaje z zawstyżeniem mama. – Renee zawsze interesowała się Lucy, a ja miałam potrzebę mówienia o niej. Sprawiało mi ogromną przyjemność opowiadanie komuś o tych wszystkich wydarzeniach. Przynosiło mi to pocieszenie. Czułam się wtedy bliżej Lucy.

Tata obejmuje ją i mówi:

– Wszystko w porządku, Gemmo. Nie zrobiłaś nic złego.

– Nie obchodzi mnie, jak trudne życie miała Renee, bo to nie jest żadne usprawiedliwienie jej zachowania. Być może cierpi na zaburzenia psychiczne albo zwyczajnie jest złym człowiekiem. Tak czy inaczej musicie, Gemmo i Lewisie, pozbyć się jej z waszego życia! – oznajmia podniesionym głosem tata Mak.

Mak podchodzi do oszklonej szafki z umieszczonymi tam przez tatę pamiątkami po mnie i z niedowierzaniem ogląda moje zdjęcia. Po chwili mówi:

– Ufałam Lucy. Ze wszystkiego się sobie zwierzyliśmy. Nie mieści mi się w głowie, że

opowiedziała pani o wszystkich moich osobistych sprawach. – W jej oczach pojawiają się łzy.

– Makaylo, nie możesz uważać, że ta dziewczyna mówi prawdę. Rozumiem, jak bardzo chciałabyś mieć Lucy przy sobie. Renee o tym wie i prowadzi z tobą perfidną grę. Jest niegodziwa! – wybucha mama Mak.

– Chcę ją zobaczyć – mówi spokojnie Mak.

Jej tata podnosi ręce w geście protestu i oznajmia:

– To nie jest dobry pomysł, Makaylo. Nie powinniśmy dawać tej dziewczynie kolejnej możliwości sprawienia ci bólu.

– *Chcę ją zobaczyć!* – powtarza głośniejszym głosem Mak.

– Monico, Barry, zawołamy tu Renee – włącza się do rozmowy mama i przejmuje kontrolę nad sytuacją. – Skoro Makayla pragnie z nią porozmawiać i zdobyć absolutną pewność, że ta dziewczyna kłamie, to najlepiej, jeśli stanie się to teraz.

Z niechęcią kiwają głowami.

– Jest w swoim pokoju. Pójdę po nią – proponuje tata.

Z powodu tego, co tu od jakiegoś czasu widzę i słyszę, jestem odrętwiała. Dopiero po wyjściu taty z salonu uświadamiam sobie, że muszę wrócić do domu. Pędzę do frontowych drzwi i wpadam do holu, gdy tata jest już w połowie schodów.

– Tato – wołam go cichym głosem.

Krzywi się i strofuje mnie:

– Na litość boską, czy ty nie potrafisz zrobić nic, o co się ciebie prosi? Marsz do salonu!

Gdy wprowadza mnie tam, czuję się tak samo jak przed wyrzuceniem z zespołu cheerleaderek.

Mama Mak spogląda na mnie z obrzydzeniem, a jej tata prychnie z dezaprobatą.

– Ostatnim razem, kiedy widziałam Lucy, prosiła mnie, abym coś dla niej zrobiła – mówi Mak, patrząc mi w oczy. – Jeśli jesteś Lucy, to wiesz, co to było. – Spogląda na mnie niemal błagalnie.

Prosiłam, żebyś powiedziała moim rodzicom, by przestali mnie leczyć i pozwolili mi umrzeć. Mój umysł, ciało i dusza nie mogły już tego znieść. Byłam gotowa na śmierć. Ale ty mi nie pomogłaś. Nie mogłaś pozwolić mi odejść. Wtedy potrzebowałam twojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek indziej, choć czułam, że mnie zawiedziesz. Próbowałam nakłonić cię do powiedzenia mi „Żegnaj, Lucy”. Niestety, nie chciałaś tego zrobić. Wyszłaś z pokoju. Byłam za to na ciebie zła i taką mnie zapamiętałaś z naszego ostatniego spotkania. Ale już się na ciebie nie gniewam. Bardzo cię lubię, Mak. Dlatego dobiega mnie sytuacja, w której się znalazłaś. Chcę tu być ze względu na ciebie. Chcę, abyś wiedziała, że Lucy jest tu ze względu na ciebie.

– Czekam. Powiedz mi, co to było – domaga się Mak.

Jeśli jej powiem, nie będzie już odwrotu. Prawda wyjdzie na jaw. Moi rodzice pójdą do więzienia i wszyscy dowiedzą się, kim jestem.

– Mów! – woła zniecierpliwiona Mak.

– Nie mogę. Nie było mnie tam. Nie jestem Lucy – mówię cichym głosem, choć pęka mi serce.

Mak jest bliska płaczu.

– Widzisz, Makaylo? Ta dziewczyna przyznała się do tego. Jest kłamczuchą. Niewyobrażalną kłamczuchą! – krzyczy jej mama, celując we mnie palcem.

– Dlaczego to zrobiłaś, Renee? – pyta moja mama. – Dlaczego sprawiłaś nam taki ból?

Staram się zachować zimną krew, bo muszę odegrać wyznaczoną mi rolę. Odpowiadam więc mamie:

– Przepraszam. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Może chcę być Lucy? Mieć to wszystko,

co ona miała: fantastycznych rodziców i wspaniałą najlepszą przyjaciółkę? Bardzo cię przepraszam, Makaylo. To, co ci zrobiłam, jest niewybaczalne. Państwo Burgess, po tym, co dla mnie uczyniliście... jest mi strasznie wstyd. Idę się spakować i więcej mnie nie zobaczycie.

– Doskonale! – wybucha Mak. – Mam nadzieję, że zdechniesz na ulicy, ty świrusko!

Wychodzę powoli z pokoju, odprowadzana wzrokiem przez moją rozwścieczoną przyjaciółkę.

ROZDZIAŁ 31

WYBIERAJ

Leżę dwa metry pod ziemią, ale słyszę stłumiony głos Mak, jakby krzyczała do mnie zza grubego muru. Klęczy i garściami wybiera ziemię z mojego grobu, błagając:

– Poczekaj, Lucy!

– Dalej, Mak. Jesteś już blisko! – wołam do niej z bijącym sercem.

Gdy jej mowa staje się wyraźniejsza, przepelnia mnie radość. Słyszę dudnienie jej butów na wieku trumny, a po nim gwałtowne drapanie w mahoniowe drewno. Próbuje ją otworzyć!

– Nawet nie drgnie! – mówi. – Wyjdę z grobu, a ty podnieś wieko od środka. Możesz?

Nie zawiodę jej. Nie wiem, skąd mam tyle siły, ale czuję jej przyływ w tej wyścielanej materiałem trumnie, gdy dłońmi i stopami pcham wieko do góry. Drewno zaczyna trzeszczeć i rozsypywać się w drzazgi, a wokół wieka pokazują się gwoździe. Panujący w grobie mrok rozjaśniają promienie słońca. Podeksycytowana gwałtownie wciągam powietrze do płuc, kopiąc w wieko i w końcu wyrzucając je do góry. Głowa ciąży mi jak głaz. Wydaje mi się, że nie dam rady jej podnieść. Próbuję wstać, przytrzymując się ścian grobu. Mak wyciąga do mnie rękę, żeby mi pomóc się stamtąd wydostać. Chwytam jej dłonie, a ona pochyła się i zagląda do grobu.

Nagle zaczyna przeraźliwie krzyczeć i puszcza mnie, gdyż w stronę otwartego grobu biegną ludzie. Widzę dziesięć, potem dwadzieścia, a ostatecznie trzydzieści osób: uczniów naszej szkoły, gości z mojego przyjęcia urodzinowego, rodziców Mak, pana Kendricka, dyrektorkę szkoły, babcię, cheerleaderki, Josha Dartmere i członków drużyny piłkarskiej. Wszyscy są przerażeni i... zbulwersowani.

– Co to jest? – pyta Ruby, wskazując mnie palcem i krzywiąc się, jakby oglądała makabryczne widowisko.

– To ja, Lucy! – krzyczę, ale z moich ust nie wychodzi żaden dźwięk.

– To obrzydliwe – komentuje Josh.

– Nieprawda! Nie widzisz? To ja, Lucy Burgess! – wołam.

Gdy błagalnym gestem wyciągam do niego rękę, zauważam na moich nadgarstkach grube czarne szwy w miejscu, gdzie dłonie były przyszyte do ramion. Czuję, że coś ściska mnie za gardło, i przesuwam palcem po szorstkiej zygzakowatej nici łączącej moją głowę z szyją. Chwieję się, odchylając do tyłu i uderzając rękami w ściany grobu.

Nagle tłum się rozstępuje i wysuwa się z niego ktoś ubrany jak pastor na pogrzebie. Ma twarz doktora Radnora. Staje nade mną, odwraca się w stronę kopczyka ziemi, bierze jej garść i rzuca we mnie.

– Mak, proszę, pomóż mi! – krzyczę przeraźliwie.

Ale ona patrzy na mnie w milczeniu. Lekarz nakłada jej na dłoń trochę ziemi, lecz ta dłoń drży i ziemia przesypuje się między palcami.

– Zrób to! Zrób to! – podjudzają ją zebrani, chcąc, by we mnie rzuciła.

– Zrób to, Makaylo! – wrzeszczy jej mama.

Próbuję kręcić głową, bo jakoś muszę dać znać Mak, by tego nie robiła.

– Nie, Mak! Nie!!! – wołam.

Nie patrząc na mnie, Mak wsypuje ziemię do grobu i niknie w tłumie, ponieważ inni wysuwają się do przodu. Spada na mnie czarny deszcz. Próbuję się przed nim osłonić, krzycząc rozpaczliwie, aby ludzie przestali we mnie rzucać. Niestety, ziemia wypełnia mi usta i dusi mnie. Upadam na plecy. Próbuję wstać, jęcząc, jednak ziemia coraz bardziej mnie przytłacza. Z każdą

sekundą przykrywa mnie coraz grubszą warstwą. W końcu przestają do mnie docierać głosy pomstujących na mnie ludzi. Rozpaczliwie próbuję ją odgarnąć palcami z twarzy i ust, ale otacza mnie ciemność. Proszę... błagam, pomóżcie mi! Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać...

– Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać! – krzyczę, budząc się.

– Lucy! Wszystko w porządku. Uspokój się – mówi mama, stojąc nade mną i zdejmując z mojego łóżka przepocone koce.

– Co ty sobie zrobiłaś? – woła, biorąc mnie za rękę.

Czuję, że moje usta są spuchnięte. Pieką mnie, jakby w środku coś je drażniło. Gdy przysuwam do nich dłoń, mama krzyczy:

– Nie dotykaj! Trzeba je umyć.

Prowadzi mnie półprzytomną do łazienki, gdzie próbuje zasłonić swoim ciałem lustro. Jednak widzę moje nabrzmiałe usta. Są dookoła poplamione krwią, jakbym ją piła. Krzywię się z bólu, gdy otwieram je powoli, chcąc zobaczyć, jak są poranione wewnątrz. Widzę skaleczone paznokciami dziąsła i język, który jest spuchnięty, a w miejscach zadrapań sączy się z niego krew. Zęby też są poplamione krwią.

– Miałam w ustach ziemię – popiskuję. – Musiałam się jej pozbyć. Zakopywali mnie żywcem.

Mama mnie obejmuje. Czuję, jak drży, szepcząc mi do ucha:

– Wszystko będzie dobrze. Poradzimy sobie z tym. Przyrzekam.

Mama nie przestaje mi nadskakiwać. Zabiera mnie do zalanej słońcem kuchni i każe pić mleko przez słomkę. Mimo to za każdym razem gdy otwieram usta, cierpię.

– Tata wkrótce przywiezie lody. Uśmierzą twój ból – zapewnia mnie i głaszcze po peruce, jakby to były moje włosy, ale nie mogę się uspokoić.

Tata zaniemówił na widok tego, co sobie zrobiłam. Bardzo go to przygnębiło. Długo nie był w stanie wyjść z domu.

– Wkrótce będzie po wszystkim. Usta szybko się goją. Za parę dni będziesz wyglądała tak jak zwykle – pociesza mnie mama, jednak w wyrazie jej oczu dostrzegam udrękę.

Słyszając, że ktoś otwiera frontowe drzwi, spoglądamy w tamtą stronę.

– Hej, wrócił nasz lodziarz! – woła pogodnym głosem mama.

– O co chodzi, Gemmo? Spodziewałaś się kogoś z lodami? – pyta babcia.

„Nie może mnie zobaczyć w takim stanie!!!”. Gorączkowo rozglądam się za miejscem, w którym mogłabym się ukryć.

– Idź do pomieszczenia gospodarczego! – syczy mama, zmierzając do holu, by tam zatrzymać babcie.

Wchodząc pospiesznie za szklane drzwi, budzę Arthura, który zaczyna na mnie szczekać.

– Co się dzieje z Arthurem? – pyta babcia, gdy wchodzi do kuchni. – Szczeka, jakby był rozdrażniony. Trzeba go wypuścić.

– Nie! – protestuje mama. – Nic mu nie jest. Nie zwracaj na niego uwagi. Zaraz się uspokoi.

Odsuwam się od mojego psa, a wówczas on przestaje szczekać i kuli się ze strachu w kącie, nie spuszczając mnie z oka.

– Gdzie jest Renee? – pyta zimnym tonem babcia.

– Właśnie wyszła z domu – kłamie mama.

– Nie idzie dziś do szkoły? – dziwi się babcia.

– Nie... Uznałiśmy, że Bailey Heights nie jest dla niej właściwym miejscem. Rozglądamy się za innymi możliwościami – odpowiada mama, jakby nic się nie stało.

– A ja myślałam, że dobrze sobie tam radzi. Została przyjęta do zespołu cheerleaderek,

zdobyła nowych przyjaciół – nie przestaje się dziwić babcia.

– Tak, ale uważam, że ta szkoła nie zapewnia odpowiedniego poziomu... nauczania – oznajmia w napięciu mama, starając się zadowolić babcie tą zdawkową odpowiedzią.

Przysuwam się do szklanych drzwi, aby lepiej słyszeć ich rozmowę, bo Arthur zaczął skomleć.

– Och, naprawdę? Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć na temat Renee? O jakichś innych jej problemach? – pyta surowym tonem babcia.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – odpowiada swobodnym tonem mama.

– Nawet o tym, co powiedziała Makayli: że jest Lucy? – nie daje za wygraną babcia.

Czuję przyspieszone bicie serca, zaglądając przez szklane drzwi do kuchni.

– Kto ci o tym powiedział? – warczy mama.

– Monica. Mówi mi o wszystkim. Wiem, że byli tu wczoraj – oświadcza babcia. Jest w bojowym nastroju.

– Dziękuję za troskę, ale nie ma powodu do niepokoju. Sprawa jest załatwiona – ucina mama.

– Gdyby tak było, ta młoda kobieta nie mieszkałaby już w tym domu. Monica odniosła wrażenie, że ona wyjeżdża – oznajmia babcia i grozi mamie palcem.

Mama prowokująco mruży oczy i oświadcza zapalczywie:

– Postanowiła wyjechać zawstydzona tym, że tak potwornie nakłamała. Jednak po namyśle ja i Lewis uznaliśmy, że chcemy, by u nas została. Zapewnimy jej pomoc, jakiej potrzebuje... pomoc psychiatryczną, którą gwarantują specjaliści. Po tym, co przeszła, nie można jej obarczać odpowiedzialnością za to, że jest w takiej rozsypce.

Babcia ciężko wzdycha i niezrażona przekonuje mamę:

– Kochanie, musisz mnie wysłuchać. Nieprzyzwoite kłamstwa, których ta dziewczyna naopowiadała, nie są twoim jedynym problemem. Uważam, że ona może być dla ciebie niebezpieczna.

– O czym ty mówisz? – dziwi się mama i śmieje się nerwowo.

– Musisz mi to wybaczyć, Gemmo, gdyż zrobiłam coś, żeby cię chronić. Rozpaczająca po stracie dziecka matka jest taka bezbronna... Zatrwożyło mnie, jak szybko uczyniliście tę dziewczynę członkiem swojej rodziny. Dlatego wynajęłam prywatnego detektywa, aby prześledził życie Renee – ogłasza swoją rewelację babcia.

– Co takiego? – pyta z gniewem mama.

– Posłuchaj, Gemmo. On dotarł do akt Renee Wodehouse, mieszkającej w Kalifornii i mającej tę samą datę urodzenia co ta dziewczyna. Uzyskał też wgląd w dokumenty poświadczające, że Renee Wodehouse trafiła do rodziny zastępczej – informuje ją babcia.

– A widzisz! Powinnaś się wstydzić, że podajesz w wątpliwość tożsamość tej dziewczyny – oświadcza mama, kładąc ręce na biodrach.

– Nie! Dziewczyna, którą przyjęliście do swojego domu, okłamuje was. To nie jest Renee Wodehouse. Dokumenty wskazują, że prawdziwa Renee Wodehouse *zmarła* w wieku dwunastu lat! – ogłasza triumfalnie babcia.

Gwałtownie wciągam powietrze do płuc i zasłaniam dłonią spuchnięte usta, aby babcia nie usłyszała żadnego dźwięku.

Mama mruga oczami i nerwowo przekręca na palcu obrączkę.

– To jakiś nonsens! – wykrzykuje.

– To prawdziwa informacja! Detektyw pokazał mi kopię świadectwa zgonu. Ta... *diablica*, którą przyjęliście pod swój dach, podszywa się pod zmarłą dziewczynę! – unosi się gniewem babcia.

Nie mogę oderwać wzroku od mamy. Ma nieustępliwą minę. Ciekawa jestem, co myśli o tym wszystkim.

Gdy sobie uświadamiam, że nadszedł *czas*, aby wyjawić babci prawdę na mój temat, serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Mama nie może ryzykować, że babcia zgłosi na policję dowód mojej fałszywej tożsamości. Bo jeśli tak, to zostanie przeprowadzone dochodzenie i wszystko się wyda. Musi babci zaufać. Niech jej matka w końcu się dowie, kim jestem, i niech to *zaakceptuje*... Niech *zaakceptuje* to, co mi zrobili rodzice. Wtedy ją odzyskam. Siadam na podłodze, podciągam kolana pod brodę i obejmuję je dłońmi. Przepelnia mnie niespodziewana radość.

– Gemmo, usiądźmy – proponuje babcia. – Napijmy się wody. Przykro mi, że mówię ci o tym wszystkim, ale ta dziewczyna wzbudziła we mnie podejrzenia w chwili, w której zobaczyłam ją po raz pierwszy. Za bardzo się spoufalala. Pamiętasz, jak rzuciła mi się na szyję? Było w niej coś, co nie wydawało się w porządku. Próbowala sprawić, żebyś miała na jej punkcie obsesję. Starala się zastąpić ci Lucy.

– Nikomu nie pozwoliłabym zastąpić Lucy – jeży się mama.

– Wiem, kochanie. Musimy zadzwonić na policję. Niech się nią zajmą. Jeśli zrobimy to teraz, przyjadą i będą tu na nią czekali, aż wróci do domu – radzi mamie babcia.

Mama wygląda na spanikowaną. Siada i mówi z naciskiem:

– Nie. Nie ma potrzeby wzywać policji.

OMG! Mama zamierza powiedzieć babci prawdę! Przysuwam się jeszcze bliżej do szklanych drzwi i wstrzymuję oddech.

– Renee wymaga pomocy, nie kary – oznajmia po chwili.

Nie, mamó – mówię w myślach. Proszę, nie trwaj w kłamstwie. Powiedz babci, kim jestem!

– Zgadzam się z tobą – mówi powoli mama do babci. – Ta dziewczyna jest niezrównowazona psychicznie i źle postępuje, lecz nie ma nic łatwiejszego niż się jej pozbyć. Dlatego tego nie zrobię. Należy do tych młodych kobiet, które najbardziej potrzebują naszej pomocy. Chcę zadbać o jej przyszłość. Jest zdolna. Chcę jej pomóc zostać kimś.

– Chyba nie mówisz poważnie, Gemmo – warczy babcia. – Z pewnością Lewis będzie miał inne zdanie na ten temat.

– Na sto procent będzie miał takie jak ja. Ta nowa informacja nie zmieni naszego podejścia. Zamierzamy pomóc Renee – oświadcza mama.

– To jakieś szaleństwo. Jeśli nie chcesz zadzwonić na policję, ja to zrobię – proponuje babcia.

– Nie! Poradzę sobie z tą sytuacją w taki sposób, w jaki chcę – mówi stanowczym tonem mama.

– Ale nie możesz, kochanie. Nie myślisz jasno. Najlepiej będzie oddać ją w ręce władz – upiera się babcia.

– Mamó, kocham cię, jednak musisz pogodzić się z tym, że Renee tu zostaje. Pomożemy jej rozwiązać problemy, z którymi się boryka. A gdybyś miała w sobie współczucie, to byś ją zaakceptowała. Czy nie jesteś chrześcijanką? Czy Jezus nie przyszedł na świat po to, by pomóc grzesznikom? Czy mógłby opuścić Renee? – mówi surowym tonem mama.

– To całkowicie inna sytuacja – broni się zdenerwowana babcia. – Nie wiecie, do czego jest zdolna ta dziewczyna. Może was zadźgać nożem, kiedy będziecie spali.

– Nie bądź śmieszna! – oburza się mama. – Renee może zrobiła coś złego, ale dzięki niej jestem szczęśliwa. Zapominam o swojej rozpacz.

– Gemmo, ta dziewczyna nie jest ci potrzebna do zapełnienia pustki powstałej w twoim

życiu. Możesz wrócić do pracy, a poza tym mamy Fundację imienia Lucy. Pomyśl, ile dobrego możemy zrobić. Potrzebuję twojej pomocy w kierowaniu nią – błaga ją babcia.

– Dość tego! – krzyczy mama i podnosi rękę, aby uciszyć babcię. – To ja podejmuję decyzję, a nie ty. Trzymaj się z daleka od moich spraw. Jeśli złożysz doniesienie na policję lub powiesz komuś, co odkryłaś, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Babcia otwiera usta ze zdziwienia.

– Tak zrobię! – przestrzega ją mama.

– Nie wiesz, co mówisz – odpowiada jej roztrzęsiona babcia. – Naprawdę wybrałaś tę nieznajomą dziewczynę, niezrównoważoną psychicznie manipulantkę, zamiast własnej matki?

– Nie powinnam musieć dokonywać takiego wyboru. To ty stawiasz mnie w takiej sytuacji – odparowuje mama.

Babcia wstaje z krzesła i chwytą się oparcia.

– Wychodzę, Gemmo. Przeżyłaś szok. Nie chcę, żebyś powiedziała jeszcze coś, czego byś potem żałowała – oznajmia, drżąc na całym ciele.

Mama wyciąga rękę i poleca jej:

– Musisz mi oddać klucze. Nie życzę sobie, żebyś sama wchodziła do mojego domu, skoro wpadasz tu tylko po to, by mi narobić kłopotów.

– Co ci się stało? – pyta zdumiona babcia, tracąc oddech.

– Oddaj je! – krzyczy mama z niewzruszoną miną.

Kurczowo ściskam dłońmi kolana, powstrzymując się przed wybiegnięciem do kuchni i wyznaniem babci prawdy. Nie mogę znieść tego, jak mama ją traktuje. Ale przecież babcia nie uwierzyłaby mi, gdyby mama nie potwierdziła tego, co powiedziałabym. Gdybym próbowała przekonać babcię, że jestem Lucy, zobaczyłaby we mnie tylko niezrównoważoną psychicznie manipulantkę Renee, która wykorzystuje jej córkę.

Bezsilnie obserwuję, jak babcia powstrzymuje łzy, kładąc na dłoni mamy klucze.

– Gemmo, proszę, nie rób tego – prosi mamę, nagle słabym głosem.

Mama krzyżuje ręce na piersiach i mówi do niej lodowatym tonem:

– Do widzenia.

Wychodząc z kuchni chwiejnym krokiem, babcia sprawia wrażenie, jakby się postarzała o dziesięć lat.

ROZDZIAŁ 32

ROZWIĄZANIA

Minęły cztery dni od odwiedzin babci i mama jeszcze się do niej nie odezwała. Babcia dzwoniła do taty i błagała go, by przemówił mamie do rozsądku. Usłyszała, że on uważa tak samo jak jego żona i że Renee u nich zostaje. Mama udaje, że nic się nie stało, zachowując się jak maniakałna optymistka. Ale żyje w takim napięciu, że lada chwila może eksplodować jak bomba.

Od poniedziałku nie chodzę do szkoły i nie bywam na mieście. Żyję w stanie zawieszenia, snując się po domu i ogrodzie, nie wiedząc, co się zaraz wydarzy. Nie chcę na nikogo wpaść. Ogarnia mnie przerażenie na myśl o tym, co babcia i Mak rozpowiadają na mój temat: szatańskiej psychopatki, która przyssała się do rodziców Lucy i nastawiła panią Burgess przeciwko własnej matce... Bo co powiem ludziom? Jak się wytłumaczę?

Stojąc w holu, słyszę docierający z sutereny śmiech dziecka. Schodzę po schodach do mojego zaciemnionego pokoju do relaksu. Światło słoneczne dociera tu tylko przez szczeliny przebiegające wzdłuż krawędzi przyciemnionych szyb okien znajdujących się u góry zewnętrznej ściany domu. Na ogromnym ekranie na ścianie po drugiej stronie pokoju widzę siebie jako małe dziecko, za którym tata biegnie po ogrodzie.

– Mamo? – wołam, bo nic nie widzę.

– To ja – odpowiada tata i wstaje z kanapy, lekko się chwiejąc.

– Jesteś tu sam? – pytam.

– Aha. Od niedawna oglądam nasze stare rodzinne filmy i nie ruszam się z miejsca – odpowiada, uśmiechając się do mnie krzywo i podnosząc do ust szklaneczkę z burbonem.

Jest nieogolony i wygląda niechlujnie. Jego rzędzące włosy piaskowego koloru są przetłuszczone. Ma na sobie wygniecioną koszulę. Od tygodnia nie był w pracy. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam.

– Usiądź ze mną – zaprasza mnie, przywołując skinieniem dłoni. – Są świetne nagrania z tobą.

Gdy siadam, obejmuje mnie ramieniem. Przytulam się do niego. Jest lekko wstawiony i czuć od niego dławiący zapach whisky, ale nie ma to dla mnie znaczenia, bo przyjemnie jest mieć go tak blisko.

– Pamiętasz to? – Podekscytowany wskazuje dłonią ekran i dodaje: – Byłaś wtedy w drugiej klasie. Spójrz, jak wchodzisz do basenu. Wygrałaś ten wyścig na milę.

– Oczywiście, że pamiętam. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy cokolwiek wygrałam – potwierdzam ze śmiechem.

– Byliśmy z ciebie bardzo dumni – wspomina tata, całując mnie w głowę.

– Hej, co tam robicie?! – woła mama, stojąc u szczytu schodów i zapalając światło. – Wyłączcie film. Lewis, musimy porozmawiać.

– Nie teraz, Gemmo. Ja i moja córka spędzamy razem czas – odpowiada niezadowolony z jej wtargnięcia do pokoju tata.

„Moja córka” – powiedział, czym sprawił mi ogromną radość. Całuję go w szorstki od zarostu policzek.

Mama ignoruje jego słowa i stojąc przed nami z laptopem, jakby zamierzała wygłosić nam wykład, oznajmia:

– Posłuchajcie, szukałam dla nas najlepszej możliwości, biorąc pod uwagę zaistniałą

sytuację, i znalazłam wspaniałe rozwiązanie.

– Mamo, już ci podałam rozwiązanie: powiedz babci prawdę. Kilka dni temu przegapiłaś taką okazję, ale jeszcze nie jest za późno. Babcia mnie kocha, więc zachowa to dla siebie – mówię z przekonaniem.

Mama wzdycha zniecierpliwiona i odpowiada:

– Nie będę ci ponownie tego tłumaczyła, Lucy. Nie znasz babci tak jak ja. Oczywiście, że cię kocha, ale to nie wystarczy, by jej zamknąć usta. Będzie przerażona tym, co się stało. Uzna, że gramy rolę Boga, pozostawiając cię przy życiu dzięki transplantacji ciała. Dojdzie do przekonania, że jej moralnym obowiązkiem jest poinformować o wszystkim pastora, i zanim się o tym zorientujemy, znowu odwiedzi nas policja.

– Ale ona już wie, że mam tożsamość zmarłej dziewczyny, i będzie chciała powiadomić o tym policję – mówię, gromiąc mamę spojrzaniem.

– Nie robi tego, bo nie chce mnie stracić. Nadal jest przekonana, że odzyskam rozsądek – argumentuje wzburzona mama.

– Wiesz, że jeśli „Renee” zostanie u nas, rodzina Makayli i twoja matka tak tego nie zostawią – przestrzega tata, starając się usiąść prosto. – To ty, Gemmo, dążyłaś do tego wszystkiego. Mówiłem ci, że nie powinniśmy posyłać Lucy z powrotem do Bailey Heights, gdzie wszystkich zna. Uważasz się za taką sprytną, zdolną wszystko przewidzieć i zorganizować, ale to się nie sprawdziło. Bo nie miałaś do czynienia z robotem, którego mogłabyś zaprogramować, aby pełnił swoją funkcję. To jest nasza córka, którą wpędziłaś w traumę, a następnie przywiozłaś do domu, oczekując, że zaakceptuje wszystkie te kłamstwa. – Krzywi się, wypowiadając tak gorzkie słowa.

– Milcz, Lewis! Nie będę strześcić sobie języka, kłócąc się z tobą. Jestem zbyt zajęta rozwiązywaniem problemu. Zaczniemy wszystko od początku. O tym przyszedłam porozmawiać. Wyprowadzimy się stąd – oznajmia z determinacją mama.

– Za nic w świecie! Chcę tu zostać, wśród ludzi, których znam – protestuję spanikowana. Myśl o ucieczce stąd to dla mnie za dużo.

– Jak możesz tu zostać? – warczy mama. – Potrzebujesz konfrontacji z rzeczywistością, młoda damo! Makayla tobą pogardza i nigdy się do ciebie nie odezwie. Nie możesz wrócić do Bailey Heights, a nawet gdybyś mogła, uczniowie zwróciliby się przeciwko tobie. A babcia uważa, że jesteś jakąś diaboliczną albo oszustką, która zabije nas w czasie snu. Nie ma powodu, abyś tu została. Teraz nie masz tu nikogo życzliwego.

Wiem, że ma rację. Po tym, co powiedziała, dostaję mdłości.

– Nie mogę się wyprowadzić z Houston – oświadcza ze złością tata. – Co mam, według ciebie, zrobić z moją pracą?

– Nie musisz tu mieszkać, by móc nadal wykonywać swoją pracę. Możesz kierować firmą, wykorzystując do tego laptopa i Skype’a. A na niezbędne spotkania będziesz latał samolotem – odpowiada mama. Ma szeroko otwarte oczy i mówi za szybko... W każdej chwili może się załamać.

– Gemmo, przestań udawać, że to jest takie łatwe. Tu znajduje się centrala mojej firmy i tu mieszka większość moich pracowników – protestuje tata.

– Chcesz zachwiać moją pewnością siebie, Lewis? Myśl pozytywnie. Znalazłam dla nas cudowny dom w stanie Nowy Jork i doskonałą szkołę dla Lucy. Jest bardzo prestiżowa. Uczniowie osiągają tam najlepsze wyniki – opowiada i podsuwa nam pod nos laptopa.

– Słucham? I zostawiłaś babcię? – pytam z niedowierzaniem.

Po moim pytaniu mama traci pewność siebie.

– Nie ma innej możliwości, ale oczywiście pozostałabym z nią w kontakcie i odwiedzała

ją – zapewnia, mówiąc wyższym niż wcześniej głosem. – Wybacz mi... w końcu.

– A co ja powinnam zrobić? Mam znowu być nową dziewczyną? Starać się zdobyć grono nowych znajomych? Może takich jak ja? – pytam.

– Nie martw się o to, kochanie. Komuś takiemu jak ty przychodzi to łatwo – pociesza mnie mama i ujmuje moją twarz w dłonie.

„Komuś takiemu jak ty” – powtarzam za nią w myślach. Wiem, o co jej chodzi, i jest to dla mnie bolesne.

– Lucy, już raz to zrobiłaś, więc możesz zrobić ponownie. Dołączysz do zespołu cheerleaderek i zdobędziesz wielu wspaniałych przyjaciół – zapewnia mnie w ten maniackalny sposób.

Odsuwam się od niej, z trudem przetykam ślinę i oświadczam:

– Nie wiem, czy tego chcę.

– Oczywiście, że chcesz. Kto by nie chciał? – komentuje i uśmiecha się, ale jest wytrącona z równowagi.

– Mamo, wiem, że wolisz Renee ode mnie – stwierdzam ze smutkiem. – I nie sądzę, że będę taką osobą, jak chcesz.

– O czym ty, u licha, mówisz? – dziwi się.

– Od czasu mojej transplantacji jesteś zupełnie inna – szczęśliwsza i weselsza, gdyż dzięki niej zyskałaś to, co zawsze chciałaś mieć: piękną córkę, cheerleaderkę, z której możesz być dumna i pokazywać ją światu – oświadczam bez owijania w bawełnę.

– Lucy! Jak w ogóle mogło ci to przyjść do głowy? Nigdy więcej nie mów do mnie takich rzeczy – oburza się mama, czerwieniejąc ze złości. A może ze wstydu?

– W ogóle za mną nie tęsknisz? – pytam cichym głosem.

Wzdycha rozdrażniona i pyta:

– Dlaczego miałabym za tobą tęsknić, skoro tu jesteś?

– Mam na myśli córkę, którą urodziłaś i na którą patrzyłaś, jak dorastała – wyjaśniam, uważnie obserwując wyraz jej twarzy.

Waha się, ale po chwili zbiera się w sobie i odpowiada:

– Posłuchaj, jeśli chcę przypomnieć sobie ciebie jako małą dziewczynkę, to siadam i oglądam nasze nagrania, jak teraz twój ojciec. – Wskazuje na niego lekceważąco dłonią. – Lecz bardziej jestem zainteresowana tym, co dzieje się tu i teraz, i naszą przyszłością.

– A co z dziewczyną, którą byłam niecały rok temu? – dopytuję się.

– Nadal jesteś tą dziewczyną, Lucy – przekonuje mnie. – Ale jeśli pytasz, czy tęsknię za torturą oglądania cię, jak umierasz, żałując, że nie mogę zamienić się z tobą miejscami, by oszczędzić ci męczarni, to nie tęsknię za *tą* dziewczyną. Rozumiesz? Nie tęsknię za ciałem, które cię zawiodło. Cieszę się, że już go nie ma, i ty też powinnaś.

Zagryzam wargi. Nie będę płakać. To typowe dla mojej matki prawniczki. Potrafi sprawić, że wszystko brzmi dobrze.

– Nigdzie się nie wyprawdzamy – bronię się przed wyjazdem. – Arthur źle znosi podróże.

Mama zaczyna coś robić na laptopie. Nie patrzy na mnie, gdy odpowiada:

– Arthur nie może udaremnić naszych planów.

– Nie zgadzam się. Porozmawiajmy o nim! – oświadczam wzburzona.

Mama odkłada laptopa na kanapę i nie patrząc mi w oczy, odpowiada:

– Pozostanie tu może być dla Arthura najlepsze. Jest taki nieszczęśliwy. On ciebie nie zna, Lucy. To nie jest twoja wina, ale jak wiesz, boi się ciebie. Trzeba z tym skończyć, bo życie z nami... z tobą działa na niego przygnębiająco. W związku z tym, że wyjeżdżamy, nadszedł

czas, by pozwolić mu odejść.

– Co konkretnie masz na myśli? – szepczę przerażona.

– To, że znajdziemy mu odpowiedni dom. Ludzi, z którymi w szczęściu dożyje swoich dni. Wiem, że to dla ciebie trudne, lecz dla Arthura tak będzie najlepiej. Zabieranie go przez nas do nowego miejsca byłoby wobec niego okrutne – tłumaczy mi mama.

– Nie! Nie pozbędziesz się mojego psa. Tylko on mi pozostał. Sprawię, że zrozumie, kim jestem. Naucz się znowu mnie kochać – protestuję zrozpaczona.

Mama kręci głową i odpowiada mi łagodnie:

– Lucy, starasz się o to już tak długo. To się nigdy nie zdarzy. Ale obiecuję ci, że kiedy zamieszkamy w nowym miejscu, wybierzesz sobie najbardziej uroczego szczeniaka na świecie.

– Sądzisz, że wszystko da się zastąpić czymś innym? – prychnam.

– Jak możesz mówić do mnie coś takiego w sytuacji, gdy tyle zaryzykowałam, żeby zachować cię przy życiu? – pyta, spoglądając na mnie z niesmakiem z powodu mojej niewdzięczności.

– Zrobiłaś to dla siebie, a nie dla mnie! – krzyczę. – Nigdzie się nie przenoszę. Nie zabierzesz mnie z miejsca, w którym się wychowałam, i nie pozbędziesz się mojego psa. Jeśli spróbujesz to zrobić, to obudzisz się pewnego dnia i w domu nie będzie już ani mnie, ani Arthura. I nigdy więcej nas nie zobaczysz.

– Nie powinnaś mi grozić, młoda damo – oświadcza rozgniewana mama. – Tylko ja w tej rodzinie myślę jasno. Nie rozmawiam z tobą, skoro jesteś taka irracjonalna. – Bierze laptopa i idzie po schodach do drzwi.

Gdy wychodzi z sutereny, dzwoni jej telefon, co znaczy, że wrócił sygnał.

– Boże... Założę się, że to znowu mama – zrzędzi.

Idę szybko do holu, a za mną podąża chwiejnym krokiem tata.

– Mamo, jeśli to babcia, powinnaś z nią porozmawiać. Martwi się o ciebie. Powiedz jej prawdę – błagam.

– Wiem, jak sobie radzić z twoją babcią – odpowiada i wyjmuję z kieszeni komórkę. Na widok tego, co widzi na ekranie, przewraca oczami i informuje nas: – To Monica. Wolalabym, żeby zostawiła mnie w spokoju. Lucy, nic nie mów, bo nie chcę, aby usłyszała twój głos... – Po tych słowach mówi zbyt pogodnym tonem do telefonu: – Cześć, Monico! Miło cię słyszeć. – Słuchając słów pani Walker, sztywnieje i krzyczy do słuchawki: – Nie! Nic jej nie było. To nie może być prawda. – Wytrzeszcza oczy i nagle szlocha: – Chcę z nią porozmawiać! Chcę z nią porozmawiać...

– Gemmo, podaj mi telefon – odzywa się tata i wyjmuję aparat z jej kurczowo zaciśniętej dłoni, a następnie mówi do słuchawki: – Co się stało, Monico?

Znieruchomiała mama oznajmia z niedowierzaniem:

– Powiedziała, że moja mama umarła.

ROZDZIAŁ 33

POGRZEB

Z balkonu mojej sypialni widzę na podjeździe czarny samochód zakładu pogrzebowego. Zbiegam po schodach na dół i znowu proszę rodziców:

– Zabierzcie mnie ze sobą, *proszę!* Ukryję się z tyłu kaplicy, gdzieś w kącie. Nikt mnie nie zauważy.

– Przestań, Lucy. To nic nie da. Twoja mama naprawdę bardzo źle się czuje. Nie pogarszaj jej stanu – mówi ponuro tata. – Wiesz, że nie możemy pojawić się z tobą na pogrzebie. – Tata wygląda na wykończonego. Ma sińce pod oczami.

– Wiem, że ludzie obwiniają mnie o śmierć babci – przyznaję ze łzami w oczach. – Zauważyli, że mama woli Renee od swojej matki. Uważają, że to złamało babci serce i dlatego umarła.

– Nie dramatyzuj. Babcia była starszą panią, która dostała ataku serca. Nie kryje się za tym nic więcej – odpowiada nieprzekonany do mojej teorii tata.

Do holu wchodzi mama. Wydaje się taka krucha. Czarny pogrzebowy strój podkreśla bladość jej twarzy.

– Mamo, musisz mi pozwolić pożegnać się z babcią – błagam ją.

– Nie możesz tego zrobić, kochanie. Nie dzisiaj. Za kilka dni odwiedzimy razem jej grób. Obiecuję – mówi. Gdy na jej twarzy pojawia się bolesny grymas, idzie pospiesznie do limuzyny, bo nie chce, abym zobaczyła, że płacze.

– Wrócimy o szóstej – żegna się ze mną tata i całuje mnie w policzek, zapewniając: – Niczemu nie jesteś winna... Niczemu.

Gdy samochód znika mi z oczu, idę na górę i zaczynam przetrząsać zawartość garderoby mamy w poszukiwaniu odpowiedniego stroju. Nie ma mowy, żebym została w domu. Chodzi o pogrzeb babci. Ze względu na nią nie pozwolę im powstrzymać mnie przed uczestniczeniem w nim. Muszę ją zobaczyć po raz ostatni, powiedzieć jej, jak bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, co się stało. Wybieram jeden z ciemnych spodniów mamy, w których chodziła do pracy. Jest tylko odrobinę za długi, nie na tyle, by ludzie to zauważyli. Na półce znajduję czarny kapelusz z szerokim rondem. Upinam włosy peruki, aby móc je pod nim ukryć. Przeglądam się w wiszącym tam wysokim lustrze i opuszczam rondo, chcąc osłonić oczy. Uważam, że tak ubrana nie przyciągnę nikzyjej uwagi. Że zostanę wzięta za jedną z anonimowych uczestniczek pogrzebu.

Schodzę do mojego pokoju do relaksu w suterenie i wybieram z talii kart cztery asy, cztery króle i jednego waleta. Kiedy babcia uczyła mnie i Mak grać w brydża, zawsze ze śmiechem powtarzała, że gdyby miała w ręce takie właśnie karty, umarłaby szczęśliwa. To był żart, ale chcę, aby wiedziała, że o nim pamiętam i że *nigdy* nie zapomnę chwil, które spędziłyśmy razem.

Dzwonię po taksówkę i czekam na nią przed bramą. Wsiadam w pewnej odległości od stojącej na wzgórzu kaplicy. Do środka wchodzi tłum ludzi. Dyskretnie do nich dołączam. Siadam w ostatnim rzędzie w tym wypełnionym kwiatami wnętrzu. Na zewnątrz jest gorąco, a w kamiennych murach panuje przyjemny chłód. W kaplicy jest mnóstwo ludzi. Cieszę się na ich widok, a także na myśl o tym, jak wiele jest osób, na których życie babcia jakoś wpłynęła. Wyciągam szyję, chcąc coś zobaczyć ponad rzędami głów i kapeluszy. Miga mi przed oczami podniesiona z przodu otwarta trumna przed ołtarzem. Gdy pomyślę, że leży w niej ciało babci,

przeszywa mnie dreszcz. Jednak nie do zniesienia byłaby dla mnie świadomość, że nie widziałam go przed złożeniem do grobu.

Siedzące obok mnie starsze panie rozmawiają szeptem:

– Biedna Charlotte, nigdy nie doszła do siebie po śmierci Lucy – mówi jedna z nich ze łzami w oczach.

– Ale po co Gemma przyjęła do swojego domu tę dziewczynę? Nic to nie pomogło, ani trochę – odpowiada jej inna.

Mam ochotę krzyknąć na nie, by umilkły, bo już mnie przytłacza poczucie winy.

– Daj spokój, Amelio, musimy okazać Gemmie zrozumienie. Trudno mi sobie wyobrazić, jak ona się czuje, tracąc matkę zaledwie rok od śmierci córki – zwraca jej uwagę koleżanka.

– Ciii... Już są – mówi trzecia.

Oglądałam się przez ramię i widzę, jak pastor uroczyście prowadzi nawą moich rodziców do pierwszego rzędu. Wszyscy na nich patrzą.

W trakcie nabożeństwa zgromadzeni śpiewają przejmujące hymny żałobne, a osoby zaprzyjaźnione z babcią kolejno odczytują z ambony najbardziej przez nią cenione fragmenty Biblii, z pasją i przekonaniem, co chyba by się jej podobało. W końcu pastor wygłasza płynącą z głębi serca mowę pogrzebową na cześć swojej przyjaciółki i jej głębokiej wiary.

– Nie mam cienia wątpliwości – mówi – że teraz, kiedy Charlotte połączyła się w Królestwie Bożym ze swoją ukochaną wnuczką, osiągnęła niebiańskie szczęście i wieczny odpoczynek!

Staram się powstrzymać łzy, ale płyną mi po policzkach ciurkiem. Siedząca obok starsza pani obejmuje mnie w talii i pociesza słowami:

– Wszystko w porządku! Po prostu daj upust swoim uczuciom. – Podaje mi chusteczkę, a ja kiwam głową i spuszczam oczy.

Gdy pastor zaprasza nas do pożegnania się ze zmarłą, obserwuję, jak ludzie z kolejnych rzędów idą pod trumnę. Niektórzy zaczynają płakać, inni modlą się w milczeniu, a jeszcze inni pochylają się i dotykają ciała babci. Widzę, że Mak i jej rodzice stoją przed trumną dłużej, trzymając się pod ręce, a następnie wolnym krokiem powracają na swoje miejsca. Kiedy do trumny udają się osoby z mojego rzędu, idę wraz z nimi z pochyloną głową. Może mam obsesję, ale mijając Mak, odnoszę wrażenie, że przeszywa mnie wzrokiem. Przechodzę szybko koło mamy, tak pogrążonej w rozpacz, że mnie nie zauważa. Siedzący obok niej tata też nie zwraca na mnie uwagi. Patrzy przed siebie, jakby był w transie.

Stoję przed ciałem babci jak zahipnotyzowana. Jej rzadkie włosy są zaczesane w kok na czubku głowy, przypominając pajęczynę. Gruba warstwa pudru wydobywa każdą bruzdę i zmarszczkę na jej wychudzonej twarzy. Oczy ma zapadnięte, a nos wydaje się cieńszy niż w rzeczywistości. W miejscu, gdzie powinny być usta, widnieje tylko jaskrawa szminka. Ciało jest ubrane w długą jedwabną suknię i buty na wysokich obcasach, jakby babcia wybierała się na bal. Ręce ma skrzyżowane na zapadniętej klatce piersiowej. Jej paznokcie wyglądają tak, jakby coraz bardziej siniały od dołu. Ta osoba, z której uszło życie, nie jest już moją babcią.

Ktoś stojący za mną kaszle dyskretnie, dając mi w ten sposób znak, żebym się przesunęła. Tkwię tu już za długo, co ludziom może się wydawać dziwne. Wyjmuję z kieszeni karty i wkładam je do trumny. Delikatnie całuję zimne jak kamień czoło i odchodzę.

Gdy wracam do ławki, Mak podnosi się ze swojego miejsca i rzuca mi wściekle spojrzenie. Wpadam w panikę, widząc, że ponownie dołącza do kolejki osób chcących pożegnać babcię, a gdy dochodzi do trumny, wyjmuje karty, ogląda je i wkłada z powrotem. Następnie odwraca się, szukając mnie wzrokiem. Wygląda na kompletnie zdezorientowaną. Muszę stąd wyjść. Dziś nie potrafię stawić czoła jej gniewowi i oskarżeniom.

Kiedy wstają moi rodzice, żeby pożegnać się z babcią jako ostatni przed zamknięciem jej trumny, wychodzę ukradkiem z kaplicy. Idąc szybko podjazdem, dzwonię po taksówkę. Ze zdenerwowania przechodzą mnie ciarki, bo czas wlecze się niemiłosiernie. Uspokajam się dopiero na widok podjeżdżającego pod cmentarz auta. Wsiadam i podaję kierowcy adres. Gdy rusza, nareszcie czuję się niezagrożona przez Mak.

Wyglądam przez okno, chcąc po raz ostatni spojrzeć na kaplicę, i znowu dostrzegam Mak. Idzie podjazdem, jest poważna, a zarazem ożywiona i gestykułując, rozmawia z towarzyszącym jej chłopakiem. Z powodu jego pochylonej głowy nie widzę twarzy, ale kruczoczarnych włosów i szerokich ramion nie można pomylić z żadnymi innymi. To Ben, chłopak, który myślał, że jestem jego siostrą! Mak powiedziała, że właściwie go nie zna. Zastanawiam się, dlaczego *on* uczestniczy w pogrzebie mojej babci. Przyciskam nos do szyby, ale taksówkarz przyspiesza i Mak oraz ten chłopak nikną z moich oczu. Inaczej skończyłoby się na zrobieniu mi awantury na pogrzebie babci. Czuję się wykończona. Huczy mi w głowie. Chcę już być w domu.

Po powrocie idę od razu do pomieszczenia gospodarczego, żeby zobaczyć Arthura. Rozpaczliwie pragnę go przytulić. Chcę, by dał mi jakiś znak, że mnie poznaje, a wówczas będę w stanie przebrnąć przez ten potworny dzień. Mój pies właśnie wyjada coś z miski. Macham na niego smyczą i mówię wesoło:

– Chodź na spacer, Arthur! No już, będziesz ścigać wiewiórki.

Podnosi łeb znad miski i skomli, jakbym chciała go uderzyć.

– Głupi pies! – krzyczę i wychodzę z pomieszczenia gospodarczego, trzaskając drzwiami, bo nie mogę dłużej znieść tego, że mnie odrzucił.

Przebieram się i zażywam leki na drżenie rąk. Okazuje się, że jest już piąta. Pogrzeb zaraz się skończy. Babcia zostanie pochowana, a żałobnicy udadzą się na stypę, gdzie będą jedli tartinki i prowadzili towarzyskie rozmowy. Trudno mi sobie wyobrazić, jak czuje się mama. Na pewno przeżywa piekło na myśl o tym, że zignorowała wszystkie telefony od babci od czasu oddania jej przez nią kluczy, o tym, że wyrzuciła swoją matkę z domu. Gdyby nie my, babcia prawdopodobnie wciąż by żyła.

Idę do antycznego biurka mamy w bibliotece. Jest mi potrzebny dobry papier do pisania, bo na górze mam tylko tani w linię. Chcę napisać list do babci i wyrazić żal z powodu tego, co się stało. Zabiorę go jutro na jej grób i zakopię w kopczyku ziemi wzniesionym nad trumną. Pod spodem biurka znajduje się mały kluczyk. Widziałam setki razy, jak mama to robi. Przekręcam kluczyk i wysuwam ozdobny blat, który wspiera się na dwóch długich mosiężnych poręczach. W biurku leżą sterty schludnie ułożonych dokumentów, a szuflady są pełne spinaczy i zszywek. W jednej z nich widzę blok grubego jasnoniebieskiego papieru do pisania. Biorę do ręki pióro, otwieram blok i wyjmuję szeleszczącą kartkę. Stalówka przesuwana się po niej płynnie, jak łyżwa po lodzie.

Droga Babciu,

chcę, abys zrozumiała, jak bardzo jest mi przykro, że nie byłam na tyle odważna, by wyznać Ci prawdę. Wiem, że przeżyłabyś szok i nie zaaprobowalabyś tego, co zrobili moi rodzice, ale miłość do nas pozwoliłaby Ci ten brak akceptacji przetrwać. I kochałabyś mnie bez względu na to, co mi zrobili, chcąc zachować mnie przy życiu. Jest mi wstyd, że kazaliśmy Ci wierzyć w moją śmierć. Te wszystkie kłamstwa i oszustwa pozbawiły nas możliwości spędzania razem szczęśliwych chwil.

Stres, w który Cię wpędziłam jako Renee, doprowadził do Twojej śmierci. Błagam Cię o wybaczenie. Gdybym mogła cofnąć czas, okazałabym wiarę w Ciebie i powiedziałabym Ci prawdę.

Chcę, abyś wiedziała, że na zawsze zapamiętam Cię jako najcudowniejszą, najwspanialszą, najsilniejszą kobietę, która kochała mnie taką, jaką byłam. Spoczywaj w pokoju, Babciu.

Jestem i zawsze będę Twoją kochającą wnuczką.

Lucy.

Czytam to, co wyszło spod mojego pióra. Chyba powinnam napisać list od nowa, gdyż ten nie jest dobry – wyszedł zbyt sztywny i formalny. To powinno być coś od serca.

Gdy podnoszę blok, żeby wyrwać kolejną kartkę, spada na blat biała bibuła. W miejscach, gdzie została przyłożona do świeżo napisanych atramentem wyrazów, widać ich odwrócone kształty. Coś w nich przyciąga moją uwagę. Trudno je odcyfrować, poza tym niektóre są rozmazane. Ale natychmiast zauważam te napisane w ostatnim wierszu.

Serce zaczyna mi łomotać. Pędzę po schodach do mojej sypialni i przykładam bibułę do lustra toaletki. Na widok odcyfrowanych słów skręcają się we mnie wnętrzności. Wiem, co one znaczą.

ROZDZIAŁ 34

TO MY

Otwierając szufladę mojego biurka, trzęsę się z gniewu. Fałszywy list od rodziców „Amy” znajduje się obok mojej starej szczotki do włosów. Przechowuję tu najcenniejsze dla mnie rzeczy, a tymczasem jestem karmiona kłamstwami.

– Jak śmiałaś mi to zrobić, mamó? Ona utrzymuje mnie w przeświadczeniu, że cię poznałam! – syczę do jej odbicia w lustrze.

Dzięki temu listowi uwierzyłam w istnienie dziewczyny o imieniu Amy, a tymczasem ktoś taki nigdy nie istniał. Został stworzony przez moją mamę po to, żebym się uspokoiła i zaakceptowała swoje nowe ciało, żeby mogła mną manipulować... Na myśl o tym sztywnieję. Przypominam sobie poranek po moim przyjęciu urodzinowym, kiedy powiedziałam mamie o Benie, o tym, że w pierwszej chwili wziął mnie za swoją siostrę Hayley. Nie straciła wówczas pewności siebie i odparła, że to nie ma nic wspólnego z dawczynią ciała, bo dysponujemy *listem* od rodziców Amy! Bo istniała kiedyś Amy, a ona nie miała brata... Analizuję teraz każdy szczegół tamtej rozmowy. Mama tak łatwo mnie okłamała. I próbowała mnie zniechęcić do wypytania Mak o tego chłopaka. Twierdziła, że Ben był pijany i coś mu się pomyliło, że powinnam o nim zapomnieć. A przecież *napisała* fałszywy list od rodziców Amy, więc musiała liczyć się z możliwością, że Ben jest spokrewniony z rzeczywistą dawczynią ciała. Dlaczego nie chce, żebym poznała prawdę?

Szukam komórki, a gdy ją znajduję, wybieram numer telefonu Mak. Muszę z nią porozmawiać. Chcę się spotkać z Benem. Powinien mi wyjaśnić, po co tu przyjechał.

– Halo? – słyszę w słuchawce głos Mak.

– Cześć, Makaylo, tu Renee... Proszę, nie rozłączaj się – mówię szybko. – Widziałam na pogrzebie ciebie i Bena. Czy on nadal jest z tobą? Możemy się spotkać? – Staram się wyrzucić z siebie wszystko, zanim będzie miała szansę się rozłączyć.

Słyszę w słuchawce stłumione głosy. Mak najwyraźniej ją zasłania, rozmawiając z kimś. Po chwili mówi do mnie:

– Tak, Ben jest ze mną. Zgadzam się: musimy porozmawiać. Jesteśmy w kawiarni Rocky Road w dzielnicy Montrose. Znasz ją?

– Jasne – potwierdzam. Jest mi niedobrze z powodu zdenerwowania. – Będę za jakieś dwadzieścia minut. Poczekacie na mnie?

– Będziemy tam – odpowiada złowieszczo.

Taksówka zatrzymuje się przed kawiarnią. Od razu ich dostrzegam. Siedzą na zewnątrz przy stoliku pod czerwono-białym parasolem, popijając colę i rozmawiając w skupieniu.

Gdy do nich podchodzę, serce staje mi w gardle. Na mój widok Ben podnosi się z krzesła i wytrzeszcza oczy. Wyciąga do mnie ręce, ale nagle się powstrzymuje.

– Siadaj – poleca mi Mak, wpatrując się we mnie tak samo jak on.

Wiercę się na krześle. Czuję, że mam suche usta.

– Dlaczego włożyłaś te karty do trumny pani Kendal? – pyta Mak bardziej zaciekawiona niż zła.

Nie wiem, co jej odpowiedzieć. Jest jedyną poza mną osobą, która zna ich znaczenie. Jeśli wyznam prawdę, uzna, że kłamię, jak poprzednio, i znów mnie zostawi.

– Czy pani Burgess powiedziała ci o nich? – pyta ostrym tonem.

Niezdarnie wzruszam ramionami i spoglądam na stół, unikając jej karcącego spojrzenia.

Muszę przejąć kontrolę nad sytuacją. Nie chcę, aby Mak mnie przesłuchiwała. Przyszedłam tu, aby znaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

– Ben, dlaczego pomyślałeś, że jestem twoją siostrą? – pytam. Czuję wielki lęk.

Jego oczy wypełniają się łzami.

– Bo moja siostra zaginęła, a ty jesteś do niej ładząco podobna... z wyjątkiem oczu i włosów.

– Kiedy zaginęła? – Blednę i pytam drżącym głosem, zmuszając się do kontynuowania rozmowy.

– Ponad rok temu, w Leeds. Tam mieszkam w Anglii. Nie miała powodu do ucieczki z domu. Była szczęśliwa... Świetnie jej we wszystkim szło. Policja nie jest tym specjalnie zainteresowana. Gliny uważają, że siedemnastoletnie dziewczyny, które znikają z naszych osiedli, po prostu uciekają z jakimiś facetami. – Jest wzburzony i... rozgniewany.

– Pokonałeś szmat drogi, aby się ze mną spotkać. Jak mnie znalazłeś? – pytam, słuchając go bardzo uważnie.

– Ktoś przysłał mi klip z YouTube'a pod tytułem *Dzidzia kowbojka*. Ty w nim występujesz, prawda? – pyta, wpatrując się we mnie.

Splatam palce, starając się wyglądać spokojnie. Widział nakręcony przez Tanyę film, jak Moonshine próbuje zrzucić mnie z grzbietu.

– Pokazałem to wideo na policji i zmusiłem ich do skontaktowania się z glinami z Houston, żeby cię sprawdzili. Podobno wysłali do twojego domu policjantkę, aby cię zobaczyła. Powiedzieli mi, że nie jesteś Hayley... Że posiadasz dokument tożsamości i nie masz, w przeciwieństwie do mojej siostry, piwnych oczu. – Zniechęcony kręci głową.

Robi mi się słabo. Przytrzymuję się stolika, by nie polecieć do przodu. A więc to Ben sprowadził do naszego domu policjantkę, a nie Mak ani babcia. Sprawdzali, czy nie jestem Hayley... Zaginioną dziewczyną. Czy mama o tym wiedziała? Czy funkcjonariuszka Parnell jej o tym powiedziała?

– Co ci jest? – pyta Mak. – Wyglądasz na chorą.

Pod wpływem jej głosu siadam prosto. Muszę być skupiona. Chcę dowiedzieć się więcej.

– Jestem po prostu zszokowana, że policja poszukiwała zaginionej dziewczyny – chrypię i pytam Bena: – Dlaczego nie uwierzyłeś policji, kiedy ci powiedzieli, że nie jestem Hayley?

Ten wzdycha głęboko i ujmuje twarz w dłonie.

– Po prostu nie mogłem tego tak zostawić – odpowiada. – Zacząłem mieć obsesję, że ta dziewczyna... że ty możesz nosić szkła kontaktowe i że gliny nie zweryfikowały wszystkiego dokładnie. – Na jego twarzy maluje się napięcie. – Musiałem sprawdzić to sam, ale nie myślałem jasno. Od czasu zniknięcia Hayley nie mogłem spać. Zbyt długo czułem się bezużyteczny, bezradny. Obiecałem mamie, że ją odnajdę, ale nie miałem się czego ucześcić. Na przyjęciu spojrzałem ci w oczy w nadziei, że zobaczę w nich Hayley, lecz ty nie wiedziałaś, kim jestem, nie nosisz szkieł kontaktowych... a nawet nie mówisz tak jak moja siostra. – Ben znów jest bliski płaczu.

– Jeśli nie uważasz mnie za Hayley, to dlaczego nadal tu jesteś? – pytam łagodnie.

– Bo powtórzyłam mu to, co mi powiedziałaś na cmentarzu – odpowiada z powagą Mak.

– O tym, że jesteś Lucy... i otrzymałaś ciało w wyniku transplantacji. Powiedziałaś mi, że wyjęli ci mózg i oczy i przeszczepili do ciała innej dziewczyny, a potem wszystkiemu zaprzeczyłaś. – Mówi tak, jakby nadal w to nie wierzył. Jednak w jakimś stopniu musi, w przeciwnym razie nie poinformowałaby o tym tego chłopaka.

Ciałem Bena wstrząsa łkanie, gdy zwraca się do mnie:

– Posłuchaj, świadomość, że moja siostra jest gdzieś... w niebezpieczeństwie... cierpiąc,

doprowadza mnie do *szaleństwa*. Uchwycę się więc *wszystkiego*, co może mnie do niej doprowadzić, bez względu na to, jak nienormalnie to brzmi. A więc chcę, żebyś *zobaczyła* zdjęcie mojej siostry, Hayley Turner, i powiedziała mi, czy to, co wyznałaś Makayli na cmentarzu, jest prawdą, czy też nie. – Pokazuje mi na ekranie telefonu jej fotografię.

Ładna dziewczyna ze zdjęcia patrzy na mnie uśmiechnięta i beztroska. Znam każdy milimetr jej twarzy, bliznę przecinającą brew, trochę nierówne białe zęby, a nawet dołeczki w policzkach. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – to ona... to ja... to my. Siedzę jak sparaliżowana, z trudem nabierając powietrza do płuc, bo przyspieszył mi oddech. Przychodzą mi do głowy przerażające pytania.

Wstaję, chwiejąc się i potrącając stolik. Puszki z colą przewracają się i płyn zalewa blat.

– Muszę iść – mruczę pod nosem.

Mak i Ben zrywają się z krzesel.

– Nie! – krzyczy Ben, zastępując mi drogę. – Nie możesz odejść. O co tu chodzi? Musisz mi powiedzieć!

Nie mogę mu powiedzieć... Jeszcze nie. Mam zbyt wiele pytań, na które muszę uzyskać odpowiedzi, żeby zrozumieć, co się stało i... *jak* to się stało. Muszę porozmawiać z rodzicami i wymóc na nich wyznanie mi prawdy. Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób ciało zaginionej dziewczyny zostało wykorzystane przez doktora Leo... Przeze mnie?

Omijam Bena i ruszam biegiem, rzucając za siebie:

– *Przyrzekam*, że z tobą porozmawiam, ale nie teraz... Jeszcze nie!

ROZDZIAŁ 35

PRZEJAZDŹKA

Przekręcam klucz w zamku frontowych drzwi i przygotowuję się do konfrontacji z rodzicami. Ale hol jest pusty, a w domu panuje cisza.

– Mamo? Tato! Jesteście tu?! – wołam, lecz odpowiada mi tylko szczekanie Arthura w pomieszczeniu gospodarczym.

Idąc po schodach, czuję silne napięcie. Rozpaczliwie pragnę zadać rodzicom różne pytania, ale boję się ich odpowiedzi. Wchodzę do ich sypialni i szukam w garderobie mamy mojego laptopa. Wiem, że go tu przede mną ukrywa. Wymacuję go pod stertą kaszmirowych swetrów. Zabieram go do mojego pokoju, zamykam drzwi i siadam na łóżku. Mrużę na chwilę oczy i przygotowuję się do poszukiwań, a następnie wpisuję do wyszukiwarki słowa: „Hayley Turner”, „zaginiona”, „brat”, „Ben Turner”, „Leeds”, „Anglia”. Na widok strony z wynikami zagryzam wargi. Górny link kieruje do „Leeds Chronicle” sprzed trzech miesięcy. Nagłówek artykułu głosi: „Nie ma śladu po tutejszej dziewczynie, Hayley. Zrozpaczona rodzina prosi o wszelkie nowe informacje”. Klikam ten tytuł i ukazują się jej zdjęcie zapierające dech w piersiach. Zwracam uwagę, jak podobne są jej piwne oczy do oczu Bena. Jak ładnie długie krucze włosy okalają jej twarz w kształcie serca. Dotykam jasnych włosów mojej peruki, myśląc o czuprynie gęstych czarnych włosów pod nią.

Czytam artykuł:

Rodzina siedemnastoletniej Hayley Turner wystosowała dziś kolejny rozpaczliwy apel o informacje na temat miejsca pobytu zaginionej. Mieszkanca naszego miasta Hayley zaginęła przed dziewięcioma miesiącami – nie wróciła do domu z wieczornego spotkania z przyjaciółmi w centrum. Od tamtego czasu nie natrafiono na żaden jej ślad. Policja nie znalazła dowodów porwania, ale mówi, że nie można go wykluczyć. Matka dziewczyny, Natalie Turner (l. 38), i jej brat, Ben Turner (l. 18), wystosowali poruszający apel do wszystkich o dostarczenie jakichkolwiek informacji w tej sprawie. Natalie mówi: „Nigdy nie uwierzemy, że Hayley wyjechała gdzieś i nie skontaktowała się z nami. Była szczęśliwą dziewczyną, kochającą dom, rodzinę i przyjaciół. Błagamy o każdy trop, który może nam pomóc odnaleźć naszą kochaną Hayley”.

Zasłaniam usta dłonią i kręcę głową.

Gdy klikam link „Odnalezienie Hayley”, czyli konto na Facebooku założone przez Bena, zaczynam głęboko oddychać, starając się zapanować nad sobą. Czytam ostatni post Bena: *A amerykańska policja przesłuchała dziewczynę występującą w filmie Dzidzia kowbojka i doszła do wniosku, że to nie jest Hayley. Nie mogę w to uwierzyć. Byłem pewny, że to ona, ale proszę, nadal się rozglądajcie. I przysyłajcie mi wszystko, co waszym zdaniem mogłoby naprowadzić mnie na prawdziwy trop. Proszę, nie poddawajcie się w sprawie Hayley. Niezmiennie dzięki za pomoc.*

Moją uwagę przyciąga tytuł zamieszczonego tu klipu z YouTube’a: *Hayley w Regionalnych Finalach*. Włączam i widzę ją w ruchu, jak chodzi i rozmawia, tryskając życiem i ukazując swoją osobowość. Posuwa się sprężystym krokiem do końca rozbiegu. Jakie ona ma stopy! Odznacza się gracją baletnicy, a ja chodzę tak jak ona. Biegnie sprintem i skacze przez kozła gimnastycznego z wielką siłą i odwagą, a następnie stawia stopy na ziemi w sposób precyzyjny i elegancki, rozciągając się i wyginając. Na stadionie rozlega się aplauz. Wszyscy siedzący przy stole sędziowie podnoszą w górę tabliczki z liczbą 9, 975. Hayley spogląda

w obiektyw kamery i pewna siebie puszcza oko. Następuje cięcie i kamera pokazuje ją, jak wspina się na równoważnię gimnastyczną i prezentuje zestaw ćwiczeń w sposób bezbłędny, płynny i piękny, jakby pokonała siłę grawitacji. Wykonuje podwójne salto, aby opuścić równoważnię, i znowu rozlega się aplauz, który wzmagą się, gdy wszyscy czterej sędziowie przyznają jej po dziesięć punktów. Hayley boksuje powietrze, a następnie biegnie w stronę obiektywu i rzuca się w ramiona kamerzysty.

– Co o tym myślisz, Benny? – pyta chrapliwym jak mój głosem, ale akcent ma taki sam jak jej brat.

– Boże... Teraz staniesz się jeszcze bardziej nieznośna – komentuje ze śmiechem chłopak.

Następuje kolejne cięcie i kamera pokazuje ceremonię wręczania medali. Obraz chwieje się, bo w czasie filmowania Ben krzyczy z radości, gdy jego uśmiechnięta radośnie siostra zajmuje najwyższe miejsce na podium.

Wybucham płaczem. Łzy spadają na klawiaturę. Trudno mi nad nimi zapanować, ale udzielam sobie reprimendy, bo muszę nadal czytać, aby dowiedzieć się jak najwięcej, zanim przyjdą rodzice. Przewijam w dół i na widok treści postu sprzed około miesiąca otwieram szeroko oczy:

Wciąż szukam wszelkich informacji na temat kliniki w Yorkshire, której moja siostra była pacjentką. Podobno prowadzono tam badania nad stanem zdrowia młodzieży. Proszę, odezwijcie się, jeśli płacili wam za udział w tych badaniach lub w jakikolwiek sposób w nich uczestniczyliście.

Klinika w Yorkshire? Dlaczego ta nazwa brzmi dla mnie znajomo? – zastanawiam się. Masuję czoło, próbując sobie przypomnieć... Już wiem, gdzie wcześniej czytałam na ten temat – w szkolnej pracowni komputerowej, gdy przeglądałam wyniki wyszukiwania dotyczące doktora Radnora. Rozpoczynam nowe wyszukiwanie, w panice myląc się i wciskając niewłaściwe klawisze: „Leonard Radnor”, „doktor nauk medycznych”, „grant”, „Wielka Brytania”, „Yorkshire”, „klinika”, „zdrowie nastolatków”, „rozwój badań neurologicznych”. Otrzymuję dwa linki. Jeden już kliknęłam na szkolnym komputerze, a drugi kieruje na stronę kliniki. Jest tam napisane: „Klinika Badań nad Zdrowiem Nastolatków w West Yorkshire jest obecnie zamknięta”. Pospiesznie klikam kolejne zakładki na stronie. Pod spisem pracowników czytam: „Dyrektor kliniki, dr L. Radnor, profesor chirurgii neurologicznej”. Patrzę na ekran z przerażeniem. Otwieram usta, ale nie mogę wymówić słowa.

– Renee, jesteś tam?! Wróciliśmy! – woła tata.

Jego głos wyrывa mnie ze stanu osłupienia. Wpadam w furję. Biorę laptopa, list i bibułę i pędzę po schodach do holu, by stawić czoło rodzicom.

– Kochanie, dobrze się czujesz? – pyta zaniepokojona mama. – Przykro mi, że nie mogłaś pójść na pogrzeb.

– Czy dostałaś może jeszcze jakieś wiadomości od rodziców Amy? – pytam lodowatym tonem.

Mama wydaje się zawstydzona, ale po chwili odpowiada z przekonaniem:

– Chodzi ci o Hazel i Mike’a? Nie, nie dowiemy się już od nich nic więcej. Mieliśmy szczęście, że dzięki doktorowi Radnorowi dostaliśmy ten jeden list.

– Ten? – pytam, wyjmując go z kieszeni i unosząc.

– Tak – potwierdza i patrzy na mnie zdenerwowana.

– A co to jest? – pytam, wyjmując z kieszeni bibułę i unosząc ją, jak wcześniej list. – Znalazłam ją w twoim biurku, mamo.

– Co za nonsens – komentuje znużony tata, zdejmując marynarkę i rozluźniając czarny krawat.

Widzę, że mama rozpoznaje ją od razu. Mimo to patrzy mi w oczy, przekręcając obrączkę na palcu.

Odwracam się do taty i pytam:

– Brałeś w tym udział? Wiedziałeś, że *mama* napisała list, podszywając się pod rodziców dawczyni?

Tata nagle zaczyna rozumieć, o czym mówię. Porusza nerwowo ustami i mówi:

– Przykro mi, Lucy. Mama poinformowała mnie o nim, gdy już ci go wręczyła. Było za późno, aby coś z tym zrobić.

– Desperacko chciałaś się dowiedzieć czegoś o dawczyni. Byłam pewna, że ci pomoże, jeśli poznasz jej imię... Że poczujesz z nią więź. Nie widziałam w tym nic złego. Dzięki temu listowi poczułaś się znacznie lepiej. Doktor Radnor był na mnie z tego powodu naprawdę zły w czasie naszego ostatniego pobytu w klinice, ale uważam, że postąpiłam słusznie – oświadczam mama bez cienia poczucia winy.

– Jakie jeszcze inne decyzje podjęłaś dla mojego dobra? – pytam zaczepnie. Otwieram laptopa, włączam klip i pokazuję go jej.

Gwałtownie zasłania usta dłońmi, oglądając film ukazujący Hayley podczas pokazu gimnastyki artystycznej na stadionie.

– To jest Hayley Turner, mamó, dziewczyna, której ciało dostałam. Spójrz na nią, zobacz, ile w niej życia – komentuję.

Tata bierze laptopa, kręci głową i stwierdza ze smutkiem:

– Więc ta biedaczka jest twoją dawczynią? Jak poznałaś jej imię i nazwisko, Lucy?

– Na moim przyjęciu był jej brat. Sprawdzał, czy jestem jego siostrą – informuję tatę.

– Co?! – wykrzykuje. – Dlaczego?

Spoglądam na mamę, która milczy i wytrzeszcza na mnie oczy.

– Niech mama ci powie – odpowiadam.

– Co się dzieje, Gemmo? – pyta zdezorientowany tata.

Odsuwam ręce mamy od jej ust i ponaglę ją:

– Odpowiedz tacie! Czy funkcjonariuszka policji Parnell opowiedziała ci o Hayley? Czy to od niej dowiedziałaś się o tej dziewczynie?

Siada ciężko na stojącym w holu fotelu, wolno kiwa głową i mówi:

– Gdy wyszłam z nią na dwór, pokazała mi zdjęcie tej dziewczyny i wyjaśniła, że otrzymała zadanie przeprowadzenia dochodzenia w związku z jej zaginięciem. Jak tylko zobaczyłam to zdjęcie, wiedziałam, że to ona była twoją dawczynią.

– Co? Dawczynią była osoba zaginiona? Wiedziałeś o tym od wielu tygodni i nic nam nie powiedziałeś? – mówi z niedowierzaniem tata.

– Tak było najlepiej. Gdybyście wiedzieli, żylibyście w stresie, a Lucy zrobiła wielkie postępy. Nie poinformowałam nawet doktora Radnora o prawdziwej przyczynie wizyty policjantki – odpowiada mama słabym głosem.

– Dlaczego nie, mamó? Za bardzo się bałaś, że wyjawisz ci, w jaki sposób zaginiona dziewczyna z Anglii stała się moją dawczynią? – pytam oskarżycielsko.

– Nie możemy wyciągać pochopnych wniosków. Nie ma podstaw, by twierdzić, że doktor Radnor ma coś wspólnego z zaginięciem Hayley. Jest bardziej prawdopodobne, że wykorzystał jej ciało, nie wiedząc, skąd ona jest. – Mama przemawia jak adwokatka na sali sądowej.

Kręcę głową i mówię:

– Mylisz się, mamó. Doktor Radnor nie tylko o tym wiedział, ale wszystko zorganizował.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? Jak masz na to dowody? – pyta zdenerwowana.

– Założył w Anglii klinikę, która rzekomo badała stan zdrowia młodzieży. Hayley Turner

uczestniczyła w prowadzonych tam płatnych badaniach, a następnie zniknęła. Jak myślisz, mamo, czemu one służyły? – pytam, z trudem powstrzymując gniew.

Mama blednie i nie odpowiada na moje pytanie.

– Doktor Radnor przeprowadzał w Anglii badania na nastolatkach, żeby znaleźć dla mnie najlepszą dawczynię. Nieszczęsna Hayley musiała być tą, którą wybrał. Pokażę ci stronę internetową tej kliniki. Zobacz, jest tam wymieniony jako dyrektor placówki. – Podstawiam mamie pod nos laptopa, ale ona nie patrzy.

– Nie. Bez wątpienia jest jakieś inne wytłumaczenie. Nie masz dowodów na to, co mówisz – odzywa się zdesperowana.

Oburzony tata staje przed nią i pyta podejrzliwie:

– Ale jakie były szanse, że Radnor otrzyma idealną dawczynię w odpowiednim czasie? Spójrz mi w oczy, Gemmo, i powiedz, że to pytanie nigdy nie przyszło ci do głowy.

– Zamknij się, Lewis, i to już! – warczy mama, odsuwając go od siebie.

– Nigdy nie spytaliśmy Radnora o dawczynię w taki sposób, w jaki należało to zrobić, bo prawda jest taka, że nie chcieliśmy tego wiedzieć. Po prostu miałaś obsesję na punkcie zdobycia ciała i zachowania Lucy przy życiu za wszelką cenę – mówi tata tonem osoby, która sama siebie nienawidzi.

Mama wstaje z fotela, by stawić czoło jego zarzutom.

– Przynajmniej kochałam Lucy wystarczająco mocno, aby *chcieć* zachować ją przy życiu! – odpowiada mu jadownicie. – Właściwie zmusiłam cię do wyrażenia zgody na operację.

Tata odwraca się do mnie, zasłaniając mamę.

– Lucy, to, że nie chciałem, abyś została poddana transplantacji, nie świadczy o mojej słabszej miłości do ciebie. Może nawet pokazuje, że kocham cię bardziej niż mama – oświadcza zapalczywie.

– Jak śmiesz, Lewis! – krzyczy na niego rozgniewana.

Nie mogę uwierzyć, że klóćą się po tym, co im powiedziałam. Czy nie dostrzegają, co w tym wszystkim jest ważne? Czy nie zdają sobie sprawy z tego, co musimy teraz zrobić?

– Dość tego! – krzyczę i biorę telefon. – Nie możemy stać bezczynnie i rozmawiać w ten sposób. Ta dziewczyna została zamordowana. Dzwonię na policję. Niech aresztują Radnora i przeprowadzą śledztwo. Wówczas przekonacie się, że miałam rację.

– Nie! – wrzeszczy mama i wytrąca mi z ręki telefon, który roztrzaskuje się na marmurowej posadzce.

– Co ty robisz?! – pytam zdumiona jej zachowaniem.

– Nie możemy angażować w to policji – oświadcza i na kolanach zbiera odłamki komórki.

– Mamo, wiem, że jesteś w wielkim stresie po pogrzebie babci, ale musimy złożyć doniesienie na Radnora – tłumaczę jej jak dziecku.

– Przykro mi, Lucy. Nie! – Kręci głową. – Proszę, idź na górę i zostaw to mnie.

Spoglądam na tatę, szukając u niego pomocy, lecz najwyraźniej jest w szoku. Siada na schodach i patrzy przed siebie.

Nie wiem, co się dzieje w umyśle mamy, ale jeśli oni nie zrobią tego, co należy, sama to zrobię. Muszę wyjść z domu, aby zadzwonić na policję. Jednak gdy wybiegnę, tata ruszy za mną i złapie mnie, zanim dotrę do końca podjazdu... Zerkam na wiszące na haczyku przy drzwiach frontowych kluczyki od mojego samochodu. Kiedy przychodzi mi do głowy pewien pomysł, któremu nie potrafię się oprzeć, czuję kołatanie serca. Wiem, że jego realizacja jest niebezpieczna, ale nie mam innej możliwości dotarcia na policję.

Przebiegam sprintem do drzwi frontowych, chwytam kluczyki i wciskam guzik

wideodomofonu, by otworzyć bramę. Wybiegam z domu i pędzę pod wiatę, gdzie szybko otwieram bmw. Siadam za kierownicą i blokuję wszystkie drzwi. Tata pędzi za mną. Gdy staje przy samochodzie, zaglądając do środka przez okno, wciąż sprawia wrażenie oszołomionego tym, czego się ode mnie dowiedział.

– Lucy, nie zamykaj się. Wróć do domu. Musimy to wszystko omówić. Możemy wspólnie podjąć decyzję, co robić – perswaduje.

Przekręcam kluczyki w stacyjce, włączam silnik i mówię:

– Na litość boską, odejdz stąd. Jesteś w szoku.

Staram się przypomnieć sobie, co robiłam, kiedy tata pozwolił mi jeździć po parkingu. Przyswajam sobie obsługę układu sterowania na desce rozdzielczej, pedałów, sprzęgła i hamulca. Wciskam pedał gazu i zwiększam obroty silnika. Dam radę. To jakby kierować potężnym gokartem.

– Lucy, otwórz drzwi! – woła tata, uderzając ręką w szybę. – Zabijesz się!

Przyspieszając obroty silnika, włączam wsteczny bieg, opuszczam hamulec ręczny i ruszam do tyłu. Tata pospiesznie usuwa się z drogi. Gdy koła buksują, gwałtownie skręcam na trawnik, niszcząc trawę. Wjeżdżam na podjazd, ale kierownica jest tak czuła, że za każdym razem gdy nią kręcę, samochód znosi na jedną lub drugą stronę. Za szybko biorę ostatni zakręt. Wciskam hamulec, gwałtownie skręcam i przedzieram się przez klomby kwiatowe. Zwalniam i odzyskuję panowanie nad samochodem. Prostuję się i wracam na drogę. Widzę żelazną bramę. Niestety, wrota zaczynają się zamykać. Najwidoczniej tata wcisnął guzik. Zbliżają się do siebie powoli, więc jeśli przyspieszę, zdążę przejechać. Trzymam kierownicę tak kurczowo, że bieleją mi kostki u rąk, kiedy wciskam gaz do dechy i pędzę do zwięzającego się przejścia. Gdy metal uderza o metal, samochód gwałtownie szarpie. Na mojej klatce piersiowej i twarzy wybucha poduszka powietrzna. Boki auta z trzaskiem ocierają się o szczęki bramy. Jestem oszołomiona, ale wciąż dodaję gazu, chcąc się przedostać przez otwór. Niestety, maska się odkształca i z silnika unosi się para, a do wnętrza auta przedostają się duszące spaliny. Pociągam za klamki, lecz drzwi pozostają zamknięte, bo przestała działać instalacja elektryczna. Nie mogę obniżyć szyb, a muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Pod naporem wrót bramy zaczyna pękać przednia szyba. Przesuwam się do środka, odchylam do tyłu, opieram na szybie podeszwy butów, rozstawiając je najszerzej jak mogę, i kopię. Szyba porusza się ze zgrzytem i odrywa od ramy, dzięki czemu spaliny się ulatniają. Gwałtownie wciągam do płuc powietrze i upadam na gorącą, syczącą maskę samochodu.

ROBIĄC TO, CO NAJLEPSZE

Otwieram oczy. Leżę w łóżku w ciepłej pościeli. Przez szpary między kotarami do sypialni wpadają promienie słońca. Mam na sobie czystą piżamę i czuję słodki zapach frezji wstawionych do wazonu stojącego na nocnym stoliku.

Gdy podnoszę głowę, pokój wiruje mi przed oczami. Powoli dociera do mnie świadomość traumy, jaką wczoraj przeżyłam. Na myśl o Hayley huczy mi w głowie. Muszę zażyć jakieś środki przeciwbólowe. W lustrze szafki widzę swoje odbicie. Od siły uderzenia poduszki powietrznej mam na czole purpurowe sińce. Otwieram szafkę, ale okazuje się pusta: nie ma środków przeciwbólowych, innych leków, nożyczek, a nawet maszynki do golenia. Czyżby mama obawiała się, że przedawkuję... przetnę sobie przeguby dłoni? Uważa, że w ten sposób chcę rozwiązać ten problem? Czy nie rozumie, że nie zamierzam wyrządzić sobie krzywdy? Brat Hayley jej poszukuje i ma nadzieję, że odnajdzie ją żywą. Gdybym popełniła samobójstwo, Ben i jego mama nigdy by się nie dowiedzieli, co się z nią stało. Muszę im o tym powiedzieć. Bez względu na to, jakie straszne to dla nich będzie, powinni poznać prawdę, a Radnora trzeba do końca życia trzymać w zamknięciu.

Idąc do drzwi, opieram się ciężko na meblach. Przekręcam klamkę, lecz drzwi nawet nie drgną.

– Hej! Otwórzcie mi! – wołam, waląc w drewno pięściami.

Słyszę na schodach szybkie kroki, a po chwili trzask przekręcanego w dziurce klucza. Drzwi się otwierają i w progu stają moi rodzice. Mają poszarzałe twarze.

– Wracaj do łóżka, Lucy – nakazuje mi mama.

– Jak śmiecie mnie zamykać?! – warczę.

– Zrobiliśmy to dla twojego dobra. Miałaś szczęście, bo mogłaś się zabić – odpowiada tata.

– To było szaleństwo, Lucy. Nie wiem, o czym wtedy myślałaś. Dokąd jechałaś? – pyta z powagą mama.

– Na policję, złożyć doniesienie na Radnora i powiadomić... o sprawie Hayley – odpowiadam szczerze.

– Nie możemy ci na to pozwolić – oznajmia mama, próbując mnie wziąć za rękę, ale odsuwam się od niej ze wstrętem. Chyba nie mówi poważnie?

– Mamo, tato, powinniśmy razem dać znać na policję – mówię powoli, starając się do nich dotrzeć. – I poinformować o wszystkim rodzinę Hayley. Wyobraźcie sobie, że chodzi o waszą córkę, że mnie szukacie, nie wiedząc, czy żyję. To przecież nie do zniesienia. Jesteśmy winni tej rodzinie prawdę. A Radnor... musi zostać natychmiast aresztowany!

Mama ze smutkiem kręci głową i oświadcza:

– Posłuchaj, Lucy. Bardzo współczujemy rodzinie tej dziewczyny, ale powiadomienie o wszystkim władz nie przywróci jej życia. Będzie oznaczało tylko tyle, że dowiedzą się o transplantacji... O tobie.

Rozkładam ręce i odpowiadam jej:

– Czy ty nie rozumiesz, co zrobił doktor Radnor? Przeprowadził na Hayley badania, jakby była szczurem laboratoryjnym. Porwał ją z Anglii i przywiózł do swojej kliniki w El Paso dla *mnie*! Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że Hayley była ukryta w klinice, kiedy tam leżałam umierająca. Prawdopodobnie Radnor podawał jej środki uspokajające, przygotowując ciało do

transplantacji. – Patrzę na mamę, rozpaczliwie pragnąc, by dostrzegła zło, jakie uczynił. – Powiedział nam, że *dawczyni* była w stanie śmierci biologicznej, ale czy to prawda? Być może Hayley żyła aż do chwili, w której otworzył jej czaszkę na bloku operacyjnym. – Rzucam się na łóżko, wyobrażając sobie, jakich potworności ta dziewczyna musiała doświadczyć.

Mama ma zielonkawą cerę. Zaczyna płakać. Idzie szybko do drzwi balkonowych, otwiera je i głęboko oddycha. Tata podchodzi i ją obejmuje. Szepcze jej coś do ucha. Mama potakuje. Po jej policzkach płyną łzy.

– Ja i mama potrzebujemy trochę czasu, aby to wszystko przemyśleć – mówi drżącym głosem tata.

– Tu nie ma nic do *przemyślenia*! Natychmiast dzwoń na policję! – domagam się.

Tata w milczeniu wyprowadza mamę z pokoju i zamyka drzwi na klucz.

Rodzice mnie przerażają. Jeśli muszą się nad tym zastanowić choćby przez chwilę, to znaczy, że będą się nawzajem przekonywali, iż nie ma potrzeby złożenia doniesienia na Radnora.

Z trudem wychodzę na balkon i stoję tam w nadziei, że ktoś będzie przechodził koło domu. Po kilkunastu minutach udaje mi się skupić myśli, pomimo okropnego bólu głowy. Wówczas zauważam idącego ze stajni Jima. Czuję przyspieszone bicie serca. On mi pomoże.

– Jim! – krzyczę najgłośniej jak potrafię.

Stajenny dostrzega mnie i podchodzi pod balkon. Gdy mnie pozdrawia, na jego twarzy maluje się niepokój.

– Witam, Renee. Jak samopoczucie?

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię bez ogródek. – Zamknęli mnie w sypialni. Czy możesz mnie wypuścić? Możesz zadzwonić na policję i powiedzieć, żeby tu przyjechali? – Zapewne moje zachowanie nie wydaje mu się normalne, ale muszę spróbować.

Stajenny przechyla do tyłu kapelusz i oznajmia:

– Nie sądzę. Musisz odpocząć, wydobrzeć. Państwo Burgess zajmują się tobą. Robią to, co jest dla ciebie najlepsze. Z samochodem to była paskudna sprawa. Nie chcemy, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

– Proszę cię, Jim! Nie wiem, co ci powiedzieli, ale to nieprawda. Muszę złożyć doniesienie na policję. – Nie poddaję się. Chcę wyglądać na opanowaną, choć mój głos jest piskliwy, a w oczach maluje się niepokój.

Jim z trudem przełyka ślinę.

– Może gdy poczujesz się trochę lepiej, zechcesz wrócić do stajni? – proponuje. – Nie musisz dotykać koni, ale możesz mi pomóc posprzątać boksy. Chciałabyś?

– Przetrywam tu jak więźnia. Wezwij policję! – krzyczę, tracąc panowanie nad sobą.

Na jego opalonej twarzy maluje się zakłopotanie. Opuszcza rondo kapelusza i wchodzi do domu. Czekam z niepokojem, obserwując drzwi. Po kilku minutach wychodzi. Wołam do niego jak jakaś wariatka. Niestety, idzie, nie patrząc na mnie.

Wracam do sypialni i walę pięściami w drzwi, aż zaczynają mnie boleć ręce. Moja głowa chyba zaraz eksploduje z bólu.

Słyszę przekręcanie klucza w zamku i do pokoju wchodzi tata z tacą, na której znajdują się przekąski i pastylki.

– Jim martwi się o ciebie – oznajmia, stawiając tacę na nocnym stoliku. – Powiedzieliśmy mu, jaka jesteś słaba. Nie chce, żebyś znowu wyrządziła sobie krzywdę.

– Nie możecie tego robić! – krzyczę na niego, ale chwyta mnie w swój żelazny uścisk. Stękam z wysiłku, próbując się wyrwać, lecz trzyma mnie, dopóki nie stanę się zbyt wyczerpana, aby móc dalej z nim walczyć.

– Dość tego! – mówi stanowczym tonem. – Przyniosłem ci środki przeciwbólowe. Wyglądasz, jakbyś ich potrzebowała. Jednak musisz mi obiecać, że się uspokoisz. Uspokoisz się?

Bardzo chcę, by mi przeszedł ból głowy... bym mogła jasno myśleć. Kiwam głową i tata mnie puszcza. Stoję bez sił. Tata bierze mnie na ręce jak małą dziewczynkę, łagodnie kładzie na łóżku i przykrywa kołdrą. Wygląda na wykończonego. Na czole ma bruzdy, których wcześniej u niego nie dostrzegalam, a pod niebieskimi oczami sińce. Podaje mi pastylki i szklankę wody.

– Przyniosłem ci również leki na drżenie rąk. Zażyj je – nalega.

Łykam je posłusznie i czuję ulgę.

Tata wzdycha głęboko, siada na łóżku i bierze mnie za rękę. Sprawia mi to przyjemność, choć jestem na niego wściekła.

– Lucy, wiem, że to wszystko jest szokujące... przerażające, jednak musimy przez to przejść – mówi coraz dobitniej.

– Proszę, powiedz mi, że zgłosisz sprawę na policję – powtarzam swoje, z góry znając jego odpowiedź.

Głaszczesz mnie po ręce, patrząc na pościel.

– Twoja mama i ja rozważaliśmy każdy scenariusz. Teraz tego nie widzisz, lecz nadejdzie dzień, kiedy sprawy przyjmą pomyślniejszy obrót. Niestety, nie wydarzy się to, jeśli powiemy policji o Hayley – tłumaczy mi.

Czerwienię się z gniewu.

– Nie! Mówisz bzdury – oburzam się i pytam: – Jak możesz *nie powiadomić* policji, skoro wiesz, co zrobił Radnor?

– Podjęliśmy tę decyzję dla twojego dobra. Konsekwencją powiedzenia o wszystkim policji będzie aresztowanie nie tylko Radnora, lecz także mnie i mamy. Wówczas zostaniesz sama i nie będzie miał kto cię chronić. Lekarze będą chcieli cię badać, a media nie dadzą ci spokoju. Nie możemy do tego dopuścić – argumentuje.

– Nie chcę, żebyście zostali uwięzieni i zostawili mnie samą, ale jak śmiesz mi mówić, że robicie to dla mojego dobra? – prychnam.

W oczach taty pojawiają się łzy.

– Musimy myśleć nie tylko o tobie, Lucy, lecz także o twojej mamie. Wiem, jaka jesteś na nią zła, ale ona robi to wszystko z miłości do ciebie. Jeśli powiemy policji o Radnorze... o Hayley... Mama nie przeżyje pobytu w więzieniu. Myśl o rozdzieleniu z tobą, o pozostawieniu ciebie bez ochrony, opieki ją zabije – tłumaczy mi dalej tata.

Wyrwam rękę z jego dłoni. Jak może szantażować mnie emocjonalnie? Dlaczego próbuje mi wmówić, że życie mamy jest w moich rękach?

– Lucy, proszę, nie bądź na mnie zła. Po prostu informuję cię o faktach. Skoro nie obchodzi cię, co się stanie ze mną i z tobą, pomyśl przynajmniej o konsekwencjach tego dla mamy. Możesz ją zniszczyć, składając doniesienie na policję, albo dać szansę tej rodzinie, zachowując milczenie i patrząc w przyszłość. Wybór należy do ciebie – oświadcza nieubłagane.

Wzdrygam się, gdy całuje mnie w policzek.

– Na razie, dla twojego bezpieczeństwa, drzwi pozostaną zamknięte. Odpocznij. Wszystko będzie dobrze – pociesza mnie i wychodzi.

ROZMOWA TELEFONICZNA

Wyłączam telewizor, odwracam się na brzuch i wtulam twarz w poduszkę. Słońce zachodzi. Za każdym razem gdy słyszę jakiś hałas, biegnę na balkon. Niestety, odkąd zobaczyłam Jima, nikt inny nie wszedł do domu. Widocznie rodzice nikogo nie przyjmują. Jestem ciekawa, czy Mak próbowała mnie odwiedzić. Z pewnością ona i Ben bardzo chcą wiedzieć, co się wydarzyło po tym, jak nieoczekiwanie zostawiłam ich w kawiarni. Tata i mama na zmianę sprawdzają, w jakim jestem stanie. Przychodzą tu, przemawiają do mnie łagodnie i spoglądają przepaszająco. Siadają na łóżku i oświadczają, że zdają sobie sprawę z tego, jak trudna jest sytuacja, ale nie mają wyboru.

– Złożenie doniesienia na policję nie przywróci Hayley życia, *zniszczy* natomiast naszą rodzinę. Nie mogę cię stracić po tym wszystkim, przez co przeszliśmy – powtarza mama jak mantrę. Może uważa, że jeśli powie to ileś razy, zrobi mi pranie mózgu i uwierzę w jej słowa?

Słyszę na schodach stukanie jej wysokich obcasów. Jest za drzwiami, gdy dzwoni komórka. Odbiera, mówiąc niepewnie do słuchawki:

– Makayla! Miło cię słyszeć.

Mój puls przyspiesza. Wstaję z łóżka i przysuwam ucho do drzwi. Kusi mnie, by zacząć krzyczeć w nadziei, że Mak usłyszy, ale gryzę się w język. Wiem przecież, że mama pod jakimś pretekstem natychmiast zakończyłaby rozmowę i później oddzwoniła do Mak. Muszę być cicho i starać się dowiedzieć, o czym rozmawiają.

– Nic dziwnego, Makaylo, że nie możesz się do niej dodzwonić. Renee zepsuła się komórka. Jesteśmy w trakcie kupowania nowej. – Mama kłamie jak z nut, ale świadomość, że Mak próbowała się ze mną skontaktować, napawa mnie nadzieją.

– Naprawdę? No cóż, muszę powiedzieć, że jestem trochę zaskoczona twoimi próbami dzwonięcia do Renee. Nie sądziłam, że po tym, co ci zrobiła, zechcesz kiedykolwiek z nią rozmawiać – mówi mama. Ale z niej manipulantka.

Mak jej odpowiada, a następnie mama oznajmia:

– Jesteś bardzo wyrozumiała. Z pewnością Renee ucieszy się z twojej chęci zaprzyjaźnienia się z nią.

Przysuwam ucho jeszcze bliżej drzwi i próbuję uspokoić oddech. Najwyraźniej Mak nie mówi mamie, o czym wie. Czy to znaczy, że jej nie ufa?

– Obawiam się, że nie będziesz mogła teraz z nią porozmawiać. Renee śpi. Ma *straszna* grypę żołądkową! – mówi mama ze współczuciem.

Mak nie daje za wygraną, gdyż mama jej odpowiada:

– Nie ma sensu, żebyś dzwoniła jutro. Co najmniej kilka dni poleży w łóżku. Powiem jej, by do ciebie zadzwoniła, kiedy poczuje się lepiej.

Mama mówi za szybko i próbuje pospieszenie zakończyć rozmowę, jednak Mak ją kontynuuje.

– Dziękuję, Makaylo. – Mamie załamuje się głos. – To było *piękne* nabożeństwo. Sądzę, że moja mama by je zaaprobowowała... Tak, pamiętam, że ty i Lucy grywałyście z nią w brydża. Uwielbiała uczyć was tej gry. – Mama nie potrafi ukryć zniecierpliwienia. Śmieje się sztucznie i dodaje: – Wcale nie byliście słabe. To skomplikowana gra. – Wzdycha sfrustrowana. – Nie, skarbie, nie wiem, o jakich kartach w ręce mama marzyła. Nie jestem fanką brydża, więc mama nigdy nie starała się rozmawiać ze mną na ten temat... Makaylo? Makaylo? Jesteś tam?

Zaciskam dłoń na kłamece. Czuję skurcz żołądka. Najwyraźniej Mak pytała ją o karty, które włożyłam do trumny babci. Sprawdzała, czy to od mamy dowiedziałam się o babci wymarzonej kombinacji brydżowej. Muszę do niej krzyknąć. Muszę jej powiedzieć, co mi robią.

Walę pięścią w drzwi i wrzeszczę:

– Mak, tu Lucy, musisz mi pomóc!!!

Mama natychmiast przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi tak gwałtownie, że przewracam się na podłogę. Staje nade mną rozwścieczona i mówi:

– Przestań, Lucy. Makayla cię nie usłyszała. Zakończyła rozmowę, zanim się odezwałaś. Dlaczego tak postąpiła?

– Skąd mam wiedzieć? – warczę, prosząc Opatrzność, by tym razem Mak mi uwierzyła.

GABINET

Wskaźówki zegara pokazują trzecią nad ranem. W domu panuje cisza. Spałam niespokojnie, ale przynajmniej mam jasny umysł. Zostawili mi na nocnym stoliku następną dawkę leków na drżenie rąk i szklankę wody, więc łykam pastylki i wstaję z łóżka, rozciągając zeszywniałe nogi i ręce. Błagam los, żeby Mak przysłała tu policję. Niestety, od czasu jej rozmowy telefonicznej z mamą minęło wiele godzin i nikt się nie zjawił. Nie mogę tu siedzieć i czekać, żyjąc tylko nadzieją, że Mak zadzwoni na policję. Muszę coś zrobić. Ubieram się w ciemności, mocno zawiązuję sznurowadła adidasów i wyjmuję z szuflady skórzane rękawiczki. Przylegają do moich dłoni jak druga skóra. Głaszczę stojące na toalecie zdjęcie moje i babci, a następnie wychodzę na balkon. Noc jest pogodna. Na atramentowym niebie błyszczą gwiazdy.

Zbieram się w sobie i przechodzę przez balustradę balkonu. Przytrzymując się jej na dole, stawiam stopy na spadzistym dachu werandy. Wyciągam rękę, by dosięgnąć biegnącej po ścianie rynny. Moje palce są bardzo blisko niej, ale nie mogę jej uchwycić, więc rzucam się w tamtym kierunku. Nie trafiam i tracę równowagę. Zsuwam się po stromiźnie dachu werandy i ześlizguję się na jego krawędź, o mało nie krzycząc ze strachu i panicznie szukając jakiegoś punktu oparcia. Natrafiam rękami na rynnę i trzymam się jej mocno. Mam ciężki oddech. Odzyskuję panowanie nad sytuacją i skaczę na ziemię, zginając kolana i upadając na bok, aby złagodzić siłę uderzenia. Spoglądam na dom, obawiając się, że usłyszę jakiś hałas, ale nic się nie dzieje. Nawet Arthur się nie obudził.

Skradam się z boku domu i staję przed oknem gabinetu taty. Naciskam dłońmi ramę przesuwanego okna i podciągam się. Gdy się otwiera, oddycham z ulgą.

Wchodzę do gabinetu, siadam przy biurku taty, włączając lampkę i biorąc do ręki słuchawkę telefonu stacjonarnego. Niezdecydowanie poruszam dłonią nad tarczą. Z chwilą wciśnięcia tych trzech cyfr nie będzie już odwrotu. Ale przecież tego chcę, prawda? Doktor Radnor musi zostać aresztowany, a rodzina Hayley powinna poznać prawdę. Wciskam dziewięć, jeden i... waham się.

Mój wzrok pada na stojące na biurku oprawione zdjęcie. Ukazuje mnie, mamę i tatę na Florydzie, jak stoimy w oceanie, trzymając się za ramiona. Jestem śmiertelnie blada i łysa, ale śmiejemy się. Obok nas widać delfina pozującego do kamery, jakby był członkiem rodziny. Wystawia z wody głowę i się uśmiecha. Uwielbiam to zdjęcie. Nie wiedziałam, że tata trzyma je na biurku.

Nie wiem, co robić. Jeśli zadzwonię, rodzice trafią do więzienia i będę zdana tylko na siebie. Nagle jestem roztrzęsiona, niepewna. Czy naprawdę mogę to zrobić im i sobie? Złożenie doniesienia na policję nie przywróci Hayley życia i zniszczy moją rodzinę. To, co mama ciągle powtarza, jest prawdą. Ale co z Benem i *jego* mamą? Jak mogę pozwolić na to, by ich koszmar nigdy się nie skończył? Denerwuję się z powodu swojego niezdecydowania.

Podnoszę się gwałtownie z siedzenia i obrotowe krzesło przewraca się z hukiem na podłogę. Arthur zaczyna wściekle szczekać. Słyszę odgłosy jego łap, jak biegnie po drewnianej podłodze w stronę gabinetu. Po chwili jest już pod drzwiami i zaczyna warczeć. Pociągam za klamkę, choć wiem, że tata zawsze zamyka gabinet na klucz.

– Arthur, ciii. To ja, Lucy. Uspokój się, piesku. To tylko ja – mówię do niego cicho przez drzwi, ale to nic nie daje.

Pies zaczyna drapać w drzwi, wściekle ujadając. Zaraz obudzi rodziców i momentalnie

będą na dole. Muszę się stąd wynosić! Wyłączam lampkę i odstawiam krzesło.

– Arthur, co się dzieje?! – woła ze szczytu schodów tata.

Czuję przyływ adrenaliny, gdy wychodzę z gabinetu przez okno i szybko je za sobą zamykam, a następnie biegnę do frontowej ściany domu. Jestem obolała, zaczynając wdrapywać się na rynnę prowadzącą na dach werandy. Nagle ktoś chwyta mnie za nogi i ściąga na ziemię. To zaspany i zdenerwowany tata.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – pyta.

ROZDZIAŁ 39

DRŻENIE RĄK

Przez cały dzień rodzice trzymają mnie zamkniętą w sypialni. Chodzę po niej jak zwierzę w klatce, starając się wymyślić sposób wydostania się stąd w sytuacji, gdy zamknęli na klucz również drzwi balkonowe. Śnię na jawie o zjawiających się w domu policjantach. Czy na pewno Mak by ich tu wezwała? Z pewnością dręczy ją wystarczająco dużo wątpliwości, by zechciała zadzwonić i zażądać sprawdzenia faktów. Powiedziała przecież Benowi o moim wyznaniu: że jestem Lucy w ciele innej dziewczyny. Telefonowała do mamy w sprawie kart w ręce. Z pewnością w głębi duszy uważa, że to, co powiedziałam jej na cmentarzu, jest prawdą. Muszę w to wierzyć.

Rano przychodzi mama z naleśnikami i sokiem, cała w uśmiechach, jakby sytuacja była najzwyczajniejsza w świecie.

– Szkoda, że wykonałaś dziś w nocy ten kaskaderski popis – mówi z dezaprobatą.

– To nie był żaden kaskaderski popis – odpowiadam pogardliwie. – Próbowałam zrobić to, co należy, skoro wy nie chcecie.

– Robię *to, co należy* – oświadcza z naciskiem. – Trzymanie języka za zębami jest czymś właściwym ze względu na ciebie... moją córkę. Tylko o ciebie się troszczę. – W wyrazie jej twarzy nie ma śladu poczucia winy. – Nie chcę, żeby cię nam zabrali. Bez naszej ochrony będziesz traktowana jak... Jak...

– No powiedz to, mamó! Powiedz – prowokuję ją, kipiąc ze złości. – Odmieniec! To masz na myśli, czy nie?

– Oczywiście, że nie! – oburza się. – Nie jesteś odmieńcem. Nadal jesteś Lucy. Zawsze musimy pamiętać o tym, że ciało, które otrzymałaś, jest tylko zewnętrzną powłoką.

– Dalej, mamó – jeżę się. – Akurat ty w to nie wierzysz. Ciało nie jest tylko zewnętrzną powłoką, lecz częścią tego, kim jesteś i jak siebie odbierasz, jak inni ciebie widzą, a nawet jak cię traktują. To zawsze będzie ciało Hayley, nie moje.

– Ale nadal masz osobowość *Lucy*, myśli *Lucy*. One się nie zmieniły – twierdzi z naciskiem.

– Kogo ty chcesz nabrać? Ja już nie wiem, czyją mam osobowość. Nie jestem Lucy Burgess, nie jestem Renee Wodehouse, nie jestem Amy, nie jestem Hayley Turner! To, co mi zrobiliście, zdeformowało jedyną część *Lucy*, jaka została – oznajmiam z pretensją, czując ucisk w klatce piersiowej.

Mama się pochyla, próbując mnie objąć, i protestuje:

– Nie mów takich rzeczy, Lucy. Zrobiłam to dla ciebie.

Odpycham ją i krzyczę:

– Nie, mamó! Zrobiłaś to dla siebie, bo nie byłaś wystarczająco dzielna, by pozwolić mi umrzeć. A teraz spójrz na konsekwencje. Po to, żebym mogła żyć, zamordowano dziewczynę.

Krzywi się, jakby miała wybuchnąć płaczem, ale zaraz odzyskuje równowagę i uspokaja się, nie dopuszczając do świadomości tego, co usłyszała. Odwraca się na pięcie i mówi gwałtownie:

– Jedz naleśniki, bo wystygną. – Pospiesznie wychodzi z pokoju i przekręca klucz w zamku.

Przez cały dzień wyglądam przez okno balkonowe. Jedyнным znakiem życia jest furgonetka, która przed kilkoma godzinami przyjechała na posesję. Waliłam ręką w okno, ale się

nie zatrzymała. Założę się, że mama kazała kierowcy zaparkować z tyłu domu, gdzie nie mógł mnie zobaczyć. Gdy przykładam ucho do drzwi, słyszę docierające z dołu odgłosy uderzania i wiercenia. To, że nie wiem, co szykują rodzice, doprowadza mnie do białej gorączki.

W czasie lunchu tata przynosi mi talerz spaghetti i lekarstwa. Przynajmniej wygląda fatalnie, jakby zaistniała sytuacja miała na niego negatywny wpływ.

– Co to za remont, tato? – pytam, siląc się na swobodny ton, żeby pokonać barierę, jaką się ode mnie odgradził.

Nie odpowiada.

– Kiedy zamierzacie mnie stąd wypuścić? – pytam, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Wkrótce – odpowiada cichym głosem, stojąc i jak pielęgniarz na oddziale psychiatrycznym obserwując mnie, gdy łykam pastylki.

Wychodzi bez słowa, a ja próbuję sobie wyobrazić, co się dzieje na dole.

Tuż po piątej widzę, jak furgonetka wyjeżdża z posesji, a kilka minut później zjawiają się u mnie rodzice.

– Chodź, Lucy – mówi mama i wyciąga do mnie rękę, co ignoruję.

– Dokąd idziemy? – pytam zdenerwowana, z ulgą opuszczając sypialnię i schodząc z nimi po schodach.

– Tam, gdzie będzie ci wygodniej – odpowiada mama, uśmiechając się z przymusem.

Ogarnia mnie panika.

– O co chodzi, tato? – pytam.

Nie patrzy na mnie. Po twarzy spływają mu krople potu.

Gdy wreszcie docieramy na parter, mama łagodnie kładzie mi rękę na ramionach i prowadzi mnie korytarzem. Po kilku krokach stajemy przed drzwiami do sutereny, ale wyglądają jakoś inaczej niż dotychczas, gdyż pojawiły się na nich dwie ciężkie zasuwki: jedna na dole, druga na górze.

– Nie! – krzyczę i odwracam się, chcąc uciec, lecz tata chwyta mnie i podnosi.

– Lucy, wszystko będzie dobrze – mówi, niosąc mnie po schodach do sutereny, kopiącą i rozwrzeszczaną.

Uderzam go w ramię, a on sadza mnie na kanapie, jakby wypuszczał na wolność dziką kocięcę.

Rozglądam się gorączkowo po moim pokoju do relaksu i od razu zauważam wiszące wysoko w górze na przeciwległych ścianach dwie zakratowane kamery monitoringowe.

– O mój Boże... Zamierzacie mnie tu przetrzymywać i obserwować? – pytam z niedowierzaniem, gwałtownie wciągając powietrze do płuc.

– Kamery są jedynie po to, żebyśmy mogli widzieć, czy nic ci nie zagraża. Będziesz tu przebywać tylko do czasu odzyskania zdrowego rozsądku – mówi mama nienaturalnie miłym głosem.

– Chyba tego dokładnie nie przemyśleliście – syczę. – Jeśli ktoś odkryje, że zamknęliście mnie w suterenie, to nie wyniknie dla was z tego nic dobrego.

– Nikt niczego nie *odkryje*. Nikt cię nie szuka, Lucy – oznajmia mama łagodnym tonem, ale w jej słowach brzmi groźba. Nie mogę uwierzyć, że mówi do mnie w ten sposób. Że mnie straszy.

– Mylisz się – odparowuję, zrywając się z kanapy. – Mak wie, że powiedziałam jej prawdę o transplantacji ciała. Sprawí, że policja zjawi się tu i o wszystkim się dowie. Lepiej więc zgłóście się na policję, zanim zrobi to Mak. W przeciwnym razie tylko pogorszycie swoją sytuację.

Mama odsuwa się ode mnie i splata palce, jakby zamierzała mi przekazać złą wiadomość.
– Przykro mi, Lucy, ale policja tu nie przyjedzie. Dzwoniła Monica. Powiedziała, że bardzo się niepokoi stanem Makayli – odpowiada z powagą.

– Dlaczego? Mak jest chora? – pytam tendencyjnie, wyobrażając sobie, że moją przyjaciółkę coś boli... Że cierpi.

– Nie... nie fizycznie. Monica martwi się, że Makayla przechodzi załamanie nerwowe. Dzwonili do niej z policji. Funkcjonariusz był zaniepokojony dziwnym żądaniem, jakie zgłosiła Makayla – by przeprowadzili dochodzenie w sprawie dziewczyny, która, jak twierdziła, może mieć ciało pochodzące z transplantacji – opowiada mama.

Zasłaniam twarz dłońmi. Biedna Mak. *Dotarłam* do niej z moim przekazem. Niestety, nikt jej nie uwierzył.

– Monica jest zrozpaczona – ciągnie tym samym poważnym tonem mama. – Zamierza zapisać Makaylę na terapię, żeby w ten sposób pomóc jej przezwyciężyć traumę związaną ze stratą Lucy i kłamstwami Renee. Ma wyrzuty sumienia, że wcześniej nie zapewniła córce odpowiedniej pomocy.

Czuję, jak krew uderza mi do głowy. Nikt mi nie pomoże! Co ja zrobię?

Spoglądam błagalnie na tatę. Siedzi bezładnie w fotelu, przesuwając dłonie po bladej, zmęczonej twarzy.

– Przykro mi, Lucy – mówi.

Nagle zachowanie mamy się zmienia. Zaczyna wymieniać zalety mojego pokoju do relaksu, jakby sprzedawała mi nieruchomość. Jej twarz się rozjaśnia.

– Uwielbiasz ten pokój – entuzjazmuje się. – Będzie ci w nim naprawdę wygodnie. Już wcześniej wybudowaliśmy tu dla ciebie przyjemną łazienkę. Kanapa po rozłożeniu zamienia się w wielkie łóżko. Wstawiłam ci tu moją stacjonarną bieżnię. Musiałam zabrać stół bilardowy, ale masz kino domowe, konsolę do gier, kolekcję płyt winylowych taty i mnóstwo książek.

– Dlaczego mówisz o tym w taki sposób, jakby siedzenie tu było dla mnie przyjemnością? – pytam z niedowierzaniem.

Mama nie zważa na moje słowa, lecz szczebiocze dalej:

– Przyniosę ci tu twoje ubrania i kosmetyki. A co myślisz o wspólnym wykonywaniu masażu stóp? Mogłybyśmy razem robić sobie różne zabiegi pielęgnacyjne.

Rozkładam ręce, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę.

– Czy to oszalałaś, mamo? – pytam z wyrzutem. – Nie zamierzam robić sobie razem z tobą żadnych zabiegów pielęgnacyjnych! Zamykacie mnie w suterenie jak więźniarkę. – Odwracam się do taty i oznajmiam: – Ty wiesz, że to szaleństwo. Powiedz jej... Powiedz!

– Zamykamy cię tylko chwilowo, dopóki nie zrozumiesz, że najlepsze dla ciebie i dla nas jest trzymanie języka za zębami i kontynuowanie dotychczasowego trybu życia – odpowiada słabym i niepewnym głosem tata. – Możesz uważać, że masz rację, Lucy, ale pomyśl, jak to będzie w przyszłości, skoro konsekwencje twojego doniesienia na policję okażą się tak druzgoczące dla tej rodziny?

– Lepiej mnie stąd wypuście, inaczej możecie zapomnieć o tym, że jesteśmy *rodziną*. Nigdy wam nie wybaczę tego uwięzienia. Nie będę chciała was znać – pryham na niego.

– Będziesz chciała – odpowiada z przekonaniem mama, rzucając na kanapę poduszkę. – Bo zdasz sobie sprawę z tego, że wszystko robimy z miłości do ciebie. Przetrywamy to i pójdziemy do przodu, zobaczysz. Może włącz sobie film? Wrócimy tu za godzinę z lekami i obiadem.

Przerażają mnie. Naprawdę zamierzają to wszystko zrealizować. Rzucam się na nich, torując sobie drogę po schodach, lecz tata mnie dogania. Odrywa moją dłoń od klamki

i powstrzymuje mnie przed wyjściem, wymykając się wraz z mamą i zamykając za sobą drzwi. Słyszę szcęk zasuw. Walę pięściami w drewno i krzyczę:

– Wypuście mnie stąd!

– Kochamy cię, dziecino – mówi spokojnym głosem mama. – To dla twojego dobra. Wszystko będzie w porządku, gdy zaczniesz jasno myśleć.

Rozglądam się dookoła, szukając drogi ucieczki. Ale dobrze znam tę suterенę i wiem, że można stąd wyjść tylko drzwiami. Matowe szyby znajdują się zbyt wysoko, aby móc do nich dosięgnąć, i są za wąskie, by dało się przez nie przecisnąć. Ogarnia mnie furia. Czekam kilka minut, by rodzice doszli do miejsca, z którego mogą mnie szpiegować, podnoszę konsolę do gier wideo i staję przed jedną z kamer.

– Hej, obserwujecie mnie?! No to patrzcie! – krzyczę, podnoszę konsolę wysoko i z całej siły uderzam nią o podłogę, roztrzaskując na kawałki.

Nasłuchuję ich kroków, jak biegną, by mnie uspokoić, lecz panuje cisza. Wyłączam projektor z kontaktu, zdejmuję go z półki i jak wariatka tańczę z nim przez chwilę, a następnie celuję nim w jedną z kamer. Roztrzaskuje się o zabezpieczającą kamerę metalową kratę.

Słyszając w holu kroki, śmieję się w duchu.

– Jeśli mnie stąd nie wypuścicie, roztrzaskam wszystko, co jest w tym pokoju! – krzyczę w stronę drzwi.

– Proszę bardzo – odpowiada zza drzwi mama. – Ale lepiej tego nie rób, bo zwariujesz z nudów, nie mając czym się zająć. Musisz się uspokoić, Lucy, i pomyśleć, że powinnaś postawić na pierwszym miejscu siebie. Już za późno na uratowanie Hayley, lecz wciąż możesz uratować siebie.

W suterенie nie ma zegara. Ale skoro muszę zażywać leki co sześć godzin, a przynieśli mi je sześć razy, to znaczy że jestem tu jakieś trzydzieści sześć godzin. Nie wiedziałam, że czas może się tak dłużyć. Przestała działać klimatyzacja. Powietrze jest gorące i duszne. Musiałam się przebrać w szorty i T-shirt. Zdjęłam nawet perukę, żeby było mi nieco chłodniej. Przesuwam dłonie po miękkich kruczoczarnych włosach, które robią się coraz dłuższe. To dobrze, że łatwo wyczuwam pod palcami bliznę wokół czaszki, która jest jak aureola, gdyż przypomina mi o tym, co Radnor zrobił Hayley. To sprawia, że jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, by nie ulec argumentom rodziców.

Mama przyniosła mi na dół ubrania, a nawet moje i babci zdjęcie. Spytałam ją, czy wyłączyła mi klimatyzację. Odpowiedziała, że coś się zepsuło i starają się to naprawić. Sądzę, że kłamie. Usprawiedliwia każdą taktykę służącą wymuszeniu na mnie uległości i milczenia w sprawie Radnora. Dostrzegam to w jej spojrzeniu. Naprawdę uważa, że robi to dla mnie. Cokolwiek powiem, to jej nie powstrzyma. Po prostu muszę być silna. Wiem, że nie otrzymam pomocy z zewnątrz. Nikt nie wierzy Mak, a Ben może już wrócił do Wielkiej Brytanii, kiedy doszedł do wniosku, że opowieść o transplantacji to jakaś chora fantazja. Muszę więc pracować nad zmianą zdania u taty, sprawić, by zrozumiał, że to, co się dzieje, to jakieś szaleństwo, i postąpił właściwie.

Gdy wchodzi z jedzeniem, leżę na kanapie i słucham na stereo na pełny regulator *The River*.

– Hej, miło jest usłyszeć The Bossa – mówi, uśmiechając się nerwowo. – Sprawdziłem daty tras koncertowych Springsteena. Najbliższa będzie dopiero w przyszłym roku. Zamierzam wyjechać wcześniej i zdobyć dla nas bardzo dobre miejsca.

Przyciskam twarz do przepoconego materaca, zastanawiając się, po co się tak łudzi.

– Na obiad jest pizza z pepperoni – informuje mnie i wręcza mi pastylki oraz butelkę wody.

Połykam je, a następnie wyrywam mu z ręki pizzę.

Siada na poręczu kanapy i z ponurą miną obserwuje, jak jem.

– Dzwoniłem do Radnora – informuje mnie z powagą. – Musiałem zyskać pewność. Uczepiłem się nadziei, że nieświadomy sytuacji uznał Hayley za legalną dawczynię.

– I co ci odpowiedział? – pytam sztywna.

Tata z trudem przełyka ślinę i mówi:

– Kiedy skonfrontowałem się z nim, ujawniając, co wiemy, nie zaprzeczył temu. Oznajmił tylko, że sfilmował mnie i mamę, gdy byliśmy w jego gabinecie i oglądaliśmy zdjęcie Hayley, a także zapoznawaliśmy się z jej dokumentacją medyczną. To było, *zanim* Hayley zaginęła!

– Co to znaczy? – pytam zdezorientowana.

– To znaczy, że zaaranżował to spotkanie, aby stworzyć wrażenie, że chciał uzyskać naszą aprobatę. Wygląda to tak, jakbyśmy dali mu zgodę na uprowadzenie Hayley i wykorzystanie jej ciała do transplantacji. Wszystko zaplanował, chcąc się zabezpieczyć przed złożeniem przez nas doniesienia na policję, gdybyśmy kiedyś poznali prawdę – wyjaśnia tata.

Jestem wstrząśnięta na myśl, że podziwiałam tego lekarza i uważałam go za swojego wybawcę, gdy tymczasem miałam do czynienia z potworem. Dokładnie wszystko przygotował. Zastanawiam się, czy robił to już wcześniej. Przypominam sobie teczki znajdujące się w szufladzie jego biurka, zdjęcia zdrowo wyglądających nastolatków i kartki z wynikami ich badań. Gdy zaczynam rozumieć, co one mogą oznaczać, chwytam tatę za rękę.

– Są jeszcze inni! – wołam.

– Jacy inni? – dziwi się tata.

– W gabinecie Radnora znalazłam teczki nastolatków. Powiedział mi, że to pacjenci czekający na transplantację, ale może to jego *ofiary*?! – mówię z naciskiem. – A jeśli teraz trzyma w klinice którąś z tych nastolatek, aby przygotować jej ciało do transplantacji dla tej staruszki, Elizabeth? – Na myśl o tym żołądek podchodzi mi do gardła.

Tata przyciska dłoń do czoła, jakby bolała go głowa.

– Nie wiesz tego. Te nastolatki *mogły* być jego pacjentami – odpowiada słabym głosem. – Zamknął klinikę w Anglii, prawda? Jestem pewny, że nie zrobi więcej tego, co w twoim przypadku.

– Nie oszukuj się, tato! Musisz to zgłosić na policję – żądam.

– Nie możemy – mruczy pod nosem.

– Ale musisz! – nalegam, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Niestety, uparcie pochyła głowę.

– Jeśli Radnor pokaże to nagranie na policji, nie udowodnimy, że nie wiedzieliśmy, w jaki sposób zdobył ciało Hayley. Policja dowie się, że wcześniej zapłaciliśmy mu za wykonanie nielegalnej operacji, że byliśmy gotowi zrobić wszystko, by zachować cię przy życiu. Przekona ich o tym ten film. Uznają nas za winnych – argumentuje tata.

– Może rzeczywiście *jestecie* winni – oznajmiam z wściekłością. – Słyszałam, co powiedziałaś do mamy. Było dla was bardzo wygodne, że we właściwym momencie Radnor może dostarczyć odpowiednią dawczynię. Czy to nie wyrzuty sumienia dręczą cię, tato? Czy dlatego jest ci tak trudno spojrzeć mi w oczy? Bo w głębi duszy wiesz, że patrzysz na zamordowaną dziewczynę?

– Lucy, proszę, nie mów takich rzeczy – oznajmia, krzywiąc się. – Teraz musimy skupić się na tym, co jest najlepsze dla ciebie. Jeśli złożę doniesienie na policję, ja i mama zostaniemy skazani nie za to, że wystaraliśmy się o tę nielegalną operację, lecz jako współwinni morderstwa. I nigdy więcej nas nie zobaczysz.

Akurat gdy kończy mówić, włącza się, jak na ironię, płyta i zaczyna się radosny utwór *Hungry Heart*. Idę do gramofonu i rysuję płytę igłą. Następnie zdejmuję krążek z talerza obrotowego i roztrzaskuję go o stół. Chwytam drugą płytę z taty kolekcji utworów Springsteena, wyjmuję ją z okładki i zginam na kolanie. Po niej biorę następną i tak bez końca. To cenne egzemplarze, podpisane albo pochodzące z limitowanych edycji. Rzucam nimi w niego, a on się uchyła przed ciosami i osłania. Depczę je i ciskam nimi w ścianę, krzyżąc na niego:

– Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Zaczyna płakać i w pośpiechu wychodzi z sutereny.

Oczywiście rodzice będą mnie obserwowali za pośrednictwem kamer, ale zostawią tu samą na wiele godzin. Chcą, żebym była mokra od potu, zadreżczała się i niepokoiła tym, co stanie się z nami wszystkimi, jeśli zadzwonię na policję. Żebym się zastanowiła nad konsekwencjami faktu, że nikt nie wie o moim uwięzieniu w suterenie, że nikt mnie nie szuka. Bo oprócz nich nie mam żadnej rodziny ani przyjaciół. Jeśli chcę stąd wyjść, muszę więc zrobić to, co mi każą: zapomnieć o Hayley i o powiadomieniu o wszystkim jej rodziny, o teczkach innych nastolatków w klinice Radnora i o powstrzymaniu go przed dalszymi transplantacjami. Mam wyprzeć z pamięci te nikczemne postęпки i skupić się na tym, jak przeżyć fałszywe, szczęśliwe życie.

Znam mamę. Wiem, jak bardzo jest zdeterminowana. Nie mam cienia wątpliwości, że będzie mnie tu przetrzymywała tak długo, jak długo będzie trzeba. Jest przyzwyczajona do osiągnięcia wyznaczonych sobie celów. Nie pozwoliła przecież zwyciężyć nawet śmierci. Chce, żebym uznała się za bezsilną. Ale jest w błędzie, bo to ja mam ostateczną władzę nad rodzicami. Po prostu muszę być wystarczająco silna, aby jej użyć.

Czas wlecze się niemiłosiernie. W końcu słyszę zgrzyt zasuw i na schodach pojawia się mama – trzeba podać mi leki. Nie zwraca uwagi na zaśmieconą roztrzaskanymi płytami podłogę, puste butelki po wodzie mineralnej i porozrzucane ubrania.

– Posłuchaj, kochanie, przyniosłam ci butelkę coli i batony czekoladowe – mówi, wyciąga rękę, w której trzyma pastylki, i dodaje: – Weź je.

Wytrącam jej pastylki z dłoni i miażdżę je bosymi stopami. Jest to bolesne, ale przyjemne, gdyż oznacza, że w końcu przejęłam kontrolę nad sytuacją.

– To nie było mądre, nie uważasz? Pójdę po następne – oznajmia opanowanym głosem.

Słyszając ten ton, zaciskam zęby. Takim samym mówiła do mnie, gdy leżałam w klinice, spodziewając się śmierci, bezradna i całkowicie od niej zależna.

Czekam na nią, krążąc po pokoju.

Po kilku minutach wraca z kolejnymi pięcioma pastylkami i mówi:

– Na wypadek gdybyś chciała zniszczyć również te, muszę cię przestrzec, że za niecały tydzień wyczerpie się ich zapas. Tylko od doktora Radnora zależy, czy przyśle nam następne, więc radziłabym ci nie marnować żadnych.

Biorę od niej pastylki.

– Grzeczna dziewczyna – mówi oschle.

Ale ja idę do łazienki, wrzucam je do muszli i splukuję.

Mama wpada w gniew. Widać, że z wysiłkiem próbuje odzyskać panowanie nad sobą.

– Nie będę zażywać żadnych leków, dopóki mnie stąd nie wypuścicie i nie pójdziemy razem na policję, aby im powiedzieć o Radnorze i Hayley – oświadczam z przekonaniem, bo mama musi wiedzieć, że mówię poważnie.

Patrzy na mnie poirytowana i odpowiada:

– Okej, Lucy, jeśli chcesz postępować tak niepoważnie i nieostrożnie, to proszę bardzo. Zobaczmy, czy nadal będziesz mówiła tak samo, gdy twoje ręce znowu zaczną drżeć i nie

przestaną. – Po tych słowach odwraca się na pięcie i wychodzi z sutereny sztywnym krokiem.

Chcąc się uspokoić, biorę zimny prysznic. Jestem zmęczona i podenerwowana. Paranoicznie każdy skurcz mięśni odbieram jako zapowiedź nawrotu drżenia rąk. Potrafię myśleć tylko o tym – kiedy zacznie się napad i jak fatalny będzie miał przebieg. Radnor przestrzegł mnie, że bez zażywania leków mój stan się pogorszy. Ale co naprawdę mi się stanie? – zastanawiam się. Wiem, że mama będzie mnie obserwowała za pośrednictwem kamer, czekając, aż zacznie się drżenie i poproszę, żeby przyniosła pastylki. Nie mogę się poddać. Muszę mieć zajęty umysł, by przestać obsesyjnie myśleć o możliwym ataku.

Idę do stojącego w kącie regału z książkami i rzucam wzrokiem na tytuły. Są tu thrillery, romanse, utwory fantasy i inne, ale moją uwagę przyciąga półka, na której stoją książki z obrazkami. Te ostatnie były tak często czytane, że mają osłe uszy. Na wewnętrznej stronie okładki kilku z nich mama napisała moje imię, w innych zrobiłam to sama, stawiając duże, dziecinne litery. Biorę całą stertę i rzucam na rozłożoną kanapę. Oglądam jedną książkę za drugą, strona po stronie, napotykając śmieszne obrazki i krzepiące znajome słowa. *Bardzo głodna gąsienica, Kot Prot, Tam, gdzie żyją dzikie stwory*. Wszystkie te książki są jak serdeczny uścisk. Kładę się na plecach i oddalam wraz z Maxem, żeglując do krainy dzikich stworów. Tam nic złego nie może mi się stać...

Budzę się, gwałtownie wciągając powietrze do płuc. Moje ciało jest rozpalone. Czuję mrowienie w rękach i klatce piersiowej. Uderzam rękami w materac z taką siłą, że drży kanapa i szczękają sprężyny. Nie mogę tego powstrzymać. Do mojego ciała przylepiają się spoczone szorty i T-shirt, a wilgotne zimne prześcieradło owija się wokół nóg. W nos uderza mnie nieprzyjemny zapach. No nie... to śmierdzi mój mocz. Leżę na zasikany materacu! Ze wstrętem staczam się z łóżka. Walę rękami o podłogę, aż trzęsą mi się ramiona. Zaciskam z bólu szczęki. Próbuję przycisnąć ręce ciałem. Niestety, nie mam nad nimi kontroli. Kiedy to się skończy? – myślę. Dotychczas napad drżenia rąk nigdy nie trwał tyle czasu. To jest przerażające, ale nie chcę wołać rodziców. Muszę przez to przejść. Chyba nie powinno trwać dużo dłużej? Gdy zaciskam zęby, prosząc los, by skończyło się to jak najszybciej, po twarzy płyną mi łzy.

Nagle drzwi się otwierają i po schodach biegną do mnie rodzice. Tata mnie podnosi i trzyma mocno. Ściska mnie, opierając moją głowę na ramieniu, a ja uderzam o niego.

Mama przysuwa mi do ust pastylki i mówi:

– Weź je, Lucy. To jedyny sposób, aby powstrzymać drgawki.

– Zadzwoń... na policję – wyjąkuję, szczękając zębami.

Waha się przez chwilę, jednak tłumy instynktowną potrzebę zrobienia tego i oświadcza:

– Wiesz, że nie mogę.

– Ależ, Gemmo, spójrz na nią – mówi zrozpaczony tata.

– Nie chcę, żeby ją nam odebrali, Lewis. Jak ją ochronimy, kiedy będziemy w więzieniu?

– pyta drżącym głosem.

– Lucy, proszę cię, zażyj pastylki – błaga tata, zabierając je mamie i przysuwając mi do ust.

– Nie! – wykrztuszam.

Mama odsuwa się i patrzy w podłogę.

Nie wiem, jak długo tata mnie trzyma, lecz w pewnym momencie czuję w ciele zmianę. Drgawki stają się coraz rzadsze i słabsze. Wyczerpana opieram się na torsie taty, a on bierze mnie na ręce i sadza w fotelu.

– W porządku – mówi, głaszcząc mnie po ręce. – Już po wszystkim.

– Już po wszystkim *na tę chwilę* – poprawia go zjadliwym tonem mama. – To tylko początek, Lucy. Jeśli nie będziesz zażywała pastylek, twój stan znacznie się pogorszy.

Siedzę ze zwieszoną głową, z trudem otwierając oczy.

Mama sprawdza łóżko i zaczyna zdejmować prześcieradła.

– Przestałaś trzymać moc. Ciekawe, co jeszcze ci się przydarzy, jeśli nie będziesz zażywać lekarstwa – mówi w napięciu i zwraca się do taty: – Lewis, zanieś Lucy do łazienki. Pomogę jej wziąć prysznic.

– Nie dotykaj mnie. Wynoś się stąd – chrypię.

– Przynajmniej pozwól mi zmienić pościel – prosi mama.

– Zostaw ją – mamroczę.

Mama patrzy na mnie z niepokojem i przestrzega:

– To ostatnia szansa, Lucy. Zażyj leki.

Pokazuję jej środkowy palec.

– Idziemy, Lewis – warczy.

– Słucham? Chcesz ją zostawić w takim stanie? – oburza się tata, głaszcząc mnie czule po policzku.

– To jej wybór – odpowiada mu mama. – Musimy być silni. Robimy to dla jej dobra i z myślą o jej przyszłości. Będziemy tu, by się nią zająć, gdy tylko na to pozwoli. Kiedyś nam za to podziękuje.

Budzę się w fotelu okropnie połamana. Czuję przykry zapach z ust. Wycieram ślinę z podbródka i kręcę głową, starając się rozruszać zesztywniały kark. Moje ubranie jest sztywne od moczu. Cuchnę. Zwlekam się z fotela i oglądam ręce. Są pełne siniaków z powodu uderzenia nimi o podłogę w czasie napadu drżenia rąk. Zastanawiam się, jak długo spałam. Nie mam pojęcia, która godzina, ale burczy mi w brzuchu. Biorę z podłogi butelkę wody mineralnej i nawilżam ciepłym płynem wysuszone gardło. Na stole leżą batony i herbatniki. Pożeram je. Następnie wlokę się na środek pokoju i mówię do kamer:

– Oglądasz mnie, mamoo?! Bez względu na to, co mi się stanie, nie poddam się. Lepiej w to uwierz i szybko zadzwoń na policję.

Rozlega się buczenie włączonej klimatyzacji. Do pokoju, w którym panuje duchota, zaczyna napływać cudownie zimne powietrze. Czy urządzenie zostało naprawione, czy też mama mięknie? – zastanawiam się. Uśmiecham się na myśl o swoim małym triumfie.

Biorę prysznic i się przebieram. Chcę, by kamery pokazywały mnie jako osobę panującą nad sytuacją, a nie kogoś, w kim na myśl o następnym ataku narasta przerażenie.

Spoglądam z pogardą na mamę niosącą mi na tacy jedzenie. Zastanawiam się, jak długo wytrwa w uporze, gdyż wygląda na słabą i wyczerpaną.

– Długo spałaś. Jak się czujesz, Lucy? – pyta miłym głosem.

– Nigdy nie czułam się lepiej. Jakbym była na długich wakacjach – odpowiadam ze złośliwym uśmiechem.

– To, co wczoraj ci się przydarzyło, było straszne – mówi udręczona przez poczucie winy, co słychać w tonie jej głosu.

– Owszem. Ale dla ciebie okazało się do zniesienia, skoro nie zadzwoniłaś na policję w sprawie Radnora. Zamierzasz czekać na moją śmierć? Taki jest twój plan? Patrzeć, jak umieram, zamiast postąpić słusznie? – wyrzucam jej.

Wzdycha i ignoruje moje pytanie.

– Chcesz zagrać w karty? – proponuje. – W szafce jest talia.

Mam ochotę powiedzieć jej, żeby się stąd zmyła, ale się powstrzymuję.

– Okej – mówię. – Przyniesiesz je?

– Jasne – potwierdza zachwycona.

Czekam, aż przejdzie na drugi koniec pokoju. Gdy już tam jest, pędzę po schodach,

zamykam za sobą drzwi i zatrząskuję zasuwę. Słyszę, jak biegnie do drzwi, wali w nie rękami i wrzeszczy:

– Lewis! Lewis! Zatrzymaj Lucy. Uciekła z sutereny.

Rozglądam się po holu i patrzę na schody, sprawdzając, czy u ich szczytu tata nie stoi na czatach. Idę do frontowych drzwi. Niestety, są zamknięte. Biegnę przez kuchnię do drzwi z tyłu domu, lecz one również są zamknięte i nie ma klucza tam, gdzie dotychczas zawsze wisiał. Wciąż słysząc krzyki mamy, pędzę do salonu i chwytam za klamkę okna. Ale się nie przekręca. Próbuję przekręcić kilka kolejnych, lecz i one stawiają opór. Walę pięścią w szybę. Jest tak, jakby w domu obowiązywał zakaz wyjścia.

Do salonu wpada tata.

– Lucy, daj mi rękę. Wracamy do twojego pokoju – mówi.

– To nie pokój, lecz więzienie! – krzyczę.

– Nie na długo – odpowiada. – Jeśli zgodzisz się z nami, że nie możemy nikomu powiedzieć o Radnorze, ta straszna sytuacja się skończy.

– Co z tobą, tato? Kiedy stałeś się takim tchórzem? Dlaczego pozwalasz, by mama mi to robiła? – pytam ze smutkiem.

– My tylko cię chronimy. Nie myślisz jasno. Musisz zrozumieć, jakie będą dla ciebie konsekwencje złożenia doniesienia na Radnora – odpowiada, łapiąc mnie, gdy próbuję uciec najpierw w lewo, a potem w prawo. A gdy krzyczę z bólu, bo chwycił mnie za posiniaczoną rękę i ciągnie, szepcze: – Przepraszam... przepraszam.

Otwiera drzwi sutereny i sprowadza mnie po schodach. Mama spogląda na mnie rozwścieczona i przechodzi obok bez słowa, idąc na górę.

– Kupiłem ci nowy materac – mówi tata, jakby chciał wynagrodzić mi to, co zrobił.

– Następny do zasikania. Naprawdę jesteś debeściak, tato – mówię z gorzką ironią.

Czerwieni się i odpowiada:

– Nie chcemy, żebyś cierpiała, Lucy. Możesz to wszystko zatrzymać, jeśli tak postanowisz.

– Ty też możesz – mówię, spoglądając na niego wilkiem.

Minęła godzina, a może dwie, od czasu, gdy tata przyniósł mi nowy materac. Ten ma plastikową osłonę, taką, w jaką są wyposażone łóżka w klinice na wypadek jakiegoś „nieszczęścia”. Nuda doprowadza mnie do szaleństwa. Nie mogę się odprężyć. Przez cały czas czekam na następny atak drżenia rąk. Ale przewrotnie chcę, by nastąpił, bo uważam, że mama nie będzie w stanie obserwować, jak ponownie przeżywam to powodujące traumę doświadczenie. Podda się, kiedy nadejdzie napad. Powtarzam to sobie bez końca, aby móc zachować siłę.

Wysypuję na stół talię kart, wracając myślami do babci, która zawsze starała się postępować słusznie. Gdyby tu była, powiedziałaaby mamie, że wstydzę się jej zachowania, tego, że straciła zdolność odróżniania dobra od zła. Mama postawiła siebie i tatę w beznadziejnej sytuacji.

„No już, Lucy. Zajmij umysł. Skup się na czymś” – dopinguję się, próbując zbudować pięciopiętrową wieżę. Choć ciągle się zawala, nie przejmuję się tym. „Mam mnóstwo czasu” – mówię do siebie w myślach z goryczą.

Wzniosłam czwarte piętro wieży. Kładąc ostatnią kartę na górze, staram się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Nagle ręka zaczyna drżeć i wieża się zawala. O Boże, nadchodzi! Oddycham głęboko, próbując zachować spokój, ale czuję, że drżenie rąk szybko się nasila. Wkrótce cała się trzęsę. Moje ciało sztywnieje, a głowa zostaje odrzucona do tyłu. Czuję przerażający ucisk na gałki oczne, jakby miały zostać wypchnięte z oczodołów. Zaciskam powieki, błagając los, by to koszmarnie doznanie się skończyło... Moje ciało staje się

bezwładne, przywieram więc do krzesła. Dyszę. Wydaje mi się, że nagle dostałam kataru, lecz w ustach mam smak krwi. Spływa z podbródka na kołdrę, którą jestem owinięta. Nacisk na gałki oczne łagodnieje. W grobowej ciszy nasłuchuję sygnałów płynących z mojego ciała, próbując się zorientować, czy znowu zaczyna się drżenie. W końcu moje ramiona się rozluźniają. Osuwam się do przodu i ściskam za nos, chcąc zatamować krwawienie.

Słyszę na schodach pospieszne kroki rodziców.

– Dzięki Bogu atak się skończył – mówi tata do mamy.

Ja jednak czuję, że zaczyna się ponownie, nadciągając jak burza. Zostaję rzucona do przodu i upadam plecami na posadzkę. Patrzę bezradnie na rodziców, waląc głową o podłogę i skręcając się z bólu. Tata próbuje mnie podnieść, lecz uderzam go rękami i nogami, które samoczynnie wykonują bezładne ruchy. Udaje mu się tylko włożyć mi pod głowę poduszkę.

Mam poczucie, że minęło mnóstwo czasu, zanim moje ogarnięte drgawkami ciało osiągnęło stan wyczerpania fizycznego i się uspokoiło. Leżę na plecach wykończona napadem i oślepią światłem lamp, a rodzice krążą wokół mnie.

Mama przyklęka i głaszcze mnie po głowie. Czuję na twarzy jej łzy.

– Proszę cię, Lucy, przestań. Niech to się już nie powtórzy – mówi, bierze mnie w ramiona, wyjmując z kieszeni pastylki i pyta: – Czy rozumiesz, jakie to dla ciebie niebezpieczne? Zażyj je, kochanie.

Patrzę na nie pożądliwie – na pięć magicznych pastylek w pastelowych barwach. Tylko ich połknięcie nie dopuści do kolejnego napadu. Nacisk na gałki oczne był przerażający. Strach chwyta mnie za gardło. Nie wiem, czy przetrzymam kolejny napad.

– No już, Lucy, zażyj je – błaga tata.

– Najpierw wezwijcie policję – mówię cicho, wydobywając z siebie resztki energii.

Mama krzyczy z udręką w głosie:

– Lewis, dość tego! Przytrzymaj ją.

– Nie, Gemmo – odpowiada zszokowany.

– Musi je zażyć. Podaj mi wodę. Przytrzymaj mocno jej głowę – nakazuje mu tak zdenerwowana, że aż drgają jej nozdrza.

– Ale co będzie następnym razem i później? Nie możemy co sześć godzin wpychać jej do gardła pastylek – przekonuje ją tata, biorąc za rękę.

– Jeśli okaże się to konieczne, będziemy tak robić – oświadcza mama, odsuwając rękę i ukazując trzymane w dłoni tabletki.

– Nie możemy – powtarza tata, patrząc na mnie, ale już nie tak stanowczo jak wcześniej.

Z pewnością wyglądam przerażająco, leżąc na podłodze poobijana i bezsilna.

– Lewis, to nie pora na zgłaszanie wątpliwości. Chcesz siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak twoja córka się zabija? – udziela mu reprimendy mama.

Tata ze łzami w oczach chwyta mnie mocno za głowę.

– Dobrze. Otwórz usta, Lucy – poleca mi mama, pochylając się nade mną.

Zaciskam wargi, krzywiąc się z gniewu. Ale mama chwyta mnie za dolną wargę i ciągnie ją w dół. Zaciskam zęby, próbując się odsunąć, lecz tata trzyma mnie jeszcze mocniej. Szturczę więc mamę łokciem w brzuch, przewracając do tyłu.

– Przytrzymaj jej rękę – chrypi.

Tata ściska mi rękę na wysokości klatki piersiowej i przytrzymuje głowę. Wówczas mama przysuwa się do mnie ponownie, ale ją kopię. Siada więc na mnie okrakiem i próbuje otworzyć mi usta. Kląpię na nią zębami i udaje mi się złapać ją za mały palec, który gryzę aż do krwi. Wrzeszczy i drugą ręką uderza mnie w twarz. Zszokowana otwieram usta i wypuszczam jej palec. Wykrzywiona z gniewu, ciągnie mnie za nos do góry i za dolną wargę w dół, aż w końcu

udaje się jej otworzyć mi usta, gdyż nie mogę już dłużej zaciskać zębów. Wtedy kładzie mi na języku pastylki i wlewa do ust wodę z butelki. Jest ich za dużo i utykają mi w gardle. Zaciska mi usta, zmuszając mnie w ten sposób do połknięcia tabletek, ale nie dam rady. Krztuszę się, mając w ustach pełno wody, aż oczy wychodzą mi z orbit. Czuję, że moja twarz zaraz wybuchnie. Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać!

– Na litość boską, Gemmo, ona się dusi! – krzyczy tata, puszcza moją głowę i odpycha ode mnie mamę. Uderza mnie po plecach, aż po chwili pastylki wypadają mi z ust wraz ze strumieniem wody.

Z trudem łapię powietrze, patrząc z przerażeniem na mamę, która zasłania usta drżącą dłonią.

– Przepraszam, Lucy – jęczy.

Gramolę się z podłogi i odsuwam od niej. Szalonej... Niebezpiecznej.

– Mogłaś mnie zabić – charczę.

– Ja tylko chciałam, żebyś zażyła pastylki. Próbuję zaoszczędzić ci cierpienia – szlocha.

– Nie możemy dłużej tego ciągnąć, Gemmo – mówi drżącym głosem tata.

Zapada cisza i przez chwilę panuje spokój, bo zaraz mama powtarza za tatą:

– Nie możemy dłużej tego ciągnąć. Masz rację.

Zastanawiam się, co ma na myśli. Czyżby się poddała? Czyżbym zwyciężyła?

JEDYNY, KTÓRY MOŻE POMÓC

Siedzę w fotelu i obserwuję, jak na hamburgerze i frytkach, które mama przyniosła mi przed wieloma godzinami, zastyga tłuszcz. Nie mogę tego zjeść. Wątpię, czy w ogóle zdołałabym przełknąć kęs. Z powodu napięcia mam ściśnięte gardło i skurczony żołądek. Zastanawiam się, dlaczego wciąż tu jestem. Dlaczego rodzice nie zadzwonili na policję? Czuję się tak, jakbym została uwięziona na zawsze. Powinnam być silna, a jestem wyczerpana. Miałam dwa kolejne napady, a ten ostatni był najostrejszy. Przychodzi do mnie tylko mama z błaganiem, bym zażyła pastylki. Tata zrezygnował z trzymania mnie czy karmienia siłą. Mama sama patrzy, jak dostaję drgawek, trzęsę się i krwawię z nosa. Mam wtedy wrażenie, jakby coś rozsadało mi głowę. Stoi nade mną ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Jak ona i tata mogą się nie poddać, widząc mnie w takim stanie?

Słyszę za drzwiami jakieś hałasy. To stłumione głosy. Siadam prosto i nasłuchuję. Oprócz głosu mamy i taty słyszę jeszcze czyjś. Ktoś z nimi jest. Policjant? Zrywam się z fotela, czując ulgę. W końcu zadzwonili na policję. Niestety, zamiast gliny widzę... *jego!!!*

Radnor schodzi po schodach ubrany w drogi garnitur i zmierza prosto do mnie, jakby on tu rządził. Na jego widok dostaję furii. Podbiegam i okładam go pięściami po klatce piersiowej. Chcę zadać mu ból. Chcę, aby cierpiał po tym wszystkim, co zrobił mnie... Hayley. Mocuje się ze mną, a po chwili zamyka mnie w ramionach i szepcze mi do ucha:

– Okej, wyrzuć to z siebie.

Odchyłam głowę do tyłu i pluję mu w twarz. Wówczas puszcza mnie z obrzydzeniem i ściera ślinę z policzka, ale nadal patrzy mi w oczy.

– Jak mogliście go tu przyprowadzić?! – krzyczę na rodziców.

– A jaki mieliśmy wybór, Lucy? Jedyne doktor Radnor może nam pomóc – odpowiada mama, bezradnie rozkładając ręce.

– To morderca! – oświadczam. – Nie pozwólcie mu mnie dotykać.

– My też go tu nie chcemy, ale próbujemy cię uratować – odpowiada tata, spoglądając na Radnora z ostentacyjną pogardą.

– Usiądź, proszę, Renee, i posłuchaj mnie – mówi spokojnym głosem lekarz.

– Mam na imię Lucy... Zawsze byłam Lucy! – wołam, stając przed nim prowokacyjnie.

– Przepraszam... Lucy. Wiem, że nie możesz zrozumieć tego, co zrobiłem, i chcesz iść na policję, lecz chyba masz świadomość, jak bardzo się o ciebie troszczę? Przyjechałem tu, aby ci pomóc. To przygnębiające widzieć cię w takim stanie – oznajmia, patrząc na mnie z przejęciem, ale wiem, że udaje. Troszczy się o mnie tylko dlatego, że jestem dla niego bezcenna jako żywa reklama jego sukcesów w transplantacji.

– Zamordował pan Hayley Turner i dał mi jej ciało – oskarżam go, powstrzymując łzy, bo nie chcę płakać w obecności tego potwora.

– Uwierz mi, rozumiem, dlaczego jesteś przerażona, ale nie było innego sposobu zapewnienia ci idealnej dawczyni. Twoje życie się skończyło, a twoi rodzice byli zdesperowani – odpowiada.

– Proszę nas nie traktować jako wytłumaczenie tego, co pan zrobił – protestuje zaczerwieniona ze złości mama.

Radnor patrzy na nią z pogardą i oświadcza:

– Dostaliście to, co chcieliście, nieprawdaż?

– Czy ma pan w pogotowiu kolejną przyszlą ofiarę trzymaną po to, by wykorzystać jej ciało dla tej starej kobiety, którą spotkałam w klinice? – pytam, rzucając mu wyzwanie. – A teczki z dokumentacją medyczną nastolatków, które widziałam u pana w gabinecie, to nie są teczki pacjentów, lecz osób, których ciała zamierza pan użyć tak, jak użył pan ciała Hayley. – Na myśl o tym skręcają się we mnie wnętrzności.

– Przebywasz tu za długo. Twoja wyobraźnia płata ci figle – mówi na to Radnor, z dezaprobatą kręcąc głową, ale nie może ukryć przede mną swoich kłamstw.

– Czy bogaci starzy pacjenci zgłaszają panu swoje wymagania? Oczywiście dotyczące wieku, koloru włosów czy braku chorób genetycznych. Czy za urodziwe... przystojne ofiary liczy sobie pan więcej? Jestem pewna, że żaden z pana pacjentów nie chce się obudzić brzydki! – krytykuję go zjadliwie.

– Lucy, to nie jest przemysł kosmetyczny dla próżnych ludzi. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że dzięki tej operacji potrafię pokonać śmierć. Jednak ani ty, ani ja, ani nikt inny nie potrafi właściwie ocenić moich osiągnięć. Powinnaś pomyśleć o każdym życiu, które mogę uratować – tłumaczy mi.

– Ale nie może pan *odbierać* życia komuś w tym celu, aby uratować je komuś innemu! – krzyczę. – Nie chciałam, żeby ktoś został zabity po to, abym ja mogła żyć.

– Nie zawsze tak będzie – odpowiada niewzruszony. – Ludzie mają wrodzoną chęć życia tak długo, jak to tylko możliwe. Dlatego wkrótce społeczeństwo będzie gotowe docenić moje niewiarygodne osiągnięcie i wówczas rząd wprowadzi obowiązek oddawania do transplantacji ciał osób, u których nastąpiła śmierć mózgu. Z chwilą gdy to nastąpi, Lucy, powstanie duży zapas ciał i nie będę zmuszony sięgać po drastyczne środki. – Kładzie mi ręce na ramionach, ale odtrącam je z odrazą.

– *Drastyczne środki?! Tak pan nazywa morderstwo?* – pytam, nie mogąc uwierzyć, że próbuje usprawiedliwiać to, co robi.

– Posłuchaj, nie chcę z tobą walczyć – odpowiada łagodnie. – Przyjechałem tu dziś, bo mnie potrzebujesz.

– Nie potrzebuję pana! – protestuję gwałtownie.

– Ależ tak, Lucy. Jak się przekonałaś, jeśli przestaniesz zażywać leki, skutki tego będą fatalne. Twój stan szybko się pogorszy. Twój organizm przestanie wykonywać swoje funkcje życiowe. Nie będziesz panować nad oddawaniem moczu i wypróżnianiem się. Koordynacja czynności ciała zostanie poważnie upośledzona. Czekają cię bardzo silne bóle głowy, a twój nerw wzrokowy będzie podlegał niebezpiecznemu uciskowi, co w końcu doprowadzi do wylewu krwi do mózgu. W ten sposób mówię ci, że jeśli nie będziesz przyjmowała leków, wkrótce umrzesz i będzie to śmierć w męczarniach – przestrzega.

Jego słowa mnie szokują. Dotykam fotela i siadam w nim niepewnie. Ale wiem, że Radnor nie kłamie. Napady są coraz ostrzejsze, a ból staje się coraz trudniejszy do zniesienia.

– Teraz rozumiesz, Lucy? To nie zabawa. Musisz przestać odmawiać zażywania lekarstw – mówi błagalnym głosem mama. – Za każdym razem, gdy masz napad, igrasz ze swoim życiem. Następny lub ten po nim może cię zabić.

Radnor przykuca koło mnie i oświadcza:

– Twoi rodzice i ja jesteśmy co do tego zgodni: jedynym wyjściem jest dla ciebie powrót do kliniki. Mam tam wszelkie leki, których potrzebujesz, by zachować zdrowie i zyskać gwarancję, że nic nie zagraża twojemu życiu. Już nigdy nie będziesz musiała doświadczać tych strasznych sensacji. Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy przyjechałaś do kliniki i rozmawialiśmy o twoim bólu i strachu na myśl o tym, że umierasz? Nie powinnaś już tego doświadczać. Zaszłaś za daleko, by się poddać.

– Będziemy z tobą, Lucy. Doktor Radnor powiedział, że mogę się przenieść do kliniki. Będę tam przez cały czas do twojej dyspozycji – zapewnia mnie mama nienaturalnie pogodnym tonem.

– A więc już się zgodziłaś, żeby mnie tam trzymał jak więźniarkę? – pytam, spoglądając na nią z obrzydzeniem. Jak rodzice mogą mu mnie oddać, wiedząc, co robi i kim jest?

– Nie będziesz więźniarką. Będziesz się cieszyła dużą swobodą. Gdy już się tam zainstalujesz, będziemy jeździły na zakupy, do kina, poza tym nie zostaniesz tam na zawsze. Przrzekam – argumentuje mama.

– Ty też się na to zgodziłeś, tato? – pytam oskarżycielsko.

– A jaki mieliśmy wybór? – odpowiada, nie patrząc na mnie. – Musisz z powrotem zacząć brać leki.

– Wiesz, dlaczego tak bardzo mu zależy, bym nie umarła? – pytam.

– Bo jesteś moją pacjentką – odpowiada Radnor tak szczerze, że żałuję, iż nie mogę mu wierzyć.

– Nie, dlatego, że uważa mnie pan za swoje dzieło i chce pokazywać innym pacjentom, którzy zapłacą miliony, by oszukać śmierć – oświadczam.

– Nie mów takich rzeczy, Lucy – strofuje mnie mama. – Nie jesteś jego dziełem, lecz *moją córką!*

– Co pan planuje, *doktorze Leo*? – pryham pogardliwie. – Sprawdzi pan, czy mogę zająć w ciążę i urodzić zdrowe dziecko? Czy to *nie będzie* ekscytujące dla pana pacjentów? – Patrzę mu w oczy, ale nie potrafię określić ich wyrazu.

– Przestań, Lucy. Nigdy bym się nie zgodził, żeby ci zrobił coś takiego – mówi gwałtownie tata.

– Ocknij się, tato! – apeluję do niego. – Zawierasz porozumienie z człowiekiem, który morduje ludzi, żeby zdobyć ciała do swoich operacji. Nie zastanowiłby się dwa razy, gdyby chciał mnie do czegoś użyć, i nie pozwoliłby ci siebie powstrzymać.

Poirytowany Radnor wstaje i mówi do mnie:

– Histeryzujesz, Lucy. Nigdy nie wyrządziłbym ci krzywdy. Jestem tu, aby oferować ci przyszłość zamiast śmierci. Co ty na to? Udasz się do kliniki i pozwolisz mi sobie pomóc?

Próbuję zapanować nad przytłaczającą mnie myślą o umieraniu. Muszę rozumować jasno... logicznie. Do czego w ogóle jest mi potrzebny Radnor? – zastanawiam się. Nie jest przecież jedynym lekarzem w kraju. Mogę otrzymywać leki od kogoś innego. Nie ma potrzeby z nim jechać.

Stoi nade mną i obserwuje mnie, jakby czytał w moich myślach.

– Uważasz, że przeżyjesz bez mojej pomocy. *Sądzi*ś, że inny lekarz dostarczy ci środki pozwalające zachować życie. Ale mylisz się. Nikt nic nie wie na temat specyfików, których recepturę opracowałem z myślą o twoim stanie. Nie możesz po prostu pójść do apteki lub poprosić o receptę – tłumaczy, kręcąc głową. – Przykro mi, Lucy, ale jeśli nie wrócisz dziś ze mną do kliniki, zniszczę cały zapas przeznaczonych dla ciebie leków. Zniszczę i skasuję każdą notatkę na ten temat, tak że żaden farmaceuta nie będzie wiedział, co jest ci potrzebne. Będziesz martwa na długo przedtem, zanim ktoś potrafi opracować recepturę takich lekarstw.

– Nie – sprzeciwia się zrozpaczony tata. – Nie może pan zniszczyć jej lekarstw. Nie tak się umawialiśmy.

– Panie Burgess, muszę zrobić wszystko, co możliwe, by nakłonić Lucy do podjęcia właściwej decyzji. Musi zrozumieć, że umrze, jeśli nie pozwoli mi sobie pomóc – przestrzega Radnor tatę.

– Proszę, powiedz, że pojedziesz do kliniki... *Proszę*, Lucy – mówi z naciskiem mama

i dotyka mojej ręki, ale wrywam się i ukrywam twarz w dłoniach.

– Powinnaś przemyśleć sytuację – oznajmia Radnor głębokim, spokojnym głosem. – Co osiągniesz, składając doniesienie na policję i skazując się na śmierć? Nie dość, że twoi rodzice stracą córkę, to jeszcze trafią do więzienia. Mówiąc prawdę o tym, co się stało, skążesz także rodzinę Hayley na niewypowiedzianą rozpacz. Owszem, mogą mnie aresztować, ale przez ciebie nie uratuję już życia innym niezliczonym osobom w przyszłości. Jak można uważać takie postępowanie za właściwe? – Stara się do mnie trafić, po czym zwraca się do rodziców: – Myślę, że powinniśmy dać Lucy czas, by zastanowiła się nad swoją decyzją, zwłaszcza że w pełni rozumie jej konsekwencje. Wkrótce tu wrócę.

Wychodzi razem z nimi z sutereny.

Kulę się w fotelu, okrywając się poplamioną krwią kołdrą. Rozglądam się obojętnie po pokoju i nagle czuję się w tym więzieniu jak w grobie.

ROZDZIAŁ 41

ODWIEDZINY

Ile czasu minęło, od kiedy Radnor mnie tu zostawił, żebym „zastanowiła się nad swoją decyzją”? Dziesięć minut? Piętnaście? Za dużo na przebywanie ze swoimi czarnymi myślami.

Spoglądam na kamery monitoringu. Zastanawiam się, czy Radnor mnie widzi. Czy czeka, aż się załamie? Przykucam w fotelu i naciągam kołdrę na głowę, nie chcąc być widoczną, ukrywając twarz. Nie zamierzam dać mu satysfakcji oglądania mojej męki. Chcę być dzielna i postąpić słusznie. Niestety, potrafię myśleć tylko o tym, w jaki sposób umrę. Ile jeszcze będę miała napadów, zanim ostatni z nich mnie zabije? Jak długo będę czuć ból, gdy każda jego chwila wydaje się nieskończona? Moje życie zbliża się do końca. Będę w udreće miotana się po podłodze, będę krzyczała z bólu. Czy nie byłoby lepiej, gdybym umarła wtedy, przed niecałym rokiem? Dzięki temu nic z tego by się nie wydarzyło.

Zaczynam się łagodnie kołysać do tyłu i do przodu, próbując dodać sobie otuchy. Nie chcę umierać! Tak łatwo jest to wszystko powstrzymać, prawda? Wystarczy tylko zgodzić się z Radnorem. Ale czy wtedy mogłabym siebie znieść? Czy potrafiłabym żyć z poczuciem winy, że morderstwo uszło mu na sucho? Jednak dlaczego to *ja* mam wyrzuty sumienia?! Nie jest tak, że coś zdarzyło się z mojego powodu. Rodzice są pewni, że słuszne jest trzymanie języka za zębami. Skoro potrafią z tym żyć, to dlaczego ja nie mogę? Może Radnor dotrzyma słowa? Nie dotknie mnie? Nie wykorzysta? Może jestem zdolna odsunąć od siebie cały ten horror i wieść szczęśliwe życie, nigdy nie mówiąc nikomu o transplantacji i o Hayley?

Kołyszę się szybciej, a mój gorący, urywany oddech staje się pod kołdrą duszący.

A co, jeśli Radnor powiedział prawdę o tych nastolatkach – że są to jego *pacjenci*? Może nikogo więcej nie zabije? Może ma rację, twierdząc, że jedyne zło wyniknie z powiedzenia prawdy? Co się stanie z jego osiągnięciami? Jego transplantacje mogą przynieść wiele dobrego, przywrócić życie umierającym dzieciom, w licznych przypadkach zakończyć cierpienie i rozpacz. Kim jestem, aby to powstrzymać? Nie chcę umierać. To nie jest w porządku! To nie jest słuszne! Dlaczego mam cierpieć? Nic nie wydarzyło się z mojej winy! Nie zrobiłam nic złego. Nie chcę umierać!

Zrzucam z siebie kołdrę i gwałtownie wciągam powietrze do płuc. Wołam przerażona:

– Nie chcę umierać!

Natychmiast na schodach pojawia się Radnor.

– Okej, Lucy. Nie potrzebujesz mówić nic więcej. Zabiorę cię do kliniki – oznajmia, idąc do mnie z otwartymi ramionami.

Cofam się przed nim w fotelu, nie chcąc, żeby mnie dotykał.

– Nie mogę tam pojechać – mówię cichym głosem.

– Jeśli nie chcesz umrzeć, to *musisz* – oświadcza z naciskiem.

– Nie potrafiłabym z tym żyć – odpowiadam pogrążona w myślach, traktując go jak powietrze.

– Z czym? – pyta.

– Ze świadomością, że zdradziłam Hayley i jej rodzinę, że będą następne ofiary. Codziennie myślałabym o tym, że mogłam pana powstrzymać, a zamiast tego dopuściłam, by to wszystko trwało dalej. Czuję się jak w piekle – odpowiadam i uderzam się palcem w głowę.

– Przez cały czas miałabym poczucie winy.

Przykuca przy mnie i oświadcza:

– To nieprawda. Można wybrać, czy ma się poczucie winy czy nie. Musisz być silna psychicznie, Lucy. Nie możesz zmienić tego, co się stało. Przysięgam ci, że nie będzie już więcej ofiar.

Znajduje się bardzo blisko mnie. Pomimo odrazy, jaką do niego czuję, nie mogę się powstrzymać przed patrzeniem na jego urodziwą, spokojną twarz, myśląc o moralnej ohydzie, jaką się za nią kryje. Odsuwam się od niego i mówię złośliwie:

– Kłamstwo przychodzi panu tak łatwo jak oddychanie.

– Lucy, ja też bardzo żałuję tego, co musiało się stać z Hayley. Ale najlepsze, co możesz dla niej zrobić, to mieć szczęśliwe i spełnione życie. Jesteś to winna Hayley – przekonuje mnie.

Wstaję z fotela, chcąc zmierzyć się z tym człowiekiem, i mówię drżącym głosem:

– Wiem dokładnie, co jestem winna Hayley, i dlatego nie pojedę z panem do kliniki. Miał pan rację – przed transplantacją, kiedy byłam śmiertelnie chora, bardzo się bałam umierania, ale próbowałam je zaakceptować, gdyż uważałam, że nie mam wyboru. Obecnie daje mi pan wybór między życiem a śmiercią. Nadal się jej boję, ale wybieram ją, zamiast pozwolić panu wykorzystać mnie i Hayley. Nie dopuszczę do zamordowania przez pana kogokolwiek po to, by móc przeprowadzić operację. Nie zapobiegnie pan poinformowaniu rodziny Hayley o tym, co się stało z tą dziewczyną. Ja umrę, a kiedy policja zacznie prowadzić dochodzenie, zamkną pana w więzieniu, gdzie pana miejsce. – Staram się zapanować nad drżeniem, które czuję na myśl o wypowiedzianych słowach. Radnor musi wiedzieć, że jestem wystarczająco silna, aby przez to wszystko przejść.

Zaciska szczęki i patrzy na mnie zimno. Ale nie przekonuje mnie i nie prosi o nic, tylko wychodzi, nie mówiąc ani słowa.

Gdy leżę na podłodze, mam wrażenie, że czas stoi w miejscu. Czuję, że zasypiam, gdy nagle słyszę jakiś hałas. Siadam, słaba i zdezorientowana, ocierając ślinę z ust. Rozglądam się po pokoju, próbując ustalić, skąd docierają dźwięki. Okazuje się, że nie zza drzwi, lecz z zewnątrz. Wsłuchuję się uważnie, starając się rozpaczliwie dostrzec jakiś znak wskazujący, kto to może być. Hałas nie ustaje i w końcu rozumiem, skąd się bierze. To odgłosy kroków kogoś znajdującego się poza domem. Czuję przyływ adrenaliny, gdy dzwignam się z podłogi i biegnę do wąskich okien o matowych szybach umieszczonych u góry zewnętrznej ściany. Zaczynam krzyczeć na tyle głośno, na ile mam odwagę, obawiając się, że może to usłyszeć Radnor:

– Jest tam kto?! Pomocy! Zamknęli mnie w suterenie! Pomocy!

Wstrzymuję oddech, słysząc, że ktoś się zatrzymuje. W oknie pojawia się jakiś kształt, blokując dostęp światła. Ktoś klęka, próbując zajrzeć do środka.

– Halo? Jest tam kto? – pyta.

Z radości wciągam głęboko powietrze. Przepelnia mnie ulga. To Mak!

– Mak! Mak! – wołam, ale zaraz ściszam głos i informuję ją: – To ja. Jestem w pokoju do relaksu. Zamknęli mnie tu.

– Co to, u diabła, znaczy? Dlaczego cię zamknęli?! – krzyczy Mak.

Krzywię się, bo mówi za głośno, i proszę ją:

– Mak, nie krzycz, bo cię usłyszą. Czy oni wiedzą, że tu jesteś?

– Nie. Powiedziałam przy bramie, że chcę się z tobą zobaczyć, ale mi nie otworzyli. Weszłam od tyłu, od strony stajni. Chciałam się z tobą zobaczyć – wyjaśnia.

Wstępuje we mnie radość.

– Mak, wezwij policję! – szepczę. Gdy nie odpowiada, zastanawiam się, na co czeka, i przekonuję ją: – Mak, słyszysz mnie? Wiem, że nic nie widzisz przez te szyby, ale naprawdę mnie tu zamknęli. Musisz wezwać policję.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? – pyta surowym tonem. – Tyle nakłamałaś.

W głowie mi się kręci, gdy próbuję to wszystko ogarnąć. Już raz starałam się zainteresować tobą policję. Nie zrobię tego ponownie, dopóki się nie dowiem, co się tu naprawdę dzieje.

Masując czoło, wyobrażam sobie, jak blisko jestem wydostania się stąd... i powstrzymania Radnora, jeśli tylko Mak mi uwierzy.

– Okej – mówię z westchnieniem. – Sprawdź okna z tyłu domu. Jedno może być niezamknięte. Wejdź do sutereny, ale pilnuj, żeby nikt cię *nie zobaczył!* Nie możesz im ufać, rozumiesz?

Nie odpowiada mi, lecz gdy cichną odgłosy stóp, słyszę, że z kimś rozmawia... Nie jest więc sama!

Stoję na dole schodów do sutereny i zgrzytam zębami. Minuty wloką się jak godziny. Trwa to za długo. Najwyraźniej Mak nie udało się dostać do domu. Staram się nie myśleć o innej możliwości, a jednak wewnętrzny głos podsuwa mi pytanie: A jeśli ją złapali? Nie. „Uspokój się. Myśl logicznie, Lucy” – napominam się w myślach. Gdyby ją zobaczyli, usłyszałabym krzyki. Muszę być cierpliwa. Wygładzam rozczochrane włosy i usuwam z T-shirta resztki jedzenia. Nie mogę ustać spokojnie. W końcu słyszę ściszony głos Mak po drugiej stronie drzwi.

– O mój Boże, na drzwi do pokoju do relaksu Lucy założyli zasuwę.

Gdy rozlega się szcęk metalowych zasuw, zasłaniam usta dłońmi, żeby nie krzyknąć. Biegnę na drugą stronę sutereny, gdzie jest ciemno, bo nagle uświadamiam sobie, że jeśli Mak mnie teraz zobaczy, przeżyje szok. Zapewne wyglądam jak zmalretowane zwierzę. Nie mogę ryzykować, że moja przyjaciółka wpadnie w histerię i zacznie krzyczeć. Obserwuję, jak powoli uchylają się drzwi. Otwieram usta na widok stojącego za Mak Bena. Dziewczyna wprowadza go do środka i ostrożnie zamyka drzwi. Zatrzymują się u szczytu schodów. Obserwuję, jak zdezorientowani rozglądają się po wnętrzu i marszczą brwi na widok leżących na podłodze roztrzaskanych płyt, butelek po wodzie mineralnej i kartonów po hamburgerach.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – pyta cichym głosem przerażona Mak.

W milczeniu schodzą ze schodów i rozglądają się po oświetlonym przyćmionym światłem pokoju.

ROZDZIAŁ 42

TO JUŻ NIE JEST ONA

Ben zmierza w moim kierunku, spoglądając na zniszczony Xbox i rozrzucone po podłodze książki z obrazkami. Wychodzę więc z cienia, trzymając palec na ustach.

– Ciii! – syczę, gdy cofa się na mój widok.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i chwyta moją rękę tak, jakby już nigdy nie zamierzał jej wypuścić.

Mak podchodzi do mnie pospiesznie. Krzywi się, jakby poczuła ból.

– Co się stało? – pyta, gwałtownie nabierając powietrza. – Dlaczego cię tu przetrzymują? I po co te kamery na ścianach?

Patrzę na nich z niepokojem, bo Radnor może obserwować tę scenę.

– Musicie się odsunąć. Szybko. Chodźcie. Oni mogą nas oglądać – mówię, popychając ich w stronę łazienki, gdzie nie ma kamery. – Czy ktoś was widział? – pytam niecierpliwie.

– Nie. Weszliśmy przez okno w holu. Słyszeliśmy głosy w salonie, ale nikt nas nie zauważył. Co tu się, do cholery, dzieje? – powtarza Mak. – Gdy dzwoniłam dzwonkiem w bramie, pan Burgess powiedział, że przed kilkoma dniami wyjechałaś. Ale wiedziałam, że kłamie. Dlaczego ci to robią? Postradali zmysły?

Nie mogę odpowiedzieć. Ben patrzy na mnie, jakby był w transie. Po chwili zaczyna delikatnie przesuwając opuszkami palców po bliznach na mojej głowie i karku. Nie wzbraniam się, bo on tego potrzebuje. Przelyka ślinę. Drgają mięśnie jego twarzy. Ale gdy dotyka blizny na mojej brwi, odzyskuje równowagę psychiczną. Po jego twarzy przemyka uśmiech.

– Pamiętasz, skąd ją masz? – pyta.

Nie odpowiadam. On nie chce, żebym to zrobiła.

– Jadąc na wrotkach, uczepiłaś się z tyłu mojego roweru. I tak dotarłaś na wzgórze, gdzie wpadłaś na wiatę autobusową. Stamtąd zabrała cię karetka pogotowia. Założyli ci osiem szwów. Potem przez całe tygodnie musiałem wszystko za ciebie robić. Oczywiście mama próbowała o wszystko obwinić *mnie*, ale jej nie pozwoliłaś. Powiedziałaś: „Daj Benowi spokój. To nie była jego wina. To ja nagle puściłam ten jego głupi, cholerny rower”.

W moich oczach pojawiają się łzy. Ben obejmuje mnie tak mocno, że z trudem oddycham. W tym uścisku czuję całą jego miłość i udrękę. To trudne do zniesienia.

Na górze schodów rozlega się zgrzyt metalu. Ben odsuwa się ode mnie.

– Lewis, zapomniałeś zaryglować drzwi? A jeśli uciekła?! – krzyczy ze schodów spanikowana mama.

– Posłuchajcie – szepczę do Bena i Mak. – Musicie zostać w łazience. Zachowujcie się cicho. Poczekać, dopóki mnie stąd nie zabiorą, a potem wyjdźcie i wezwijcie policję.

– Zadzwoń od razu – mówi Ben i wyjmując komórkę. Spogląda na ekran z niepokojem i oznajmia: – Nie ma zasięgu!

– Tu na dole nie ma zasięgu – odpowiadam mu szeptem. – Żeby zadzwonić, musisz wyjść z sutereny. – Po tych słowach zwracam się do nich obojga, starając się zachować spokój: – Słuchajcie, przyrzeknijcie mi, że bez względu na *wszystko*, co się wydarzy, nie wyjdziecie z tego pomieszczenia. Rozumiecie? Oni nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteście.

Mak i Ben wyglądają na przerażonych, gdy wychodzę z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

– Lucy! Lucy! – krzyczy mama, rozglądając się po pokoju.

Stoi przy niej tata.

– O co chodzi? – pytam bez emocji.

– Och, dzięki Bogu! – woła, schodząc pospiesznie po schodach i stając przy mnie, cała sztywna z nerwów. – Dość już tego szaleństwa, Lucy. Jesteśmy twoimi rodzicami i nie będziemy patrzeć, jak się zabijasz. Pojedziesz z nami do kliniki. Doktor Radnor ma przygotowaną dawkę twoich leków, aby ci je podać przed wyjazdem.

– Okej – odpowiadam.

– Co rozumiesz przez słowo „okej”? – pyta mama i przysuwa się do mnie zaskoczona.

– Okej, pojedę do kliniki – odpowiadam z powagą.

Mama mnie obejmuje i woła:

– Dziękuję, Lucy! Postępujesz słusznie. Zadbam, żebyś nigdy tego nie pożałowała. Jest tyle rzeczy, którymi możesz się cieszyć.

Tata spogląda na mnie z zaciekawieniem.

Uwalniam się z jej uścisku i odwracam.

– Przyniosłam ci czyste ubranie. Pomogę ci wziąć szybki prysznic. Na pewno nie chcesz podróżować brudna – oświadcza rozpromieniona.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Zostawcie mnie samą, żebym się umyła. Dam znać, kiedy będę gotowa – odpowiadam zimno.

Tata bierze mamę za łokieć i mówi:

– Chodźmy, Gemmo. Zostawmy Lucy samą.

– Oczywiście. Zobaczymy się za chwilę. Kocham cię, dziecino! – woła mama, wychodząc z sutereny.

Z drzeniem otwieram drzwi łazienki. Teraz Mak i Ben znają prawdę. Zagryzam wargi, widząc, że moja przyjaciółka zasłania usta drżącymi dłońmi. Obok niej stoi Ben z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Czuję się bezradna. Nie mogę powiedzieć nic, co wynagodziłoby mu zaistniałą sytuację.

– Jesteś Lucy? – pyta drżącym głosem Mak.

– Tak, Mak. To ja, Lucy – potwierdzam i zdenerwowana wyciągam do niej rękę.

Rzuca mi się w ramiona i woła:

– Lucy, o mój Boże, Lucy!

Wspaniale jest słyszeć, jak mówi do mnie po imieniu.

– Nie kłamałam, Mak. Próbowałam jakoś do ciebie dotrzeć – szepczę, gdy trwamy w uścisku.

– Wiem. Tak mi przykro. Pozwoliłam, żebyś przeszła przez to wszystko bez niczyjej pomocy – mówi przez łzy.

– Jest okej – zapewniam ją, całując w policzek.

Chciałabym tak trwać z nią w uścisku, jednak odsuwam się niechętnie, bo muszę coś powiedzieć temu chłopakowi.

– Ben – zaczynam łagodnym głosem, jakbym go budziła. A gdy otwiera oczy i unosi głowę, oznajmiam: – Tak mi przykro, ale wiesz, że nie jestem Hayley, prawda? – Zdaję sobie sprawę z tego, że moje słowa są dla niego druzgoczące. Patrzy na mnie jak na powietrze. – Przrzekam, że kiedy już będziemy bezpieczni, opowiem ci o wszystkim, ale najpierw musimy się stąd wydostać. Moi rodzice stracili rozum – zadają się z kimś bardzo niebezpiecznym. Gdybyście zostali tu znaleźni, nie wiem, co by się stało.

Ben sprawia wrażenie, jakby nagle przestał śnić na jawie, i oświadcza zrozpaczony:

– Nie! Nigdzie stąd nie pójdę, dopóki mi nie powiesz, co się stało z moją siostrą. – Przygląda mi się jak szaleniec.

– Ty *wiesz*, co się stało z Hayley – mówię z naciskiem. – Proszę, nie zajmujmy się tym w tej chwili.

Ben pochmurnieje i oznajmia groźnym tonem:

– Musimy. Muszę się tego od ciebie dowiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko!

Zamykam oczy, starając się zebrać siły, skoro każe mi teraz podjąć ten temat.

– Ale błagam, zachowaj spokój, bez względu na to, jak będziesz zszokowany. Bez względu na to, jak trudno będzie ci przyjąć to do wiadomości. Zrobisz to? – pytam.

– Tak – potwierdza ze strachem.

Z powodu słów, które muszę wypowiedzieć, odsuwam się od niego.

– Wiem, że kiedy na mnie patrzysz, widzisz Hayley. Ale to już nie jest ona. To jestem ja, Lucy Burgess. Twoja siostra nie żyje.

Zatacza się do tyłu, jakby został uderzony w twarz. Żyły na jego szyi stają się nabrzmiałe.

– Ben, umierałam na raka. Moi rodzice bardzo chcieli uratować mi życie. Zwrócili się do chirurga z prośbą o transplantację ciała dla mnie. Nie wiedziałam, że zamierzają to zrobić. Przysięgam. A oni byli przekonani, że chirurg wykorzystał ciało zmarłej dawczyni. Okazało się jednak, że wprowadził Hayley i użył jej ciała dla mnie... Dla Lucy Burgess – mówię z wysiłkiem i głos mi się załamuje.

Ben wygląda na zszokowanego. Wiem, że ta sytuacja przerasta jego pojęcie, ale muszę kontynuować wyjaśnienia.

– Do czaszki Hayley włożyli mój mózg, a do oczodołów moje oczy. Spoglądałeś w nie, Ben, w czasie mojego przyjęcia urodzinowego. To nie są oczy Hayley, więc uznałeś, że zaszła pomyłka, ale się nie pomyliłeś – wyjaśniam mu i biegnę do pokoju po zdjęcie moje i babci. Pokazuję mu je i dodaję: – Spójrz, to ja. Mam te same oczy. To są oczy Lucy... Moje oczy w ciele Hayley.

Bierze ode mnie zdjęcie, ogląda je i patrzy na mnie.

– Rodzice mnie tu zamknęli, bo odkryłam prawdę i chciałam złożyć doniesienie na policję. Nie mogłam znieść myśli, że będziesz do końca życia szukał siostry, mając nadzieję, że żyje. Tak mi przykro, Ben – kończę opowieść.

Po moich słowach zapada złowroga cisza. Ben stoi jak sparaliżowany. Po chwili zaczynają nim wstrząsać gwałtowne emocje. Uderza zdjęciem o ścianę, rozbijając szkło, pada na kolana i szlocha. Klękam przy nim. Czuję siłę jego cierpienia i gniewu.

– Ben, musisz się uciszyć – proszę go. – Tak mi przykro... Tak mi przykro.

Opiera głowę na moim ramieniu, a ja głaszczę go po gęstej czuprynie jak małego chłopca.

– Lucy, czekają na ciebie – ponagla mnie Mak. – Musisz iść na górę. Trzeba się stąd wydostać i zadzwonić na policję.

Kiwam głową. Nie chcę Bena tak zostawiać, lecz nie mam wyboru. Chodzi o dobro nas wszystkich. Muszę zacząć działać. Odsuwam się więc od chłopaka, a Mak bierze go za rękę. Szybko wchodzę do kabiny, biorę prysznic i przebieram się w czyste ubranie. Gdy wychodzę, Mak obejmuje mnie i mówi:

– Bardzo mi ciebie brakowało, Lucy.

– A mnie ciebie – szepczę, powstrzymując płacz, i proszę: – Zajmij się Benem. Dopilnuj, żeby stąd wyszedł. – Zostawiam go przykucniętego, z twarzą w dłoniach, obejmowanego przez Mak.

Walę pięścią w drzwi i wołam:

– Jestem gotowa!

Gdy drzwi się otwierają, z zaskoczeniem widzę, że koło mamy przebiega Arthur i pędzi po schodach do suterenu. Węszy w różnych miejscach, w końcu zatrzymuje się pod drzwiami

łazienki i zawzięcie szczeka.

– O co chodzi, Arthur? – pyta mama.

– O nic – mówię. – Reaguje na wszelkie przynoszone tu zapachy. – Ale gdy pies zaczyna drapać drzwi, czuję mdłości.

– Arthur... Arthur, chodź tutaj! – woła mama i idzie po niego. Chwyta za klamkę drzwi łazienki i mówi: – Zobacz, nic tam nie ma, niemądry psie. – Po tych słowach przekręca klamkę, chcąc otworzyć.

– Mamo, źle się czuję! – krzyczę, rozpaczliwie starając się ją od tego odwieść. – Chyba zaraz będę miała napad.

– Okej, kochanie. Już jestem. Nie martw się, wszystko będzie dobrze – zapewnia, lecz ton jej głosu świadczy o strachu.

Z ulgą stwierdzam, że zostawia w spokoju klamkę, chwyta Arthura za obroź i ciągnie go do drzwi. Wychodzi ze mną z sutereny, odpędza go i odruchowo zatrzaskuje zasuwę. Na ten widok staje mi serce.

– Lucy, dobrze się czujesz? – pyta idący w moją stronę tata.

Ignoruję go i odwracam się, chcąc odsunąć górną zasuwę. Niestety, tata bierze mnie za rękę i odpycha od drzwi.

– Zaraz będzie miała napad – informuje go mama.

Znowu się odwracam i w panice szarpnię drzwi sutereny. Muszę odsunąć zasuwę, żeby Mak i Ben mogli stamtąd wyjść i zadzwonić na policję.

– Chodź, Lucy. Doktor Radnor ma twoje lekarstwa – oznajmia z troską tata.

Próbuję mu się wyrwać i mówię, żeby dał mi święty spokój.

– Zaczyna histeryzować. Musimy powstrzymać atak, Lewis – oznajmia mama.

Biorą mnie za ręce i odciągają od sutereny.

ROZDZIAŁ 43

TWOJA WINA

Mój umysł jest sparaliżowany. Nie mogę myśleć. Wiem tylko, że muszę uwolnić Mak i Bena z sutereny, ale nie mam już na to czasu. Dostrzegam w holu Radnora, a przy drzwiach frontowych liczne walizki.

– Lucy musi zażyć leki. *Natychmiast!* – woła mama, prowadząc mnie do niego.

Radnor podaje mi pastylki i butelkę wody. Połykam je i popijam wodą, rozpaczliwie starając się wymyślić, co robić dalej. Czy ktoś wie, że Mak i Ben tu przyszli? – zastanawiam się. Gdy stąd wyjadę, zostaną uwięzieni w suterenie i nikt się nie dowie, co się z nimi stało, podobnie jak ze mną.

– Pastylki zapobiegą napadowi – zapewnia nas Radnor. – Lucy może bezpiecznie podróżować. Powinna jechać ze mną. Wstawmy walizki do bagażnika.

– Ja też pojedę z panem – oświadcza stanowczo mama. – Lucy mnie potrzebuje. Lewis może jechać za nami swoim autem.

Muszę uniemożliwić ten wyjazd. Nie mogę wsiąść do tego samochodu, wiedząc, że nikt nie zadzwoni na policję, nie powstrzyma Radnora i nie uwolni Mak oraz Bena.

– Nigdzie nie jadę! – wypalam, co sprawia, że wszyscy stają w bezruchu.

– Oczywiście, że jedziesz – odpowiada mama z nieprzyjemnym uśmiechem. – Podjęłaś słuszną decyzję. Nie kręć już.

– Przykro mi, mamó, ale zostaję tutaj – potwierdzam.

Radnor pochmurnieje i oświadcza:

– Próbowałem cię przekonać. Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyś pojechała dobrowolnie. W tej sytuacji muszę podjąć decyzję za ciebie. – Otwiera stojącą przy nim czarną walizkę, wyjmując z niej strzykawkę oraz igłę i zwraca się do taty: – Czy mógłby pan ją przytrzymać? To łagodny środek uspokajający.

– Dlaczego pan jej go podaje? – pyta zaniepokojony tata.

– Żeby nie denerwowała się w czasie podróży. Kiedy będziemy w klinice, zmniejszymy dawkę i wszystko wróci do normy – odpowiada, wkładając igłę do wypełnionej płynem strzykawki.

Gdy mama mnie łapie, wpadam w furję.

– Lewis, pomóż mi trzymać ją prosto – mówi do taty, siłując się ze mną, bo się wykręcam.

– Nie, tato! Nie pozwól im tego zrobić! – błagam go.

Patrzy na mnie z udręką i pyta:

– Ależ Lucy...?

– Proszę cię, tato! – wołam, gdy Radnor ściska mnie za rękę, szukając żyły.

Tata się waha.

Wszyscy odwracają się na widok nadbiegającego Arthura, który warczy na Radnora, jakby chciał go ugryźć. Radnor krzyczy na niego ostrzegawczo, ale Arthur skacze i chwytą go zębami za rękę. Strzykawka upada na posadzkę. Radnor kopie Arthura w brzuch i mój biedny pies ucieka z holu, skomlać.

Bezwzględnie wykorzystuję powstałe zamieszanie i wrywam się mamie. Popycham ją na ścianę i wybiegam z domu frontowymi drzwiami. Uciekając przez naszą posesję, słyszę, że wszyscy troje mnie gonią. Mama woła, błagając, żebym się zatrzymała. Czuję przyplływ

adrenaliny. Niestety, jestem osłabiona po atakach. Potykam się na nierównym terenie i upadam w pokrzywy na wybiegu dla koni. Pięką mnie poparzone ręce i twarz. Gramolę się z ziemi oszołomiona i pędzę przed siebie, słysząc kroki rodziców i Radnora. Na widok stajni zaczynam wołać Jima, lecz nikt nie odpowiada. Biegnę chwiejnym krokiem przez pusty wybrukowany dziedziniec, wciąż wzywając stajennego, ale tylko konie w boksach parskają i rżą zaniepokojone moją obecnością.

– Nikogo tu nie ma, Lucy – mówi zziębnięta mama, gdy wszyscy troje mnie doganiają. – Na litość boską, przestań z nami walczyć i pozwól sobie pomóc.

– Ja chcę tylko się tobą opiekować, Lucy. Proszę, jedź ze mną – odzywa się Radnor, poprawiając okulary i zwilżając suche usta językiem. Po twarzy spływa mu pot.

– Nie – odpowiadam rodzicom, próbując złapać oddech. – Musicie wezwać policję. Wiem, co się stanie z wami i ze *mną*, lecz trzeba go powstrzymać. Jest niebezpieczny. Wiecie, że zrobi to ponownie.

Radnor się wzdryga. Oddycha głęboko, starając się sprawiać wrażenie opanowanego, ale czuję, jak narasta w nim gniew.

– Nie bądź niemądra, Lucy! – mówi szorstko mama. – Nie niszczyć swojej przyszłości z powodu czegoś z przeszłości, czego nie można zmienić.

Ona i Radnor robią krok do przodu, okrążając mnie. Otaczają mnie wszyscy troje, ale pomimo wyczerpania przygotowuję się do walki, choć wiem, że jestem za słaba, by ich pokonać.

Czuję, jak tata chwyta mnie za rękę. Obracam się, chcąc się bronić, jednak on nie ogranicza moich ruchów, lecz pociąga mnie za siebie i zasłania własnym ciałem.

– Dość tego! – krzyczy, unosząc ręce, by powstrzymać mamę i Radnora.

Słyszając jego gromki głos, konie w boksach walą kopytami o ziemię i parskają.

– Co ty, u diabła, robisz, Lewis? – pyta zdyszana mama.

– To musi być jej decyzja, a nie nasza – odpowiada ze smutkiem tata. – Nie możemy tak dalej postępować. Co zamierzasz, Gemmo? Będziemy zawsze trzymali ją pod kluczem?

Mocno trzymam się taty, nie spuszczaając Radnora z oka i obserwując, jak zaciska szczęki i mruży gniewnie oczy.

Mama podchodzi do taty i syczy:

– Co ty sugerujesz, Lewis? Że pozwolimy naszej córce umrzeć?

– Nie daliśmy jej wyboru w sprawie transplantacji, więc teraz musi postanowić, co zrobi ze swoim życiem. I już podjęła decyzję. – Tacie załamuje się głos.

– Jak śmiesz ją tym obarczać? – zwraca się do niego lodowatym tonem mama, jakby mnie tu nie było. – Lucy nie jest zdolna dokonać właściwego wyboru. Nie myśli logicznie. – Mama jest wściekła.

– Oczywiście, że myśli. Jest po prostu znacznie odważniejsza niż my, Gemmo – odpowiada udręczony poczuciem winy tata.

Pociągam go energicznie za rękaw i namawiam:

– Zadzwoń na policję, tato. Zrób to teraz. – Czuję przyływ miłości do niego, widząc, że wyjmuję z kieszeni komórkę.

Radnor również wyjmuje swój telefon i przestrzega tatę:

– Zanim skończy pan rozmawiać z policją, zadzwonię do kliniki i każę zniszczyć zapas leków Lucy i całą jej dokumentację medyczną, tak jak zapowiedziałem. Jakim byłby pan ojcem, podpisując wyrok śmierci na własną córkę?

– Lewis, jeśli ją kochasz, odłóż telefon – błaga go mama.

Tata patrzy na mnie. Widzę, że się waha, więc głaszczę go po ręce i mówię:

– Wiem, że mnie kochasz, tato. Postępujesz słusznie. Nie bój się o mnie. Zadzwoń.

Tata marszczy twarz, a gdy wciska pierwszą cyfrę, w jego oczach pojawiają się łzy.

Wpatruję się w Radnora, gotowa rzucić się na niego, jeśli spróbuje zadzwonić do kliniki. Ale on sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki. Gdy wyjmuje z niej coś, dostrzegam błysk metalu. Śledzę ruch jego dłoni, starając się zorientować, co w niej trzyma. W końcu to rozpoznaję.

– Nie! – krzyczę.

Radnor mierzy z pistoletu w klatkę piersiową taty.

– Niech pan odłoży telefon, panie Burgess, bo inaczej strzelę – mówi drżącym głosem.

– Lewis, na litość boską, odłóż go! – woła mama.

Tata kręci głową i oznajmia:

– Nie pozwolę temu mordercy zabrać mojej córki. – Jego głos drży.

Radnor odbezpiecza pistolet. Nie mogę dopuścić, by to zrobił. Wiem, do czego jest zdolny. Chcę tylko uratować tacie życie.

– Tato... nie rób tego! – proszę go, spoglądam błagalnie na Radnora i chrypię: – Proszę posłuchać... doktorze Leo. – Wyciągam ręce do tego potwora. – Zrobię, co pan mówi. Pojadę z panem do kliniki. Niech pan tylko odłoży pistolet. I zostawi mojego tatę w spokoju.

Radnor spogląda na mnie niepewnie, ale nadal trzyma pistolet gotowy do strzału.

– Nie, Lucy. Nie mogę ci na to pozwolić – odpowiada tata, patrząc na ekran telefonu i wciskając ostatnią cyfrę.

Rozlega się ogłuszający huk wystrzału, aż dzwoni mi w uszach. Konie wariują w boksach. Tata upada na wznak na ziemię. Ma nieruchomą twarz. Jego biała koszula nasiąka krwią. Patrzę na Radnora. Na twarzy zrobił się szary. Pistolet drży w jego dłoni. Nie mogę mówić, nie mogę myśleć.

– Lewis! – krzyczy mama jakby z oddali. Klęka przy tacie, unosi jego głowę i znowu krzyczy: – Lewis! Lewis!

Tata ma otwarte oczy, ale niczego nie widzi.

– Niech pan wezwie pogotowie, na litość boską! Niech pan wezwie pogotowie! – woła mama do Radnora.

Widzę, jak lekarz celuje w nią i wypala. Mama krzyczy przeraźliwie. Radnor strzela do niej ponownie i mama pada na bruk. Przeszywające dzwonięcie w uszach jest dla mnie jak krzyk, który uwiązał mi w gardle. Roztrzęsiona pochylam się nad rodzicami. Ale Radnor chwyta mnie i stawia na nogi. Przysuwa mnie do swojego spoconego ciała i ze złością mówi mi do ucha:

– To twoja wina. Gdybyś po prostu ze mną pojechała, nie doszłoby do tego. Jak mogłaś być taka egoistyczna, taka głupia?

Odpycham go od siebie i rozglądam się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Moonshine wystawia głowę ponad drzwiami boksu. Porusza nią, jakby opędzała się od roju szerszeni. Dostrzegam obok jej boksu widły. Rzucam się w tamtą stronę i opieram o drzwi, żeby móc stać prosto. Moonshine cofa się, parszkając i potrzęsając grzywą. Celuję w Radnora widłami, ale z powodu szoku szybko tracę siły.

– Przebiję cię nimi – mówię, drżąc.

Znużony kręci głową i odpowiada:

– Nie ma takiej potrzeby, Lucy. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Potrzebujemy siebie nawzajem.

Gdy zamierzam się na niego widłami, patrzy na mnie z politowaniem.

– Ledwie trzymasz się na nogach – komentuje. – Zabierajmy się do kliniki. Tylko tam mogę zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Nie zbliżaj się! – ostrzegam go zlaną zimnym potem, próbując podnieść widły, a drugą

ręką otwierając zasuwę do boks Moonshine. Gdy się otwiera, wchodzę chwiejnym krokiem do środka, a oszalała klacz cofa się do kąta, odsuwając się ode mnie.

– Wyjdź stamtąd! – grzmi Radnor.

Celuję widłami w jego twarz, ale łapie je i rzuca na podwórze. Powoli przesuwam się w głąb boks, przeciskając się obok Moonshine. Znalazłszy się między mną a Radnorem, klacz staje dęba i podenerwowana rozszerza chrapy. Jej umięśniony bok kołysze się kilkanaście centymetrów ode mnie. Do moich nozdrzy dociera zapach siana i turówki wonnej. Moonshine zaczyna walić kopytami o ziemię, machając ogonem i uderzając mnie nim po twarzy. Wzbija tuman kurzu, który drażni moje gardło. Wciskam się w kąt boks, prosząc los, by mnie nie zaatakowała. Dostrzegam na jej sierści plamy potu. Nagle przekręca się i odwraca głowę w moją stronę. Czuję na policzkach jej gorący oddech, a w oczach dostrzegam strach. Parska i rzy, a ja stoję nieruchomo.

– Co ty, do cholery, robisz, Lucy? Wyjdź stamtąd. Ten koń zaraz zwariuje. Jest niebezpieczny – syczy Radnor, stojąc przed boksem.

– Nie wyjdę – odpowiadam po cichu, choć wiem, że nie pojedzie beze mnie, swojego bezcennego dzieła.

Po chwili wahania oświadcza:

– Idę po ciebie, Lucy. Nie wolno ci ze mną walczyć, rozumiesz?

Nie odpowiadam. Widzę, że klacz nadstawia uszu, słysząc odgłosy jego kroków w boksie. Uspokaja się, jakby starała się poznać jego zapach, a wraz z nim strach. Drżą jej boki, gdy obserwuje idącego wolno obok niej mojego prześladowcę.

– Podaj mi dłoń – szepcze do mnie Radnor, wyciągając rękę.

Próbuje mnie dosięgnąć. Wówczas powoli odchylam się do tyłu i nie udaje mu się to. Staram się nie przestraszyć Moonshine, lecz Radnor rzuca się, starając się mnie złapać. Wówczas klacz rzy i staje dęba, a po chwili uderza Radnora przednimi kopytami. Kulę się w kącie, osłaniając dłońmi głowę, a Radnor unosi ręce i krzyczy, lecz Moonshine nie przestaje go atakować. Zaciskam powieki, gdy koń ponownie staje dęba i uderza przednimi kopytami w ciało lekarza. Muszę się stąd wydostać.

Gdy ostrożnie wycofuję się z boks rozjuszzonego konia i zatrząskuję za sobą zasuwę, nogi trzęsą mi się jak galareta. W boksie zapada upiorna cisza. Klacz się uspokaja, jakby szła jej minął. Stoi łagodna, nie zważając na zmiażdżone ciało Radnora na betonie. Powstrzymuję odruch wymiotny i idę chwiejnym krokiem do rodziców. Klękam i obsypuję twarz taty pocałunkami, roniąc łzy na jego jeszcze ciepłą skórę. Następnie pochylam się nad mamą i biorę ją za nadgarstek, rozpaczliwie starając się wyczuć tętno. Gwałtownie wciągam powietrze do płuc, gdy słyszę jej słaby jęk. Wyjmuję z kieszeni jej komórkę i dzwonię na 911, przez cały czas klepiąc ją po twarzy i błagając, by otworzyła oczy.

– Ocknij się, mamó! – powtarzam w kółko. – Nie pozwolę ci umrzeć! Nie pozwolę ci umrzeć!

EPILOG

Ktoś delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu i słyszę znajomy głos:

– Hej, Lucy!

Robi mi się ciepło na duszy. Jestem przekonana, że już zawsze będę czuć ulgę na dźwięk mojego imienia wymawianego przez Mak.

– Hej, Mak – odpowiadam wyczerpana. Przeciagam się i rozprostowuję zeszywniałe mięśnie, bo przez cały dzień czuwałam przy mamie w szpitalu, starając się dostrzec jej choćby najdrobniejszy ruch.

Mak przysuwa swoje krzesło do mojego, całując mnie w policzek i wręczając mi puszkę coli.

– Co z nią? – pyta szeptem.

Odgarniam z mlecznobiałej twarzy mamy jej przetluszczone włosy. Następnie wyjmuję z szafki nocnej czereśniowy balsam i smaruję nim suche, spękane usta. Po trzech tygodniach od postrzelenia przez Radnora wciąż nie odzyskała przytomności. Lekarze uprzedzili mnie, że w ogóle może nie powrócić do zdrowia, ale oni nie znają mojej mamy tak dobrze jak ja. Może wyglądać bezradnie, leżąc z rurkami w nosie i gardle, jednak wiem, że będzie walczyła, jak tylko się da, by do siebie dojść. Nie chce zostawić mnie samej.

– Wydaje się dziś silniejsza – odpowiadam z nadzieją.

– Ma bardziej zaróżowione policzki – oświadcza zachęcająco Mak.

Do pokoju wchodzi energicznym krokiem siostra Becky. Uśmiecha się do nas, sprawdzając monitory i mierząc mamie temperaturę. Becky zajmuje się mamą od początku. Gdy się zorientowała, że nie zamierzam stąd wyjść, poprosiła o wstawienie do pokoju łóżka dla mnie. Co noc staram się na nim przespać. Ale najwięcej czasu spędzam u boku mamy, siedząc na krześle i od czasu do czasu zapadając w drzemkę, tak że budzę się ze sztywnym karkiem.

– Wszystko wygląda dobrze – mówi uspokajająco siostra Becky. Poprawiając mamie poduszki i zmieniając jej pozycję w łóżku, mówi do niej: – Czy tak jest wygodniej, pani Burgess?

Mama ma przekrzywioną na bok głowę, jakby była szmacianą lalką, i nie otwiera oczu. Pielęgniarka delikatnie prostuje jej głowę. Szykując się do wyjścia, odwraca się do mnie, unosi brwi i pyta:

– Zażyłaś leki, Lucy?

– Proszę się nie martwić, zaraz to zrobię – odpowiadam, z roztargnieniem szukając w plecaku pastylek. Gdy je wyjmuję i wkładam do ust, Mak podaje mi szklankę wody do popicia.

– Nie dbasz o siebie. Musisz pójść ze mną do domu – mówi stanowczo.

Odchrząkuję zamiast odpowiedzieć. Dotykam cieplej ręki mamy i na myśl, że ciało taty leży w kostnicy, robię się silna. W jakimś stopniu jestem zadowolona z tego, że policja nie zgodziła się, by pogrzeb taty już się odbył. Chcę, by mama uczestniczyła w tej smutnej uroczystości. Powinna się z tatą pożegnać i zmierzyć z tym, co mu zrobiła, ale także mnie i w ogóle naszej rodzinie. Jestem tu przy niej tylko dlatego, że jak rozumiem, każdą pokrętną decyzję podjęła z rozpaczliwej, przerażającej miłości do mnie.

Robię wszystko, by nie myśleć o Radnorze, ponieważ za każdym razem, kiedy go sobie przypominam, opanowują mnie nienawiść i gniew. Może powinnam żałować, że ten człowiek nie stanie przed sądem i nie spędzi reszty życia w więzieniu, ale cieszę się z jego śmierci. Przynajmniej dzięki temu mogę być pewna, że już nikomu nie wyrządzi krzywdy. Prowadząca śledztwo w sprawie jego przestępstw detektyw Cook przesłuchuje mnie w szpitalu. Ufam jej, ponieważ traktuje mnie jak osobę dorosłą i informuje o postępach swojej pracy. Mówi, że

śledztwo „szybko posuwa się do przodu”, gdyż codziennie wychodzą na jaw jakieś nowe okoliczności. Dotarli do nastolatków, których teczki Radnor trzymał w swoim gabinecie, i odkryli, że przeprowadzał ich badania w klinikach w Ameryce Południowej i Anglii. W jego komputerze odkryli zaszyfrowane maile, które potwierdziły, że za kilka dni miał uprowadzić w Hondurasie nastolatkę i przetransportować ją do kliniki w El Paso w celu użycia jej ciała do transplantacji. Gdybyśmy, tata i ja, go nie powstrzymali, znowu by kogoś zabił.

W moje myśli wdzierają się piski komórki Mak. Moja przyjaciółka czyta SMS-a, który właśnie przyszedł, i uśmiecha się smutno.

– Od kogo? – pytam po cichu, spoglądając na mamę.

Mak odkłada komórkę, patrzy na mnie z niepokojem i wierci się na krześle. W końcu odpowiada:

– Od Bena.

Czuję ucisk w żołądku, bo nieustannie dręczy mnie poczucie winy wobec tego chłopaka. Mak wyczuwa mój stan psychiczny.

– Lucy, on nie obwinia cię o to, co się stało z Hayley. Po prostu rozmowa z tobą jest dla niego zbyt trudna – tłumaczy.

– Jasne, rozumiem – odpowiadam zbyt gwałtownie. – Cieszę się, że utrzymujecie ze sobą kontakt. Ben potrzebuje wsparcia. Jak on sobie radzi? – Obawiam się odpowiedzi na to pytanie.

Mak tłumaczy westchnieniem i odpowiada:

– Przeżywa naprawdę trudne chwile. Jego mama jest totalnie rozbita.

Przesuwam dłonie po twarzy. Przypominam sobie słowa Radnora: „Mówiąc prawdę, skążesz rodzinę Hayley na niewypowiedzianą rozpacz”.

– Może byłoby lepiej, gdyby Ben i jego mama nigdy się nie dowiedzieli, co się stało z Hayley? Przynajmniej mogliby żyć nadzieją – mówię pod nosem.

Oburzona Mak podnosi się z krzesła i udziela mi reprimendy:

– Nie chcę słyszeć od ciebie więcej takich niemądrych wypowiedzi. Postąpiłaś słusznie, Lucy. Oczywiście Ben i jego mama cierpią i prawdopodobnie już zawsze tak będzie. Ale teraz przynajmniej mają szansę jakoś dalej żyć, a nie tkwić ciągle w piekle... Czekać i liczyć na powrót Hayley.

Z niewyspania pieką mnie oczy. Pojawiają się w nich łzy. Wiem, że muszę pozbyć się dręczących mnie wątpliwości. Ale to jest naprawdę trudne, a ja czuję się bardzo zmęczona. Nie odpowiadam Mak.

Pogrążone w myślach obserwujemy moją mamę. Kątem oka dostrzegam, że Mak patrzy na nią z niechęcią. Jest tu codziennie, żeby się ze mną spotkać, jednak nigdy mamy nie dotknęła – nie gładzi jej po ręce i nie wykonuje innych czułych gestów. Wiem, że ma do niej niejednoznaczny stosunek, tak samo jak ja. Jest na nią zła i oburzona za wszystko, co mama zrobiła. Zarazem zdaje sobie sprawę z tego, że nie przeżyłabym, gdyby mama nie znalazła Radnora i nie nakłoniła go do wykonania mi przeszczepu ciała.

Zaczyna zbierać i wkładać mi do plecaka porzucane na moim łóżku ubrania.

– Posłuchaj, jedziesz ze mną do domu – oświadcza kategorycznie. – Tym razem nie przyjmuję odmowy.

– Nie mogę – odpowiadam w panice.

– Owszem, możesz – mówi nieprzejednana. – Moja mama jedzie tu, żeby przy niej posiedzieć, a poza tym słyszałaś, co powiedziała pielęgniarka: twoja mama jest w dobrym stanie. Jeśli zajdzie jakaś zmiana, będziemy tu w ciągu dwudziestu minut.

Spoglądam na mamę. Wydaje mi się, że beze mnie będzie bezbronna i samotna.

Mak zdejmuje z oparcia krzesła moją kurtkę i kusi mnie słowami:

– W naszym domu czeka na ciebie Arthur.

Uśmiecham się po raz pierwszy od trzech tygodni. Tamten straszny dzień chyba stanowił punkt zwrotny w moich relacjach z Arthurem. Mój pies zaatakował Radnora w holu być może dlatego, że uznał, iż on komuś zagraża. Ja jednak wolę myśleć, że wtedy zobaczył w Renee *Lucy*. Bez względu na powód, od tamtego dnia Arthur pozwala mi się głaskać. Nie sprawia wrażenia, że się mnie boi. Może więc jest dla nas jakaś nadzieja?

Mak bierze mnie za rękę i namawia:

– Chodźmy już, proszę.

Ogarnia mnie niepokój. Przebywanie w szpitalu, w pokoju z mamą, oznaczało, że nie muszę stawiać czoła zewnętrznemu światu. Wiem, że detektyw Cook nie ujawniła opinii publicznej, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia. Ale na mieście z pewnością pojawiły się plotki o tym, że jakiś intruz strzelał do państwa Burgess. Na myśl o tym, co mnie czeka poza tym miejscem, boję się stąd wyjść.

– Co się ze mną stanie? – pytam, choć nie zamierzałam wypowiedzieć głośno tej myśli.

– Cokolwiek, zawsze będziesz miała mnie i dom u mojej rodziny. – Głos Mak załamuje się pod wpływem emocji.

– Ale jak mogę zostać w tym mieście, Mak? – pytam zdesperowana. – Ludzie będą mieli do mnie tyle pytań. Dowiedzą się prawdy. I nie wiem, co się stanie z mamą, jeśli... *kiedy* odzyska przytomność.

– Nie martw się o to wszystko. Żyj dniem dzisiejszym – odpowiada mi spokojnie. – Słuchaj, jeszcze tylko jeden rok i będziemy wolne. Przed rozpoczęciem nauki w college’u możemy się gdzieś wybrać: zrobić sobie wycieczkę do Wielkiego Kanionu albo przenieść się do Nowego Jorku i zamieszkać w komunie poetów. – Uśmiecha się szeroko, wiedząc, że zaraz przewrócę oczami. – Mówię poważnie, Lucy. Mamy przed sobą całe życie. Nie zostawiaj mnie. Jesteś mi potrzebna.

Patrzę na nią, widzę, jaka jest zdeterminowana. Ale czy ma rację? *Czy potrafię to zrobić?* Siedząc przez ostatnie trzy tygodnie przy łóżku mamy, miałam dużo czasu na zastanawianie się nad sobą. I może z *powodu* tego wszystkiego, co przeszłam w ostatnim roku, zdałam sobie sprawę, że choć mam cudze ciało, to *obecnie* znam siebie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Wiem, jaką osobą potrafię być.

Gdy Mak kiwa na mnie głową, dodając mi otuchy, wstaję z krzesła. Po chwili wahania i odrzuceniu wątpliwości całuję mamę w czoło i mówię do niej łagodnym tonem:

– Mama Mak tu jedzie, żeby przy tobie posiedzieć. Ja przyjdę później.

Gdy unoszę głowę, wydaje mi się, że zamrugała oczami. Zastanawiam się, czy to z powodu wyczerpania coś mi się przywidziało, ale słyszę słowa Mak:

– Widziałaś to, Lucy? Widziałaś? – Moja przyjaciółka gwałtownie wciąga powietrze do płuc i dzwoni po pielęgniarkę.

Stoję nad mamą. Jestem w takim stresie, że nie mogę oddychać. Obserwuję, jak porusza powiekami, próbując je unieść. Po chwili otwiera oczy i widzę jej szaroniebieskie tęczęwki. Obejmuje mnie spojrzeniem i jej twarz powoli rozjaśnia się pod wpływem emocji. Wyciąga do mnie rękę, a ja podaję jej dłoń. Czuję taką ulgę, że zaczynam płakać. Teraz ośmielam się wierzyć, że mama wyzdrowieje. Wyzdrowieje, a ja znajdę w sobie siłę, by poradzić sobie ze wszystkim, cokolwiek się wydarzy. Muszę przeżyć każdy dzień najlepiej, jak potrafię. Muszę mieć z życia jak najwięcej. Jestem to winna Hayley. Jestem to winna sobie.

PODZIĘKOWANIA

Ogromne podziękowania składam mojej agentce, wspaniałej Clare Conville z C+W. Choć niewyobrażalnie zajęta, zawsze znajduje dla mnie czas, jest ze mną na dobre i na złe. W okresie pisania *W cudzym ciele* udzielała mi każdego niezbędnego wsparcia.

Dziękuję także wspaniałemu zespołowi ze Scholastic – w szczególności mojej utalentowanej redaktorce Sophie Cashell za jej ciężką pracę, Seanowi Williamsowi za projekt okładki (którą uwielbiam), Roisin O’Shea i Olivii Horrox za wiedzę z zakresu marketingu i reklamy, Jessice White i Peterowi Matthewsowi za drobiazgową adiustację i korektę. Nikki Bell za dopilnowanie sprawy druku! Zespołowi zajmującemu się sprzedażą i prawami. I oczywiście Samowi Smithowi. Jestem wdzięczna za zaangażowanie i pasję, które wszyscy wykazaliście w pracy nad *W cudzym ciele*.

Szczególne podziękowania muszę skierować do mojej córki Sadie. To ona miała pomysł, który uruchomił w mojej głowie tok myślenia ostatecznie prowadzący do napisania *W cudzym ciele*. Sadie jest jak młody guru (tyle że się maluje i lubi chodzić na przyjęcia). To z nią pierwszą rozmawiam na tematy podjęte w książce. Zawsze zgłasza bardzo mądre uwagi.

Jestem wdzięczna osobom, które przeczytały wczesne szkice *W cudzym ciele*. Ich opinie, nawet jeśli były ze sobą sprzeczne, dostarczyły mi bogatego materiału do przemyśleń. Wielkie podziękowania za nie kieruję do Julie Burke, Carrie Plitt, Sophie Wilson, Matta Marlanda i mojego syna Archiego.

Aby znaleźć odpowiedni ton powieści i wiarygodne miejsce akcji, konsultowałam się z moją uroczą amerykańską przyjaciółką Renee Smith, a ona ze swoimi przyjaciółmi z Teksasu. Ich wkład w tę problematykę był nieoceniony.

Uściski i całusy dla Stana i Archiego, którzy w okresie, gdy pisałam tę książkę, przemienili się z chłopców w młodych mężczyzn.

Ostatnie według kolejności, ale w żadnym wypadku nie według znaczenia słowa – wyrazy wielkiej miłości – kieruję do mojego męża Davida. Zawsze udziela mi niezawodnego wsparcia. W ciągu dwudziestu dwóch lat naszego związku nigdy nie było chwili nudy. Dziękuję Ci za te lata!

O AUTORCE



Paula Rawsthorne po raz pierwszy odniosła sukces, kiedy wygrała konkurs BBC National

„Get Writing” i jej nagrodzone opowiadanie czytał na antenie Radia 4 Bill Nighy. Zwyciężyła także w konkursie SCBWI – „Undiscovered Voices”. Również jej dwie wcześniejsze powieści dla młodzieży zostały nagrodzone. Z pasją propaguje czytelnictwo wśród nastolatków. Jest pisarką rezydentką w szkole średniej, reprezentując krajową organizację dobroczynną First Story, działającą na rzecz umiejętności czytania i pisania. *W cudzym ciele* to jej trzecia powieść dla młodzieży.

Śledźcie ją na Twitterze: @PaulaRawsthorne.

PRZYPISY

[1] Modlitwa jest swobodną kompilacją zwrotów zaczerpniętych z Biblii (przyp. tłum.).

[2] Flyerka jest tą członkinią zespołu cheerleaderek, którą w czasie występu pozostałe unoszą do góry. Podtrzymują ją, gdy stoi na jednej nodze i chwytają po wykonaniu w powietrzu różnych figur gimnastyczno-akrobatycznych (przyp. tłum.).

[3] Mary Shelley, *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*, przekład, opracowanie i posłowie Maciej Płaza, Czerwonak 2013, s. 139 (przyp. tłum.).

